

HENNING

MANSELL

mózg
Kennedy'ego



MRO CZNA SERIA

HENNING

MANKELL

MÓZG KENNEDY'EGO

przełożyła Ewa Wojciechowska

Tytuł oryginału: *Kennedys hjärna*

Copyright © by Henning Mankell, 2005

Published by agreement with Leopard Förlag, Stockholm, and
Leonhardt & Høier Literary Agency A/S, Copenhagen

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal,
MMXIII

Copyright © for the Polish translation by Grupa Wydawnicza Foksal,
MMXIII

Wydanie I

Warszawa

Spis treści

- Dedykacja
- Część I Zaulek Chrystusa
 - 1
 - 2
 - 3
 - 4
 - 5
 - 6
 - 7
 - 8
- Część II Niosący światło
 - 9
 - 10
 - 11

- [12](#)
- [13](#)
- [14](#)
- [Część III Papierowy profil](#)
 - [15](#)
 - [16](#)
 - [17](#)
 - [18](#)
 - [19](#)
 - [20](#)
 - [21](#)
- [Posłowie](#)
- [Przypisy](#)
- [Biogram autora](#)

Dla Ingmara i Ellen

Część I
Zaułek Chrystusa

*Porażkę należy ukazać w jasnym świetle,
nie starać się jej pogrzebać,
bo dzięki porażkom stajemy się ludźmi.
Niczego nie pozostawi za sobą,
kto nie pojmie swoich porażek.*

Aksel Sandemose

1

Katastrofa nadeszła jesienią i dopadła Louise Cantor bez jakiegokolwiek zapowiedzi. Nadciągnęła bezszelestnie, nie rzucając cienia. Louise ani przez chwilę nie przeczuwała tego, co miało niebawem nastąpić.

Poczuła się tak, jakby dała się zwabić w zasadzkę zastawioną na nią w jakiejś ciemnej uliczce. Tym samym została brutalnie oderwana od ukochanych starożytnych ruin i ciśnięta w rzeczywistość, która jej nigdy nie pociągała. Nagle znalazła się w świecie, w którym nikogo nie interesowały greckie wykopaliska z epoki brązu.

Dotychczas Louise niemal nie wyściubiła nosa z głębokich wykopów. Najczęściej siedziała w kucki nad potłuczonymi wazami i starała się je poskładać w całość. Kochała swoje ruiny tak mocno, że nawet nie dostrzegła, kiedy świat wokół niej legł w gruzach. Była archeologiem, który niebawem miał powrócić z przeszłości i stanąć nad grobem, jakiego nie spodziewał się zobaczyć nawet w najstraszniejszych koszmarach.

Tragedia runęła na nią znienacka, wywaliła jęzor w jej twarz, nie wypowiadając najmniejszego słowa ostrzeżenia.

W wieczór poprzedzający jej wyjazd do Szwecji, gdzie miała wziąć udział w seminarium o grobowcach z epoki brązu, Louise Cantor dotkliwie skaleczyła się w lewą stopę, nastąpiwszy w łazience na skorupę z ceramicznej wazy. Odłamek pochodził mniej więcej z V wieku przed Chrystusem. Rana krwawiła obficie, a spadające na podłogę czerwone krople przyprawiały Louise o mdłości.

Wciąż jeszcze przebywała na Peloponezie, w pobliżu miasta Argos. Nadszedł wrzesień i sezon wykopaliskowy powoli się kończył. Louise czuła już podmuchy wiatru zapowiadające rychłe nadejście zimy. Suche, ciepłe powietrze przepelnione zapachem korynckich rodzynek i tymianku pojawiało się coraz rzadziej.

W końcu krwawienie udało jej się zatrzymać i kiedy odcinała kawałek plastra, z zakamarków jej pamięci wychynęło pewne wspomnienie.

Zardzewiały gwóźdź przebił mi stopę. Nie tę, którą przed chwilą rozciąłam, ale drugą, prawą. Miałam wówczas pięć lub sześć lat. Brązowy gwóźdź zagłębił się mocno w piętę, przebijając skórę, mięso i trafiając na kość, zupełnie jakby ktoś próbował nadziać moją nogę na pal. Wrzeszczałam wniebogłosy i byłam pewna, że w tamtej chwili cierpiałam tak samo jak mężczyzna wiszący na krzyżu w pobliskim kościele, do którego czasem wiodły mnie samotne zabawy.

Naostrzone pale czają się wszędzie, pomyślała, oczyszczając ceramiczną skorupę z zaschniętej krwi. Kobieta w każdej chwili swojego życia narażona jest na jeżące się w pobliżu kolce, czyhające na wszystko, co ona stara się ochronić.

Utykając, przeszła z łazienki do części domu stanowiącej jednocześnie jej sypialnię i miejsce do pracy. W jednym kącie stały trzeszczący fotel bujany oraz adapter. Fotel dostała w prezencie od staruszka Leandrosa, nocnego stróża. Biegał po wykopaliskach już jako dziecko. Był biedny, ale niezwykle interesował się tym, co działo się w pierwszych stanowiskach archeologicznych zakładanych przez szwedzkich badaczy w latach trzydziestych. Obecnie wszystkie noce w stróżówce przy wzgórzu Mastos raczej smacznie przesypiał, mimo to wszyscy stawali w jego obronie. Był dla nich jak duch

opiekuńczy, bez którego wszystkie prace na wykopaliskach zostałyby narażone na niepowodzenie. Tymczasem, w miarę upływu lat, Leandros zmienił się w bezzębnego i coraz częściej niedomytego anioła stróża.

Louise Cantor usiadła w bujanym fotelu i przyglądała się zranionej stopie. Uśmiechnęła się na myśl o starym stróżu i o swoich kolegach z pracy. Większość znanych jej szwedzkich archeologów nie uznawała żadnych autorytetów, władze traktowała jako kolejną przeszkodę w ich pracy. Dawni bogowie, którzy wieki temu stracili jakiegokolwiek znaczenie, niestety nie mogli mieć wpływu na to, czy w jakimś odległym szwedzkim urzędzie zostanie wydana zgoda na badania archeologiczne. Biurokracja w tej dziedzinie była jak system tuneli z mnóstwem wejść i wyjść, które prowadziły donikąd. Koniec końców decyzje, które wreszcie docierały do dyszących z gorąca, rozkopanych greckich grobowców, najczęściej i tak bywały niezrozumiałe. Archeolog rozpoczynający wykopaliska zawsze liczy na mnóstwo szczęścia, rozmyślała Louise. Nigdy nie wiadomo, czy znajdzie to, czego szuka, oraz czy szuka tego, co chce odnaleźć. Jeśli mu się uda, oznacza to, że fortuna była łaskawa. Mimo to nigdy jednak nie ma całkowitej pewności, że dostanie pozwolenie na kontynuację prac i fundusze na dalsze zagłębianie się we wspaniały zrujnowany świat. A nuż z wymienia nagle przestanie płynąć mleko? Louise uznała to za osobisty wkład w żargon archeologów. Uważała różnego rodzaju urzędy za dojne krowy.

Spojrzała na zegarek. W Grecji był kwadrans po ósmej, a więc w Szwecji było o godzinę wcześniej. Sięgnęła po telefon i wystukała numer telefonu syna, który mieszkał w Sztokholmie.

Długo wsłuchiwała się w rozbrzmiewający w słuchawce sygnał, a kiedy w końcu włączyła się automatyczna sekretarka, Louise

przymknęła oczy. Głos nagrania wpływał na nią kojąco. „To automatyczna sekretarka. Więc wiesz, co robić. Powtarzam po angielsku. *This is an answering machine and you know what to do.* Henryk”.

Louise nagrała wiadomość. „Nie zapomnij, że wracam do domu. Lecę na dwa dni do Visby, gdzie mam dać wykład na temat epoki brązu. Potem przyjadę do Sztokholmu. Kocham cię. Do zobaczenia wkrótce. Może jeszcze później zadzwonię. Jeśli nie, odezwę się już z Visby”.

Wstała z fotela i przyniosła z łazienki odłamek naczynia. Skorupę znalazła jej najbliższa współpracownica, pilna studentka z Lund. Można tu było znaleźć miliony podobnych odłamków. Przykład ceramiki attyckiej, jak oceniała Louise, fragment donicy wykonanej przez kogoś tuż przed okresem, kiedy zaczął dominować kolor czerwony, zatem pochodzącej mniej więcej z V wieku przed naszą erą.

Louise lubiła układanki z kawałków ceramiki, wyobrażała sobie całość, jaką kiedyś tworzyły i której zapewne nigdy nie uda się odtworzyć. Tę akurat skorupę zamierzała dać Henrykowi w prezencie. Położyła ją na spakowanej walizce, która czekała już tylko na zamknięcie suwaka.

Jak zwykle przed podróżą czuła niepokój. Ponieważ z trudem radziła sobie z narastającym zniecierpliwieniem, postanowiła zmienić plany na wieczór. Zanim skaleczyła się skorupą, zamierzała popracować przed snem nad odczytem, który miała wygłosić w Visby. Ostatecznie jednak wyłączyła lampkę na biurku, nastawiła płytę i zapadła w bujany fotel.

Zawsze kiedy słuchała muzyki, u sąsiada zaczynały szczekać psy. Zwierzaki należały do Mitsosa, starego kawalera i posiadacza

koparki. Był on również właścicielem niewielkiego domu, który wynajmowała. Większość z jej współpracowników mieszkała w Argos, ona jednak wolała być blisko wykopalisk.

Zasnęła w fotelu, ale po chwili przebudziła się, gwałtownie się wzdrygając. Nagle poczuła, że nie chce spędzić tej nocy sama. Ściszywszy muzykę, zadzwoniła do Vassilisa. Obiecał jej, że następnego ranka odwiezie ją na ateńskie lotnisko. Ponieważ samolot Lufthansy wylatywał do Frankfurtu o bardzo wczesnej godzinie, musieli wyruszyć już o piątej. Louise doszła do wniosku, że skoro i tak tej nocy się nie wyśpi, lepiej będzie, jeśli ktoś dotrzyma jej towarzystwa.

Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że Vassilis powinien być jeszcze w biurze. Jedną z ich nielicznych kłótni dotyczyła jego zawodu. Louise musiała przyznać, że rzeczywiście zachowała się wtedy nieładnie, mówiąc mu, że biegły rewident to „najbardziej łatwopalny” z zawodów. Dokładnie zapamiętała słowa, które wówczas wypowiedziała. Była to zupełnie niezamierzona złośliwość. „To najbardziej łatwopalny zawód na świecie. Tak suchy i pozbawiony życia, że w każdej chwili może zająć się ogniem”.

Vassilis wydał się zaskoczony, początkowo posmutniał, by ostatecznie wpaść w złość. W tamtej chwili Louise zrozumiała, że Vassilis nie spotyka się z nią tylko i wyłącznie dla seksu. Sama spędzała z nim wolny czas na przekór temu, a być może właśnie przez to, że wcale nie interesował się archeologią. Po tamtej kłótni, gdy jej słowa tak go dotknęły, że wystraszyła się nie na żarty, iż właśnie przez to Vassilis zerwie z nią znajomość. W końcu jednak udało jej się go przekonać, że nie mówiła poważnie.

– Przecież dzisiejszy świat opiera się na dokumentach księgowych
– podsumowała wówczas. – To nasza współczesna liturgia. A biegli

to nasi nowi kapłani.

Louise usłyszała w słuchawce ciąg krótkich sygnałów. Zajęte. Zakończyła połączenie i zaczęła się bujać w fotelu.

Vassilisa spotkała zupełnie przypadkowo. Ale czyż nie wszystkie najważniejsze spotkania w życiu są dziełem przypadku? Jej pierwszą miłością był rudowłosy mężczyzna, który parał się polowaniem na niedźwiedzie, budował domy i co jakiś czas zatapiał się w morzu melancholii. Podrzucił ją samochodem, kiedy wracając od przyjaciółki z Hede, spóźniła się na autobus do Sveg. Emil po prostu nadjechał rozklekotaną ciężarówką. Louise miała wówczas szesnaście lat i dopiero zaczynała odkrywać świat. Emil odwiózł ją do domu, a potem – było to wczesną zimą 1967 roku – spędzili ze sobą pół roku. Kiedy Louise udało się wyswobodzić z jego niedźwiedzich objęć, przeniosła się ze Sveg do Östersund, rozpoczęła naukę w gimnazjum i po jakimś czasie postanowiła zostać archeologiem. W Uppsali, dokąd trafiła na studia, spotkała kolejnych mężczyzn, na każdego z nich wpadając przez przypadek. Aron, jej późniejszy mąż, który był ojcem Henryka i który spowodował, że zmieniła nazwisko z Lindblom na Cantor, dostał miejsce obok niej w samolocie z Londynu do Edynburga. Louise zmierzała na uniwersyteckie stypendium, żeby wziąć udział w seminarium o archeologii klasycznej, Aron wybierał się do Szkocji na ryby. I właśnie tam, wysoko nad chmurami, po prostu zaczęli rozmawiać.

Odegnęła wspomnienia związane z Aronem, bo zawsze wprawiały ją w złość, i ponownie wybrała numer. Wciąż zajęte.

Odkąd się rozwiodła, nie mogła przestać porównywać wszystkich napotkanych mężczyzn do Arona. Robiła to bezwiednie, jakby w jej głowie odcisnął się jakiś wzorzec. Każdy, kto się nią interesował, był

za niski, zbyt wysoki, nudny lub niewystarczająco utalentowany, krótko mówiąc, Aron zawsze w tych zawodach zwyciężał. Do tej pory nie udało jej się poznać nikogo, kto zdołałby wymazać z jej pamięci obraz Arona jako idealnego partnera. Czasem wprawiało ją to w rozpacz, niekiedy w złość, ponieważ czuła się tak, jakby były mąż dalej sterował jej życiem, mimo że nie miał już do tego prawa. Kiedy byli razem, wciąż ją zdradzał i okłamywał, a gdy wszystko zaczęło wychodzić na jaw, po prostu zniknął, zupełnie jak szpieg, który w obliczu rychłego zdemaskowania zwija manatki i wraca do swych mocodawców. Louise przeżyła szok, nie podejrzewała, że Aron miał na boku inne kobiety. Okazało się nawet, że jedną z nich była jej przyjaciółka, też archeolog, całe życie poszukująca świątyni Dionizosa na wyspie Tazos. Henryk był wtedy jeszcze mały, a Louise pracowała na uniwersytecie jako zastępca jednego z wykładowców. Ciężko wspominała okres, gdy próbowała na nowo poskładać do kupy swoje życie, które niespodziewanie rozpadło się na kawałki.

Aron niemal zmiotł ją z powierzchni ziemi, tak jak wybuch wulkanu może unicestwić całą społeczność, jednego człowieka, ceramiczną wazę. Louise często myślała o sobie, przyglądając się fragmentom jakiegoś antycznego naczynia i próbując wyobrazić sobie niemożliwą do zrekonstruowania całość, jaką kiedyś tworzyły. Aron nie tylko roztrzaskał ją na kawałki, ale też schował część odłamków, żeby utrudnić jej odtworzenie własnej tożsamości, jej jako człowiekowi, kobiecie, archeologowi.

Porzucił ją bez ostrzeżenia, zostawiając jedynie krótki, niedbale napisany list, w którym oświadczał, że ich małżeństwo właśnie dobiegło końca, że nie ma już siły, prosi o wybaczenie i żywi wielką nadzieję, że Louise nie nastawi przeciwko niemu ich syna.

Po siedmiu miesiącach bez wieści otrzymała list nadany w Wenecji. Louise rozpoznała po charakterze pisma, że Aron był pijany, kiedy go pisał. Widocznie postanowił się odezwać w trakcie jednego ze swoich ciągów alkoholowych – pełnych wzlotów i upadków, w które wpadał zazwyczaj raz na tydzień. Pisał więc łązawym tonem, użalał się nad sobą i pytał, czy Louise nie zechciałaby do niego wrócić. Dopiero wówczas, trzymając w dłoni poplamiony winem list, zrozumiała, że to naprawdę koniec. Nie chciała być znów z Aronem i jednocześnie bardzo tego pragnęła, nie miała jednak odwagi na taki krok, bo wiedziała, że ten mężczyzna znów zniszczy jej życie. A człowiek może podźwignąć się z ruin tylko jeden raz, myślała. Nie da się tego zrobić ponownie, to zdecydowanie zbyt wiele. Odpisała mu więc, że ich małżeństwo dobiegło końca. Wciąż łączył ich Henryk, ale to od niego i ich syna zależało, w jakich będą stosunkach. Louise nie zamierzała się do tego mieszać.

Potem minął niemal rok, nim Aron znów się odezwał. Pewnego razu po prostu zadzwonił i w stale rwącej się rozmowie telefonicznej wyjaśnił, że obecnie przebywa w Nowej Fundlandii, gdzie wraz z grupą informatyków tworzy jakąś sieć. Louise nie mogła się oprzeć wrażeniu, że jej były mąż wpadł w sidła jakiejś sekty. Tłumaczył się mętnie, że wraz z innymi zajmuje się przyszłością archiwizacji danych, że całe doświadczenie ludzkości da się zawrzeć w ciągach zer i jedynek. Mikrofilmy i magazyny z piętrzącymi się w nich dokumentami miały odejść do lamusa. Od teraz to komputery gwarantowały, że doświadczenie całych pokoleń nie pójdzie w niepamięć. Louise zastanawiała się potem, czy te jego komputery nie zaczną z czasem magazynować i przetwarzać swoich własnych doświadczeń. Rozmowa się rwała, coś trzeszczało na linii, więc nie

zrozumiała wiele z tego, co mówił, choć musiała przyznać, że tym razem był trzeźwy i nie uderzał w płaczliwy ton. Na koniec wspomniał, że chciałby odzyskać litografię przedstawiającą jastrzębia atakującego gołębia, którą kupili na początku małżeństwa, wybrawszy się pewnego dnia do galerii. Jakiś tydzień później Louise wysłała mu obraz. W tym samym czasie odgadła, że Aron, mimo że zachował to przed nią w tajemnicy, nawiązał kontakt z Henrykiem.

Eksmąż zawsze był obecny w jej życiu. Czasem Louise z rezygnacją dochodziła do wniosku, że już nigdy nie uda jej się wymazać z pamięci jego twarzy i zerwać więzi, przez którą odrzucała każdego poznanego mężczyznę.

Ponownie wybrała numer Henryka. Zawsze kiedy dopadał ją ból wywołany wspomnieniem Arona, chciała usłyszeć głos syna. Rozmowa z nim wpływała na nią kojąco i odpędzała gorycz. Ponieważ znów włączyła się automatyczna sekretarka, Louise postanowiła zadzwonić dopiero z Visby.

Za każdym razem, kiedy Henryk nie odbierał telefonu, Louise dopadał irracjonalny lęk i przez kilka sekund przed jej oczami przewijały się obrazy ofiar wypadków, pożarów i ciężkich chorób. Jej syn był ostrożny i nie podejmował niepotrzebnego ryzyka, mimo że sporo podróżował i lubił wyruszać w nieznane.

Louise wyszła na zewnątrz i zapaliła papierosa. Od strony domu Mitosa dobiegał radosny męski śmiech. Poznała po głosie, że to Panayiotis, starszy brat właściciela domu. Panayiotis wygrał kiedyś na loterii i od tego czasu, ku zgryzocie całej rodziny, wiódł beztroskie i wesołe życie. Louise uśmiechnęła się na myśl o tym pogodnym mężczyźnie i głęboko zaciągnęła się dymem. Dawno

temu postanowiła, że rzuci palenie w dniu swoich sześćdziesiątych urodzin.

Była sama na dworze, otaczała ją ciemność, a nad jej głową rozpościerało się rozgwieżdzone niebo. Chłodny wiatr ustał, oddychała więc ciepłym, łagodnym powietrzem. A więc w to miejsce dotarłam, pomyślała. Przyjechałam tu aż z dalekiego Sveg, z pełnego melancholii regionu Härjedalen, by pochyłać się nad grobowcami z epoki brązu. Porzuciłam chłód i śniegi, wybierając upał i gaje oliwne.

Zgasiła papierosa i weszła z powrotem do domu. Bolała ją stopa. Stała na środku pokoju, zastanawiając się, co ze sobą począć. W końcu jeszcze raz wystukała numer do Vassilisa. Sygnał był już wolny, ale przyjaciel nie odbierał.

W umyśle Louise twarz Vassilisa zlała się w jedno z twarzą Arona. Oszukuje mnie, myślała. Traktuje mnie jak przedmiot, bez którego z powodzeniem może się obejść.

W przypiływie fali zazdrości wybrała numer komórki, którą Vassilis zawsze nosił w kieszeni. Tego telefonu też nie odebrał, a po chwili kobiecy głos poprosił ją po grecku, żeby zostawiła wiadomość. Louise zagryzła usta i nie odezwała się ani słowem.

Zasuważąc walizkę, zdecydowała, że wykorzysta wolny czas na zakończenie tego bezsensownego związku. Zamknę tę księgę przychodów i rozchodów, stwierdziła w myślach, tak samo jak przed chwilą zamknęłam torbę. Wyciągnęła się na łóżku i wbiła wzrok w nieruchomy wentylator, zagłębiając się w rozmyślaniach. Jak w ogóle mogłam się z nim zadawać? Nagle poczuła wstręt – nie do Vassilisa, ale do samej siebie.

Chwilę potem wentylator wciąż trwał w bezruchu, a gwałtowna zazdrość całkowicie przeminęła. Psy już nie czekały. Jak zwykle

kiedy stała w obliczu ważnej decyzji, Louise spojrzała z dystansu na siebie i sytuację, w której się znalazła.

Oto Louise Cantor, jesienią 2004 roku. Oto jej życie, czarno na białym, a raczej czerwono na czarnym, bo to najczęstsza kombinacja kolorów na naczyniach, które każdego dnia wykopuje z tej greckiej ziemi. Louise Cantor ma pięćdziesiąt cztery lata, mimo to nie przeraża jej widok własnej twarzy i swojego nagiego ciała w lustrze. Wciąż jest pociągająca, wygląda młodo, a mężczyźni nadal ją zauważają, nawet jeśli już się za nią nie oglądają. A ona sama? Za kim się ogląda? Czy potrafi patrzeć już tylko w dół, w ziemię, która wciąż nęci ją i zmusza do poszukiwania kolejnych śladów przeszłości? Louise Cantor właśnie zamknęła książkę pod tytułem „Vassilis” i już nigdy więcej jej nie otworzy. Nie pozwoli mu nawet, żeby odwiózł ją jutro rano na lotnisko.

Podniosła się z łóżka, sięgnęła po książkę telefoniczną i odszukała numer lokalnej korporacji taksówkowej. Odebrała jakąś przygłucha kobieta, więc Louise musiała niemal krzyknąć, zamawiając kurs. Rozłączywszy się, mogła już tylko liczyć na to, że taksówka przyjedzie. Ponieważ Vassilis zapowiedział się na wpół do czwartej w nocy, zamówiła samochód na trzecią. Potem usiadła przy biurku i napisała list: „Drogi Vassilisie! Między nami koniec, już wszystko minęło. Nic nie trwa wiecznie. Czuję, że zmierzam w nowym kierunku. Przykro mi, że jechałeś na próżno, dzwoniłam. Louise”. Skończyła pisać i dokładnie przyjrzała się tekstowi. Czy zmieni zdanie? Już jej się to zdarzało. Napisała w przeszłości niejeden list pożegnalny, który nigdy nie został wysłany. Nie tym razem, postanowiła. Wsunęła kartkę do koperty, zakleiła ją, po czym po ciemku wyszła na dwór i spinaczem do bielizny przypięła list do skrzynki pocztowej. Potem przez długi czas przewracała się na

łóżku, aż w końcu wypić lampkę wina i wbiła wzrok w opakowanie tabletek nasennych, nie mogąc się na nie zdecydować.

Taksówka podjechała pod dom za trzy trzecia. Louise czekała przed furtką przy akompaniamencie ujadania psów Mitosa. Zapadła się w miękkim siedzeniu i zamknęła oczy. Poczuła, że może zasnąć dopiero teraz, kiedy rozpoczęła swą podróż.

Dotarli na lotnisko tuż przed świtem. Louise ani przez chwilę nie spodziewała zbliżającej się katastrofy.

2

Louise odprawiła swój bagaż u na wpół jeszcze śpiącej obsługi Lufthansy i udała się w stronę kontroli bezpieczeństwa. Wtedy wydarzyło się coś, co wywarło na niej ogromne wrażenie.

Po jakimś czasie doszła do wniosku, że być może powinna była potraktować to jako omen, rodzaj ostrzeżenia. Jednak tamtego dnia nic takiego nie przyszło jej na myśl, po prostu spostrzegła kobietę siedzącą na kamiennej posadzce. Otaczała ją sterta bezkształtnych tobołów i staromodnych walizek obwiązanych sznurkami. Kobieta płakała, zastygła w bezruchu. Jej poorana zmarszczkami twarz zwrócona była gdzieś w przestrzeń. Zapadnięte policzki świadczyły o znacznych brakach w uzębieniu. To pewnie Albanka, pomyślała Louise. Mnóstwo kobiet z Albanii szukało pracy w Grecji, podejmując się jakiegokolwiek zajęcia, bo niewiele to i tak więcej niż nic, a Albania to biedny kraj. Nieznajoma miała głowę owiniętą szalem, nie była jednak muzulmanką. Był to zwykły szal, jaki w tej części świata nosiły stare kobiety. Nikogo z nią nie było. Kobieta po prostu siedziała na ziemi, pogrążona we łzach. Wyglądała tak, jakby jakaś fala wyrzuciła ją na ląd właśnie w tym miejscu, roztrzaskując cały dobytek i życie w drobny mak, pozostawiając jedynie nic niewarte szczątki.

Louise Cantor stanęła w miejscu. Potrącali ją spieszący się dokądś ludzie, lecz ona nie poddawała się im, jak skała chłostana wiatrem. Wyżłobione tunele zmarszczek na śniadej twarzy nieznajomej powodowały, że jej skóra wyglądała jak zastygła lawa. Louise przyszło na myśl, że w twarzach staruszek tkwi pewien rodzaj piękna. Czas ściiera z nich warstwę po warstwie, pozostawiając jedynie cieniutką skórę, na której widać doświadczenie całego życia.

Spod oczu kobiety biegły w dół po policzkach dwie bruzdy, w których płynęły łzy.

Nawadniają cierpienie, o którym nic nie wiem, pomyślała Louise. Mimo to jestem pewna, że noszę w sobie cząstkę tej nieznanym kobiety.

Nagle staruszka podniosła głowę i ich spojrzenia na moment się skrzyżowały. Jednak nieznanym pokręciła tylko powoli głowę, co Louise odczytała jako sygnał, że jej pomoc, cokolwiek miałyby oznaczać, nie jest potrzebna. Ruszyła więc dalej, w stronę kontroli bezpieczeństwa, i wbiła się w tonący w zapachu oliwy i czosnku tłum trącających się łokciami ludzi. Odwróciła się, by jeszcze raz spojrzeć na płaczącą staruszkę, ale tę zasłoniła już kurtyna pchających się pasażerów.

Louise od dzieciństwa prowadziła pamiętnik, w którym zapisywała ważne zapamiętania zdarzenia. To jedno z nich, pomyślała. Kładąc torebkę na taśmie, formułowała w myślach słowa. Włożyła telefon komórkowy do niebieskiego plastikowego koszyka i przeszła przez bramkę, w magiczny sposób oddzielającą dobrych ludzi od złych.

W sklepie wolnoctwowym kupiła dla siebie butelkę whisky Tullmore Dew, a dla Henryka dwie butelki retsiny. Potem usiadła przy odpowiednim wyjściu i przerzuciwszy zawartość torebki, z żalem stwierdziła, że zostawiła pamiętnik w domu. Miała go przed oczami – leżał na stoliku przy łóżku, tuż obok zielonej lampki. Wyjęła więc program konferencji i zaczęła pisać na odwrocie strony. Płacząca kobieta na lotnisku w Atenach. Staruszka o twarzy wyglądającej jak ruina odkopana po tysiącu lat przez wścibskiego, nieznanego umiaru archeologa. Dlaczego płakała? Uniwersalne pytanie: dlaczego ludzie płaczą?

Louise zamknęła oczy, zastanawiając się nad tym, co mogły skrywać tobołki i zniszczone walizki kobiety. Pustkę, przyszło jej na myśl. Była w nich pustka lub popiół pozostały po dawno już wygasłych ogniskach.

Gdy zaproszono pasażerów do samolotu, Louise gwałtownie się przebudziła. Przydzielono jej miejsce przy przejściu, obok mężczyzny, który zdawał się odczuwać lęk przed lataniem. Louise postanowiła, że prześpi cały lot do Frankfurtu i dopiero na trasie do Sztokholmu zje śniadanie.

Kiedy dotarła na lotnisko Arlanda i odszukała swój bagaż, wciąż czuła zmęczenie. Lubiła myśleć o zbliżającej się podróży, ale sama droga ją wyczerpywała. Gdzieś w głębi Louise czuła, że kiedyś w trakcie podróży dopadnie ją atak paniki. Dlatego od wielu lat zawsze miała przy sobie opakowanie środków uspokajających, na wypadek gdyby jej obawy się potwierdziły.

Odnalazłszy drogę do terminalu krajowego, ponownie nadała bagaż, tym razem nieco mniej niewyspanej kobiecie, i znów usiadła przy swoim wyjściu. Przez otwarte nieopodal drzwi wdarł się do środka powiew chłodnego jesiennego wiatru. Louise zadrżała z zimna, obiecując sobie, że kiedy tylko znajdzie się w Visby, kupi sweter z grubej gotlandzkiej wełny. Gotlandia i Grecja, rozmyślała. Tu i tam hoduje się owce. To łączy te miejsca. Gdyby na Gotlandii rosły gaje oliwne, różnica między nimi byłaby naprawdę niewielka.

Zastanowiła się, czy jeszcze raz zadzwonić do Henryka. Pewnie śpi, stwierdziła w myślach. Syn często zamieniał ze sobą noc i dzień, wolał pracować w świetle gwiazd niż w promieniach słońca. Zamiast tego wystukała numer do ojca, mieszkającego w Ulvkälla, sporo dalej na północ, nieopodal Sveg, na południowym brzegu Ljusny. On dla odmiany prawie nie sypiał, Louise wiedziała, że może do niego

dzwonić o każdej porze dnia i nocy. Mimo że robiła tak bardzo często, nigdy nie udało jej się obudzić go telefonem. Dokładnie tak pamiętała go z dzieciństwa – jako olbrzyma, który raz na zawsze pożegnał się z Morfeuszem i nieustannie przy niej czuwał.

Wybrała jego numer, ale rozłączyła się zaraz po usłyszeniu pierwszego sygnału. Doszła do wniosku, że i tak nie wiedziałyby, co powiedzieć. Wrzuciła telefon do torebki i pomyślała o Vassilisie. Nie zadzwonił ani nie nagrał żadnej wiadomości. Bo i po co miałyby to robić? Louise skarciła się w myślach, mimo to poczuła lekkie rozczarowanie. Zaraz jednak odegnała od siebie tę myśl, stwierdziwszy, że szkoda tracić czas na wątpliwości. Z domu wyniosła naukę, że nie należy rozpamiętywać powziętych decyzji, nawet jeśli okażą się one całkiem chybione. Najważniejsze, by umieć zachować dobrą minę, nawet do bardzo złej gry.

Kiedy koła samolotu uderzyły o płytę lotniska w Visby, od strony morza wiał silny wiatr. Chłodny powiew szarpnął płaszczem Louise, kiedy pochylona spieszyła się w stronę budynku lotniska. Wewnątrz czekał na nią mężczyzna z tabliczką z jej imieniem. W drodze do miasta przyglądała się koronom drzew tak mocno tarמושonym przez wiatr, że zdawało się, iż za moment stracą resztki jesiennych liści. Pory roku toczą właśnie dramatyczną walkę, pomyślała. Walkę, która z góry jest już rozstrzygnięta.

Hotel o nazwie Strand leżał na wzgórzu wznoszącym się tuż za portem. Louise dostała pokój bez widoku na rynek miasteczka. Zawiedziona, zeszła do recepcji i poprosiła o zamianę. Dostała inny, nieco mniejszy, ale za to z oknem na właściwą stronę. Stała przy

nim dłuższą chwilę, zamyślona. Co takiego widzę? Co mam nadzieję zobaczyć przez to okno?

Co jakiś czas powtarzała słowa swojej prywatnej mantry: Mam pięćdziesiąt cztery lata. Do tego miejsca dotarłam. Dokąd teraz zmierzam i kiedy moja droga się skończy?

Na chodniku przed hotelem jakaś starsza pani bezradnie szarpała smycz, na której końcu opornie człapał pies. Louise poczuła, że w tej chwili przypominała bardziej to zwierzę niż nieznaną w jaskrawoczerwonym palcie.

Tuż przed czwartą po południu wybrała się do leżącego tuż nad wodą budynku uczelni. Znajdował się blisko, więc zdążyła jeszcze przespacerować się po opustoszałym porcie. Fale wściekle atakowały kamienne molo. Morze miało tu inny kolor niż w Grecji. Tutejsze wody są bardziej dzikie, pomyślała Louise. Surowsze. To młode, porywcze morze wyciąga nóż ostrych fal na widok każdego statku i portu.

Silny wiatr, który wciąż wiał, stał się jeszcze bardziej porywisty. W oddali majaczył zbliżający się do portu prom. Louise była punktualna, uważała, że należy unikać zjawiania się przed czasem, tak samo jak spóźniania się. Na miejscu powitał ją sympatyczny mężczyzna z blizną po zajętej wardze. Był jednym z organizatorów konferencji. Przedstawił się i przypomniał, że on i Louise już się kiedyś spotkali, wiele lat temu. Louise jednak tego nie pamiętała. Rozpoznawanie ludzi po latach było sztuką, której nie posiadała, wiedziała o tym od zawsze. Twarze się zmieniają, rozmyślała. Często wręcz nie do poznania. Uśmiechnęła się jednak przyjaźnie do gospodarza i zapewniła, że go pamięta. Tak, pamięta go doskonale.

Wkrótce w niejako urządzonej sali konferencyjnej zebrało się dwadzieścioro dwoje uczestników spotkania. Każdy zajął miejsce za

tabliczką ze swoim imieniem i nazwiskiem. Najpierw podano kawę i herbatę, a potem łotewski profesor nazwiskiem Stefanis łamaną angielszczyzną rozpoczął konferencję, opowiadając o ostatnich znaleziskach ceramiki minojskiej, która okazała się wyjątkowo trudna do opisanie. Louise do końca jego przemowy nie zrozumiała jednak, co było tak trudne do ustalenia. Ceramika minojska to ceramika minojska, koniec kropka, podsumowała w myślach.

Po niedługim czasie Louise zorientowała się, że w ogóle nie słucha prelekcji. Myślami wciąż krążyła po Peloponezie, wdychając zapach rodzynek i tymianku. Rozejrzała się po sali, starając się ocenić, kto uważnie słucha wykładu, a kto, tak jak ona, myśli o niebieskich migdałach. Nikogo z tych ludzi nie знаła, nie licząc mężczyzny, który twierdził, że kiedyś już się spotkali. Byli to reprezentanci krajów nordyckich i bałtyckich, paru z nich, podobnie jak Louise, pracowało na co dzień w terenie.

Nagle doktor Stefanis skończył przemawiać, zupełnie jakby sam siebie zmęczył swoją kiepską angielszczyzną. Po grzecznościowych oklaskach odbyła się krótka dyskusja, a potem, po kilku praktycznych informacjach dotyczących dnia następnego, zakończono spotkanie. Kiedy Louise wychodziła z budynku, zaczepił ją jakiś nieznajomy mężczyzna, pytając, czy da się sfotografować dla jakiejś lokalnej gazety z kilkoma innymi uczestnikami konferencji. Zgodziła się, podała mu swoje nazwisko, a po grupowym zdjęciu ruszyła w stronę hotelu, smagana silnymi podmuchami zimnego wiatru.

Kiedy wreszcie dotarła do pokoju, od razu zasnęła na łóżku. Po jakimś czasie zbudziła się, nie wiedząc, gdzie jest. Jej wzrok spoczął na leżącej na stole komórce. Przyszło jej na myśl, że powinna zadzwonić do syna, ale po chwili zdecydowała, że zrobi to po

kolacji. Wyszła na rynek i ruszyła przed siebie, natrafiając na mieszczącą się w piwnicy restaurację. Mimo że było w niej niewielu gości, jedzenie okazało się smaczne. Po wypiciu paru lampek wina poczuła rozgoryczenie z powodu rozstania z Vassilisem, szybko jednak odegnała tę myśl, próbując się skoncentrować na czekającym ją nazajutrz wykładzie. Zamówiwszy kolejną lampkę, przebiegła w myślach przygotowany tekst. Prelekcję napisała już jakiś czas temu i powtarzała ją tyle razy, że potrafiła ją wygłosić niemalże z pamięci, bez pomocy notatek. „Opowiem państwu o czarnym kolorze ceramiki. Czerwony tlenek żelaza w procesie wypalania, pod wpływem braku tlenu, zmienia kolor na czarny. Dzieje się tak w ostatniej fazie tego procesu, wcześniej powstaje wspomniany tlenek żelaza i naczynie zmienia kolor na czerwony. Tym samym kolor czerwony i czarny wpływają na siebie nawzajem”.

Louise poczuła działanie alkoholu, zrobiło się jej ciepło, a w głowie zaszumiały łagodne fale. Uregulowała rachunek, a kiedy znalazła się na ulicy, doszła do wniosku, że chciałaby, żeby już było jutro.

Wyjęła komórkę z kieszeni i zadzwoniła na telefon stacjonarny Henryka. Znów odezwała się automatyczna sekretarka. Zdarzało się, że syn, kiedy miał jej do przekazania coś bardzo ważnego, nagrywał dla niej specjalną wiadomość. Czowała się wówczas tak, jakby dzieliła tę wieść z całym światem. Tym razem ona mu się nagrała, informując, że jest już w Visby i niebawem do niego przyjedzie. Potem spróbowała dodzwonić się na komórkę, ale i tak nie udało jej się z nim połączyć.

Poczuła dreszcz niepokoju, jednak tak lekki, że prawie go nie zauważyła.

Tej nocy spała przy uchylonym oknie. Koło północy obudziły ją krzyki pijanych chłopaków wołających do stojącej pod latarnią dziewczyny, która najwyraźniej była dla nich niedostępna.

Nazajutrz o dziesiątej Louise wygłosiła wykład o attyckiej glinie. Mówiła o dużej zawartości w niej żelaza i dygresyjnie wspomniała o bogatej w wapń glinie z Koryntu, z której wyrabiano naczynia białe, a czasem nawet zielone.

Mimo że większość uczestników konferencji poprzedniego wieczoru spożyła późną, solidną i obficie zakrapianą kolację, Louise udało się skupić ich uwagę. Mówiła tak długo, jak sobie zaplanowała: dokładnie czterdzieści pięć minut, a kiedy skończyła, nagrodzono ją gromkimi brawami. W trakcie późniejszej dyskusji nikt nie zadał jej pytania, na które nie umiałaby odpowiedzieć. Gdy nadeszła pora przerwy na kawę, Louise z zadowoleniem doszła do wniosku, że godnie odwdzięczyła się organizatorom konferencji za zaproszenie.

Wiatr nieco ustał, więc nalała sobie kawy do kubka i wyszła na dwór. Usiadła na ławce i postawiła kubek na kolanie. Nagle poczuła, że zawibrował jej w kieszeni telefon. Była pewna, że to oddzwania Henryk, ale na ekranie komórki wyświetlił się numer Vassilisa. Louise zawahała się chwilę, ostatecznie jednak nie odebrała, podejrzewając, że rozmowa może zakończyć się gwałtowną kłótnią. Było jeszcze wcześniej, a Vassilis, kiedy miał gorszy dzień, potrafił być niemiłosiernie zrzędlivy. Louise postanowiła, że porozmawia z nim po powrocie do Grecji.

Wsunęła komórkę do torebki, dopiła kawę, po czym zdecydowała, że ma już dość tej konferencji. Była wprawdzie pewna, że następni prelegenci mają do powiedzenia sporo

ciekawych rzeczy, lecz ona nie zamierzała ich słuchać. Energicznie wstała z miejsca i odszukała mężczyznę z blizną. Skłamała, że nagle zachorował jej bliski przyjaciel, którego życiu co prawda nic nie zagraża, ale sprawa jest na tyle poważna, że Louise jest zmuszona odwołać swój udział w dalszej części programu.

Po jakimś czasie miała pożałować tych słów i zadrećcać się, że gdyby ich wówczas nie wypowiedziała, nie wywołałaby wilka z lasu.

Tamtego dnia nad Visby świeciło jesienne słońce. Gdy tylko wróciła do hotelu, Louise poprosiła recepcjonistkę o pomoc w zmianie rezerwacji biletu i już po chwili miała miejsce w samolocie, który startował o trzeciej po południu. Ponieważ pozostało jej sporo czasu, pospacerowała jeszcze dookoła murów otaczających centrum miasteczka, wstępując po drodze do dwóch sklepów z ubraniami. Przymierzyła dwa zrobione na drutach swetry, ale żaden jej się nie spodobał. Zjadła obiad w chińskiej restauracji i zdecydowała, że nie będzie już próbowała dodzwonić się do Henryka, tylko zrobi mu niespodziankę. Syn dał jej kiedyś klucz do mieszkania oraz przyzwolenie na wizyty bez zapowiedzi. Oznajmił jej wówczas, że nie ma przed nią nic do ukrycia.

Kiedy o odpowiedniej porze dotarła na lotnisko, zauważyła w kiosku wydanie lokalnej gazety ze zdjęciem grupy archeologów, które zrobiono dzień wcześniej. Kupiła egzemplarz, oderwała stronę ze zdjęciem i schowała ją do torebki. Chwilę później ogłoszono, że jej samolot ma awarię i że pasażerowie będą musieli poczekać na następną maszynę, która dopiero leci do Visby ze Sztokholmu.

Louise nawet się nie rozzłościła, poczuła jedynie narastające w niej zniecierpliwienie. Ponieważ nie było żadnego innego lotu, na który mogłaby zdobyć bilet, wyszła na zewnątrz, żeby zapalić.

Przeszło jej przez myśl, że popełniła błąd, nie odbierając telefonu od Vassilisa. Powinna była stawić czoła jego wściekłości i zranionemu ego. Najwyraźniej nie umiał pogodzić się z jej nagłą decyzją. Mimo to nie oddzwoniła.

Lot odbył się z blisko dwugodzinnym opóźnieniem, więc do Sztokholmu dotarła po siedemnastej. Złapała taksówkę na lotnisku i kazała się zawieźć prosto do mieszkania Henryka w dzielnicy Söder. Po drodze utknęli w korku spowodowanym jakimś wypadkiem. Dużo później Louise przyszło do głowy, że może jakaś nieznana siła próbowała ją wówczas zatrzymać, jak najbardziej opóźnić, oszczędzić. Tamtego dnia jednak niczego nie przeczuwała. Mocno zniecierpliwiona stwierdziła tylko, że Szwecja coraz bardziej przypomina jej Grecję, jej nieustające korki i ciągłe spóźnienia.

Henryk mieszkał przy Tavastgatan, spokojnej uliczce położonej niedaleko jednej z najruchliwszych arterii w dzielnicy. Dotarłszy na miejsce, Louise odkryła, że kod do bramy jest ciągle ten sam: data bitwy pod Hastings, 1066. Rozległo się ciche brzęczenie i drzwi ustąpiły. Henryk mieszkał na ostatnim piętrze, dzięki czemu miał z okien widok na pokryte blachą dachy i wieże kościelne. Kiedyś, ku przerażeniu Louise, syn oznajmił, że jeśli stanie się na parapecie jednego z okien, w oddali można dostrzec wody cieśniny Norrström.

Zadzwoniła dwukrotnie, ale nikt nie otworzył. Gdy w końcu weszła do mieszkania, natychmiast zaskoczył ją panujący w nim zaduch.

W jednej chwili ogarnął ją strach. Poczuła, że coś jest nie tak. Wstrzymała oddech i nasłuchiwała. Z przedpokoju widziała kuchnię. Nikogo tu nie ma, stwierdziła. Zawołała Henryka, lecz odpowiedziała jej cisza. Niepokój minął. Powiesiła płaszcz na wieszaku i zrzuciła buty. Na podłodze w przedpokoju nie było

ulotek reklamowych ani żadnej poczty, pomyślała więc, że Henryk nigdzie nie wyjechał. Weszła do kuchni i rzuciła okiem na zlew. Był pusty, nie piętrzyły się w nim brudne naczynia. Ku jej zdziwieniu pokój dzienny okazał się wysprzątany, na biurku nie leżały żadne papiery. Rozglądając się dalej, Louise uchyliła drzwi do sypialni.

Henryk był pod kołdrą. Jego głowa ciężko spoczywała na poduszce. Leżał na plecach, jedna ręka zwisała nad podłogą, druga spoczywała na klatce piersiowej.

Od razu zrozumiała, że syn nie żyje. W desperackiej próbie uwolnienia się od tej myśli krzyknęła na cały głos. Henryk jednak niczego nie mógł usłyszeć. Leżał tu, ale już go nie było.

Był piątek, 17 września. Louise Cantor stoczyła się w czarną otchłań, która wypełniła jej ciało. Wybiegła z mieszkania, nie przestając krzyczeć. Ci, którzy ją wtedy słyszeli, zeznali później, że jej wrzask brzmiał jak wycie cierpiącego zwierzęcia.

3

Do ogarniętego chaosem umysłu Louise przedarła się tylko jedna myśl. Aron. Gdzie on się podziewa? Czy w ogóle jeszcze żyje? Dlaczego nie ma go przy niej? Henryk był ich dzieckiem, tego Aron nie miał prawa się wyprzeć. Eksmąż oczywiście nie zjawił się, nigdy się zresztą nie zjawiał. Był jak cienka smuga dymu, której nie dało się złapać, na której Louise nigdy nie mogła się wesprzeć.

Po jakimś czasie uświadomiła sobie, że nie pamięta tych pierwszych paru godzin, które nastąpiły po znalezieniu martwego Henryka. Wiedziała tylko to, z czego zdali jej relację sąsiedzi. Jeden z nich otworzył drzwi właśnie w chwili, gdy się potknęła i spadła ze schodów. Potem pojawił się wokół niej tłum, ratownicy medyczni, policjanci. Mimo że gwałtownie oponowała, wprowadzono ją z powrotem do mieszkania. Nie chciała tam wracać, wmawiała sobie, że wcale nie znalazła tam martwego syna, że on po prostu gdzieś wyszedł i zaraz wróci. Policjantka o twarzy dziecka gładziła ją po ramieniu, niczym matka pocieszająca córeczkę, która upadła i zraniła się w nogę.

Louise jednak nie płakała z powodu rozbitego kolana. Była zdruzgotana, bo zmarł jej syn. Policjantka ponownie się przedstawiła, miała na imię Emma. Louise przyszła do głowy absurdalna myśl, że to staroświeckie imię znów stało się modne. Właściwie wszystkie te imiona są znów aktualne, rozmyślała, nawet moje, którego kiedyś używała tylko arystokracja i które potem przeniknęło do niższych warstw społeczeństwa. Dziś jest dostępne dla wszystkich. Jej ojciec Artur uparł się na to imię, a potem w szkole dzieci jej dokuczały. Wtedy w Szwecji panowała królowa imieniem Louise. Była strasznie stara i wyglądała jak uschnięta

wierzba. Louise nienawidziła swojego imienia przez całe dzieciństwo i długo potem, aż do czasu, kiedy dobiegł końca jej romans z Emilem, gdy wyzwoliła się z jego niedźwiedzich objęć i znów była wolna. I właśnie wtedy imię Louise stało się nagle niezwykle i intrygujące.

Wszystkie te chaotyczne myśli kłębiły się w jej głowie, a policjantka imieniem Emma cały czas poklepywała ją po ramieniu, zupełnie jakby wybijała rytm katastrofy albo uosabiała czas, który spokojnie mijał.

Jedną z niewielu rzeczy, które Louise zapamiętała z tamtych chwil, był obraz, który ni stąd, ni zowąd stanął jej przed oczami. Wyobraziła sobie, że czas jest jak powoli odpływający statek. Stała na nadbrzeżu, a zegar odliczający życie tykał coraz wolniej. Została sama, wydarzenia tego dnia przebiegały gdzieś obok. To nie Henryk zmarł, lecz ona sama.

Co jakiś czas miała ochotę uciec i uwolnić się od tego przyjaznego poklepywania. Powiedziano jej później, że jej krzyk był przerażający. W końcu komuś udało się wmusić w nią tabletkę uspokajającą, która uczyniła Louise otępiałą. Zapamiętała, że w pewnej chwili ludzie kręcący się po małym mieszkaniu zaczęli poruszać się w zwolnionym tempie, jakby ktoś puścił źle zmontowany film.

Kiedy pogrążała się coraz głębiej w czarną otchłań, przez głowę Louise przemknęło również kilka chaotycznych myśli o Bogu. Właściwie nigdy z Nim nie rozmawiała, przynajmniej nie zdarzyło się to, odkąd przestała być nastolatką i przeszła poważny kryzys wiary. Stało się to po tym, jak pewnego grudniowego ranka, tuż przed świętą Łucją, jej koleżankę z klasy przejechał pług śnieżny. Wtedy po raz pierwszy Louise poczuła, że śmierć może uderzyć tuż

obok. Tamta śmierć pachniała wilgotną wełną, spowita była śniegiem i przenikliwym chłodem. Pamiętała, że nauczycielka się rozpląkała i już sam widok łkającej jak dziecko surowej na co dzień wychowawczynie sprawił, że idylla dzieciństwa zadrżała w posadach. Na ławce, w której zwykle siedziała ta zabita dziewczynka, postawiono płonąca świeczkę. Traf chciał, że było to miejsce obok Louise. Dopiero wtedy zrozumiała, że koleżanki już nie ma, że śmierć oznacza, że kogoś już nie ma i to wszystko. Dopiero potem dotarła do niej i od tej pory napawała przerażeniem świadomość, że śmierć strzela na oślep. Louise zadawała sobie te pytania i nagle rozumiała, że nie kieruje ich do siebie, ale właśnie do Boga.

On jednak nie odpowiadał, mimo że robiła wszystko, by zwrócić na siebie Jego uwagę, urządziła nawet mały ołtarzyk w szopie na drewno. Bóg okazał się niczym nieobecny dorosły, który odzywa się do dziecka tylko wtedy, kiedy ma na to ochotę. W końcu doszła do wniosku, że właściwie w Niego nie wierzy, a to, co odczuwała wobec Niego wcześniej, było czymś na podobieństwo platonicznej miłości do niedostępnego, starszego od niej o wiele lat chłopca.

Bóg nie zagościł w życiu Louise aż do teraz, ale i tym razem milczał. Została całkiem sama. Była już tylko ona, klepiąca ją po ramieniu policjantka oraz jacyś ludzie porozumiewający się przyciszonymi głosami, poruszający się w zwolnionym tempie, najwyraźniej szukający czegoś, czego do tej pory nie zauważyli.

Nagle wokół zapadła zupełna cisza, jakby ktoś przeciął taśmę z dźwiękiem. Głosy otaczające Louise zamilkły, lecz po chwili ich miejsce zajęły szepty, które wypełniały jej głowę i powtarzały raz po raz, że to, co się dzieje, nie może być prawdą. Henryk przecież po prostu leżał sobie w łóżku i spał. Nie był martwy. To niemożliwe, by

nie żył. Przecież Louise przyjechała specjalnie po to, żeby go odwiedzić.

Jakiś ubrany po cywilnemu policjant o zmęczonych oczach poprosił ją, żeby poszła za nim do kuchni. Potem zrozumiała, że mężczyzna zrobił to po to, by nie widziała, jak wynoszą ciało Henryka. Usiedli przy stole. Położywszy otwartą dłoń na blacie, Louise poczuła nieuprzątnięte okruszki.

Henryk nie może być martwy, przecież stół jest cały w okruchach!

Policjant musiał się dwukrotnie przedstawić, zanim jego słowa dotarły do Louise. Nazywał się Göran Vrede¹. Tak, pomyślała, to bardzo stosowne w tej sytuacji, tak się właśnie czuję, kiedy tylko dopuszczam do siebie myśl, że to się dzieje naprawdę.

Mężczyzna zadawał jej pytania, na które ona odpowiadała swoimi pytaniami, a on z kolei próbował udzielić jej na nie odpowiedzi. Rozmowa przypominała chodzenie w kółko.

Pewne było jedynie to, że Henryk nie żyje. Göran Vrede oznajmił, że nic nie wskazuje na to, aby w tym zdarzeniu brały udział osoby trzecie. Potem zapytał, czy Henryk na coś chorował. Louise wyjaśniła mu, że jej syn nie chorował właściwie nigdy, nie licząc okresu dzieciństwa, ale i wówczas nie odnotowano niczego nietypowego. Odkąd był dorosły, nawet się nie przeziębiał. Policjant sporządzał notatki w niewielkim notesie. Louise przypatrywała się jego grubym palcom, zastanawiając się, czy są na tyle sprawne, żeby doszukać się prawdy.

– Ktoś go zamordował – powiedziała.

– Nie ma śladów przemocy – odparł Vrede.

Louise chciała zaprotestować, ale nie miała już sił. Dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, aż w końcu policjant zapytał, czy Louise ma

do kogo zadzwonić. Nie czekając na odpowiedź, podał jej swoją komórkę. Louise wystukała numer do ojca. Odkąd nie było przy niej Arona, nie miała nikogo innego. Wsłuchiwała się w przemijające jeden po drugim sygnały, lecz nikt nie odbierał. Być może ojciec poszedł do lasu i rzeźbi, pomyślała. Tam nie mógł go osiągnąć telefon. A co, jeśli krzyknę odpowiednio głośno? Czy wtedy mnie usłyszy? W tej samej chwili odezwał się jego głos.

Kiedy Artur odebrał, Louise od razu się rozpłakała, zupełnie jakby nagle cofnął się czas, a ona znów była małą, bezbronną, szukającą pocieszenia dziewczynką.

– Henryk nie żyje – wykrztusiła po chwili.

Ciszę przerywał tylko jego ciężki oddech. Ojciec miał płuca wielkie jak miechy i potrzebował ogromnej ilości powietrza, by je napełnić.

– Henryk nie żyje – powtórzyła.

Usłyszała tylko, jak wydusił coś z siebie głośno. Być może powiedział: „Mój Boże”, albo po prostu przeklął.

– Co się stało? – zapytał.

– Siedzę u niego w kuchni. Przyjechałam do niego, to miała być niespodzianka, a on spał. To znaczy leżał w łóżku i był martwy.

Nie miała nic więcej do powiedzenia, oddała więc telefon Göranowi Vrede, który wstał, żeby przekazać jej ojcu wyrazy współczucia. Dopiero kiedy policjant zaczął mówić do słuchawki, do Louise dotarło po raz pierwszy, że Henryk rzeczywiście nie żyje. Że nie były to tylko słowa, obrazy czy jakieś makabryczne przywidzenie lub objaw jej własnego obłądzenia. Henryk naprawdę nie żył.

Göran Vrede skończył rozmawiać.

- Pani ojciec powiedział, że pił i nie może prowadzić, ale weźmie taksówkę. Gdzie on mieszka?
- W Härjedalen.
- I chce wziąć taksówkę? Przecież to z pięćset kilometrów!
- Mówił poważnie. Uwielbiał Henryka.

Niedługo potem zaprowadzono Louise do hotelu, w którym ktoś zarezerwował dla niej pokój. Dopóki nie zjawił się Artur, stale towarzyszyli jej jacyś ludzie, najczęściej policjanci w mundurach. Dostała kolejne otępiające tabletki i chyba udało jej się nawet na chwilę zasnąć, chociaż wcale nie była tego pewna. Podczas tych godzin śmierć Henryka spowita była mgłą. Jedynym, co Louise potrafiła sobie przypomnieć w trakcie oczekiwania na ojca, było wspomnienie, jak Henryk skonstruował kiedyś mechaniczne piekło. Nie umiała wyjaśnić, dlaczego myślała akurat o tym, półki z poukładanymi na nich wspomnieniami nagle się zawaliły i wszystko znalazło się nie na swoim miejscu. Cokolwiek próbowałyby sobie przypomnieć, jej umysł sięgał po coś zupełnie innego, całkiem nieoczekiwanego.

Henryk miał wtedy piętnaście lub szesnaście lat. Louise kończyła właśnie pracę nad doktoratem o różnicach między attyckimi grobowcami z epoki brązu a ceremonią pochówku w północnej Grecji. Był to czas, kiedy dręczyły ją silne wątpliwości co do wartości merytorycznej tej pracy i – w konsekwencji – wielu bezsennych nocy. Henryk przeżywał okres buntu, a z powodu braku ojca wszystkie swoje pretensje i żale wylewał na matkę. Louise zaczęła żywić poważne obawy, że jej syn wpadł w towarzystwo, w którym pojawiały się narkotyki. Na szczęście wszystko to jakoś minęło i pewnego dnia Henryk pokazał jej fotografię mechanicznego

piekła, eksponatu jednego z muzeów w Kopenhadze. Oznajmił, że chce je zobaczyć, i Louise od razu wyczuła, że syn łatwo nie odpuści. zaproponowała więc, żeby wybrali się tam razem. Była wczesna wiosna, a ponieważ Louise miała zaplanowaną obronę na maj, uznała, że i jej przyda się trochę wolnego.

Podróż bardzo ich do siebie zbliżyła. To wtedy po raz pierwszy wyszli poza granice układu matka–dziecko. Henryk był już prawie dorosły i żądał od niej, żeby tak właśnie go traktowała. Zapytał ją o Arona i właśnie wtedy opisała mu prawdziwą historię ich pełnego pasji związku, którego jedynym pozytywnym owocem był Henryk. Opowiadając mu o ojcu, nie wspomniała o kłamstwach, jakimi ją karmił, oraz o jego ciągłych ucieczkach od odpowiedzialności za dziecko, którego się spodziewali. Henryk słuchał w skupieniu, a pytania, jakie zadawał, świadczyły o tym, że miał je przygotowane od dawna.

Spędzili w Kopenhadze dwa wietrzne dni, brodząc po ulicach tonących w pośniegowym błocie, ale w końcu udało im się dotrzeć do miejsca, którego szukali. Odnalezienie mechanicznego piekła było jak tryumf zwieńczający wyprawę. Piekło skonstruował nieznany artysta na początku osiemnastego wieku, zapewne jakiś szaleniec. Było nie większe niż teatr lalek. Kiedy nakręciło się odpowiednie sprężyny, można było podziwiać, jak wycięte z blachy sylwetki diabłów zaczynały pożerać przerażonych ludzi spadających na dno piekła z umieszczonej powyżej poprzeczki. Wokół tańczyły wykrojone z żółtego metalu płomienie, a z boku podrygiwał Lucyfer z długim ogonem. Wszystko poruszało się do momentu, aż sprężyny się rozprężyły. Wtedy piekło na powrót zamierało. Mimo że mechanizm urządzenia był niezwykle kruchy i cenny i wprawianie go w ruch było zabronione, udało im się namówić pracownika

muzeum, by nakręcił sprężyny. Nigdzie na świecie nie było niczego podobnego.

To wtedy Henryk zdecydował, że skonstruuje własne mechaniczne piekło. Louise nie potraktowała tego poważnie, wątpiąc w jego techniczne umiejętności. Jednak pewnego wieczoru jakieś trzy miesiące później Henryk zaprosił ją do swojego pokoju i zademonstrował dokładną kopię zabawki, jaką widzieli w Kopenhadze. Louise była zdumiona i zalała ją nieopisana fala goryczy z powodu Arona, który nie interesował się synem i nie wiedział, jaki jest utalentowany.

Louise nie miała pojęcia, dlaczego właśnie to wspomnienie wypełniało jej umysł, kiedy siedziała w hotelowym pokoju w towarzystwie czuwających nad nią policjantów i czekała na mającego się wkrótce pojawić ojca. W tamtych czasach odczuwała ogromną wdzięczność, że Henryk istnieje. Syn nadawał jej życiu sens i nie mogła się temu równać satysfakcja z napisania doktoratu lub dokonanie nawet nie wiadomo jak ciekawych archeologicznych odkryć. Doszła wówczas do wniosku, że jeśli w ogóle życie ma jakiś sens, to musi nim być obecność drugiego człowieka.

Lecz Henryk już nie żył. Płacz dopadał Louise falami, jak strugi deszczu niesione porywistym wiatrem, które atakują z impetem i szybko mijają. Czas przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie. Nie miała pojęcia, jak długo czekała już na Artura. Tuż przed jego przybyciem pomyślała, że Henryk nigdy świadomie nie zadałby jej takiego bólu, niezależnie od tego, jak źle byłoby mu na świecie. Czuła, że ona sama jest gwarancją tego, iż jej syn nigdy nie popełniłby samobójstwa.

Cóż więc pozostaje? Ktoś musiał go zabić. Próbowwała to wytłumaczyć czuwającej przy niej policjantce. Wkrótce w pokoju pojawił się Göran Vrede. Ciężko opadł na krzesło stojące naprzeciwko Louise.

– Dlaczego? – zapytał.

– Co dlaczego? – zdziwiła się Louise.

– Dlaczego pani sądzi, że ktoś go zabił?

– Nie ma innego wyjaśnienia.

– Czy miał jakichś wrogów? Czy ostatnio spotkało go coś niezwykłego?

– Nie wiem. Ale cóż innego mogło się wydarzyć? Przecież on miał dwadzieścia pięć lat!

– Tego nie wiemy, natomiast pewne jest, że na miejscu zdarzenia nie znaleźliśmy żadnych śladów przemocy.

– Ale ktoś musiał go zabić.

– Nic na to nie wskazuje.

Louise nie odpuszczała, jak mantrę powtarzając, że ktoś zabił jej syna. Zamordował go z zimną krwią. Göran Vrede słuchał jej, trzymając w dłoni notatnik. Niczego jednak w nim nie zapisywał, co rozzłościło Louise.

– Dlaczego pan nie notuje?! – krzyknęła bezradnie. – Przecież panu mówię, co tu się stało!

Vrede otworzył notes, ale nie zaczął w nim pisać.

W tej samej chwili do pokoju wszedł Artur. Ubrany był tak, jakby przyszedł prosto z polowania. Miał na sobie gumowe kalosze i starą skórzaną kurtkę, którą Louise pamiętała jeszcze z dzieciństwa i która wciąż tak samo ostro pachniała tabaką, olejem oraz czymś, czego nigdy nie udało jej się zidentyfikować. Był blady i rozczochrany. Na jego widok Louise zerwała się z miejsca i podbiegła, żeby się

przytulić. Marzyła o tym, żeby uwolnił ją od koszmaru, tak samo jak to robił, kiedy była małą dziewczynką i w środku nocy, wystraszona, wślizgiwała się pod jego kołdrę. Wiedziała wówczas, że może mu przekazać swój strach. Przez krótką chwilę poczuła ulgę, wierząc nagle, że wydarzenia z ostatnich godzin były tylko złudzeniem. Lecz kiedy Artur zaczął płakać, Henryk opuścił ją po raz drugi. Znowu do niej dotarło, że syn już się nie obudzi.

Nikt nie był w stanie pocieszyć Louise, nieszczęście przygniotło ją całym swoim ciężarem. Artur próbował zachować zimną krew, chciał wiedzieć, co dokładnie się stało, i dlatego ponownie wezwano Görana Vrede. Policjant miał przekrwione ze zmęczenia oczy i tym razem nawet nie wyjął notesu. Artur poprosił go o relację. Louise odważyła się wysłuchać ponownie wszystkiego o śmierci Henryka, tym razem mając wsparcie ojca.

Vrede powtórzył to, co wcześniej powiedział Louise. Henryk znajdował się w łóżku, leżał pod kołdrą w niebieskiej piżamie. Kiedy znalazła go Louise, musiał być martwy od około dziesięciu godzin.

Najbardziej zaskakujący był fakt, że nie zidentyfikowano żadnych śladów włamania, użycia przemocy czy nagłego ataku. Rzeczywiście nic nie wskazywało na to, że do śmierci Henryka przyczyniły się osoby trzecie. Policja nie znalazła też listu pożegnalnego, który tłumaczyłby samobójstwo. Za najbardziej prawdopodobną przyczynę zgonu uznano więc jakiś defekt fizyczny, na przykład pęknięty tętniak w mózgu lub ukrytą wadę serca, ale to mieli niebawem potwierdzić lekarze. W tym momencie Vrede nie miał nic więcej do powiedzenia.

Słyszając strzępy rozmowy, Louise poczuła nagły niepokój. Coś jej się w tym wszystkim nie zgadzało. W jakiś sposób Henryk

przemawiał do niej, mimo że już go przy niej nie było. Prosił ją, by była czujna.

Zaczynało już świtać, kiedy Göran Vrede skończył mówić i wyszedł. Artur poprosił go, żeby zostawiono ich samych. Pomógł Louise położyć się do łóżka, a potem wyciągnął się obok niej i wziął ją za rękę.

Louise nagle usiadła. W jednej chwili dotarło do niej, co Henryk próbował jej przekazać.

– On nigdy nie spał w piżamie – oznajmiła.

Artur podniósł się i stanął obok łóżka.

– O czym ty mówisz? – zapytał.

– Ten policjant powiedział, że Henryk miał na sobie niebieską piżamę, a ja jestem całkowicie pewna, że on nigdy nie używał piżam. Miał ich parę, ale nigdy ich nie zakładał.

Artur wpatrywał się w nią, najwyraźniej nic nie rozumiejąc z jej słów.

– Henryk zawsze spał nago – mówiła dalej Louise. – Jestem tego pewna, bo kiedyś mi o tym powiedział. Sypiał nago przy otwartym oknie, żeby się hartować.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego mi o tym mówisz.

– Jak to nie rozumiesz? Ktoś go zamordował!

Louise widziała, że Artur nie traktuje jej słów poważnie, ale nie miała już siły, żeby go przekonywać. Poczuli się całkiem bezradni i postanowili zaczekać.

Artur usiadł na brzegu łóżka.

– Musimy się skontaktować z Aronem – powiedział.

– Niby dlaczego? – zdziwiła się Louise.

– Przecież to jego syn.

– Aron nigdy się nim nie interesował. Dawno temu zniknął z naszego życia. Nic mu do tego.

– Mimo to uważam, że jako ojciec ma prawo wiedzieć.

– Ale dlaczego?

– Bo tak. Takie jest moje zdanie.

Louise znów chciała zaprotestować, ale Artur chwycił ją za rękę.

– Nie rób tego jeszcze trudniejszym, niż jest – poprosił. – Wiesz, gdzie przebywa Aron?

– Nie mam pojęcia.

– Nie mieliście ze sobą kontaktu?

– Nie.

– Naprawdę?

– Parę razy zadzwonił, czasem przysyłał listy.

– Więc musisz mieć choćby najmniejsze pojęcie, gdzie mieszka.

– W Australii.

– To wszystko? Gdzie w Australii?

– Nie mam nawet pewności, czy dalej tam jest. Aron ciągle szuka nowych kryjówek, a kiedy tylko przestanie czuć się bezpiecznie, porzuca je. Jest jak lis. Nie podaje adresów, pali za sobą mosty.

– Musi być jakiś sposób, żeby go znaleźć. Wiesz, gdzie mieszkał w Australii?

– Nie. Ale kiedyś napisał, że chciałby mieszkać nad oceanem.

– Przecież cała Australia jest nim otoczona.

Artur nie powiedział ani słowa więcej na temat Arona, Louise wiedziała jednak, że ojciec nie poprzestanie, dopóki nie znajdzie jakiegoś sposobu, by dotrzeć do jej byłego męża.

Zapadała w krótkie drzemki, a kiedy się budziła, Artur wciąż był przy niej i czuwał. Czasem rozmawiał przez telefon lub szeptał coś

do jakiegoś policjanta. Louise nie słuchała. Zmęczenie wzięło nad nią górę do tego stopnia, że nie była w stanie skupić uwagi na szczegółach. Odczuwała wyłącznie ból.

Nie wiedziała, ile czasu minęło, nim w końcu Artur zaproponował, żeby pojechali do niego do Härjedalen. Nie zaprotestowała, po prostu poszła za nim do samochodu, który ojciec w międzyczasie wynajął. Jechali w milczeniu. Artur wybrał drogę wzdłuż wybrzeża, nie tę, co zazwyczaj, wijącą się środkiem kraju. Po jakimś czasie minęli Ljusdal, Järvsjö i most na Ljusnie. Kiedy przejeżdżali przez Kolsätt, Artur ni stąd, ni zowąd wspomniał, że w tym miejscu kiedyś był prom. Zanim zbudowano mosty, ten, kto chciał dostać się do Härjedalen, musiał przepłynąć przez rzekę promem.

Jesień zabarwiła liście na jaskrawe kolory. Louise jechała skulona na tylnym siedzeniu, z niewidzącym wzrokiem wbitym w horyzont. Spała, kiedy dotarli na miejsce. Artur wniósł ją do domu i położył na łóżku.

Sam z kolei usiadł na stojącej obok czerwonej kanapie, pocerowanej i połatannej, znajdującej się tam od zawsze.

– Ja to wiem – odezwała się nagle Louise. – Wiedziałam to od początku. Jestem tego całkowicie pewna. Ktoś go zamordował. Zabił jego i mnie.

– Ty żyjesz – odparł Artur. – Ty z całą pewnością żyjesz.

Louise pokręciła głową.

– Nie – szepnęła. – Ja też jestem martwa. Masz przed oczami kogoś zupełnie innego. Nie wiem jeszcze, kto to, ale na pewno ktoś całkiem inny niż ja. Wszystko się zmieniło. A Henryk nie zmarł śmiercią naturalną.

Wstała i podeszła do okna. Na zewnątrz było już ciemno, a lampa zawieszona przy furtce kołysała się na wietrze, rzucając słabe światło. Louise widziała swoją twarz odbitą w szybie. Wyglądała tak samo. Ciemne, półdługie włosy z przedziałkiem. Niebieskie oczy, wąskie usta. Nawet jeśli wszystko w niej się zmieniło, jej twarz wciąż wyglądała tak samo.

Spojrzała sobie prosto w oczy.

Poczuła, że wewnątrz niej czas znów ruszył z miejsca.

O świcie Artur zabrał ją na spacer do lasu. Pachniało mchem i wilgotną korą. Niebo pokrywała warstwa szarych chmur. Nastął pierwszy mróz, zmarznięty grunt chrzęścił im pod stopami. W nocy Louise obudziła się i poszła do toalety. Przez półotwarte drzwi do salonu zobaczyła Artura siedzącego w starym fotelu z wystającymi sprężynami, sięgającymi niemal do ziemi. Ojciec trzymał w ręce niezapaloną fajkę. Rzucił palenie parę lat temu, zupełnie nieoczekiwanie, jakby nagle doszedł do wniosku, że wypalił już swój życiowy przydział tytoniu. Louise przystanęła i przyglądając mu się, doszła do wniosku, że właśnie tak pamiętała go od zawsze. Niezależnie od tego, w jakim była wieku, często spoglądała na niego właśnie tak jak teraz, zza uchylonych drzwi, jakby chciała się upewnić, że nad nią czuwa.

Obudził ją przed świtem i poprosił, by ubrała się i udała z nim, nie pozwalając jej na żaden protest. W milczeniu przejechali przez most na rzece, po czym skręcili na północ i ruszyli drogą wijącą się w stronę gór. Pod kołami chrzęścił zmrożony grunt, las pogrążony był w bezruchu. Artur zaparkował na drodze wykorzystywanej do zwózki drewna, objął Louise ramieniem i ruszyli razem przed siebie. Wśród drzew ledwo odznaczały się ścieżki. Wybrawszy jedną z nich, Artur ruszył przodem, wkraczając w głęboką ciszę. Po paru chwilach dotarli do pagórkowatego terenu. Była to galeria Artura. Wszędzie wokół stały jego rzeźby – wyciosane w pniach ludzkie twarze i ciała. Niektóre wyglądały tak, jakby próbowały się wyrwać z twardego pnia i wydostać na wolność. W niektórych drzewach wyrzeźbionych było naraz wiele twarzy i splątanych ze sobą ciał, na innych widniały pojedyncze twarze umieszczone parę metrów nad ziemią.

Czasem Artur rzeźbił na klęczkach, czasem stojąc na prymitywnej, zbitej z kawałków drewna drabinie. Niektóre z nich były bardzo stare, powstały ponad czterdzieści lat temu, kiedy ojciec Louise był młodym człowiekiem. W miarę jak drzewa rosły, wyciosane w nich twarze i ciała pękały, zmieniając swój wygląd, tak jak czas zmienia każdego człowieka. Były więc pnie rozszczepione od góry do dołu, portrety przecięte na pół, jakby ich właściciele zginęli od ciosu toporem lub odcięto im głowę. Zdarzało się, że ludzie przychodzili w to miejsce nocą i wycinali jakieś drzewo, żeby zabrać sobie jedną z jego rzeźb. Jednej nocy zniknęło wiele z nich. Artur się tym jednak nie przejmował, powtarzał, że ma dwadzieścia hektarów lasu, więc materiału na rzeźby nie zabraknie mu do końca życia. Poza tym nikt nie mógł przecież ukraść wszystkiego, co rzeźbił dla siebie i tych, którzy chcieli podziwiać jego prace.

Po pierwszej mroźnej nocy nadszedł ranek. Artur ukradkiem przyglądał się Louise, próbując ocenić, jak córka daje sobie radę. Ona jednak wciąż była otumaniona tabletkami, nie potrafił więc dostrzec, czy w ogóle widzi otaczające ją drewniane twarze.

Zaprowadził ją do najświętszego miejsca, trzech potężnych jodeł, które zrosły się ze sobą w jedno. Rodzeństwo, tak nazywał je w myślach. Bracia i siostry. Nikt ich już nie rozdzieli. Przez wiele lat je obserwował. Uważał, że każdy pień ma ukrytą pod korą twarz, wystarczyło tylko zaczekać, aż ukaże się to, co dla innych było niedostrzegalne. Wówczas on przygotowuje dłuto i inne niezbędne narzędzia, odłupie korę i odsłoni twarz. Te trzy pnie wciąż jednak milczały. Już nie raz zdawało mu się, że dostrzega ukryte pod korą rysy, ale potem dochodził do wniosku, że jeszcze nie przyszedł ich czas. Chwilami zmieniał zdanie, wyrzucając sobie, że powinien poszukać głębiej. W końcu pewnej nocy przyśnił mu się sen

o dzikich psach i kiedy potem wrócił do swoich drzew, nagle odkrył, że w jego trzech pniach drzemią zwierzęta, nie ludzie. Nie były to psy ani wilki, raczej coś pomiędzy, może nawet zwierzęta trochę podobne do rysia. Pozbywszy się wątpliwości, zabrał się do rzeźbienia i wkrótce powstały sylwetki trzech stworzeń, pół psów, pół kotów, wdrapujące się po każdym z trzech grubych pni.

Louise nigdy wcześniej nie widziała tych zwierząt. Artur przyglądał się jej, próbując dostrzec, jak córka śledzi opowiadaną przez rzeźby historię. Tak właśnie myślał o swoich pracach – każda z nich sama o sobie opowiadała. Otaczały ich niezliczone głosy i szepty, domagające się wysłuchania. Galeria rzeźb Artura i archeologiczne wykopaliska Louise miały gdzieś swój wspólny mianownik. Chodziło w nich o zagubione głosy, które należało wydobyć, usłyszeć w ciszy i przetłumaczyć.

Artur powiedział kiedyś, że jego zdaniem cisza ma najpiękniejszy głos. Louise na zawsze zapamiętała te słowa.

– Czy te twoje kotopsy mają jakieś imiona? – zapytała.

– Jedyne imię, z którego nadania jestem zadowolony, to twoje.

Szli dalej przez las, mijając krzyżujące się ścieżki. Co jakiś czas ciszę mącił podrywający się z furkotem ptak. Nagle, mimo że Artur wcale tego nie zaplanował, znaleźli się pod drzewem, w którego pniu wyrzeźbił twarz Heidi. Do tej chwili nie opuścił go smutek, że ją utracił. Każdego roku na nowo rzeźbił jej twarz, wyrażając swoją żalobę. Za każdym razem jej rysy stawały się coraz bardziej rozmyte, coraz trudniejsze do uchwycenia. Smutek trawiący Artura wnikał w pień poprzez każdy ruch dłuta. Rzeźbiarz czuł się wtedy tak, jakby kuł w swoim ciele.

Louise pogładziła palcami twarz swojej matki. Heidi, pomyślała. Żona Artura, moja matka. Nad brwiami wyrzeźbionej twarzy

zastygła strużka żywicy, która wyglądała jak blizna.

W pewnej chwili Artur wyczuł, że Louise czeka, by to on zaczął mówić. Tak niewiele powiedział jej o Heidi i o jej śmierci. Przez wszystkie te lata on i Louise obchodzili ten temat na paluszkach. Artur nie miał odwagi opowiedzieć córce tego, o czym wiedział, i tego, czego nie wiedział, ale się domyślał.

Od jej śmierci minęło czterdzieści siedem lat. Louise miała wtedy sześć lat. Była zima, Artur pracował przy wyrębie lasu, w górach, daleko na północy. Nikt nie potrafił wyjaśnić, co ją do tego skłoniło, nie było jednak wątpliwości, że Heidi bynajmniej nie myślała o swojej śmierci, kiedy poprosiła sąsiadkę, panią Rut, by zajęła się małą Louise. Chciała spędzić wieczór, robiąc to, co najbardziej kochała: jeżdżąc na łyżwach. Nie przejmowała się tym, że na dworze było minus dziewiętnaście stopni. Zapakowała łyżwy i wyruszyła w drogę, nie mówiąc nawet pani Rut, że wybiera się nad jezioro Undertjärn.

Na temat późniejszych wydarzeń snuto wiele teorii. Heidi dotarła na miejsce, zasznurowała łyżwy i wjechała na lód. Była prawie pełnia, gdyby nie światło księżyca, nie mogłaby jeździć. W pewnej chwili Heidi upadła i złamała nogę. Próbowwała doczołgać się do brzegu jeziora. Ci, którzy ją potem znaleźli, widzieli ślady jej desperackiej walki. Nie dała rady. Dwa dni później znaleziono ją zamarznąłą, zwiniętą w kłębek na lodzie. Ostrza łyzew wyglądały jak niezwykle, wbite w lód szpony. Z trudem odklejono jej przymarznąły do tafla policzek.

Zadawano sobie najróżniejsze pytania. Czy wołała o pomoc? Kogo wołała? Jakie to były słowa? Czy kiedy zrozumiała, że przyjdzie jej w tym miejscu zamarznąć, błagała o pomoc Boga?

Nikogo nie można było obwiniać za jej śmierć, jedynie ją samą, nie powiedziała przecież nikomu, dokąd się tej nocy wybiera. Szukano jej na jeziorze Vänd i dopiero kiedy powiadomiono o całym zdarzeniu Artura, ten wpadł na pomysł, że mogła pójść nad Undertjärn, bo lubiła się tam kąpać latem.

Artur robił potem wszystko, co było w jego mocy, żeby smutek po stracie matki nie dręczył małej Louise. Lecz mimo że wszyscy w okolicy im pomagali, żal nigdy nie opuścił Artura. Smutek był jak jesienna wilgoć. Przenikał wszystko.

Przez cały rok po śmierci matki Louise spała każdej nocy w łóżku Artura. Tylko w ten sposób mogła pokonać ciemność. Zdjęcie Heidi postawili na stole przy pustym talerzu, postanawiając, że zawsze będzie im towarzyszyć, nawet kiedy będą siedzieć przy stole we dwoje. Artur próbował nauczyć się gotować tak jak Heidi, ale nigdy mu się to nie udało. Mimo że Louise była wtedy małą dziewczynką, rozumiała, że ojciec chciał jej w ten sposób coś wynagrodzić.

Przez kolejne lata nauczyli się żyć we dwoje. Artur dalej pracował przy wyrębie lasu, a nieliczne wolne chwile spędzał na rzeźbieniu w pniach. Wielu twierdziło, że jest szalony i nie powinien sam wychowywać dziewczynki. Ponieważ jednak Louise dobrze się zachowywała, nie wszczyniała awantur w szkole i nie przeklinała, nikt nie próbował mu jej odebrać.

I teraz nagle jej matka, Niemka o imieniu Heidi, stanęła z nią twarzą w twarz. Zabrakło jednak Henryka, jedyne wnuka, którego nigdy nie było dane jej poznać.

Obie śmierci zdawały się mieć ze sobą coś wspólnego. Obie były niepotrzebne – rozmyślała Louise. Czy jednak uda się w tym, co się

wydarzyło, znaleźć jakieś pocieszenie i cokolwiek z tego pojąć? Śmierć była ciemnością, a poszukiwanie światła daremne.

– Właściwie nic o niej nie wiem – Louise zwróciła się do Artura, drżąc od porannego chłodu.

– Spotkaliśmy się dzięki niezwykłemu zrządzeniu losu – odpowiedział. – Zupełnie jak w bajce.

– Pamiętam coś o Ameryce, coś, czego nigdy do końca nie zrozumiałam, albo czego ty mi nie opowiedziałeś.

Ruszyli ścieżką przed siebie. Twarze wyciosane w pniach drzew uważnie śledziły ich kroki. Artur zaczął opowiadać, starając się nie myśleć o sobie jako o ojcu Louise. Zamierzał jej opowiedzieć pewną historię i chciał to zrobić jak należy, odciągając przy tym na ile się tylko da jej uwagę od śmierci Henryka. Uznał, że warto spróbować, by choć na moment zapomniała o tragedii.

Heidi przyjechała do Härjedalen po wojnie, w roku 1946 lub 1947. Miała wtedy raptem siedemnaście lat, mimo że wyglądała na więcej. Zimą dostała pracę w górskim schronisku w Vemdalsskalet. Sprzątała i zmieniała gościom pościel. Artur spotkał ją pewnego dnia, kiedy zwoził drewno z lasu. Ta śmiesznie mówiąca po szwedzku dziewczyna od razu go zaintrygowała. Pobrali się w 1948 roku, mimo że Heidi miała dopiero osiemnaście lat. Przed ślubem musieli dopełnić wielu formalności, ponieważ dziewczyna nie miała szwedzkiego obywatelstwa, a w tamtych latach nikt właściwie nie wiedział, jaki status mają Niemcy – czy wciąż jest to kraj, czy tylko strzeżony przez obce wojska skrawek zbombardowanej ziemi. Heidi nigdy nie brała udziału w żadnych okropnościach, jakie niósł ze sobą nazizm, lecz stała się wówczas ich ofiarą. W 1950 roku zaszła w ciążę i jesienią urodziła Louise. Nigdy wiele o sobie nie opowiadała, Artur wiedział jedynie, że jej babka była Szwedką,

miała na imię Sara Fredrika i podczas pierwszej wojny światowej wyjechała do Ameryki, zabierając ze sobą córkę Laurę. Żyły tam w bardzo ciężkich warunkach. Na początku lat trzydziestych mieszkaly na obrzeżach Chicago. Laura poznała tam pewnego Niemca, handlarza bydłem, i wróciła z nim do Europy. Wzięli ślub i w 1931 roku młodziotka jeszcze Laura urodziła Heidi. Kiedy wybuchła wojna, rodzice Heidi zginęli w bombardowaniu. Od tego czasu musiała się stale ukrywać. Kiedy nastał pokój, postanowiła wyjechać do Szwecji, kraju, w którym nie działy się okropności, jakie przeżyła w Niemczech.

– A więc dawno temu pewna dziewczyna ze Szwecji pojechała do Ameryki, jej córka przeprowadziła się potem do Niemiec, by w końcu jej wnuczka zamknęła krąg, powracając do Szwecji? – spytała z niedowierzaniem Louise.

– Heidi zawsze powtarzała, że historia jej rodziny jest dość nietypowa.

– Skąd pochodziła jej babka? Czy one się w ogóle spotkały?

– Nie wiem, ale Heidi mówiła coś o morzu i o wyspie, generalnie o wybrzeżu. Chyba sądziła, że babka opuściła Szwecję z powodu jakiegoś ponurego zdarzenia.

– Czy w Ameryce nadal są jacyś jej krewni?

– Nie miała przy sobie żadnych papierów, żadnych spisanych adresów. Udało jej się wyjść cało z wojny, ale nie posiadała dosłownie niczego. W bombardowaniach zginęły też wszystkie jej wspomnienia, a całą jej przeszłość strawiły płomienie.

Doszli do końca ścieżki i weszli na drogę służącą do zwózki drewna.

– Wyrzeźbisz kiedyś twarz Henryka? – spytała Louise.

Nagle oboje się rozplakali. Galeria rzeźb zamknęła za nimi swoje wrota. Wsiedli do samochodu. Artur miał właśnie przekręcić kluczyk w stacyjce, kiedy Louise położyła mu dłoń na ramieniu.

– Co się z nim stało? Przecież nie mógł odebrać sobie życia – szepnęła.

– Być może chorował. W końcu ciągle jeździł w niebezpieczne miejsca.

– Nie wierzę w to. Czuję, że coś się w tym wszystkim nie zgadza.

– Ale co innego mogło się stać?

– Nie wiem.

Wracali przez las. Poranna mgła trochę opadła i nastał słoneczny dzień. Wkrótce dotarli do domu. Louise nie protestowała, kiedy Artur usiadł przy telefonie z zamiarem odszukania Arona.

Jest taki sam jak myśliwskie psy, które kiedyś hodował, pomyślała Louise. Pojawiały się jeden po drugim, biegały z nim po lesie, potem się starzały, a w ich miejsce pojawiały się nowe. Teraz Artur sam wygląda jak jeden z nich. Jego policzki i brodę porasta szorstka szczecina.

Przez kolejną dobę Artur obliczał różnicę czasu, ustalał godziny otwarcia ambasady szwedzkiej w Canberze oraz próbował znaleźć jakiś kontakt do Stowarzyszenia Australijsko-Szwedzkiego, które miało zaskakująco wielu członków. Mimo wszystkich wysiłków nie udało mu się trafić na ślad Arona Cantora. Aron nie zarejestrował się w ambasadzie, nie nawiązał też kontaktów ze stowarzyszeniem. Nie pomógł Arturowi nawet ogrodnik z Perth, niejaki Karl-Håkan Wester, który ponoć znał wszystkich Szwedów mieszkających w Australii.

Wraz z Louise zastanawiali się, czy nie dać ogłoszenia do prasy lub wynająć kogoś, by odszukał Arona. Louise jednak szybko doszła do wniosku, że Aron jest tak płochliwy, iż natychmiast zaszyłby się jeszcze głębiej, gdyby tylko się zorientował, że ktoś go szuka.

W końcu się poddali. Louise w głębi ducha chciała, żeby tak było. Poczula coś w rodzaju ulgi. Czyżbym chciała pozbawić go prawa pożegnania syna?, pomyślała. Czy robię to z zemsty za cierpienia, jakich mi przysporzył? Artur zapytał ją o to wprost, a Louise odpowiedziała zgodnie z prawdą – że nie ma pojęcia.

Większość wrześnieowych dni spędzonych u ojca przepłakała. Artur przesiadywał przy kuchennym stole pogrążony w milczeniu. Nie wiedział, jak ją pocieszyć. Cisza była wszystkim, co był w stanie jej ofiarować. Od ciszy tej jednak biło chłodem, a ten potęgował cierpienie Louise.

Pewnej nocy Louise przyszła do łóżka Artura, wsunęła się pod kołdrę, przytulając się do niego, tak jak po śmierci Heidi, kiedy była małą dziewczynką. Leżała bez ruchu, z głową złożoną na jego ramieniu. Żadne z nich nie spało, oboje milczeli.

Z nadejściem świtu Louise zdecydowała, że nie może dłużej tkwić w bezruchu. Mimo że było to ponad jej siły, musiała przynajmniej spróbować odnaleźć prawdę i zrozumieć, jakie złe moce odebrały jej jedyne dziecko, jej syna.

Wstali wcześnie i usiedli przy stole w kuchni. Na zewnątrz siąpił jednostajnie jesienny deszcz. Spomiędzy liści rosnącej pod oknem jarzębiny migotały czerwone owoce.

Louise poprosiła ojca, by pożyczył jej samochód. Już tego ranka chciała wrócić do Sztokholmu. Arturowi nie spodobał się ten pomysł, ale Louise zdołała go uspokoić, zapewniając, że będzie

jechała ostrożnie i wcale nie zamierza po drodze rzucić się w przepaść. Wystarczy im jedna śmierć. Chciała wrócić do mieszkania Henryka, przekonana, że zostawił tam jakieś ślady. Nie znaleziono przy nim listu, Louise jednak dobrze wiedziała, że syn nie pisywał listów. Zostawiał inne znaki, które tylko ona potrafiła odczytać.

– Nie widzę innej możliwości – oznajmiła. – Muszę tam pojechać. Potem do ciebie wrócę.

Artur zawahał się chwilę, po czym poruszył temat, który nie mógł dłużej czekać.

– Co z pogrzebem?

– Urządzimy go tutaj. Gdzie indziej mielibyśmy pochować Henryka? Ale z tym możemy jeszcze trochę poczekać.

Godzinę później Louise wyruszyła w drogę. Samochód Artura pachniał polowaniem, narzędziami i jakimś olejem. W bagażniku wciąż leżał stary koc dla psa. Louise jechała powoli drogą przez las. Kiedy dotarła na granicę z regionem Dalarna, zdawało jej się, że na pobliskim pagórku stoi łoś. Poruszając się ostrożnie po śliskich drogach, rozmyślała o swojej powinności wobec zmarłego syna. Musiała jakoś się trzymać, żyć dalej. Była mu to winna. Tylko ona była w stanie dowiedzieć się, co tak naprawdę się wydarzyło. Śmierć Henryka stała się powodem, dla którego Louise musiała trwać dalej.

Dotarła do Sztokholmu o zmierzchu i wynajęła pokój w o wiele za drogim hotelu w pobliżu Starego Miasta. Zostawiwszy samochód w podziemnym garażu, udała się do mieszkania syna przy Tavastgatan. Chcąc dodać sobie odwagi, otworzyła butelkę whisky kupioną na lotnisku w Atenach. Zachowuję się jak Aron, pomyślała. Nie znosiłam, kiedy pił prosto z butelki, a teraz robię to samo.

Bez trudu weszła do środka, policja nie zaplombowała drzwi. Na podłodze w przedpokoju leżało parę ulotek. Nie było żadnego listu, znalazła jakąś pocztówkę od kogoś imieniem Vilgot, kto z entuzjazmem opisywał kamienne mury w Irlandii. Kartka była niemal cała zielona, widniało na niej zbcze wpadające do szarego morza, nie było żadnego muru. Louise stała chwilę bez ruchu, wstrzymując oddech, aż udało jej się opanować atak paniki i powstrzymać od natychmiastowej ucieczki. Zdjęła płaszcz i buty, po czym powoli obeszła całe mieszkanie. Pościel, w której leżał Henryk, zniknęła. Wróciwszy do przedpokoju, usiadła na taborecie obok telefonu. W aparacie migiała lampka automatycznej sekretarki. Louise nacisnęła guzik. Jako pierwszy nagrał się jakiś Hans, który pytał, czy Henryk znajdzie czas, żeby wybrać się z nim do muzeum etnograficznego na wystawę o peruwiańskich mumiach. Potem nagrał się jakiś trzask, ktoś pewnie chciał zostawić wiadomość, ale w końcu niczego nie nagrał. Taśma kręciła się dalej. Nagle rozległ się głos Louise. Dzwoniła z domu Mitosa. W jej głosie słychać było radość z powodu rychłego spotkania. Potem znów usłyszała samą siebie, tym razem dzwoniła z Visby. Cofnąwszy taśmę, wysłuchiwała wszystkiego jeszcze raz. Najpierw Hans, następnie nie wiadomo kto, a potem ona sama. Nie wiedząc, co zrobić, dłuższą chwilę siedziała przy telefonie. Lampka przestała migać. Louise miała jednak wrażenie, jakby to w jej wnętrzu zapaliła się jakaś kontrolka, ostrzegawcze światełko, które mrugało tak samo jak lampka automatycznej sekretarki. Czuła, że nosi w sobie jakiś komunikat. Wstrzymała oddech, próbując się skupić. To normalne, że ktoś najpierw zamierza się nagrać, ale potem odkłada słuchawkę, pomyślała. Sama też tak czasem robię, i Henrykowi zdarzyło się to

pewnie nie raz. Zastanowiły ją jej własne nagrania. Czy Henryk w ogóle je słyszał?

Nagle zrozumiała. Syn nigdy nie odsłuchiwał jej wiadomości. Jej głos rozbrzmiewał w mieszkaniu, nie docierając do jego uszu.

Louise poczuła lęk, choć zarazem wiedziała, że teraz musi skupić wszystkie siły i spróbować znaleźć w mieszkaniu jakikolwiek ślad. Henryk musiał zostawić jej jakiś znak, była o tym przekonana. Weszła do pokoju, w którym syn miał urządzonej pracownię. Stał w nim również sprzęt grający i telewizor. Stała na środku pokoju i rozejrzała się.

Wszystko zdawało się leżeć na swoim miejscu. Jakoś tu za czysto, pomyślała. Henryk nie sprzątał zbyt często. Kiedy jeszcze z nią mieszkał, wciąż się o to kłócili. Ponownie obesła całe mieszkanie. Czyżby policja tu posprzątała? Uznała, że musi się tego dowiedzieć. Znalazła wizytówkę, którą dał jej Göran Vrede, zadzwoniła i od razu udało jej się go złapać. Odniosła wrażenie, że policjant jest bardzo zajęty, więc zadała tylko jedno nurtujące ją pytanie.

– Nie, nie sprzątam – odpowiedział. – Chyba że nabrudzimy w trakcie pracy, wtedy staramy się trochę po sobie ogarnąć.

– Zniknęła pościel, w której leżał Henryk – dorzuciła Louise.

– My jej nie zabraliśmy. Nie mieliśmy żadnych podejrzeń, że do śmierci pani syna mogły przyczynić się osoby trzecie, więc nie była nam do niczego potrzebna.

Göran Vrede wyjaśnił, że musi kończyć, przeprosił ją i zaproponował, żeby zadzwoniła do niego nazajutrz. Louise znów stanęła pośrodku pokoju i rozejrzała się bacznie wokół. Potem przeszła do łazienki i przeszukała kosz z brudną bielizną. Nie znalazła w niej pościeli, jedynie parę dzinsów. Metodycznie przejrzała każdy kąt w mieszkaniu, ale nigdzie nie było brudnej

pościeli. W końcu usiadła na kanapie, żeby spojrzeć na pomieszczenie z innego miejsca. Było coś podejrzanego w ogólnym porządku, jaki tam panował. Nie udało jej się wpaść na żaden trop, zajrzała więc do kuchni i otworzyła lodówkę. Była prawie całkiem pusta, lecz Louise nie spodziewała się niczego innego.

Potem podeszła do biurka i zaczęła przeglądać zawartość szuflad. Były w nich jakieś papiery, zdjęcia, stare karty pokładowe, jakie zostały po przebytych lotach. Wzięła do ręki pierwszą z brzegu i przyjrzała się jej. 12 sierpnia 1999 roku Henryk leciał liniami Quantas do Singapuru. Siedział na miejscu 37G. Na odwrocie karty zanotował „rozmowa telefoniczna”. Nic więcej.

Louise powoli dowiadywała się o sprawach z życia Henryka, o których nie miała pojęcia. Zajrzawszy pod podkładkę pod mysz, znalazła list. Od razu poznała pismo Arona. Rozpoznała jego rozstrzelone pismo, niechlujnie nabazgrane słowa, które powstawały jak zwykle w wielkim pośpiechu. Zawahała się, czy powinna przeczytać list. Nie wiedziała, czy na pewno chce wiedzieć, jakie stosunki utrzymywali ojciec i syn. Odwróciła kopertę, żeby przeczytać adres. Był nieczytelny.

Stanąła przy oknie w kuchni i z listem w dłoni, zastanawiała się, jak Aron by w tej chwili zareagował. Był niezwykle oszczędny w okazywaniu uczuć, niewzruszony wobec wszystkich życiowych problemów i nieprzyjemności.

Potrzebujesz mnie. Tak samo jak my, Henryk i ja, potrzebowaliśmy ciebie. Ale ty nie przyszedłeś, kiedy wołaliśmy. A przynajmniej nie wtedy, kiedy ja cię wołałam.

Podeszła do biurka i jeszcze raz spojrzała na list. Ostatecznie, zamiast go przeczytać, wsunęła go do kieszeni.

Pod biurkiem zauważyła jeszcze jedną szufladę. Louise znalazła w niej stare notesy i pamiętniki Henryka. Wiedziała, że syn je prowadził, bała się jednak, że jeśli zacznie je czytać, dowie się o nim czegoś zupełnie nieoczekiwanego. Nie chciała się nagle przekonać, że wcale nie znała swojego syna. Uznała, że pamiętniki mogą poczekać. Po chwili trafiła na podpisane przez Henryka płyty CD, na których były zarchiwizowane dane z jego komputera. Louise ogarnęła pomieszczenie wzrokiem, ale nigdzie nie spostrzegła laptopa. Włożyła płyty do torebki.

W końcu zdecydowała się zajrzeć do pamiętnika z 2004 roku. Przewertowała także ostatnie notatki. Henryk sporządził je dwa dni przed jej wyjazdem z Grecji.

Poniedziałek, 13 września. Próbuję zrozumieć.

To wszystko. Co takiego próbował zrozumieć? Cofnęła się o parę stron, ale zapisków z wcześniejszych miesięcy było niewiele. Potem przekartkowała kalendarz o parę stron do przodu i znalazła jedną jedyną notatkę: *10 października. Do B.*

Nic z tego nie rozumiem, zwróciła się w myślach do Henryka. Nie potrafię odczytać twoich znaków. Co działo się w tym domu? Co działo się w tobie?

W jednej chwili do niej dotarło. Ktoś był w mieszkaniu po tym, jak wyniesiono ciało Henryka i zamknięto drzwi. Ktoś tu węszył, tak samo jak ona w tej chwili. Louise nie mogła znaleźć śladów pozostawionych przez syna, bo mieszały się one z tymi, które zostawił intruz. Jej wewnętrzny kompas kręcił się w kółko.

Ponownie przeszukała szuflady biurka i wszystkie półki w pokoju. Nie znalazła nic poza listem od Arona. Mimo zmęczenia nie mogła przestać myśleć o wiadomości, jaką z pewnością zostawił jej Henryk. Ktoś bez wątplenia był w tym mieszkaniu, ale po co

sprzątnął i zabrał brudną pościel? Musiało zniknąć coś jeszcze, coś, czego nie potrafiła zidentyfikować. Myśl o pościeli nie dawała jej spokoju. Kto mógł ją wziąć?

Zaczęła przeglądać szafy z ubraniami. W jednej z nich znalazła kilka grubych teczek spiętych paskiem. Henryk opisał je czarnym pisakiem: „M.K.”. Louise położyła pakunek na stole. Pierwsza teczka wypełniona była kartkami wydrukowanymi z komputera lub skopiowanymi na ksero. Tekst był po angielsku. Louise przewertowała kilka stron, a potem zaczęła czytać. Po chwili stwierdziła ze zdziwieniem, że znalezione materiały traktują o mózgu zamordowanego prezydenta J.F. Kennedy’ego. Czytała dalej ze zmarszczonym czołem, po chwili cofnęła się do początku. Po pierwszym pobieżnym przejrzeniu tekstu chciała go przestudiować z większą uwagą.

Kiedy parę godzin później zamknęła ostatnią teczkę, była już całkiem pewna. Śmierć Henryka nie miała naturalnej przyczyny. Dopadła go jakaś zła siła, która z całą pewnością przyszła z zewnątrz.

Louise stanęła przy oknie i wyjrzała na ciemną ulicę.

Wszędzie czają się cienie, pomyślała. Któryś z nich zabił mojego syna.

Przez moment zdawało jej się, że coś się poruszyło pod ścianą budynku, lecz po chwili wszystko znów zastygło w bezruchu.

Była już północ, kiedy Louise wyszła z mieszkania i ruszyła do hotelu. Idąc, co jakiś czas spoglądała za siebie. Nikt jej nie śledził.

Hotelowy pokój pogrążony był w zupełnej ciszy. W pomieszczeniu, w którym co chwilę pojawiają się nowi ludzie, nie gromadzą się wspomnienia, pomyślała Louise, podchodząc do okna. Patrzyła na Stare Miasto i na przejeżdżające ulicą samochody. Przez grubą szybę nie przedostawały się żadne dźwięki. Ktoś wyłączył taśmę z odgłosami świata.

Zabrała ze sobą kilka najgrubszych teczek. Biurko w pokoju było malutkie, rozłożyła więc kartki na łóżku i zaczęła je czytać od nowa. Zajęło jej to niemal całą noc. Między wpół do czwartą a kwadrans po czwartej nad ranem zasnęła pośród teczek, czując się tak, jakby unosiło ją morze papieru. Potem gwałtownie się przebudziła i czytała dalej. Przyszło jej na myśl, że sortuje informacje o Henryku tak samo, jak na co dzień robiła to, wykonując pracę archeologa. Dlaczego mój syn tak gorliwie studiował historię amerykańskiego prezydenta, który zginął ponad czterdzieści lat temu? Zachodziła w głowę, czego mógł w niej szukać. Jaką ukrytą wiadomość zawierają te te czki? Jak szuka się czegoś, co wcześniej dogłębnie przejrzał ktoś inny? Patrzyła na rozsypane kartki i próbowała podejść do nich tak, jak zwykła czynić z odłamkami antycznej wazy. Ujrzała przed sobą stertę nieposortowanych skorup, z których należało odtworzyć całość. Starożytne naczynie miało się odrodzić niczym Feniks z tysiącletnich popiołów. Wiedziała, że do tego potrzeba wiedzy i ogromnej cierpliwości. Nie wolno jej było się poddać i załamać rąk nad pozornym bezładem niepasujących do siebie elementów. Ale jak mam się do tego zabrać? Jak posklejać odłamki, które zostawił po sobie Henryk?

Tej nocy Louise wciąż wybuchiała płaczem. Właściwie nie była pewna, czy nie płakała cały czas, a łzy tylko od czasu do czasu przestawały cieknąć z jej oczu. W końcu przeczytała wszystkie zgromadzone przez Henryka papiery. Większość z nich stanowiły skserowane fragmenty angielskich książek i artykułów, czasem trafiała na wydrukowane mejle z bibliotek uniwersyteckich lub jakichś fundacji.

Wszystko dotyczyło zaginionego mózgu. Mózgu zamordowanego prezydenta.

Gdy nastał świt, Louise była całkiem wyczerpana. Położyła się i spróbowała podsumować to, co przeczytała.

22 listopada 1963 roku, około południa czasu centralnego, został zastrzelony prezydent USA John Fitzgerald Kennedy, który wraz z małżonką przejeżdżał przez centrum Dallas w otwartym samochodzie. Zamachowiec oddał trzy strzały. Lecące z ogromną prędkością kule zamieniły w krwawą miazgę wszystko, co napotkały na swojej drodze. Pierwsza trafiła prezydenta w szyję, druga chybiła, lecz trzecia uderzyła go prosto w głowę, wydrążając w czaszce sporą dziurę, przez którą wytrysnął mózg. Tego samego dnia ciało prezydenta zabrano do Waszyngtonu na pokładzie Airforce Number One. W samolocie Lyndon B. Johnson wygłosił przysięgę prezydencką, obok niego stała Jackie Kennedy w zakrwawionym kostiumie. Później w jednej z amerykańskich baz lotniczych przeprowadzono sekcję zwłok zabitego prezydenta. Wszystko odbyło się w ścisłej tajemnicy, do dziś nie wiadomo, jak to naprawdę wyglądało. Wiele lat później stwierdzono, że mózg prezydenta, a właściwie to, co z niego zostało, zniknęło bez śladu. Mimo kilku śledztw, które miały wyjaśnić tę sprawę, niczego nie ustalono. Prawdopodobnie to Robert Kennedy, brat zmarłego

prezydenta, zabrał i pochował resztki mózgu pozostałe po obdukcji. Nikt jednak nie mógł potwierdzić, że tak właśnie się stało, bo kilka lat później zamordowano również Roberta. Sprawa zniknięcia mózgu prezydenta Kennedy'ego pozostała więc nierozwiązaną zagadką.

Louise leżała na łóżku z zamkniętymi oczami i starała się cokolwiek z tego pojąć. Czego szukał Henryk? Po raz kolejny przeanalizowała zapiski naniesione przez niego na marginesach niektórych kartek.

Mózg zamordowanego prezydenta jest jak twardy dysk. Czyżby ktoś obawiał się, że w przyszłości będzie można rozszyfrować mózg w taki sam sposób, w jaki można dziś wkraść się do najciemniejszych zakamarków twardego dysku i znaleźć tam informacje, które nigdy nie powinny wyjść na jaw?

Henryk nie odpowiedział na to pytanie.

Louise ułożyła się na boku i zaczęła przyglądać się obrazowi wiszącemu przy drzwiach do łazienki. Przedstawiał trzy tulipany w beżowym wazonie. Naczynie stało na brązowym stole przykrytym białym obrusem. Kiepskie malowidło, pomyślała. Nie oddycha, kwiaty nie wydzielają zapachu.

W jednej z teczek znalazła zapisaną kartkę, którą Henryk wyrwał z notatnika. Najwyraźniej próbował odpowiedzieć na zadane wcześniej pytanie.

Strach przed zawartością, przed tym, że ktoś będzie w stanie wydobyć z mózgu martwego człowieka jego najskrytsze myśli. Tak po prostu, jak przewierca się zamek kasy pancерnej lub kradnie czyjeś pamiętniki. Czy da się wtargnąć głębiej w życie prywatne człowieka, niż kradnąc jego myśli?

Louise nie rozumiała, kto miałyby się bać i czego miałyby dotyczyć te obawy. Co takiego miał do ukrycia martwy prezydent? Chyba jedynie jakąś dawno temu zakończoną historię. Ciekawe, co tak bardzo interesowało Henryka.

To z pewnością zły trop, stwierdziła po chwili. Usiadła na łóżku i sięgnęła po kartkę, na której syn sporządził notatki. Pisał pośpiesznie, jego zapiski były niechlujne, wiele z nich przekreślono, a interpunkcja pozostawiała sporo do życzenia. Poza tym wyglądało to tak, jakby Henryk notował wprost na kolanie bez żadnej podpórki. Nagle Louise rzuciło się w oczy pewne słowo: „trofeum”.

Skalp może być najcenniejszą wojenną zdobyczą, podobnie jak poroże łosia lub głowa lwa. Ale dlaczego trofeum miałyby być mózg? Kto jest myśliwym?

Obok widniało imię i nazwisko Roberta Kennedy’ego, a tuż obok znak zapytania.

Trzecim motywem może być coś, czego nawet sobie nie wyobrażam. Dopóki nie wiadomo, gdzie się podział mózg, dopóty będzie istniała jakaś trzecia możliwość. Nie mogę wykluczyć nieznanego motywu.

Na zewnątrz było jeszcze ciemno. Louise wstała z łóżka i podeszła do okna. Padał deszcz. W mokrej ulicy odbijały się światła samochodów. Nagle zakręciło jej się w głowie, tak że musiała oprzeć się o ścianę, żeby nie upaść. Czego on tak zaciekle szukał? Było jej niedobrze, poczuła, że nie chce natychmiast wyjść z tego pokoju.

Tuż po siódmej spakowała wszystkie papiery Henryka, zapłaciła za pokój i usiadła w restauracji, popijając kawę z kubka.

Przy stoliku obok siedzieli kobieta i mężczyzna, którzy na przemian odczytywali kwestie jakiegoś dramatu. Mężczyzna był bardzo stary. Przysuwał sobie kartkę blisko oczu, drżały mu dłonie. Kobieta miała na sobie czerwony sweter. Czytała jednostajnym

głosem. Sztuka traktowała o rozstaniu, do którego doszło w przedpokoju, a może na klatce schodowej. Louise nie zrozumiała, kto kogo opuszczał, ona jego czy on ją.

Louise dopiła kawę, zabrała swoje rzeczy i wyszła z hotelu. Przestało padać. Ruszyła w górę ulicy prowadzącej prosto do mieszkania Henryka. Zmęczenie sprawiło, że czuła się pusta w środku. Będę planować tylko następny krok, pomyślała. Krok po kroku, nic więcej.

Kiedy dotarła na miejsce, usiadła przy stole w kuchni. Starła się nie patrzeć na okruchy, które wciąż leżały na blacie. Potem jeszcze raz przejrzała pamiętnik Henryka. Litera B pojawiała się często. Louise podejrzewała, że oznacza czyjeś imię, Birgitta, Barbara, Berit. Nigdzie jednak go nie znalazła. Wciąż nie dawała jej spokoju myśl o mózgu zabitego prezydenta. Dlaczego Henryk tak się nim interesował? Miał jakąś obsesję? A może szukał czegoś namacalnego, jakiegoś symbolu? Louise nie miała pojęcia, czy uda jej się z tych kawałków ułożyć jakieś naczynie. A może w ogóle go tam nie było?

Zmusiła się do ponownego otwarcia szaf Henryka i przeszukania kieszeni w jego ubraniach. Znalazła jedynie kilka monet, w większości szwedzkich, do tego ze dwa euro. W kieszeni kurtki natrafiła na brudny bilet na autobus lub metro. Poszła z nim do kuchni i przyjrzała się papierkowi w świetle wiszącej nad stołem lampy. Madryt. A więc Henryk był w Hiszpanii, pomyślała. Nic mi o tym nie mówił, z pewnością bym zapamiętała. Jeśli opowiadał o swoich podróżach, mówił tylko, gdzie był, nigdy nie mówił, po co się tam wybrał.

Louise znów podeszła do szafy. W kieszeni spodni znalazła resztki ususzonego kwiatka, który rozpadł jej się między palcami. To było

wszystko.

Właśnie zaczęła przeglądać koszule, kiedy nagle ktoś zadzwonił do drzwi. Aż podskoczyła. Serce waliło jej jak oszalałe, gdy szła do przedpokoju, żeby otworzyć drzwi. To jednak nie Henryk stał u progu, lecz niska dziewczyna o ciemnych włosach i równie ciemnych oczach. Miała na sobie kurtkę zapiętą aż pod brodę.

Nieznajoma obrzuciła Louise nieufnym spojrzeniem.

– Czy zastałam Henryka? – spytała.

Louise wybuchnęła płaczem. Dziewczyna, wyraźnie przestraszona, cofnęła się o kilka kroków.

– Co pani tu robi? – zapytała niepewnym głosem.

Louise nie miała siły, by odpowiedzieć. Odwróciła się tylko i przeszła do kuchni. Dziewczyna weszła do środka i cicho zamknęła za sobą drzwi.

– Co pani tu robi? – powtórzyła pytanie.

– Henryk nie żyje.

Dziewczyna drgnęła i głęboko zaczerpnęła powietrza. Zamarła, utkwivszy wzrok w Louise.

– Kim jesteś? – zapytała Louise.

– Mam na imię Nazrin, Henryk i ja byliśmy razem. A może wciąż jesteśmy. W każdym razie przyjaźnimy się. To najlepszy przyjaciel, jakiego można sobie wymarzyć.

– Henryk nie żyje.

Louise wstała i przysunęła krzesło dziewczynie, która wciąż miała kurtkę zapiętą aż pod brodę. Kiedy streściła jej, co się stało, Nazrin powoli pokręciła głową.

– To niemożliwe, żeby Henryka już nie było – powiedziała, gdy zamilkła Louise.

– Masz rację. To niemożliwe.

Louise czekała na reakcję Nazrin, lecz dziewczyna nie zareagowała w żaden sposób, zaczęła tylko ostrożnie zadawać pytania. Zdawało się, że wciąż nie do końca rozumie.

– Czy on chorował? – dopytywała.

– Nigdy. Ostatnio, kiedy był dzieckiem. Nie zauważyliśmy niczego niezwykłego. Kiedy był nastolatkiem, przez jakiś czas krwawił z nosa, ale potem mu przeszło. Sam powtarzał, że to przez to, że życie mija zbyt wolno.

– Co miał na myśli?

– Nie wiem.

– Ale przecież nie mógł tak po prostu umrzeć, takie rzeczy się nie zdarzają.

– Niby nie, ale jednak.

Louise nagle ogarnęła złość, że Nazrin nawet się nie rozplakała. Dla niej oznaczało to niemal zbezczeszczenie pamięci Henryka.

– Wolałabym, żebyś już sobie poszła – powiedziała.

– Dlaczego?

– Przyszłaś, żeby spotkać się z Henrykiem, ale jego już nie ma. Idź sobie.

– Nie chcę.

– Nawet nie wiem, kim jesteś. Henryk nigdy mi o tobie nie wspominał.

– Wiem, bo mi o tym powiedział. „Nie można żyć bez tajemnic”. To jego słowa.

– Naprawdę tak powiedział?

– Powiedział, że nauczył się tego od pani.

Louise poczuła, że powoli mija jej złość. W jej miejsce pojawił się wstyd.

– Boję się – szepnęła. – Jestem roztrzęsiona. Straciłam jedyne dziecko, całe moje życie. Siedzę tu i czekam, aż rozpląnę się w powietrzu.

Nazrin wstała i przeszła do salonu. Louise usłyszała, że dziewczyna pociąga nosem. Nie było jej dłuższą chwilę, a kiedy wróciła, miała rozpiętą kurtkę i zaczerwienione oczy.

– Ustaliliśmy, że pójdziemy dziś na długi spacer. Czasem tak robiliśmy. Wychodziliśmy za miasto i szliśmy wzdłuż rzeki tak długo, aż zabrakło nam sił. W tamtą stronę milczeliśmy, rozmawialiśmy dopiero w drodze powrotnej, taka była zasada.

– Jak to możliwe, że masz na imię Nazrin, ale mówisz bez obcego akcentu?

– Urodziłam się na lotnisku Arlanda. Moja rodzina spędziła tam dwie doby, czekając, aż umieszczą nas w obozie dla uchodźców. Mama urodziła mnie na podłodze, tuż obok punktu kontroli paszportów. Podobno wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Urodziłam się dokładnie w miejscu, gdzie zaczyna się Szwecja. Ani mama, ani tata nie mieli paszportów, ale ja przyszłam na świat na szwedzkiej ziemi, więc od razu dostałam obywatelstwo. Do dziś odzywa się do mnie czasem pewien stary strażnik graniczny.

– Jak poznałaś Henryka?

– W autobusie. Siedzieliśmy obok siebie. Nagle zaczął się śmiać i pokazał mi palcem napis na ścianie. Ktoś coś nabazgrał czarnym pisakiem. I wcale nie było to śmieszne.

– Co to był za napis?

– Już nie pamiętam. Jakiś czas później Henryk przypadkiem przechodził koło mojej pracy. Jestem asystentką u dentysty. Henryk napchał sobie waty do ust i upierał się, że boli go ząb.

Nazrin powiesiła kurtkę w przedpokoju. Louise przyglądała się jej, wyobrażając ją sobie nagą, leżącą w łóżku obok Henryka.

Nagle wyciągnęła rękę nad blatem i złapała dziewczynę za ramię.

– Ty przecież musisz coś wiedzieć. Ja cały czas byłam w Grecji, ale ty byłaś tu na miejscu. Czy coś się stało? Czy Henryk ostatnio się zmienił?

– Był wesoły, dużo weselszy niż przez ostatnie miesiące. Nigdy wcześniej go takim nie widziałam.

– Co się wydarzyło?

– Nie wiem.

Louise odniosła wrażenie, że Nazrin mówi prawdę. Czuję się tak, jakbym kopała w stale zmieniającym się podłożu, pomyślała. Nawet bardzo doświadczonemu archeologowi zajmuje trochę czasu odkrycie, że dokopał się do kolejnej warstwy. Można zupełnie nieświadomie przebić się przez ślady pozostawione przez trzęsienie ziemi i dopiero po jakimś czasie się zorientować, że się je przegapiło.

– Kiedy zauważyłaś tę jego niezwykłą radość?

Odpowiedź Nazrin ją zaskoczyła.

– Po powrocie z ostatniej podróży.

– Dokąd?

– Nie mam pojęcia.

– Nie mówił ci, dokąd podróżuje?

– Czasem mówił, ale ostatnio nic nie powiedział. Odebrałam go z lotniska. Przyleciał z Frankfurtu, ale miał za sobą długą podróż.

Nie mam pojęcia, gdzie był wcześniej.

Louise poczuła przejmujący ból, jakby nagle odezwał się chory ząb. A więc Henryk wylądował we Frankfurcie, pomyślała. Tak samo jak ja. Leciłam z Aten. Z której strony świata nadleciał jego samolot?

– Przecież musiał ci coś powiedzieć. Nic się nie domyśliłaś? Wrócił opalony? Przywiózł jakieś prezenty?

– Nic nie powiedział, a opalony był prawie zawsze. Miał dużo lepszy humor niż wtedy, kiedy wyjeżdżał. A prezentów nie dawał mi nigdy.

– Jak długo go nie było?

– Trzy tygodnie.

– I naprawdę nie powiedział, dokąd jedzie?

– Naprawdę.

– Kiedy to było?

– Jakies dwa miesiące temu.

– Czy przynajmniej wyjaśnił, dlaczego nic ci nie zdradził?

– Mówił, że ma pewną tajemnicę.

– Tak powiedział?

– Tak.

– I naprawdę nic ci nie przywiózł?

– Już mówiłam. Henryk nigdy nie kupował mi prezentów, zamiast tego pisał wiersze.

– O czym?

– O ciemności.

Louise spojrzała na Nazrin z zaskoczeniem.

– Przywiózł ci z podróży wiersze o ciemności?

– Było ich siedem, pisał je każdego trzeciego dnia swojej podróży. Opisywały dziwnych ludzi, żyjących w nieustającej ciemności. Ci

ludzie stracili wszelką nadzieję i nie starają się już uciec od mroku.

– Brzmi to strasznie ponuro.

– Były okropne.

– Masz je jeszcze?

– Henryk poprosił mnie, żebym je spaliła po przeczytaniu.

– Dlaczego?

– Też mnie to zdziwiło, ale powiedział, że nie będą już potrzebne.

– Czy często tak robił? Często prosił cię o spalenie tego, co napisał?

– Nie, tylko ten jeden raz.

– Czy kiedykolwiek mówił coś o zaginionym mózgu?

Nazrin obrzuciła Louise zdziwionym spojrzeniem.

– W 1963 roku zamordowano prezydenta Kennedy’ego. Podczas sekcji zwłok zaginął jego mózg.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Nie wiem, o czym pani mówi. W 1963 roku nie było mnie jeszcze na świecie.

– Ale słyszałaś o prezydencie Kennedym?

– Być może.

– Czy Henryk o nim mówił?

– Po co miałyby to robić?

– Pytam, bo znalazłam w jego szafie kilka teczek z materiałami na temat Kennedy’ego i jego zaginionego mózgu.

– Po co miałyby się tym interesować?

– Nie mam pojęcia, ale pomyślałam, że to ważne.

Nagle coś brzęknęło w skrzynce na listy. Louise i Nazrin podskoczyły ze strachu. Dziewczyna poszła do przedpokoju i po chwili wróciła z plikiem nowych ulotek w ręku. Położyła je na stole, ale nie usiadła.

– Nie mogę tu dłużej zostać. Zaraz się tu uduszę – powiedziała i zanosła się szlochem.

Louise podeszła do Nazrin i ją przytuliła.

– Rozstaliście się? – zapytała, kiedy dziewczyna przestała płakać.

– Czy wasza miłość zmieniła się w przyjaźń?

– Tak jakoś wyszło, Henryk już taki był. Ale ja dalej go kochałam, miałam nadzieję, że kiedyś znów do mnie wróci.

– Jaka była przyczyna tej nagłej radości. Inna kobieta?

Nazrin odpowiedziała natychmiast. Louise zrozumiała, że dziewczyna musiała już wcześniej zadawać sobie to pytanie.

– Nie było żadnej innej kobiety.

– Pozwól mi to zrozumieć. Znałaś go inaczej niż ja. Dla mnie był synem, a na swoje dziecko patrzy się zupełnie inaczej. Zawsze towarzyszą temu własne oczekiwania i niepokój, które zniekształcają obraz.

Nazrin usiadła przy stole. Louise dostrzegła, że dziewczyna błądziła po ścianie, jakby próbując znaleźć dla oczu jakiś punkt oparcia.

– Być może używam złych słów – powiedziała. – Może powinnam raczej mówić o zatroskaniu, które zniknęło, niż o nagłej radości.

– Henryk nigdy nie sprawiał wrażenia zatroskanego.

– Może tego przy pani nie okazywał? Sama pani przed chwilą powiedziała, że nigdy do końca nie zna się swoich dzieci. Kiedy spotkałam Henryka w autobusie, wesoło się śmiał. Ale prawdziwy Henryk, ten, którego potem dobrze poznałam, był poważnym człowiekiem. Był zupełnie jak ja. Patrzył na świat jak na jedno wielkie nieszczęście zmierzające wprost ku katastrofie. Z przejęciem mówił o biedzie. Próbował się złościć, ale lepiej mu wychodziło okazywanie smutku. Myślę, że był zbyt wrażliwy. Chyba że nigdy

nie udało mi się dostrzec go takim, jakim naprawdę był. Dla mnie był zawiedzionym idealistą. Ale być może w rzeczywistości było inaczej. Wiem, że coś planował, chciał stawiać opór. Pamiętam, że kiedyś siedzieliśmy razem przy tym stole i Henryk powiedział: „Każdy człowiek musi stawiać opór. Nie możemy się oglądać na innych. Ten potworny świat wymaga działań od każdego z nas. Kiedy się pali, nikt nie pyta, skąd brać wodę. Najważniejsze jest, żeby ugasić pożar”. Pomyślałam wtedy, że jego słowa brzmią patetycznie, mówił zupełnie jak ksiądz, o ile wszyscy księża są takimi romantykami. Czasem męczyła mnie ta jego powaga, smutek, przez który nie umiałam się przebić. Był kimś, kto chce naprawiać świat, ale kto przede wszystkim żałuje siebie samego. Lecz kiedy teraz o tym myślę, zaczynam rozumieć, że był w nim też odmienny rodzaj powagi. Pewien smutek czy też zawód spowodowany tym, że nie mógł znaleźć ujścia dla swojej wściekłości. Kiedy Henryk próbował się złościć, przypominał małego przestraszonego chłopczyka. Wszystko to się zmieniło, kiedy wrócił z ostatniej podróży.

Nazrin zamilkła. Louise zorientowała się, że dziewczyna próbuje sobie coś jeszcze przypomnieć.

– Pamiętam, że natychmiast to zauważyłam. Już kiedy pojawił się w drzwiach w hali przylotów, rzuciło mi się w oczy, że porusza się wolniej, jakby się wahał. Uśmiechnął się na mój widok, ale odniosłam wrażenie, że wolałby, by nikt na niego nie czekał. Niby był taki jak zawsze, a przynajmniej starał się taki być. Czułam jednak, że jest nieobecny duchem, był taki nawet wtedy, kiedy się kochaliśmy. Nie wiedziałam, czy mam być zazdrosna, czy nie. Zarazem miałam pewność, że Henryk powiedziałby mi, gdyby poznał jakąś inną kobietę. Spytałam go, gdzie był, ale on pokręcił

tylko głową. Kiedy wypakowywał walizkę, dostrzegłam czerwoną ziemię na podeszwach jego butów. Zapytałam o nią, ale nie odpowiedział, za to wyraźnie się zdenerwował. Potem znów się zmienił, przestał być nieobecny, poweselał, zupełnie jakby pozbył się jakiegoś ciężaru. Zaobserwowałam też, że kiedy przychodziłam popołudniami, często bywał zmęczony. Zarywał noce, ale nie chciał mi powiedzieć, czym się zajmuje. Ciągłe coś pisał, a w mieszkaniu co chwilę pojawiały się nowe teczki z dokumentami. Mówił o gniewie, który należy wreszcie wyzwolić, o tym, że coś wciąż pozostaje w ukryciu, lecz że niebawem wyjdzie na jaw. Czasem mi się wydawało, że cytuje Biblię, zupełnie jakby zaczął się zmieniać w proroka. Kiedyś sobie z tego zażartowałam i wtedy Henryk wpadł w szał. To był pierwszy raz, kiedy widziałam go naprawdę wściekłego. Bałam się, że mnie uderzy. Nawet podniósł na mnie pięść i gdybym nie krzyknęła, pewnie by to zrobił. Przestraszyłam się. Potem długo mnie przeproszał, mówił, że tak naprawdę nie chciał mi zrobić krzywdy, ale mu nie uwierzyłam.

Nazrin przestała mówić. Przez kuchenną ścianę dochodziły odgłosy z mieszkania obok. Louise rozpoznała muzykę, był to motyw z filmu, którego tytułu nie pamiętała.

Dziewczyna schowała twarz w dłoniach. Louise siedziała w bezruchu. Czekała, nie wiedząc na co.

Nagle Nazrin wstała.

– Muszę już iść. Już nie mam sił.

– Jak cię znajdę?

Dziewczyna zanotowała swój numer telefonu na jednej z ulotek. Potem odwróciła się i wyszła, trzymając kurtkę w ręce. Louise wsłuchiwała się jej kroki, powoli cichnące na klatce schodowej. Po chwili usłyszała trzaśnięcie drzwi.

Parę minut później sama wyszła z mieszkania. Ruszyła w stronę starówki, wybierając drogę na chybił trafił i trzymając się blisko ścian budynków w obawie, że dopadnie ją atak paniki. Kiedy dotarła na Stare Miasto, złapała taksówkę i kazała się zawieźć na wyspę Djurgården. Wiatr zelżał i powietrze zdawało się łagodniejsze. Spacerowała między pożółkłymi drzewami, raz po raz wracając myślami do słów wypowiedzianych przez Nazrin.

Może powinnam raczej mówić o zatroskaniu, które zniknęło, niż o nagłej radości. Nie chciał mi powiedzieć, dokąd się wybiera.

Louise pograżyła się w rozmyślaniach. Czy Henryk miał obsesję? Po co te wszystkie teczki? Skoro Nazrin o niczym nie wiedziała, zainteresowanie Henryka zaginionym mózgiem prezydenta musiało się zacząć stosunkowo niedawno. To było coś nowego.

Louise dalej spacerowała wśród drzew, próbując zebrać myśli. Chwilami zdawało jej się, że liście, zamiast szeleścić pod stopami, wirują jej w głowie.

Nagle przypomniała sobie o kopercie, którą miała w kieszeni. Wyjęła ją i otworzyła. List był krótki.

Wciąż żadnej góry lodowej. Nie poddaję się. Aron.

Późnym popołudniem Louise wróciła do mieszkania Henryka. Ktoś nagrał wiadomość na automatycznej sekretarce.

„Cześć, mówi Iwan. Spróbuję zadzwonić później”.

Kim jest Iwan? Nazrin pewnie go zna. Już miała do niej zadzwonić, ale się rozmyśliła. Weszła do sypialni i usiadła na materacu. Zakręciło jej się w głowie, lecz udało jej się nad sobą zapanować.

Na półce stało ich wspólne zdjęcie.

Kiedy Henryk miał siedemnaście lat, wybrali się razem na Maderę. Na wyspie spędzili tydzień. Jednego dnia pojechali na wycieczkę do Doliny Zakonnicy i postanowili, że wrócą tam za dziesięć lat. Miejsce to miało stać się celem ich prywatnych pielgrzymek. Louise poczuła nagły gniew na myśl o tym, że ktoś brutalnie pozbawił ich możliwości kolejnej wspólnej podróży. Śmierć jest potwornie długim procesem, pomyślała. Nieskończenie długim. Już nigdy nie wrócimy do Correia des Fuentes. Nigdy w życiu.

Powiodła wzrokiem po pomieszczeniu. Coś przykuło jej uwagę. Zatrzymała wzrok na półce z dwoma rzędami książek. W pierwszej chwili nie potrafiła wytłumaczyć, co wydało się jej podejrzane. Prędko się jednak zorientowała, że kilka grzbietów książek z dolnej półki nieco wystaje. Henryk nigdy jakoś szczególnie nie dbał o porządek, ale nie znosił krzywo stojących książek. Czy coś za nimi ukrył? Louise wstała z łóżka, podeszła do półki i wsunęła dłoń za wystające książki. Znalazła tam dwa cienkie zeszyty. Louise zabrała je do kuchni. Wyglądały całkiem zwyczajnie, zapisane były rozstrzelonym pismem na przemian ołówkiem, pisakiem i długopisem. Tekst był po angielsku. Na okładce jednego z zeszytów widniał napis: *Memory Book for my mother Paula*.

Louise przewertowała notatnik. Oprócz zapisków znalazła w nim zasuszone kwiatki, wylinkę małej jaszczurki, kilka wyblakłych fotografii oraz sporządzony kolorową kredką rysunek przedstawiający twarz dziecka. Przeczytała zeszyt i doszła do wniosku, że zapisany był przez kobietę, która miała niebawem umrzeć, chorowała na AIDS i chciała pozostawić zapiski swoim dzieciom, by miały po niej pamiątkę. „Nie płaczcie zbyt długo, tylko

tyle, by podlać kwiaty, które zasadzicie na moim grobie. Uczcie się i zróbcie pożytek z życia. Zróbcie pożytek z czasu, jaki wam dano”.

Louise spojrzała na twarz czarnej kobiety widoczną na wyblakłej już fotografii. Nieznajoma uśmiechała się do obiektywu i patrzyła wprost na zatroskaną i bezsilną Louise.

Zacząła czytać drugi notatnik zatytułowany *Miriam's Memory Book for her daughter*. Nie było w nim żadnych zdjęć, teksty były krótsze, a litery wykaligrafowane z trudem, widać było, że autorka mocno przyciskała długopis do kartek. Tym razem nie dołączyła kwiatków. Niektóre strony pozostały niezapisane. Pamiętnik wyglądał na niedokończony, urywał się w połowie zdania: *There are so many things I would...*

Louise zastanowiła się, jak Miriam chciała dokończyć to zdanie, co próbowała powiedzieć lub zrobić.

Jest tyle rzeczy, które chciałabym ci jeszcze powiedzieć, Henryku. Tyle jeszcze chciałabym dla ciebie zrobić. Ale ty zniknąłeś, ukryłeś się przede mną na wieki. Zostawiłeś mnie z ogromnym ciężarem – nie mam pojęcia, dlaczego zniknąłeś. Nie wiem, czego szukałeś i co pchnęło cię w objęcia śmierci. Przecież twoje życie dopiero się zaczynało, nie chciałeś umierać. Ale umarłeś. Nic z tego nie pojmuję.

Louise wpatrywała się w leżące na kuchennym stole zeszyty.

Nie rozumiem, po co ci pamiętniki kobiet, które umarły na AIDS. Dlaczego schowałeś je za książkami?

Wyobraziła sobie rozłożone skorupy antycznego naczynia. Wybrała największe z nich, mając nadzieję, że zadziałają jak magnesy i przyciągną do siebie pozostałe odłamki, a jej oczom ukaże się całość.

Czerwona ziemia na podeszwach butów. Gdzie ty byłeś, Henryku?

Wstrzymała oddech, próbując dostrzec jakiś związek między elementami układanki.

Muszę być cierpliwa. Archeologia nauczyła mnie przecież, że kolejne warstwy ziemi odkrywają swoje skarby powoli, należy przeszukiwać metodycznie, jedną po drugiej. Nigdy nie należy się spieszyć.

Wyszła z mieszkania późnym wieczorem i skierowała się w stronę innego hotelu, w którym wynajęła pokój. Dotarła na miejsce i zadzwoniła do Artura, by mu powiedzieć, że wkrótce do niego wróci. Potem odszukała wizytówkę Görana Vrede i zatelefonowała do niego do domu. Odebrał od razu, najwyraźniej jeszcze nie położył się spać. Po krótkiej rozmowie ustalili, że Louise przyjdzie do jego biura nazajutrz o dziewiątej.

Rozłączywszy się, opróżniła parę buteleczek z alkoholem, które znalazła w barku. Zasnęła niespokojnym snem i obudziła się niedługo po północy. Leżała w łóżku i do rana nie zmrużyła już oka.

Odłamki naczynia milczały.

Göran Vrede czekał na nią przy drzwiach do komisariatu. Pachniał dymem tytoniowym. Prowadząc Louise do swojego biura, wyjawiał jej, że kiedyś chciał się zajmować zawodowo poszukiwaniem kości. Louise w pierwszej chwili nie zrozumiała, co policjant ma na myśli, usłyszała wyjaśnienie dopiero, kiedy usiadła przy jego uginającym się pod stertami papierów biurku.

Podczas studiów fascynował się rodziną Leakey, która poświęciła się poszukiwaniu ludzkich szczątków. Ludzi niestety nie znaleziono, udało im się jednak odkryć ślady małp człowiekowatych w części Afryki zwanej Rift Valley.

Göran Vrede zgarnął z biurka warstwę papierów i wystukał jakiś numer na klawiaturze telefonu.

– Marzyłem o tym – mówił dalej – choć w głębi ducha wiedziałem, że zostanę policjantem. Mimo to miałem wielkie marzenie, że kiedyś uda mi się odnaleźć to, co wówczas nazywano „brakującym ogniwnem”. Kiedy małpa przestała być małpą i stała się człowiekiem? A może powinniśmy mówić inaczej: kiedy człowiek przestał być małpą? Do dziś, kiedy mam trochę wolnego, czytam artykuły na ten temat, śledzę najnowsze badania. Zrozumiałem już jednak, że jeśli kiedykolwiek uda mi się znaleźć jakiegokolwiek brakujące ogniwo, będzie ono miało związek wyłącznie z moją robotą.

Nagle zamilkł, jakby zdał sobie sprawę, że zdradził Louise jakąś tajemnicę. Przyglądała mu się smutnym wzrokiem. Miała przed sobą człowieka o niespełnionym młodzieńczym marzeniu. Świat jest pełen ludzi takich jak Göran Vrede, pomyślała. Ludzi w średnim wieku, noszących w sobie cień dawnego snu, blado

odzwierciedlający pasję z młodości. A o czym ja kiedyś marzyłam? Właściwie chyba o niczym innym. Archeologia była moją jedyną pasją, odkąd wyzwoliłam się z żelaznych objęć Emila i odjechałam od niego prawie dwieście kilometrów na północ, do Östersund, tam dopiero stając się dorosłym człowiekiem.

Louise wiele razy dochodziła do wniosku, że jej życie potoczyłoby się całkiem inaczej, gdyby nigdy nie znalazła się w Rätansbyn, miejscowości między Östersund a Sveg, gdzie miał przerwę wiozący ją do domu autobus. Obok przystanku stała budka z kiełbaskami. Wszystkich pasażerów, wyczerpanych podróżą, dopadł nagle wielki głód i przed budką utworzyła się długa kolejka. Ci, którzy znaleźli się na jej końcu, musieli zdecydować, czy obejść się smakiem, czy kontynuować podróż. Tamtego dnia Louise nie stanęła w kolejce. Została w autobusie i właśnie wtedy zdecydowała, że chce być archeologiem. Wcześniej długo się wahała, czy nie wybrać trwających długie lata studiów medycznych i nie zostać pediatrą. Jednak tamtego dnia podjęła ostateczną decyzję i pozbyła się wszelkich wątpliwości. Postanowiła, że spędzi życie na odkrywaniu przeszłości. Wyobrażała sobie, że będzie pracować w terenie, choć całkowicie sobie uświadamiała, że praca archeologa oznacza również wydzieranie tajemnic starym manuskryptom, obalanie twierdzeń, które poczyniły wcześniejsze pokolenia archeologów. Po paru chwilach otoczyli ją ludzie przeżuający kiełbasę z musztardą i keczupem, a ją nagle ogarnął spokój. Była już pewna.

Göran Vrede, który wyszedł na moment z pokoju, wrócił z kubkiem kawy. Louise wcześniej podziękowała, nie miała ochoty na nic do picia. Poprawiła się na krześle, przygotowując się psychicznie na to, że będzie musiała stawić opór policjantowi.

Vrede przemówił do niej przyjaznym głosem, jakby byli dobrymi znajomymi.

– Nic nie wskazuje na to, by pani syn został zamordowany – oznajmił.

– Niech mi pan powie wszystko, co pan wie.

– Zostało nam jeszcze sporo do ustalenia. Wyjaśnienie przyczyny, dla której nagle umiera młody człowiek, zajmuje niestety trochę czasu. Śmierć to skomplikowany, złożony i czasem bardzo mętny proces. Potrafimy dużo dokładniej opisać początek życia niż jego koniec.

– Rozmawiamy o moim synu! Nie o jakimś płodzie czy starcu z domu opieki! – krzyknęła Louise.

Zastanawiała się potem, czy Göran Vrede spodziewał się po niej podobnego wybuchu. Musi być przyzwyczajony do takich sytuacji, pomyślała. Pewnie nieraz widział zrozpaczonych rodziców, desperacko domagających się jakiejś formy zadośćuczynienia po stracie dziecka, niezależnie od tego, jak bezcelowe mogłoby się to wydawać. Wiedzieli, że powinni tak reagować, żeby nie wyjść na złych rodziców, niewystarczająco zrozpaczonych po śmierci dziecka.

Göran Vrede otworzył leżącą przed nim na biurku plastikową teczkę.

– Nie znamy przyczyny śmierci pani syna – powiedział. – Powinniśmy ją już znać, dlatego naprawdę bardzo mi przykro. Z powodów od nas niezależnych podczas badań laboratoryjnych uległo zniszczeniu parę próbek, więc musimy te badania powtórzyć. Patolog i laboranci pracują bez wytchnienia. Muszą być dokładni, więc niestety to trochę potrwa. Oczywiście najpierw będziemy szukać śladu wskazującego, że do śmierci pani syna przyczyniły się osoby trzecie. Na razie jednak na nic takiego nie natrafiliśmy.

– Henryk nie był typem samobójcy.

Göran Vrede długo przyglądał się Louise, nim odpowiedział.

– Mój ojciec nazywał się Hugo Vrede. Wszyscy mieli go za najszcześniejszego człowieka na świecie. Zawsze się śmiał, kochał swoją rodzinę. Pracował jako typograf w „Dagens Nyheter”² i każdego dnia z entuzjazmem wyruszał do pracy. Mimo to w wieku czterdziestu dziewięciu lat niespodziewanie popełnił samobójstwo. Doczekał przyjścia na świat swojego pierwszego wnuka, dostał podwyżkę i właśnie zakończył wieloletni spór z siostrami, dzięki czemu stał się jedynym właścicielem domu letniskowego na wyspie Utö. Miałem wtedy jedenaście lat, byłem jeszcze szczeniakiem. Każdego wieczoru ojciec przychodził do mojego pokoju i przytulał mnie na dobranoc. Pewnego wtorkowego ranka wstał o tej porze co zwykle, zjadł śniadanie, był jak zawsze w dobrym humorze. Sznurując buty, pogwizdywał wesoło i zanim wyszedł, pocałował mamę na do widzenia. Wsiadł na rower i pojechał do pracy, tą samą drogą co zwykle, lecz zamiast skrócić w Torsgatan, odbił nagle w inną stronę. Tego dnia tak naprawdę nie wybierał się do pracy. Wyjechał z miasta i gdzieś w okolicach Sollentuny skrócił w małą dróżkę wiodącą do lasu. Jest tam złomowisko, które widać z samolotu tuż przed lądowaniem na lotnisku Arlanda. Ojciec dotarł tam, porzucił rower wśród żelastwa i zniknął. Po jakimś czasie znaleziono go na tylnym siedzeniu starego dodge’a. Położył się tam, zażył sporą porcję tabletek nasennych i umarł. Miałem jedenaście lat. Doskonale pamiętam pogrzeb. Wszyscy byliśmy w szoku, ale najgorszy ból odczuwaliśmy dlatego, że nikt z nas nie mógł tego pojąć. Cała ceremonia odbyła się pod znakiem jednego pytania: dlaczego? Stypa u nas w domu przebiegała w milczeniu.

Louise poczuła się tak, jakby rzucono jej wyzwanie. Przecież mój syn nie ma nic wspólnego z ojcem Görana Vrede, pomyślała.

Policjant, najwyraźniej odgadłszy jej myśli, przewertował kartki w teczce, mimo że doskonale wiedział, co się w niej znajduje.

– Nie umiemy wyjaśnić przyczyny śmierci pani syna – powiedział. – Jesteśmy jednak pewni, że zdarzeniu temu nie towarzyszyła żadna przemoc.

– Wiem o tym, sama go przecież znalazłam.

– Naprawdę nic nie wskazuje na to, żeby ktoś się do tego przyczynił.

– Co mówi lekarz?

– Na razie nie da się jednoznacznie stwierdzić, co było przyczyną śmierci. Nic w tym dziwnego, bo kiedy nagle umiera młody, z pozoru zupełnie zdrowy człowiek, właściwie nie wiadomo, gdzie szukać. Z czasem jednak wszystko się wyjaśni.

– Co się wyjaśni?

Göran Vrede pokręcił głową.

– Patolog trafi na jakiś szczegół, na drobną część, która nagle przestała działać. Coś, co okazało się tak groźne, jak rysa na wielkiej tamie lub wybuch wulkanu.

– Musiało się wydarzyć coś nienaturalnego – upierała się Louise.

– Dlaczego pani tak sądzi? Proszę mi to wyjaśnić.

Tym razem głos policjanta zabrzmiał nieco inaczej, dało się w nim usłyszeć nutę zniecierpliwienia.

– Dobrze znałam mojego syna. Henryk był szczęśliwym człowiekiem.

– A co to właściwie znaczy?

– Nie chcę rozmawiać o pana ojcu. Mówię o Henryku. On nie umarł z własnej woli.

– Ale jednocześnie nikt go nie zabił. Zatem albo przyczyną jego śmierci był jakiś uszczerbek na zdrowiu, albo pani syn odebrał sobie życie. Robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby to jak najszybciej wyjaśnić. Wkrótce będziemy wiedzieli.

– A potem?

– Co pani ma na myśli?

– Co, jeśli nie znajdziecie przyczyny?

W pokoju zapadła cisza, która zdawała się wędrować tam i z powrotem, od Louise do Görana Vrede.

– W tej chwili nie jestem w stanie nic więcej dla pani zrobić – oznajmił policjant.

– Nikt nie może nic dla mnie zrobić – rzuciła Louise, zrywając się z krzesła. – Nie znajdziecie żadnego wyjaśnienia, żadnej drobnej części, która nagle przestała działać w ciele Henryka. Mój syn zginął, bo ktoś inny chciał jego śmierci, nie on sam.

Göran Vrede odprowadził ją do wyjścia. Rozstali się w milczeniu.

Louise wyjechała ze Sztokholmu. Tuż przed zjazdem do Sali zatrzymała się na przydrożnym parkingu, odchyliła oparcie fotela i po chwili zapadła w ciężki sen.

We śnie pojawił się Vassilis. Zaklinał się, że nie miał nic wspólnego ze śmiercią Henryka.

Gdy się obudziła, ruszyła dalej na północ. W tym śnie była ukryta wiadomość, pomyślała. Śniłam o Vassilisie, ale tak naprawdę o sobie samej. Próbowałam samą siebie przekonać, że nie opuściłam Henryka w trudnych chwilach. Mimo to nie słuchałam go tak uważnie, jak powinnam była.

Dojechawszy do Orsa, stanęła, żeby coś zjeść. W gospodzie, w której się zatrzymała, hałasowało kilku młodych mężczyzn

w bluzach z logo jakiegoś klubu piłkarskiego. A może drużyny hokejowej? Louise poczuła nagłą chęć, by opowiedzieć im o Henryku i poprosić ich o spokój. Zamiast tego zaczęła płakać. Kierowca ciężarówki z opasłym brzuszyskiem przyglądał się jej ukradkiem. Louise pokręciła głową i mężczyzna natychmiast odwrócił wzrok. Po chwili zauważyła, że grubas w skupieniu wypełnia jakiś kupon. Życzyła mu w myślach, by wygrał.

Był już wieczór, kiedy wjechała w lasy północnego krańca regionu Dalarna. Znów zdawało jej się, że na pagórku stoi łoś. Zatrzymała się na poboczu i wysiadła z auta. Skupiła całą swoją uwagę, chcąc odnaleźć to, co do tej pory jej umykało.

Śmierć Henryka nie miała naturalnej przyczyny. Ktoś go zamordował. Coś go zabiło. Czerwona ziemia na podeszwach jego butów. Pamiętniki. Nagły przypływ dobrego nastroju. Czego wciąż nie dostrzegam? Być może odłamki tworzą już całość, ale ja nie umiem ich do siebie dopasować.

W Noppikoski ponownie się zatrzymała, zmęczenie nie pozwalało jej dalej prowadzić.

Znów przyśniła jej się Grecja, lecz tym razem gdzieś w tle majaczył Vassilis. Louise pracowała przy wykopaliskach i nagle wydarzyła się katastrofa. Przysypała ją ziemia. Ogarnęło ją przerażenie. W chwili kiedy poczuła, że już dłużej nie wytrzyma, nagle się przebudziła.

Ruszyła dalej na północ. Ostatni sen nie wymagał interpretacji.

Dotarła do Sveg późną nocą; kiedy jej samochód wtoczył się na podjazd przed domem, w kuchni nadal świeciło się światło. Artur nie spał, jak zwykle. Louise nie mogła się nadziwić, jak ojciec był w stanie funkcjonować przez tyle lat, wciąż odmawiając sobie snu.

Kiedy weszła do środka, zastała Artura siedzącego przy stole. Oliwił narzędzia do rąbania drewna. Nie wyglądał na zaskoczonego, że zjawiała się w środku nocy.

– Jesteś głodna? – zapytał.

– Jadłam w Orsie.

– To daleko stąd.

– Nie jestem głodna.

– W porządku.

Usiadła na swoim miejscu przy stole i wygładziwszy dłonią obrus, opowiedziała ojcu wszystko, co wydarzyło się w Sztokholmie. Kiedy skończyła, długo siedzieli w milczeniu.

– Być może ten Vrede ma rację – odezwał się w końcu Artur. – Dajmy mu szansę na wyjaśnienie tej sprawy.

– Nie wierzę, że robią wszystko, co w ich mocy, jak się wyraził. Mam wrażenie, że Henryk wcale ich nie obchodzi. Jest po prostu kolejnym martwym chłopakiem znalezionym w łóżku. Mają takich tysiące.

– Jesteś niesprawiedliwa.

– Wiem, ale tak właśnie czuję.

– Ja jednak dalej uważam, że powinniśmy poczekać.

Louise wiedziała, że Artur ma rację. Zdawała sobie sprawę, że prawda nigdy nie wyjdzie na jaw, jeśli nie da się szansy lekarzom, starającym się znaleźć przyczynę śmierci Henryka.

Była zmęczona. Właśnie miała zamiar wstać od stołu i pójść się położyć, kiedy Artur zatrzymał ją gestem.

– Próbowałem znaleźć Arona – powiedział.

– Udało ci się?

– Nie. Ale przynajmniej próbowałem. Ponownie skontaktowałem się ze szwedzką ambasadą w Canberze, poza tym udało mi się

porozmawiać z paroma osobami z tego stowarzyszenia. Niestety nikt nie słyszał o Aronie Cantorze. Jesteś pewna, że on mieszka w Australii?

– Jeśli chodzi o Arona, nic nigdy nie jest pewne.

– Byłoby naprawdę niedobrze, gdyby nie udało się go powiadomić i gdyby nie przyjechał na pogrzeb.

– Być może on wcale nie chciałby na nim być? Może nie chce zostać odnaleziony?

– Nie sądzę, by ktokolwiek nie chciał być na pogrzebie własnego dziecka.

– Nie znasz Arona.

– Pewnie masz rację. Bardzo rzadko go tu do mnie przywoziłaś.

– O co ci chodzi?

– Nie musisz się od razu unosić. Poza tym dobrze wiesz, że mam rację.

– Wcale nie masz racji. Nigdy nie ukrywałam przed tobą Arona.

– Dobrze, już za późno na taką dyskusję.

– To nie żadna dyskusja, ale bezsensowna rozmowa. Dziękuję ci, że zadałeś sobie trud, żeby znaleźć Arona, ale z pewnością nie będzie go na pogrzebie.

– I tak jestem zdania, że powinniśmy nadal próbować go odnaleźć.

Louise nie odpowiedziała. Artur też nie odezwał się ani słowem.

Pogrzeb Henryka odbył się dwa tygodnie później w kościele w Sveg. W ceremonii nie uczestniczył jego ojciec. Po tym jak w prasie pojawił się nekrolog, wiele osób skontaktowało się z Nazrin, która bardzo pomogła Louise przetrwać te ciężkie dni. Wielu znajomych Henryka, o których Louise, nigdy nie słyszała, chciało przyjść na

pogrzeb, ale do Härjedalen było dla nich za daleko. Nazrin wpadła na pomysł, żeby po pogrzebie w Sveg zorganizować ceremonię dla przyjaciół w Sztokholmie. Louise uznała, że skoro zależy jej na wyjaśnieniu przyczyny śmierci Henryka, powinna poznać jego znajomych. Po pogrzebie nie miała już jednak siły, by angażować się w cokolwiek więcej. Poprosiła Nazrin, by wszystkim się zajęła.

Pogrzeb odbył się 20 października o godzinie pierwszej. Nazrin przyjechała dzień wcześniej z koleżanką o imieniu Vera, którą, jak zdawało się Louise, też kiedyś coś łączyło z Henrykiem. W ceremonii wzięła udział zaledwie garstka ludzi. Louise odebrała to jako wielką zdradę wobec Henryka, zdradę ze strony wszystkich, których spotkał w życiu. Zrozumiała jednak, że tak musi być.

Zanim wszystko zostało zorganizowane, Louise i Artur pokłócili się o to, kto ma przewodniczyć ceremonii. Louise upierała się, że Henryk z pewnością nie życzyłby sobie żadnego duchownego, Artur zaś obstawał przy czymś całkiem odmiennym, twierdząc, że jego wnuk był bardzo przywiązany do religii. Poza tym kto miałby poprowadzić świecką ceremonię w Sveg? Pastor Nyblom słynął z umiarkowanych kazań, czerpał inspirację z potocznego języka. Artur był przekonany, że uda mu się przekonać pastora, by pochówek Henryka odbył się w sposób zbliżony do świeckiego.

Louise w końcu się poddała. Nie miała siły, by walczyć. Każdego dnia czuła się coraz słabsza.

We wtorek 19 października zadzwonił Göran Vrede. Badania wykazały, że Henryk zmarł wskutek spożycia dużej dawki środka nasennego. Policjant jeszcze raz przeprosił Louise, że tak długo to trwało, ona zaś słuchała go pogrążona w letargu. Wiedziała, że Vrede nigdy nie przekazałby jej tych wieści, gdyby nie miał

stuprocentowej pewności, że naprawdę tak było. Obiecał jej przesłać całą dokumentację, jeszcze raz złożył kondolencje, po czym oznajmił, że tym samym śledztwo zostaje zamknięte. Policja nie miała nic więcej do dodania, w sprawę nie została zaangażowana prokuratura, gdyż stwierdzono, że śmierć nastąpiła wskutek samobójstwa.

Kiedy Louise streszczała rozmowę Arturowi, ten powiedział:

– No to wiemy przynajmniej tyle. Nie musimy już tego drażnić.

Louise wiedziała, że Artur sam nie wierzył w te słowa. Była pewna, że ojciec do końca życia będzie się zastanawiał nad przyczyną śmierci Henryka. Dlaczego postanowił odebrać sobie życie? Czy naprawdę tak było?

Nazrin i Vera zgodnie stwierdziły, że trudno uwierzyć w to, co powiedział Vrede. Nazrin doszła do wniosku, że gdyby Henryk zamierzał popełnić samobójstwo, wybrałby całkiem inny sposób. Z pewnością nie zdecydowałby się na tabletki nasenne, były za mało spektakularne.

Obudziwszy się rankiem 20 października, Louise zauważyła, że w nocy był przymrozek. Poszła na spacer w stronę mostu kolejowego, a potem długo stała przy barierce, przyglądając się płynącej w dole czarnej wodzie, tak samo czarnej jak ziemia, której miała powierzyć ciało Henryka. W tej kwestii Louise postawiła na swoim. Nie zamierzała spalić jego zwłok, chciała, by został pochowany tradycyjnie. Patrząc na wodę, uświadomiła sobie, jak wiele razy stała w tym miejscu, kiedy była młoda i nieszczęśliwa. Zdarzyło się nawet, że chciała odebrać sobie życie. Nagle poczuła się tak, jakby Henryk stał tuż obok. On też by nie skoczył, pomyślała. Trzymałby się życia, nie dałby za wygraną.

Louise spędziła na moście cały poranek.

Dziś pochowam moje jedyne dziecko. Nigdy już nie będę miała innego. W trumnie Henryka spoczywa spora część mojego życia. Ona nigdy już nie powróci.

Trumna była brązowa, zdobiły ją tylko róże, ponieważ Louise nie chciała żadnych wieńców. Organista zagrał Bacha i utwór Scarlattiego, który sam wcześniej zaproponował. Pastor przemawiał spokojnie, niewiele wspominał o Bogu. Louise siedziała obok Artura, miejsca po przeciwnej stronie trumny zajęły Nazrin i Vera. Louise zdawała się obserwować ceremonię z bardzo daleka. Mimo to zdarzenia tego dnia dotyczyły przede wszystkim jej. Trudno współczuć umarłemu. Kto jest martwy, nie żyje i nie roni łez. Ona zaś nadal czuła, że jest ruiną człowieka. Jednak gdzieś jeszcze tkwiła w niej cząstka niezniszczona przez cierpienie. I tę cząstkę Louise próbowała chronić.

Nazrin i Vera pożegnały się dość wcześnie, chcąc zdążyć na autobus do Sztokholmu. Miały przed sobą długą drogę. Nazrin obiecała Louise, że pozostaną w kontakcie, zaproponowała też, że kiedy Louise dojrzeje już do myśli, by uprzątnąć mieszkanie Henryka, ona jej w tym pomoże.

Wieczorem Louise i Artur usiedli przy kuchennym stole przy butelce wódki. Artur dolewał sobie alkoholu do kawy, Louise rozcieńczała go słodzonym napojem. Oboje się upili, zawarłszy nieme porozumienie, że tak właśnie zrobią. Kiedy nastąpiła dziesiąta, każde z nich bezwładnie jakby wisiało nad stołem.

– Jutro wyjeżdżam – oznajmiła Louise.

– Wracasz do Grecji?

– Zawsze się dokądś wraca. Pojadę tam. Mam do skończenia pracę. Nie wiem, co będzie potem.

Nazajutrz, wczesnym rankiem, Artur odwiózł Louise na lotnisko w Östersund. Delikatny śnieg oprószył pola białym pudrem. Artur uścisnął jej dłoń na pożegnanie, prosząc, by na siebie uważała. Louise dostrzegła, że ojciec próbował powiedzieć coś jeszcze, ale nie znalazł odpowiednich słów. Kiedy siedziała już w samolocie i zmierzała w stronę sztokholmskiego lotniska Arlanda, odgadła, że Artur jeszcze tego samego dnia pójdzie do lasu wyrzeźbić twarz Henryka.

Następny lot był o 11.55. We Frankfurcie miała się przesiąść na samolot do Aten. Kiedy jednak znalazła się w Niemczech, cały jej plan niespodziewanie się posypał. Odwołała rezerwację i długo patrzyła przez szybę na wilgotne od mżawki lotnisko.

W jednej chwili wiedziała już, co powinna zrobić. Artur miał rację i jednocześnie się mylił, ale to nie z jego powodu zmieniła zdanie. Louise sama podjęła decyzję.

Aron. Przecież musiał gdzieś być.

Późnym wieczorem tego samego dnia wsiadła do samolotu linii Qantas, lecącego do Sydney. Jediną rzeczą, jaką zrobiła przed wyjazdem, było zatelefonowanie do Grecji, do kolegów z pracy, którym zakomunikowała, że nie może jeszcze przyjechać.

Najpierw muszę odbyć inną podróż i inne spotkanie, pomyślała.

Na miejscu obok niej siedziała dziewczynka podróżująca bez opiekuna. Młoda pasażerka nie interesowała się tym, co działo się wokół. Zajmowała ją tylko lalka, dziwne połączenie słonia i starszej pani.

Louise Cantor wyrzała przez okno, prosto w ciemność.
Aron. Przecież musiał gdzieś być.

7

Podczas międzylądowania w Singapurze Louise wyszła z samolotu i spacerowała w ciepłym, wilgotnym powietrzu, po wyłożonych żółtobrazową wykładziną długich korytarzach lotniska, wiodących do coraz odleglejszych terminali.

Zatrzymała się przy jednym z butików i kupiła notatnik. Miał fioletową okładkę ozdobioną wyhaftowanymi ptakami. Dziewczyna, która sprzedała jej notes, uśmiechnęła się do niej przyjaźnie. Oczy Louise natychmiast zaszkliły się od łez, więc szybko się odwróciła i wyszła ze sklepu.

Wracając do samolotu, znów poczuła zbliżający się atak paniki. Szła blisko ściany, przyspieszyła kroku i starała się skoncentrować na tym, by miarowo oddychać. Bała się, że lada chwila upadnie na ziemię i ogarnie ją ciemność. Nie chciała się obudzić na żółtobrazowej wykładzinie, nie chciała upadać. Nie teraz, kiedy wreszcie podjęła decyzję, że spróbuje odnaleźć Arona.

Samolot do Sydney wystartował tuż po drugiej w nocy. Louise już we Frankfurcie straciła poczucie czasu i przestała kontrolować zmieniające się strefy. Wpadła w otepienie i wydawało jej się, że unosi się w próżni. Być może był to jedyny sposób, by znaleźć Arona. Podczas spędzonych z nim lat Louise nabrała przekonania, że jej mąż ma niezwykłą zdolność wyczuwania, kiedy ona była w drodze do domu, gdy się do niego zbliżała. Pamiętała chwile rozgoryczenia, kiedy wręcz żałowała, że nigdy nie uda jej się przyłapać go na gorącym uczynku. O ile ją zdradzał, oczywiście.

Dostała miejsce od strony przejścia, 26D. Obok niej usiadł sympatyczny starszy mężczyzna, który przedstawił się jako

emerytowany pułkownik australijskich sił powietrznych. Nie próbował przy tym nawiązać rozmowy, za co Louise była mu ogromnie wdzięczna. Siedziała w nieoświetlonej kabinie i popijała ze szklaneczki wodę, dyskretnie i w równych odstępach czasu roznoszoną przez stewardesę. W fotelu po drugiej stronie przejścia siedziała kobieta w wieku Louise. Ze słuchawkami na uszach słuchała radia.

Louise wyjęła nowo zakupiony notatnik, włączyła lampkę, znalazła w torebce długopis i zaczęła pisać. Czerwona ziemia. Od tych dwóch słów zaczęła. Dlaczego to one za każdym razem przychodzą mi do głowy jako pierwsze? Czy był to najważniejszy trop? Co jest tym najważniejszym elementem, do którego będę musiała dopasować resztę?

Raz jeszcze przejrzała w myślach pamiętniki dwóch martwych lub umierających kobiet znalezione w mieszkaniu Henryka.

Skąd Henryk je miał? Przecież nie był dzieckiem, które potrzebowało pamiętek po swojej matce. Wiedział o niej sporo. Jeśli nie wszystko, to z pewnością całkiem dużo. Z Aronem również miał kontakt, mimo że ojciec właściwie nie był obecny w jego życiu. Skąd wziął te pamiętniki? Kto mu je dał?

Po namyśle Louise zanotowała pytanie: Skąd wzięła się czerwona ziemia? Nie wymyśliła jednak nic więcej. Odłożyła notatnik, zgasła lampkę i zamknęła oczy. Potrzebuję Arona, by móc trzeźwo myśleć, stwierdziła. W ciągu najlepszych lat, jakie ze sobą spędzili, był on nie tylko dobrym kochankiem, ale potrafił też słuchać. Należał do nielicznej grupy osób, które umieją udzielać porad, nie oglądając się na własne korzyści.

Louise otworzyła oczy i spojrzała w ciemność. Być może takiego Arona najbardziej jej było brak? Umiejącego słuchać, niezwykle

mądrego mężczyzny. Tego, w którym się zakochała i któremu urodziła syna?

Jego właśnie szukam, stwierdziła. Bez jego pomocy nigdy nie pojmę, co tak naprawdę się stało. Bez jego wsparcia nigdy nie uda mi się wrócić do dawnego życia.

Resztę nocy trochę przedzręmała, próbowała też słuchać radia, ale na żadnym z kanałów nie znalazła muzyki, która by pasowała do jej nastroju. Tkwiąc w klatce, pomyślała. W klatce o cienkich ścianach, lecz mimo to wystarczająco grubych, by osłonić mnie przed zimnem i zawrotną prędkością. Klatka ta niesie mnie na inny kontynent, którego nigdy nie spodziewałam się ujrzeć. Za którym nigdy nie tęskniłam.

Na parę godzin przed lądowaniem w Sydney do Louise nagle dotarło, że decyzja podjęta przez nią we Frankfurcie nie miała żadnego sensu. Nigdy nie uda jej się znaleźć Arona, uświadomiła sobie. Zaczęła się też obawiać, że kiedy znajdzie się na krańcu świata zupełnie sama, dopadnie ją bezkresny smutek i desperacja.

Nie mogła jednak zawrócić klatki i kazać jej wracać do Frankfurtu. W końcu więc, tuż nad ranem, gumowe koła maszyny dotknęły płyty lotniska w Sydney. Louise wysiadła z samolotu całkiem rozbudzona. Sympatyczny celnik wyjął z jej torebki jabłko i wrzucił je do kosza na śmieci. Po odbyciu odprawy udała się prosto do punktu informacji turystycznej, gdzie zarezerwowano dla niej pokój w Hiltonie. Cena noclegu zaparła jej dech w piersiach, nie miała jednak siły, by zmienić rezerwację. Wymieniła pieniądze w kantorze, wzięła taksówkę i kazała się zawieźć do hotelu. Patrząc na budzące się ze snu miasto, pomyślała, że Aron musiał kiedyś

przebyć tę samą drogę, jechał tymi samymi ulicami, przecinał te same mosty.

Dostała pokój, w którym nie dało się otworzyć okna. Gdyby nie była tak zmęczona, odwołałaby rezerwację i poszukała innego hotelu. Czuła, że dusi się w tym zamkniętym pomieszczeniu. Zmusiła się, by wziąć prysznic, i nago weszła pod kołdrę. Zupełnie jak Henryk, przyszło jej na myśl. Kładę się spać bez piżamy. Dlaczego na ostatnią noc w swoim życiu mój syn włożył piżamę?

Rozmyślając nad tym, zasnęła i obudziła się dopiero w południe. Ubrała się i wyszła na spacer do portu. Dotarła pod budynek opery i weszła do mieszczącej się nieopodal włoskiej restauracji, żeby coś zjeść. Powietrze było chłodne, ale przyjemnie przygrzewało słońce. Popijając wino, Louise zastanawiała się, dokąd powinna się udać najpierw. Artur rozmawiał już z ambasadą, nawiązał też kontakt ze stowarzyszeniem szwedzko-australijskim, które twierdziło, że ma w bazie wszystkich imigrantów ze Szwecji. Lecz Aron nie jest imigrantem, pomyślała. Z pewnością się nie zarejestrował. Był jednym z tych, którzy zawsze mają przynajmniej dwie drogi ucieczki i dwa wyjścia ze swojej kryjówki.

Wiedziała, że nie może dać za wygraną. Jeśli tylko Aron mieszka w Australii, musi być jakiś sposób, by go odnaleźć, stwierdziła. Mój były mąż jest jednym z tych, którzy zapadają w pamięć. Kto choć raz spotkał Arona, musiał go zapamiętać.

Właśnie miała zbierać się do wyjścia, kiedy nagle usłyszała, że siedzący obok mężczyzna rozmawia przez komórkę po szwedzku. Louise domyśliła się, że po drugiej stronie linii jest kobieta. Chodziło o naprawę samochodu. Zakończywszy rozmowę, mężczyzna uśmiechnął się do niej.

– *There's always problems with cars. Always* – powiedział.

– Mówię po szwedzku – odparła Louise. – Absolutnie się z panem zgadzam, z samochodami są wieczne problemy.

Mężczyzna podszedł do jej stolika, żeby się przywitać. Nazywał się Oskar Lundin, miał silny uścisk dłoni.

– Louise Cantor – powtórzył, usłyszawszy jej imię i nazwisko. – Ładnie się pani nazywa. Pani tu przejazdem czy na stałe?

– Moja wizyta tu jest zupełnie przypadkowa, od mojego przybycia nie minęła nawet doba.

Oskar Lundin zapytał gestem, czy może się przysiąść, po czym przysunął sobie krzesło. Kelner przestawił kawę z jego stolika.

– Piękny dzień, prawda? – zagadnął wesoło. – Niby wciąż jeszcze zimno, ale w powietrzu czuć już zbliżającą się wiosnę. Nidy nie przestanę się dziwić, jak skonstruowany jest ten świat. Tam jesień, tu wiosna, a dzielą nas morza i oceany.

– Od dawna pan tu mieszka?

– Przyjechałem w 1949 roku, miałem wtedy dziewiętnaście lat. Wyobrażałem sobie, że żyje się tu łatwo i przyjemnie. Byłem słabo wykształcony, ale miałem zacięcie do ogrodnictwa, lubiłem rośliny. Tego jednego byłem pewien: że zawsze będę mógł się utrzymać ze strzyżenia płotów i przycinania drzew.

– Dlaczego pan tu przyjechał?

– Miałem nieciekawych rodziców. Proszę mi wybaczyć szczerość. Ojciec był pastorem, który nienawidził wszystkich, którzy nie wierzyli w jego Boga. Ponieważ ja dość wcześnie mu oznajmiłem, że jestem niewierzący, zaczął mnie tłuc i robił to dopóki, dopóty nie stałem się silniejszy od niego. Potem przestał się do mnie odzywać. Matka niby wiecznie robiła za mediatorkę, ale była przy tym wyrachowana i nigdy nie zrobiła nic, by ułatwić mi życie, jeśli

wcześniej nie zaoferowałem jej niczego w zamian. Szantażowała mnie emocjonalnie, wzbudzała wyrzuty sumienia, oskarżała mnie o to, że nie dostrzegam jej poświęcenia, słowem, wyciskała mnie tak, jak się ciśnie cytrynę. Zrobiłem więc jedyne, co mogłem: po prostu dałem w długą. I mimo że minęło już ponad pięćdziesiąt lat, nigdy tam nie wróciłem. Nie pojechałem nawet na pogrzeb rodziców. Mam w Szwecji siostrę, z którą rozmawiam co roku na Boże Narodzenie. Poza tym nie ruszam się stąd. No i zostałem ogrodnikiem. Mam firmę, która zajmuje się nie tylko stryżeniem trawników i żywopłotów, ale zakłada również całe ogrody, jeśli tylko znajdzie się ktoś, kto jest gotów za to zapłacić.

Oskar Lundin upił łyk kawy, po czym przestawił krzesło tak, by siedzieć twarzą do słońca. Louise postanowiła, że nie ma nic do stracenia.

– Szukam pewnego mężczyzny – powiedziała. – Nazywa się Aron Cantor. Kiedyś byliśmy małżeństwem. Wydaje mi się, że mieszka w Australii.

– Wydaje się pani? – zdziwił się Lundin.

– Nie mam pewności. Pytałam już w ambasadzie i w tym szwedzkim stowarzyszeniu.

Oskar Lundin zrobił zniesmaczoną minę.

– Oni nie mają pojęcia o tym, kto mieszka w tym kraju. A ta ich baza jest nic niewarta. Australia to stóg siana, w którym może się skryć wiele igieł.

– Naprawdę? – zdziwiła się Louise. – Ludzie przyjeżdżają tu, żeby się ukryć?

– Tak samo jak ludzie stąd jadą, żeby uciec przed swoimi grzechami na przykład do Szwecji. Nie sądzę, by było tu wiele ciemnych typów ze Szwecji, ale kilku z pewnością się znajdzie.

Dziesięć lat temu mieszkał tu jeden facet z Ånge, który miał na sumieniu zabójstwo. Szwedzi nigdy go nie znaleźli, a on tymczasem leży sobie spokojnie na cmentarzu w Adelajdzie. Mam nadzieję, że pani były mąż nie jest jakimś przestępcą.

– Nie, mam inny powód, żeby go znaleźć.

– Czy nie wszyscy robimy to przez całe życie? Szukamy właściwych ludzi?

– Co by pan zrobił na moim miejscu?

Oskar Lundin zamyślił się, kręcąc filiżanką z do połowy wypitą kawą.

– Poprosiłbym mnie o pomoc – odezwał się w końcu. – Mam w tym kraju bardzo rozległe kontakty. Australia to kraj, w którym nadal najszybciej udaje się wszystko ustalić poprzez zwykłą rozmowę z drugim człowiekiem. Wołamy do siebie, szepczemy i zwykle udaje nam się dowiedzieć tego, na czym nam zależy. Gdzie mogę panią znaleźć?

– Zatrzymałam się w Hiltonie. Mimo że właściwie jest on dla mnie o wiele za drogi.

– Jeśli da pani radę, proszę tam zostać jeszcze dwie doby. Nie potrzeba mi więcej czasu. Jeśli pani były mąż mieszka w tym kraju, na pewno go znajdzie. A jeśli nie, niech pani szuka go gdzie indziej, choćby w Nowej Zelandii. To byłby kolejny sensowny kierunek.

– Trudno mi uwierzyć, że miałam aż tyle szczęścia, by spotkać akurat pana. To wspaniałe, że jest pan gotów pomóc całkiem obcej osobie.

– Staram się robić wszystkie te dobre rzeczy, o których mój ojciec tylko opowiadał.

Oskar Lundin zawołał kelnera i uregulował rachunek. Odchodząc, uchylił kapelusza na pożegnanie.

– Odezwę się do pani w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Mam nadzieję, że będę miał dobre wiadomości. Chociaż szczerze przyznam, że być może zbyt wiele pani naobiecywałem. Zdarzyło mi się obiecać komuś zbyt obfite zbiory z zasadzonych przeze mnie drzew. Do dziś nie daje mi to spokoju.

Louise śledziła go wzrokiem, kiedy szedł prosto w słońce w stronę stacji promowej rysującej się w oddali na tle nieba naznaczonego smugami chmur. Wiele razy w swoim życiu przekonywała się, że nie zawsze udaje jej się trafnie oceniać ludzi. Tym razem jednak miała całkowitą pewność, że Oskar Lundin rzeczywiście spróbuje jej pomóc.

Dwadzieścia trzy godziny później w jej pokoju zadzwonił telefon. Właśnie wróciła z długiego spaceru, podczas którego zastanawiała się, co zrobi, jeśli Lundin nie przekaże jej żadnych wiadomości lub ją po prostu oszukał i nie zadzwoni. Wcześniej tego samego dnia zadzwoniła do ojca, a potem do kolegów w Grecji, by przekazać wiadomość, że nie będzie jej jeszcze przez tydzień, może nawet dwa. Przyjęto to ze zrozumieniem, mimo to Louise dobrze wiedziała, że niebawem będzie się musiała pokazać na wykopaliskach. W przeciwnym razie jej pracodawcy zaczną się niecierpliwić.

Głos Oskara Lundina zabrzmiał w słuchawce dokładnie tak, jak go zapamiętała. Mężczyzna mówił przyjemnym głosem, jego język był trochę przestarzały, wyraźnie brakowało w nim słów, które pojawiły się we szwedzkim w ostatnich dekadach. Tak się mówiło w Szwecji, kiedy była dzieckiem, pomyślała tuż po spotkaniu z Lundinem.

Mężczyzna od razu przeszedł do rzeczy.

– Wygląda na to, że udało mi się odnaleźć pani zbiegłego małżonka – zakomunikował.

– O ile nie ma w tym kraju więcej Szwedów o imieniu i nazwisku Aron Cantor.

– Z pewnością jest tylko jeden – odparła Louise.

– Ma pani pod ręką mapę Australii?

Louise rozłożyła na łóżku zakupioną wcześniej mapę.

– Niech pani położy palec na Sydney. Teraz proszę przesunąć palec wzdłuż drogi na południe, w stronę Melbourne. Potem dalej na południe, wzdłuż wybrzeża, aż trafi pani na miasteczko o nazwie Apollo Bay. Znalazła je pani?

Louise dostrzegła nazwę na mapie.

– O ile moje źródło informacji nie jest w błędzie, od paru lat mieszka tam mężczyzna nazwiskiem Aron Cantor. Nie dowiedziałem się niestety, gdzie dokładnie znajduje się jego mieszkanie czy dom. Mam jednak całkowitą pewność, że taki ktoś mieszka w Apollo Bay.

– Kto to panu powiedział?

– Pewien stary kapitan trawlera, któremu znudziło się Morze Północne i przeniósł się na drugą stronę kuli ziemskiej. Spędza sporo czasu na południowym wybrzeżu. Jest niezwykle ciekawskim człowiekiem, no i ma dobrą pamięć do nazwisk. Dlatego jestem pewien, że znajdzie pani tego swojego Arona Cantora w Apollo Bay. To małe miasteczko, które odżywa tylko latem. O tej porze roku nie ma tam wielu ludzi.

– Nie wiem, jak się panu odwdziczę.

– Dlaczego Szwedzi muszą się ciągle za coś odwdzięczać? Czy nie można po prostu przyjść komuś z pomocą, nie licząc na nic w zamian? Dam pani mój numer telefonu, bo jestem strasznie ciekaw, czy uda się go pani znaleźć.

Louise zanotowała numer na mapie. Gdy mężczyzna pożegnał się i odłożył słuchawkę, wyobraziła sobie, jak Oskar Lundin uchyla jej kapelusza. Stała na środku pokoju, czując, że serce wali jej jak oszalałe.

A więc Aron żyje, pomyślała. A przerwanie podróży do Grecji nie było błędem. Miała szczęście, że usiadła przy stoliku obok tej dobrej wróżki w letnim kapeluszu. Oskar Lundin mógłby być bratem mojego ojca. Kolejnym starszym panem, gotowym bez wahania przyjść mi z pomocą.

Nagle poczuła, że pękła w niej tama hamująca do tej pory całą jej energię. Prawie natychmiast wynajęła samochód i uregulowała rachunek za pokój. Wyjechała z miasta i ruszyła autostradą w stronę Melbourne. Spieszyła się. Aron rzeczywiście zapewne przebywał w miasteczku o nazwie Apollo Bay, ale istniało ryzyko, że zniknie, kiedy tylko poczuje, że ktoś go odnalazł. Louise zaplanowała, że zanocuje w Melbourne, a potem pojedzie dalej na południe.

Włączyła radio i po chwili szukania trafiła na kanał nadający muzykę klasyczną. Uświadomiła sobie, że słucha muzyki po raz pierwszy od śmierci Henryka. Tuż przed północą wjechała do centrum Melbourne. Jak przez mgłę pamiętała, że kiedy była jeszcze małą dziewczynką, w tym mieście odbyła się olimpiada. Majaczyło jej w pamięci nazwisko Nilsson, tak nazywał się szwedzki lekkoatleta. Ojciec Louise darzył go wielkim uznaniem. Artur pokazał jej kiedyś na ścianie domu, jak wysoko Nilsson przeskoczył nad poprzeczką, za co wręczono mu złoty medal. Jak ten Nilsson miał na imię? Może Rickard? Nie mogła sobie przypomnieć. Niewykluczone, że pomyliła osoby, może nawet igrzyska. Postanowiła zapytać o to Artura po powrocie.

Wynajęła pokój w hotelu mieszczącym się blisko budynków parlamentu, znów zdecydowanie za drogo. Była jednak zbyt zmęczona, by szukać czegoś tańszego. Kilka przecznic dalej znalazła miniaturowe Chinatown i zjadła późną kolację w pustej restauracji. Sennie przeżuwała ryż z pędami bambusa, podczas gdy większość kelnerów wpatrywała się w telewizor. Louise upiła się paroma lampkami wina. Wciąż rozmyślała o Aronie. Zastanawiała się, czy uda jej się go nazajutrz odnaleźć, czy też zdążył już przed nią uciec.

Po jedzeniu poszła na spacer, chcąc się przewietrzyć i trochę wytrzeźwieć. Błądziła jak we mgle, mijając po drodze nieznajome twarze. Wędrowała tak aż do świtu.

Wpół do siódmej zjadła śniadanie i wyjechała z Melbourne. Tego dnia padał deszcz, a znad oceanu wiał zimny, porywisty wiatr. Wsiadając do auta, Louise drżała z zimna.

Gdzieś w tym deszczu i wietrze jest Aron, pomyślała. Nie spodziewa się mnie ani tragedii, jaka go dotknęła. Wkrótce dopadnie go rzeczywistość.

Koło jedenastej Louise dotarła na miejsce. Przez całą drogę bez przerwy padało. Apollo Bay okazało się wąską linią domów położonych nad niewielką zatoką. Długi falochron osłaniał niedużą armadę kutrów rybackich. Zaparkowała przy jakiejś kawiarni. Siedziała dłuższą chwilę i wpatrywała się przed siebie, przez szybę rytmicznie osuszaną przez wycieraczki.

Gdzieś tu, w deszczu, jest Aron. Jak go odnajdę?

Przez moment poczuła, że przerasta ją to zadanie. Wiedziała jednak, że teraz nie może się poddać. Nie w tej chwili, kiedy zaszła już tak daleko, na drugą stronę kuli ziemskiej. Wsiadła

z samochodu i przebiegła przez ulicę do sklepu, w którym sprzedawano odzież sportową. Znalazła pelerynę i przeciwdeszczowy kapelusz. Przy kasie stała ciężarna otyła dziewczyna. Louise zawahała się chwilę, ale szybko stwierdziła, że nie ma nic do stracenia.

– Czy zna pani może Arona Cantora? – zapytała. – To Szwed. Dobrze mówi po angielsku, ale słysząc, że ma obcy akcent. Podobno mieszka tu, w Apollo Bay. Czy zna pani kogoś takiego? Lub czy może wie pani, gdzie on mieszka? A jeśli nie, kogo mogłabym o to zapytać?

Dziewczyna zastanowiła się, ale Louise odniosła wrażenie, że nie zadała sobie wiele trudu, by jej pomóc.

– Nie znam nikogo ze Szwecji – odparła.

– Na pewno? Aron Cantor. To dość niezwykle nazwisko.

Ekspedientka wydała jej resztę i obojętnie pokręciła głową.

– Przychodzi tu mnóstwo ludzi – podsumowała.

Louise narzuciła pelerynę na plecy i wyszła ze sklepu. Deszcz powoli ustawał, więc postanowiła się przespacerować. Minąwszy kilkanaście domów, uświadomiła sobie, że to już koniec miasteczka. Ulica wzdłuż zatoki, rząd domów, nic więcej. Woda w zatoce była całkiem szara. Louise weszła do kawiarni, zamówiła herbatę i spróbowała się skupić. Gdzie w tej chwili byłby Aron, gdyby tu mieszkał? Lubił wychodzić na dwór, kiedy wiało i padał deszcz. Lubił chodzić na ryby.

Mężczyzna, który przyniósł jej herbatę, krzątał się po lokalu i przecierał stoliki.

– Gdzie mężczyźni z Apollo Bay chodzą na ryby, jeśli nie mają łodzi? – spytała go Louise.

– Na sam koniec falochronu. Albo łowią w porcie.

Zapytała go również, czy nie zna Arona Cantora, mężczyzna jednak tylko pokręcił głową.

– Może mieszka w hotelu? – odparł po chwili. – Jest tam, przy drodze do portu. Niech tam pani spyta.

Louise wiedziała jednak, że Aron nigdy nie zamieszkałby w hotelu na dłuższy czas.

Deszcz już całkiem ustał i zaczęło się przejaśniać. Louise wróciła do samochodu i pojechała do portu, mijając po drodze hotel o nazwie Eigel's Inn.

Dotarłszy na miejsce, wysiadła z samochodu i weszła na molo. Woda była brudna i oleista. Barka z ładunkiem mokrego piasku ocierała się o zdezelowane umocnienia molo zbudowane ze starych traktorowych opon. Obok cumował kuter rybacki pełen więcierzy. Nazywał się Pietá. Louise zastanowiła się, czy nazwa ta gwarantowała mu obfite połowy. Ruszyła dalej, w stronę falochronu, mijając grupkę wędkujących chłopców. Byli tak zapatrzeni w swoje wędkę, że nawet na nią nie spojrzeli. W oddali, na samym krańcu falochronu, sięgającego daleko za basen portu, stał jakiś człowiek z wędką. Louise zawróciła i weszła na drugie ramię falochronu. Wiatr wzbierał na sile, podmuchy uderzające w wielkie kamienne bloki były coraz gwałtowniejsze. Ściana sięgała tak wysoko, że Louise nie dostrzegła za nią morza, słyszała tylko jego ponury pomruk.

Na samym końcu stał jakiś mężczyzna i łowił ryby. Co jakiś czas podrygiwał, jakby targało nim zniecierpliwienie.

Louise zalała falą radości i zarazem dopadło ją przerażenie. To był Aron. Nikt inny się w ten sposób nie poruszał. Lękiem napawał ją fakt, że tak szybko go odnalazła, przyszło jej to zbyt łatwo.

Uderzyła ją myśl, że nie ma pojęcia, jak wygląda teraz jego życie. Niewykluczone, że znów się ożenił, może nawet ma dzieci. Równie dobrze Aron, którego kiedyś znała i kochała, mógł już nie istnieć. Człowiek stojący na porywistym wietrze jakieś sto metrów od niej, ten mężczyzna z siatką na ryby w dłoni, mógł okazać się kimś zupełnie obcym. Może powinna zawrócić do samochodu i pojechać za nim, kiedy skończy wędkować?

Poczuła wściekłość z powodu swojego niezdecydowania. Kiedy tylko znalazła się w pobliżu Arona, natychmiast straciła pewność siebie. Wciąż jeszcze miał nad nią przewagę.

W końcu jednak zdecydowała, że spotkają się tu, na tym falochronie. Nie ma dokąd uciec, chyba że wskoczy do zimnego oceanu. Jest w ślepej uliczce, nie zdoła jej umknąć. Tym razem nie zadbał o drugie wyjście z kryjówki.

Gdy Louise się zbliżała, Aron wciąż stał zwrócony do niej plecami. Widziała już jego kark, spostrzegła również, że powiększyła mu się łysina na czubku głowy. Miała wrażenie, że cały się jakoś skurczył, sprawiał wrażenie wątego, choć nigdy wcześniej nic podobnego na jego temat nie przyszłoby jej do głowy.

Obok niego leżała cerata, którą na rogach obciążył kamieniami. Złapał trzy ryby przypominające krzyżówkę dorsza ze szczupakiem. O ile taka krzyżówka w ogóle istnieje, pomyślała Louise.

Właśnie miała wypowiedzieć jego imię, kiedy Aron nagle się odwrócił. Zrobił to błyskawicznie, jakby poczuł się zagrożony. Spojrzał na nią, ale ponieważ miała nałożony kaptur, nie od razu ją poznał. Kiedy wreszcie się zorientował, kto przed nim stoi, w jego oczach na moment pojawił się strach. Louise wyraźnie to dostrzegła.

Kiedy jeszcze byli razem, Aron nigdy nie dał wyrazu swojej niepewności lub jakiegokolwiek obawy.

Odzyskanie kontroli nad sobą zabrało mu zaledwie parę sekund.

– Nigdy bym nie podejrzewał, że mnie tu znajdziesz – powiedział, wtykając wędkę między kamienie.

– Nie miałeś cienia powodu, by przypuszczać, że kiedykolwiek będę cię szukać – odparła Louise.

Aron był poważny, czekał w napięciu, jakby się bał tego, co zaraz nastąpi.

Już podczas długiej podróży samolotem Louise postanowiła, że powie mu o tym delikatnie, postara się znaleźć jak najłagodniejszy sposób, by przekazać mu wieść o śmierci Henryka. W tej chwili do niej dotarło, że to niemożliwe.

Znów zaczęło padać, wiatr wciąż przybierał na sile. Aron odwrócił się plecami do wiatru i podszedł bliżej Louise. Miał bladą twarz, zaczerwienione oczy, jakby za dużo wypił, spękane wargi. Kiedyś powtarzał, że pękają tylko te usta, których nikt nie całuje, przypomniała sobie Louise.

– Henryk nie żyje – powiedziała. – Próbowałam cię odnaleźć na wszystkie sposoby. W końcu zostało mi tylko jedno. Musiałam przyjechać.

Aron spojrzał na nią bez wyrazu, jakby nie zrozumiał jej słów. Louise jednak wiedziała, że wbiła w niego nóż i sprawiła mu ból.

– Znalazłam Henryka martwego w jego mieszkaniu – mówiła dalej. – Leżał w łóżku, zupełnie jakby spał. Pochowaliśmy go w Sveg.

Aron zachwiał się i o mało nie upadł. Oparł się o kamienną ścianę falochronu, wyciągając do niej rękę. Louise złapała go.

– To nie może być prawda – szepnął.

– Też nie mogę w to uwierzyć, ale to niestety jest prawda.

– Dlaczego umarł?

– Nie wiadomo. Policja i ich patolog twierdzą, że popełnił samobójstwo.

Aron rzucił jej wściekłe spojrzenie.

– Mój syn miałby odebrać sobie życie? Nigdy w to nie uwierzę!

– Ja też w to nie wierzę, ale miał w żołądku dużą dawkę środków nasennych.

Aron cisnął ryby do morza, po chwili to samo zrobił z wiaderkiem i wędką. Wziął Louise pod ramię i zaprowadził z powrotem do portu. Kazał jej jechać za swoim samochodem, starym busem marki Volkswagen. Wyjechali z Apollo Bay i znaleźli się na drodze, którą Louise przyjechała do miasteczka. Przejechawszy parę kilometrów, Aron skręcił w mniejszą dróżkę, wijącą się stromo między pagórkami w stronę oceanu. Jechał szybko i nieostrożnie, jakby był pijany. Louise podążała tuż za nim. W pewnym miejscu, między pagórkami, skręcili w jeszcze węższą drogę, prawie ścieżkę, która pięła się cały czas w górę, by w końcu urwać się przed drewnianym domem, stojącym na samym szczycie wzgórza. Wsiadając z auta, Louise uświadomiła sobie, że właśnie tak sobie wyobrażała kryjówkę Arona. Widok ze wzgórza był niczym nieograniczony, ocean ciągnął się w nieskończoność.

Aron z hukiem otworzył drzwi, a kiedy weszli do kuchni, od razu sięgnął po stojącą na stole przy kominku butelkę whisky i napełnił szklanek alkoholem. Rzucił Louise pytające spojrzenie, lecz ona pokręciła głową. Postanowiła być trzeźwa. Aron pewnie upije się do tego stopnia, że stanie się agresywny, pomyślała. Widziała już zbyt wiele rozbitych okien i złamanych krzeseł, by znów chcieć przeżyć coś takiego. Za oknem wychodzącym na morze stał duży stół, na

którym co chwilę przysiadają kolorowe papugi. Aron zamieszkał w krainie papug. Nigdy bym się tego po nim nie spodziewała.

Usiadła naprzeciwko niego na krześle. Aron siedział zgarbiony na szarej kanapie, w dłoniach ścisnął szklanę whisky.

– Wciąż do mnie nie dociera, że to prawda – mruknął.

– To się stało sześć tygodni temu – odparła Louise.

Aron wpadł w złość.

– Dlaczego nikt mnie nie powiadomił? – burknął.

Louise nie odpowiedziała, odwróciła tylko wzrok w stronę czerwonawych i jasnobłękitnych papug.

– Przepraszam, nie chciałem – opamiętał się po chwili. – Wiem, że mnie szukałaś. Nie pozwoliłabyś na to, żebym się nie dowiedział.

– Niełatwo jest znaleźć kogoś, kto tego nie chce.

Louise przesiedziała naprzeciwko Arona całą noc. Co jakiś czas wymieniali kilka zdań, ale przeważnie otaczała ich cisza. Potrafili wspólnie milczeć. Był to rodzaj rozmowy, jakiej nauczyli się w pierwszych latach wspólnego życia. Artur również był człowiekiem, który nie odzywał się bez powodu. Jednakże jego milczenie miało całkiem inny charakter.

Długo po tym Louise doszła do wniosku, że ta noc spędzona z Aronem przypominała to, jak wspólnie spędzali czas, zanim pojawił się Henryk. Tym razem rozmawiali wyłącznie o nim. Ich rozpacz była bezgraniczna. Mimo to nie zbliżyli się do siebie, Louise nie przesiadła się na kanapę, jakby nie do końca ufała, że żal Arona jest odpowiednio głęboki. Pod wpływem tej myśli ogarnęło ją rozgoryczenie.

W pewnej chwili spytała go, czy ma więcej dzieci. Aron nie odpowiedział, tylko spojrzał na nią zdziwiony. Louise uznała to za

odpowieź.

O świcie wróciły papugi. Louise przyglądała się z boku, jak Aron wysypywał karmę na stół. Drżała z zimna. Rozciągający się w dole ocean był całkiem szary. Fale chłostały brzeg.

– Wymarzyłem sobie, że kiedyś zobaczę z tego miejsca górę lodową – odezwał się nagle Aron. – Taką, która przydryfowała aż z bieguna południowego.

Louise przypomniała sobie list znaleziony u Henryka.

– To musi być wspaniały widok – powiedziała.

– Najdziwniejsze jest to, że kiedy topnieje coś tak monstrualnego, my tego nawet nie dostrzegamy. Wydaje mi się, że ja też topnieję, że stopniowo się rozpadam. Moja śmierć będzie konsekwencją powolnego wzrostu temperatury.

Louise spojrzała na niego z boku. Jest jakby inny, ale mimo to ciągle ten sam, pomyślała.

Nastał świt. Rozmawiali całą noc.

Louise ujęła dłoń Arona. Oboje wpatrywali się w ocean, czekając na górę lodową, która nigdy nie miała nadpłynąć.

8

Po trzech dniach po spotkaniu na falochronie, dniach spędzonych w deszczu i wietrze, przepełnionych cierpieniem, Louise wysłała pocztówkę do Artura. Wcześniej zadzwoniła do niego, by mu powiedzieć, że odnalazła Arona. Połączenie ze Sveg okazało się zaskakująco dobre, słyszała ojca bardzo wyraźnie. Artur poprosił, by pozdrowiła Arona i przekazała mu od niego wyrazy współczucia. Louise opowiedziała mu o kolorowych papugach i obiecała mu też, że wyśle pocztówkę. Potem znalazła kartkę w sklepie przy porcie, w którym sprzedawano wszystko, począwszy od jajek, poprzez robione na drutach swetry, na widokówkach skończywszy. Na kartce widniało stadko czerwonych papug. Aron czekał na nią w kawiarni, w której rozpoczynał i kończył swoje wyprawy na ryby. Louise napisała parę słów do Artura i wrzuciła kartkę do skrzynki przy hotelu, w którym by się niewątpliwie zatrzymała, gdyby jej się nie udało odnaleźć Arona już pierwszego dnia po przybyciu.

Napisała ojcu, że Aron żyje jak eremita, w drewnianym domu nad morzem, że schudł i że bardzo cierpi po stracie syna.

Miałeś rację. Zachowałabym się nieodpowiedzialnie, nie informując go o śmierci Henryka. Miałeś rację, a ja się myliłam. Papugi są nie tylko czerwone, ale też niebieskie, a nawet turkusowe. Nie wiem, jak długo tu zostanę.

Wrzuciwszy kartkę do skrzynki, poszła prosto na plażę. Był piękny, prawie bezwietrzny dzień. Minęła grupkę dzieciaków kopiących pękniętą piłkę, potem parę staruszków spacerujących z dwoma czarnymi psami. Zeszła nad samą wodę.

Była u Arona już trzy dni. O świcie, który nastał po tamtej bezsennej nocy, kiedy Louise wzięła go za rękę, Aron zapytał ją, czy ma się gdzie zatrzymać. Jego dom miał dwie sypialnie, zaproponował więc, że może zostać u niego, jeśli tylko chce. Jakie ma dalsze plany? Czy ta tragedia całkiem ją załamała?

Louise nie odpowiedziała, zajęła pokój i spała do popołudnia. Kiedy się obudziła, Arona nie było. Zostawił jej na kanapie kartkę, zapisaną typowym dla niego, rozstrzelonym pismem. Poszedł do pracy. „Pilnuję drzew w małym lesie tropikalnym. W lodówce jest jedzenie. Dom jest twój. Umieram z rozpaczy”.

Przygotowała sobie prosty posiłek, włożyła na siebie najcieplejsze ubrania i usiadła na zewnątrz przy stole. Wkrótce nadleciały papugi, licząc na to, że Louise je nakarmi. Policzyła je, było ich dwanaście. Jak dwunastu apostołów, pomyślała. Przybywają na Ostatnią Wieczерę przed ukrzyżowaniem. Nagle ogarnął ją spokój, po raz pierwszy odkąd tamtego dnia przekroczyła próg mieszkania Henryka. Wreszcie miała kogoś poza Arturem, z kim mogła podzielić swój żal. Aronowi mogła powiedzieć wszystko o swoim lęku, o swoich podejrzeniach. Śmierć Henryka nie mogła mieć naturalnej przyczyny. Nie dało się zaprzeczyć, że połknął środki nasenne, ale to nie było samobójstwo. Zdaniem Louise Henryk odebrał sobie życie, zarazem tego nie czyniąc.

Istnieje jakaś prawda alternatywna. Ma ona coś wspólnego z zaginionym mózgiem prezydenta Kennedy'ego. Jeśli istnieje ktoś, kto może mi pomóc rozwikłać tę zagadkę, to jest to właśnie Aron.

Aron wrócił dopiero po zmroku. Zdjął gumowce, rzucił Louise zawstydzone spojrzenie, po czym zniknął w łazience. Kiedy wyszedł, usiadł obok niej na kanapie.

- Znalazłaś moją wiadomość? – zapytał. – Zjadłaś coś?
- Razem z papugami. Jak ci się udało je oswoić?
- One nie boją się ludzi. Nikt na nie nigdy nie polował ani ich nie łąpał. Przyzwyczaiałem się dzielić z nimi jedzeniem.
- Napisałeś, że pilnujesz drzew. Co to znaczy? Czy z tego żyjesz?
- Miałem zamiar ci je jutro pokazać. Pilnuję drzew, łowię ryby i żyję w ukryciu. To ostatnie wymaga najwięcej wysiłku. Poniosłem nie lada porażkę, skoro odnalazłaś mnie z taką łatwością. Choć oczywiście jestem ci niezmiernie wdzięczny, że zadałaś sobie tyle trudu, by osobiście przekazać mi tę potworną wiadomość. Pewnie po jakimś czasie zacząłbym się zastanawiać, dlaczego Henryk nie pisze. Prędzej czy później bym się dowiedział. Może nawet zupełnym przypadkiem? Nie zniósłbym takiego szoku. Dziękuję, że to ty byłaś posłańcem.
- Co się stało z twoimi komputerami? Tymi, które miały pomóc światu zachować wspomnienia? Kiedyś powiedziałeś, że te wszystkie zera i jedyńki to współczesne demony, które oszukają ludzkość i zmieniają jej historię.
- Sam w to długo wierzyłem. Wydawało mi się, że uratujemy świat przed epidemią wywołaną wirusem niosącym pustkę, przed śmiercią objawiającą się w postaci niezapisanych kartek i pustych archiwów, przeżartych przez nieuleczalnego raka. Miał on sprawić, że nasze czasy staną się dla przyszłych pokoleń nierozwiązywalną zagadką. Naprawdę wierzyliśmy w to, że uda nam się stworzyć alternatywny system archiwizacji, który pozwoli przetrwać wspomnieniom o nas. Alternatywny dla zer i jedynek. Innymi słowy, szukaliśmy eliksiru gwarantującego, że pewnego dnia komputery nie wypowiedzą nam posłuszeństwa i nie zablokują naszych archiwów. Udało nam się stworzyć formułę, kod źródłowy, który potem

sprzedaliśmy pewnemu amerykańskiemu konsorcjum. Dostaliśmy za to masę pieniędzy. Co ważne, podpisaliśmy kontrakt gwarantujący, że za dwadzieścia pięć lat nasz wynalazek dostępny będzie za darmo na całym świecie. Takim sposobem pewnego dnia znalazłem się na ulicy w Nowym Jorku z czekiem na pięć milionów dolarów w dłoni. Jeden zachowałem dla siebie, resztę rozdałem. Rozumiesz, o czym mówię?

– Nie całkiem, ale chyba dociera do mnie to, co najważniejsze – odparła Louise.

– Mogę wszystko wyjaśnić.

– Nie teraz. Może później. Dałeś pieniądze Henrykowi?

Aron wzdrygnął się i spojrzał na nią z zaskoczeniem.

– Dlaczego miałbym dawać mu pieniądze? – zapytał.

– Wsparcie finansowe własnego syna nie wydaje mi się całkiem nedorzecznym pomysłem.

– Nigdy nie dostałem ani grosza od moich rodziców i do dziś jestem im za to wdzięczny. Nic tak nie psuje dzieci, jak dawanie im pieniędzy, na które same powinny zapracować.

– A więc komu je dałeś?

– Pieniądze można przeznaczyć na wiele rzeczy. Przekazałem je fundacji walczącej o zachowanie tradycji, kultury i godności rdzennych mieszkańców Australii. Tak można o niej powiedzieć w skrócie. Poza tym mogłem je też przelać na konto jakiegoś ośrodka poszukującego lekarstwa na raka, przekazać obrońcom lasów deszczowych albo przeznaczyć na walkę z plagą szarańczy we wschodniej Afryce. Włożyłem do kapelusza tysiąc karteczek, a wylosowałem jedną. Padło na Australię. Przekazałem pieniądze i przyjechałem do tego kraju. Nie wiedzą, od kogo dostali wsparcie, i właśnie to sprawia mi największą radość.

Aron wstał.

– Muszę się trochę przespać – oznajmił. – Zmęczenie rodzi we mnie niepokój.

Louise została na kanapie i już po paru chwilach usłyszała chrapanie Arona. Jednostajne dźwięki przetaczały jej się falami przez głowę. Pamiętała je z przeszłości.

Wieczorem Aron zabrał ją do restauracji wiszącej nad skalnym urwiskiem, niczym orle gniazdo. Oprócz nich w lokalu nie było prawie nikogo. Okazało się, że Aron dobrze zna kelnera, z którym zniknął na chwilę w kuchni.

Wspólna kolacja znów przypomniła Louise o czasach, kiedy byli razem. Jedli gotowaną rybę i popijali ją winem. Było to ich danie na szczególne okazje. Louise dobrze pamiętała wakacje, podczas których żywili się szczupakami wyławianymi przez Arona z ciemnych leśnych jezior. Przy innych okazjach jadal dorsza, będąc w północnej Norwegii witlinka oraz solę we Francji.

Wybór Arona był więc sposobem zbliżenia się do Louise, próbą wybadania, czy wciąż pamięta to, co kiedyś miało dla nich znaczenie. Louise poczuła przyływ melancholii. Naszej miłości nie da się wskrzesić, pomyślała. Tak samo jak nie da się przywrócić do życia naszego zmarłego syna.

Tej nocy oboje spali kamiennym snem. Louise przebudziła się jeden raz, miała wrażenie, że ktoś wszedł do pokoju. Nikogo w nim jednak nie było.

Nazajutrz wstała wcześnie, chciała towarzyszyć Aronowi podczas wyprawy do lasu deszczowego, którym się opiekował. Wychodzili z domu przed świtem. Louise nigdzie nie dostrzegła czerwonych papug.

– Nauczyłeś się wcześniej wstawać – zagadnęła Arona.

– Zupełnie nie rozumiem, jak mogłem przeżyć tyle lat, nie doceniając poranków.

Przejechali przez Apollo Bay, a potem wjechali w dolinę, która wpadała do oceanu. To w niej rósł las, do którego zmierzali. Aron wyjaśnił Louise, że ten niewielki skrawek to resztką prastarego lasu deszczowego, który porastał niegdyś południową Australię. Obecnie jego właścicielem była fundacja finansowana przez jedną z osób, które wraz z Aronem zarobiły grube miliony na interesie z amerykańskim konsorcjum.

Będąc już na miejscu, zaparkowali samochód na żwirowym placu. Przed nimi wznosił się mur z wysokich eukaliptusów. Między potężnymi pniami widać było ścieżkę, wijącą się w dół zbocza. Ruszyli przed siebie, Aron prowadził.

– Pilnuję tego lasu – wyjaśnił. – Dbam, żeby nikt go nie podpalił i nie zaśmiecał. Obejście całego terenu zajmuje mi pół godziny. Często przyglądam się ludziom, którzy przychodzą tu na spacer. Po powrocie na parking wielu z nich wygląda tak samo, część jednak wydaje się odmieniona. W miejscach takich jak to zostawia się część swojej duszy.

Ścieżka prowadziła w dół stromego zbocza. Aron co chwilę się zatrzymywał, by pokazać coś Louise. Wskazywał poszczególne drzewa, zdradzał ich nazwy i wiek, mówił o małych strumyczkach, które płynęły w tym miejscu miliony lat temu. W pewnej chwili Louise zrozumiała, że Aron opowiada jej o swoim życiu, o tym, jak bardzo się zmienił.

Na dnie doliny, w samym sercu tego małego lasu, stała ławka. Aron wytarł mokre siedzisko rękawem kurtki i zaproponował Louise, by na chwilę usiedli. Otaczający ich las był wilgotny,

chłodny i pogrążony w zupełnej ciszy. Louise od razu go pokochała, tak samo jak kochała bezkresne, północne lasy regionu Härjedalen.

– Mój przyjazd tu był ucieczką – odezwał się Aron.

– Ty, który zawsze lubiłeś otaczać się ludźmi – odparła Louise. – Dlaczego nagle zapragnąłeś być sam?

– Coś się wydarzyło.

– Co takiego?

– Nie uwierzyłabyś.

Nagle coś zatrzepotało w koronie drzewa, zakołysały się długie pnącza i liany. Jakiś ptak wzbił się w górę, w stronę świecącego wysoko nad lasem słońca.

– Coś straciłem, kiedy uświadomiłem sobie, że nie mogę już dłużej z wami żyć. Z tobą i Henrykiem. Zawiodłem ciebie i jego. W takim samym stopniu zawiodłem siebie samego.

– To niczego nie wyjaśnia.

– Bo nie ma nic do wyjaśniania. Sam siebie nie rozumiem. To absolutna prawda.

– Dla mnie to kolejna twoja ucieczka. Czy nie możesz choć raz szczerze powiedzieć, o co chodzi? Co się wtedy stało?

– Nie umiem tego wyjaśnić. Coś we mnie pękło. Musiałem wyjechać. Przez pierwszy rok chlałem na umór, jeździłem z miejsca w miejsce, paliłem za sobą mosty, wydawałem pieniądze. Potem znalazłem się między tymi szalonymi ludźmi, którzy postawili sobie za cel, że uratują świat. „Strażnicy pamięci”, tak siebie nazywali. Najpierw próbowałem się zapić na śmierć, potem umrzeć z przepracowania, później z nicnierobienia, od łowienia ryb, w końcu od karmienia czerwonych papug. Ale jakoś przetrwałem.

– Potrzebuję twojej pomocy, żeby zrozumieć, co się stało z Henrykiem. Czuję, że razem z nim umarłam ja sama. I że nie

zbudzę się do życia, dopóki nie zrozumie, co tak naprawdę się wydarzyło. Co mój syn robił, zanim nadeszła śmierć? Dokąd pojechał? Z kim się spotykał? Co się stało? Czy on ci o tym mówił?

– Trzy miesiące temu nagle przestał do mnie pisać. Do tamtej pory dostawałem list co tydzień.

– Zachowałeś te listy?

– Tak, wszystkie.

Louise podniosła się z ławki.

– Musisz mi pomóc. Chcę, żebyś przejrzał wszystkie jego płyty CD, które mam ze sobą. Wygląda na to, że jest na nich cała zawartość laptopa, którego nie znalazłam w jego mieszkaniu. Proszę cię, żebyś zrobił wszystko, co tylko potrafisz. Przekop się przez gąszcz zer i jedynek i dowiedz się, co tam jest.

Ruszyli z powrotem stromą ścieżką pod górę i wrócili na parking. Właśnie podjechał autobus ze szkolną wycieczką. Na placu zaroilo się od dzieci w kolorowych kurtkach przeciwdeszczowych.

– Widok dzieci sprawia mi radość – powiedział Aron. – One uwielbiają wysokie drzewa, tajemnicze wąwozy i strumyki, których nie widać, które da się jedynie usłyszeć.

Wsiedli do auta. Dłoń Arona zastygła na kluczyku w stacyjce.

– To, co przed chwilą powiedziałem o dzieciach, właściwie tyczy się też dorosłych – powiedział. – Ja też kocham niewidzialne strumyki. Te, które można tylko usłyszeć.

Po drodze do domu Aron zatrzymał się przy sklepie, żeby zrobić zakupy. Louise poszła razem z nim. Wszyscy w sklepie zdawali się go dobrze znać, co ją zaskoczyło. Jak to się ma do jego pragnienia bycia niewidocznym? Zapytała o to, kiedy jechali drogą ciągnącą się stromo pod górę.

– Nie wiedzą, jak się nazywam ani gdzie mieszkam – wyjaśnił. – Jest różnica między poznaniem kogoś a jego rozpoznawaniem. Znają moją twarz i to im wystarcza. Uznali, że przynależę do tej okolicy. Dość, że pokazuję się co jakiś czas, zawsze za siebie płacę i nie stwarzam kłopotów.

Po południu Aron ugotował obiad, znów była to ryba. Louise odniosła wrażenie, że jej były mąż zachowuje się swobodniej, jakby rzucił z siebie jakiś ciężar, nie rozpacz po śmierci Henryka, ale coś, co było związane z nią.

Kiedy zjedli, Aron poprosił ją, by jeszcze raz opowiedziała mu o pogrzebie Henryka i dziewczynie imieniem Nazrin.

– Nigdy o niej nie pisał? – spytała Louise.

– Nigdy. Jeśli już pisał o dziewczynach, nie wymieniał imion. Nawet kiedy je opisywał. Uważałem, że jest trochę dziwny.

– Był podobny do ciebie. Kiedy był małym chłopcem, a potem nastolatkiem, zawsze mi się zdawało, że jest taki jak ja. Teraz wiem, że tak naprawdę był podobny do ciebie. Może gdyby dłużej pożył, znów by się kiedyś zmienił i na powrót stałby się podobny do mnie?

Louise zaczęła płakać. Aron wstał i wyszedł przed dom, żeby wysypać ziarno ptakom.

Pod wieczór położył przed Louise dwa pliki listów przewiązane sznurkiem.

– Nie będzie mnie przez parę godzin – powiedział. – Ale wrócę.

– Wiem – odparła Louise. – Wierzę ci, że tym razem nie znikniesz.

Nie musiała pytać. Wiedziała, że Aron wybiera się do portu na ryby. Podejrzewała, że wyszedł z domu, żeby zostawić ją samą. Zawsze umiał dostrzec, kiedy ktoś chciał pobyć sam, pomyślała.

Najwyżej cenił tę potrzebę u siebie, ale kto wie, może nauczył się szanować potrzeby innych?

Przeczytanie wszystkich listów zajęło jej dwie godziny. Była to bolesna podróż w nieznane. Louise coraz głębiej wkraczała w świat Henryka, który jak się przekonała, wcale nie był jej dobrze znany. Dotychczas wydawało jej się, że to Arona nigdy do końca nie rozgryzła, jednak po lekturze listów syna musiała przyznać, iż był on bardzo podobny do ojca i że znała go tylko powierzchownie. Nie wątpiła w jego uczucia, wiedziała, że Henryk ją kochał. Jednak większą część swojego wewnętrznego świata trzymał przed nią w tajemnicy. Świadomość tego sprawiła Louise przykrość, wywołała zazdrość, której nie umiała w sobie uciszyć. Dlaczego nie rozmawiał ze mną tak, jak rozmawiał z Aronem? Przecież to ja go wychowywałam, przejęłam na siebie całą odpowiedzialność, podczas gdy jego ojciec koncentrował się wyłącznie na piciu i komputerach. Nie umiała się wyzbyć żalu, wręcz złości na nieżyjącego syna. Kończąc lekturę, miała już pewność, że Henryk, którego znała, był innym człowiekiem niż ten, który pisał listy do Arona. Przemawiał do ojca zupełnie innym, nieznanym Louise językiem. Dokonywał w nich podsumowań, czego nigdy nie czynił, pisząc do niej. Pisał o swoich uczuciach, nowych pomysłach.

Louise przerwała czytanie, odsunęła plik listów i wyszła na spacer. Po powierzchni oceanu tańczyły szare fale, papugi trwały w bezruchu w koronach eukaliptusów.

Ja też mam wiele twarzy. Vassilis widział we mnie inną osobę niż Henryk, sama dla siebie jestem jeszcze kimś innym, a dla Arona... Bóg raczy wiedzieć, kim byłam dla niego. Z różnymi odsłonami mnie samej łączy mnie cienka przędza. A cała konstrukcja trzyma

się w jednym kawałku na słowo honoru, jak drzwi na zardzewiałych zawiasach.

Wróciła do pozostawionych listów. Henryk pisał je przez ostatnie dziesięć lat. Na początku pojawiały się rzadko, potem coraz liczniej i częściej były okresy, że przychodziły do Arona jeden za drugim. Henryk opisywał w nich swoje podróże. W Szanghaju spacerował po słynnym Bundzie, podziwiając artystów wycinających z papieru profile turystów. „Potrafią zrobić to tak, że widać w nich wnętrze człowieka. Zastanawiam się, jak to możliwe”. W listopadzie 1999 roku był w Phnom Penh, zatrzymał się tam w drodze do świątyni Angkor Vat. Louise zastanowiła się chwilę. Nie przypominała sobie, by Henryk kiedykolwiek opowiadał jej o tej podróży, wspomniał tylko, że odwiedził parę miejsc w Azji z przyjaciółką. W paru listach do Arona opisał tę dziewczynę jako „ładną, małomówną i bardzo szczupłą”. Wspólnie podróżowali po Kambodży, wsłuchując się w „przerazającą ciszę, jaka zaległa po koszmarze, który się tam wydarzył. Chyba już wiem, co chcę zrobić ze swoim życiem”, pisał dalej Henryk. „Chcę sprawić, by na świecie było mniej cierpienia, zrobić choć niewiele, dostrzec coś dużego w czymś, co z pozoru wygląda nieznacznie”. Louise musiała przyznać, że słowa jej syna miejscami brzmiały bardzo patetycznie.

Nigdzie nie było wzmianki o zaginionym mózgu prezydenta Kennedy’ego. Żadna z opisywanych przez Henryka dziewczyn nie przypominała Nazrin.

Najprzykrzejszy dla Louise był fakt, że Henryk w listach do Arona ani słowem nie wspominał o niej. Nie napisał choćby linijki o swojej matce, grzebiącej w nagrzanej słońcem greckiej ziemi. Nie odezwał się słowem o tym, jak im się układa i jakim darzą się zaufaniem. Milczeniem jakby zaprzeczał mojemu istnieniu, pomyślała. Przyszło

jej na myśl, że robił to świadomie, żeby ją chronić, lecz mimo to czuła żal.

Zmusiła się, by czytać dalej. Wyteżając wszystkie zmysły, dobrnęła do ostatniego listu. Dopiero wtedy natrafiła na coś, czego przez cały czas szukała. Na kopercie przyklejony był znaczek, ostemplowany pieczęcią: „Lilongwe, Malawi, maj 2004”. Henryk relacjonował wstrząsające przeżycia z Mozambiku, z wizyty w jakimś miejscu, gdzie opiekowano się chorymi i umierającymi ludźmi. „To istna katastrofa, zapierająca dech w piersiach i odbierająca mowę. Najbardziej przeraża fakt, że ludzie z Zachodu nie mają pojęcia, co tu się wyrabia. Humanizm poległ tu na całej linii, poddały się jego ostatnie szanse. Nikt nawet nie próbuje pomóc tym biednym ludziom, nikt nie protestuje przeciwko ich zarażaniu, nie dba o to, by umierającym zapewnić godne warunki”.

W ostatniej kopercie Louise znalazła jeszcze dwa inne listy bez oryginalnych kopert, prawdopodobnie napisane już po powrocie do Europy. Henryk wysłał je jeden po drugim w odstępie dwóch dni. Pierwszy 12 czerwca, drugi czternastego. Wynikało z nich, że miał niezwykle zmienne nastroje. Pierwszy list dawał wyraz jego przygnębieniu, z drugiego dało się wyczytać radość. W pierwszym Henryk wyglądał na zrezygnowanego, w drugim napisał: „Dokonałem przerażającego odkrycia, które jednocześnie obudziło we mnie chęć działania. Chęć działania i strach”.

Louise przeczytała to zdanie wielokrotnie, zastanawiając się, co Henryk miał na myśli. Odkrycie, chęć działania, strach? Jak zareagował na te listy Aron?

Jeszcze raz uważnie je przestudiowała, szukając ukrytych treści między wierszami. Nic nie znalazła. W liście wysłanym 14 czerwca

Henryk po raz ostatni wspomniał o swoim lęku. „Boję się, ale zrobię to, co konieczne”.

Louise wyciągnęła się na kanapie. Słowa i zdania z listów szumiały jej w głowie jak wzburzona krew.

Znałam go tylko pobieżnie. Wychodzi na to, że Aron znał Henryka lepiej niż ja. Prawda zapewne jest taka, że znałam mojego syna w zupełnie inny sposób niż jego ojciec.

Aron wrócił, gdy zapadł już zmrok. Przyniósł świeżo złowione ryby. Kiedy Louise stanęła obok niego w kuchni, by zabrać się do szorowania ziemniaków, Aron nagle ją objął i spróbował pocałować. Odsunęła się. Stało się to całkiem nieoczekiwanie, Louise nie spodziewała się, że były mąż będzie próbował się do niej zbliżyć.

– Myślałem, że tego chcesz – powiedział.

– Niby czego?

Aron wzruszył ramionami.

– Sam nie wiem. Nie chciałem. Przepraszam.

– Ależ oczywiście, że chciałeś. Ale nas nic już nie łączy. Przynajmniej z mojej strony.

– To się już nie powtórzy.

– Nie, nie powtórzy się. Nie przyjechałam tu po to, żeby odzyskać męża.

– Masz kogoś?

– Najlepiej będzie, jeśli szczegóły naszego prywatnego życia zachowamy dla siebie. Czy nie to zawsze powtarzałeś? Żeby nigdy za głęboko nie grzebać sobie nawzajem w duszach?

– Mówiłem tak i wciąż tak myślę. Jestem tylko ciekaw, czy w twoim życiu pojawił się ktoś, kto zamierza zostać w nim na stałe.

– Nie, nie ma nikogo takiego.

– W moim też nie.

– Nie musisz odpowiadać na pytania, których ci nie zadałam.

Aron spojrział na Louise zaskoczony. Jej głos zabrzmiał ostro, ostatnie zdanie wypowiedziała niemal oskarżycielskim tonem.

Jedli w milczeniu, słuchając australijskiego radia. Nadawano wiadomości. W Darwin zderzyły się dwa pociągi, doszło do zabójstwa w Sydney.

Po kolacji wypili kawę. Louise przyniosła płyty CD oraz papiery zabrane z mieszkania Henryka. Aron długo im się przyglądał, nawet ich nie dotykając.

Potem znów wyszedł. Louise usłyszała, jak wsiada do auta i odjeżdża. Wrócił dopiero po północy. Spała już, ale obudziło ją trzaśnięcie drzwi. Słyszała, jak Aron cicho chodził po domu, Louise sądziła, że położył się spać, lecz po chwili usłyszała dobrze jej znane, równomierne stukanie w klawiaturę. Ostrożnie wstała z łóżka i obserwowała go przez uchylone drzwi. Poprawił światło lampki, a potem długo wpatrywał się w monitor komputera. Louise nagle zobaczyła go takim, jakim był, kiedy jeszcze razem mieszkali. Dobrze zapamiętała ten wyraz najwyższego skupienia na jego twarzy, który sprawiał, że wyglądała ona jak skamieniała. Po raz pierwszy od momentu spotkania na falochronie poczuła coś w rodzaju wdzięczności za to, że go odnalazła.

On mi pomoże, pomyślała. Nie zostałam z tym sama.

Tej nocy Louise spała niespokojnie. Co jakiś czas wstawiała z łóżka i po cichu przyglądała się Aronowi, który do późna pracował nad płytami i czytał dokumenty, które mu przekazała. O czwartej nad ranem położył się na kanapie. Leżał z otwartymi oczami.

Tuż przed szóstą obudziły ją jakieś dźwięki dochodzące z kuchni. Kiedy tam weszła, Aron stał przy kuchence i parzył kawę.

– Obudziłem cię? – spytał.

– Nie. Spałeś choć trochę?

– Trochę. Wystarczająco, w każdym razie. Wiesz, że nigdy nie potrzebowałem wiele snu.

– O ile dobrze pamiętam, potrafiłeś też spać do dziesiątej albo jedenastej.

– Ale tylko wtedy, kiedy pracowałem do późna.

Usłyszawszy w jego głosie nutę zniecierpliwienia, Louise natychmiast zmieniła temat.

– Udało ci się coś znaleźć?

– Muszę przyznać, że próba wdarcia się w prywatny świat własnego syna to dziwne doświadczenie. Czuję się jak złodziej. Henryk miał w swoim komputerze mnóstwo plików chronionych hasłem, wielu z tych barier nie udało mi się sforsować. Chwilami miałem wrażenie, że toczę z Henrykiem pojedynek.

– Ale chyba coś znalazłeś? – dopytywała Louise.

– Najpierw muszę napić się kawy. Ty też. Pamiętasz, mam nadzieję, że kiedy razem mieszkaliśmy, obowiązywała niepisana zasada, że nie zaczynamy rozmowy, dopóki w ciszy nie wypijemy kawy. Czyżbyś o tym zapomniała?

Louise dobrze to pamiętała. Przed oczami przewinął jej się niemy film, klatka po klatce ukazujący kolejne poranki spędzane w milczeniu przy kuchennym stole.

Piła kawę, wpatrując się w stado czerwonych papug trzepoczących skrzydłami nad stojącym za oknem stołem.

Opróżnili kubki i usiedli na kanapie. Louise wciąż obawiała się, że Aron za chwilę znów będzie próbował ją pocałować. On jednak

pochylił się nad laptopem, postukał w klawiaturę i czekał, aż rozjaśni się ekran. Po chwili z głośników wydobyło się uporczywe bębnienie.

– Sam skomponował tę muzykę – wyjaśnił Aron. – Dla kogoś, kto zawodowo zajmuje się komputerami, nie jest to zbyt trudne, za to dla zwykłego użytkownika dość skomplikowane. Czy Henryk miał wykształcenie informatyczne?

Pytasz, bo nie masz pojęcia. Bo cię przy nim nie było. W listach do ciebie Henryk nigdy nie wspomniał o tym, czym się zajmuje, czego się uczy. Wiedział, że tak naprawdę cię to nie interesuje.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparła Louise po chwili.

– Czym się zajmował? Napisał, że studiuje, ale nie wiem, na jakim kierunku.

– Przez jeden semestr studiował religioznawstwo w Lund, potem mu się to znudziło i zrobił licencję na taksówkarza. Na życie zarabiał montowaniem żaluzji.

– Był w stanie z tego wyżyć?

– Był oszczędny, nawet kiedy podróżował. Mówił, że nie podejmie decyzji, co zrobi ze swoim życiem, dopóki nie będzie jej całkowicie pewien. Nigdy nie słyszałam, żeby zajmował się komputerami ponadto, że ich używał. Znalazłeś coś ciekawego?

– Właściwie nic.

– Przecież siedziałeś nad tym całą noc.

Aron spojrzał na nią kątem oka.

– Chwilami mi się zdawało, że cię słyszę – powiedział. – Nie spałaś?

– Jasne, że nie spałam. Ale nie chciałam ci przeszkadzać. Powiedz mi wreszcie, co znalazłeś.

– Na razie poznałem sposób, w jaki Henryk używał komputera. Odbiłem się od wielu zamkniętych drzwi i plików obwarowanych wysokimi murami. Wszystko to w jakiś sposób zdradza, co kryje się za tymi blokadami.

– Co to twoim zdaniem jest?

Aron nagle stał się niespokojny.

– Strach. Wydaje mi się, że Henryk stworzył te blokady i zabezpieczenia w obawie, że ktoś dostanie się do treści zapisanych na jego komputerze. Płyty, które mi dałaś, stanowią kolejne zabezpieczenie. Dobrze wiem, jak się zabezpiecza dane, sam wielokrotnie to robiłem, ale nigdy w ten sposób. Widać, że się na tym świetnie znał. Jestem dobry w docieraniu do ukrytych informacji, ale z tymi tu mi się nie udało.

Strach. Znow się pojawia. Nazrin wspominała o nagłym przypływie radości, jednocześnie jednak w swoich ostatnich listach do ojca Henryk pisał o lęku. Po przekopaniu zawartości komputera Henryka Aron natychmiast to zauważył.

– W plikach, które udało mi się otworzyć, nie ma niczego niezwykłego. Domowy budżet Henryka, kiepski zresztą, trochę korespondencji z portalami aukcyjnymi, przeważnie dotyczącej zakupu książek i filmów. Przez całą noc próbowałem rozpracować zamki w pancernych drzwiach, za jakimi zamknął swoje dane.

– I nie znalazłeś niczego, co wskazałoby nam jakiś trop?

– Znalazłem. A to tylko dlatego, że jeden plik chyba przez omyłkę znalazł się wśród plików systemowych. Odkryłem go zupełnym przypadkiem. Popatrz.

Louise pochyliła się nad monitorem. Aron wskazał palcem właściwą ikonę.

– Ten plik nie ma nic wspólnego z systemem. Najdziwniejsze jest to, że Henryk nawet nie próbował go ukryć, nic go nie chroni.

– Jak myślisz, dlaczego to zrobił?

– Właściwie jest chyba tylko jeden powód. Dlaczego zostawia się jeden plik bez zabezpieczeń, podczas gdy staje się na głowie, żeby inne były jak najlepiej ukryte?

– Bo chce się, żeby ktoś go znalazł?

Aron pokiwał głową.

– No właśnie. Znalazłem w tym pliku informację, że Henryk miał mieszkanie w Barcelonie. Wiedziałaś o tym?

– Nie – odparła zaskoczonym tonem Louise.

Pomyślała o tajemniczej literze B, pojawiającej się tu i ówdzie w pamiętnikach Henryka. Może chodziło o miasto, a nie o osobę?

– Mieszkanie znajduje się w niewielkiej uliczce o przedziwnej nazwie – Zaułek Chrystusa. To centrum miasta. Zapisał tu nazwisko dozorczyńi, niejkiej pani Roig. Jest tu też harmonogram płacenia czynszu. O ile dobrze policzyłem, miał to mieszkanie od ponad czterech lat, od grudnia 1999 roku. Podpisał umowę najmu ostatniego dnia minionego milenium. Czy nasz syn lubił rytuały? Był przywiązany do symboli? Wysyłał listy w butelkach? Jestem ciekaw, czy celowo wybrał dzień podpisania umowy.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Wiem, że chętnie wracał do miejsc, które wcześniej odwiedził.

– Pod tym względem ludzie dzielą się na dwie wyraźne grupy. Na tych, którzy nienawidzą powrotów, oraz tych, którzy za nimi tęsknią. Dobrze wiesz, do której z nich ja należę. Jak to jest z tobą?

Louise nie odpowiedziała. Przysunęła do siebie laptopa i zaczęła czytać to, co znajdowało się w pliku. Aron wyszedł nakarmić papugi. Louise nagle ogarnął lęk, że Aron zniknie.

Narzuciwszy na ramiona kurtkę, wyszła za nim na dwór. Kolorowe stadko uniosło się w powietrze i trzepocząc skrzydłami, poleciało w stronę drzew. Aron i Louise stali obok siebie, wpatrując się w morze.

– Pewnego dnia zobaczę stąd górę lodową – odezwał się Aron po chwili. – Jestem tego pewien.

– Mam w dupie tę twoją górę – mruknęła Louise. – Chcę, żebyś pojechał ze mną do Barcelony i pomógł mi zrozumieć, co się przytrafiło Henrykowi.

Aron nie odpowiedział. Mimo to Louise miała pewność, że tym razem zrobi to, o co go poprosiła.

– Pojadę do portu na ryby – odezwał się po namyśle.

– Dobrze – odparła Louise. – Po drodze załatw sobie zastępstwo do pilnowania drzew na czas twojej nieobecności.

Dwa dni później Aron i Louise opuścili dom czerwonych papug i wyruszyli do Melbourne. Aron miał na sobie pomięty brązowy garnitur. Kupując bilety, Louise nie zaprotestowała, kiedy były mąż dał jej pieniądze. Kwadrans po dziesiątej weszli na pokład samolotu Lufthansy, lecącego do Barcelony przez Bangkok i Frankfurt.

Rozmawiali o tym, co zrobią, kiedy już dotrą na miejsce. Nie mieli klucza do mieszkania Henryka, nie mieli pojęcia, jak zareaguje dozorczyńni. Co zrobią, jeśli nie będzie chciała ich wpuścić? Czy Szwecja ma w Barcelonie konsulat? Nie mogli przewidzieć, co ich tam spotka. Louise upierała się, że muszą wytrwale zadawać pytania, bo milcząc, nie zdołają dowiedzieć się niczego na temat Henryka. Bez odpowiedzi na niezliczone pytania będą tylko ścigali cień zmarłego syna.

Kiedy głowa śpiącego Arona opadła na ramię Louise, w pierwszej chwili zeszywniała, ale nie zbudziła go.

Dotarli do Barcelony po dwudziestu siedmiu godzinach podróży. Wieczorem, trzeciego dnia od wyjazdu z domu czerwonych papug, stanęli przed kamienicą na wąskiej uliczce o dziwnej nazwie.

Zanim weszli przez bramę, Aron wziął Louise za rękę.

Część II
Niosący światło

Lepiej zapalić świeczkę, niż przeklinać ciemność.

Konfucjusz

Dozorczyńni, pani Roig, mieszkała na parterze na lewo od schodów. Przed wyjściem Aron i Louise postanowili mówić prawdę. Henryk nie żyje, oni są jego rodzicami. Aron nacisnął dzwonek u drzwi. Louise wyobrażała sobie, że pani Roig będzie wyglądała dokładnie tak jak dozorczyńni z kamienicy w Paryżu, gdzie mieszkała przez jeden semestr swoich studiów na uniwersytecie w połowie lat siedemdziesiątych. Spodziewała się zobaczyć potężną kobietę o gładko zaczesanych włosach i nieco nadpsutych zębach. W tle powinien migotać włączony telewizor i od czasu do czasu nagie męskie stopy oparte o stolik stojący przed kanapą.

Drzwi otworzyła im młoda, około dwudziestopięcioletnia kobieta, tak piękna, że Aronowi aż odebrało mowę. W końcu się do niej odezwał, posługując się trudnym do zrozumienia hiszpańskim. W młodości mieszkał przez pół roku w Las Palmas, utrzymując się z pracy w barach.

Pani Roig miała na imię Blanka. Uśmiechnęła się na wieść o tym, że Aron i Louise są rodzicami Henryka. Nie spodziewała się tego, co miała od nich za chwilę usłyszeć.

Słuchając wyjaśnień Arona, Louise zmartwiła się, że jej były mąż opowiada wszystko nie od tej strony co trzeba. Sam się po chwili połapał i posłał Louise bezradne spojrzenie. Ona jednak odwróciła wzrok.

– Henryk nie żyje – powiedział wreszcie. – Dlatego tu przyjechaliśmy. Chcemy wejść do jego mieszkania i zabrać jego rzeczy.

Do Blanki w pierwszej chwili nic nie dotarło, jakby język Arona nagle stał się całkiem niezrozumiały.

– Henryk nie żyje – powtórzył.

Dziewczyna pobladła i skrzyżowała ręce na piersi.

– Henryk nie żyje? – spytała z niedowierzaniem. – Co się stało?

Aron zerknął na Louise.

– Zginął w wypadku samochodowym – zwrócił się do niej po szwedzku.

Louise nie życzyła sobie, by jej syna spotkał taki koniec.

– Rozchorował się – odezwała się do Blanki po angielsku. – Zna pani angielski?

Blanka skinęła.

– Poważnie się rozchorował i zmarł – powtórzyła Louise.

Dziewczyna cofnęła się o krok, zapraszając ich do środka. Jej mieszkanie było małe, składało się z dwóch niewielkich pokoi i mikroskopijnej kuchni. Łazienkę odgradzała od reszty plastikowa ścianka. Ku swojemu zdziwieniu Louise odkryła na jednej ze ścian duże plakaty z klasycznymi motywami helleńskimi. Wyglądało na to, że Blanka mieszkała tu sama, nigdzie nie było widać śladów obecności mężczyzny lub dzieci. Dziewczyna zaproponowała, by usiedli. Louise widziała, że dziewczyna jest wstrząśnięta wiadomością, jaką chwilę temu jej przekazali. Czyżby Henryk był dla niej kimś więcej niż lokatorem? Byli w tym samym wieku.

Blanka miała łzy w oczach. W jakiś sposób wydawała się Louise podobna do Nazrin, mogłyby uchodzić za siostry.

– Kiedy ostatnio Henryk tu był? – zapytała Louise.

– W sierpniu. Przyjechał późno w nocy. Ja już spałam i nie przebudziłam się, on zawsze poruszał się bardzo cicho. Następnego

dnia rano zapukał do moich drzwi. Dał mi nasiona kwiatów. Zawsze tak robił po powrocie z jakiejś podróży.

– Jak długo tu został?

– Przez tydzień, może dziesięć dni. Niewiele go widywałam. Nie wiem, czym się zajmował, jednak cokolwiek to było, robił to nocami. W dzień spał.

– A więc nie wie pani, po co przyjeżdżał do Barcelony?

– Kiedyś mi powiedział, że pisze artykuły do gazet. I że dlatego zawsze się spieszy.

Louise i Aron wymienili szybkie spojrzenia. Ostrożnie, zwróciła się do niego w myślach Louise. Nie daj się ponieść nerwom.

– Tak to już jest chyba z każdą pracą, nigdy nie ma na nic czasu – skwitował. – Czy mówił, o czym pisze?

– Mówił, że należy do jakiegoś ruchu oporu.

– Użył właśnie tych słów?

– Nie wiem, co miał na myśli. Porównał to do organizacji działających w Hiszpanii w okresie wojny domowej. Jego organizacja miała niby odgrywać podobną rolę co przeciwnicy generała Franco. Przeważnie rozmawialiśmy o codziennych sprawach. Sprzątałam u niego i robiłam mu pranie. Dobrze mi płacił.

– Miał dużo pieniędzy?

Blanka zmarszczyła czoło.

– To państwo jesteście jego rodzicami, chyba powinniście wiedzieć takie rzeczy.

Louise uznała, że musi interweniować.

– Henryk był w takim wieku, że niechętnie się zwierzał rodzicom – wtrąciła.

– Mimo to byliśmy sobie bliscy – dodał Aron. – Był naszym jedynym dzieckiem.

Louise aż zatkało z przerażenia. Nie mogła się nadziwić, że Aron potrafił tak przekonująco kłamać. Czyżby Henryk to po nim odziedziczył? Czy też potrafił kłamać bez mrugnięcia okiem?

Nagle Blanka wstała i wyszła z pokoju. Louise chciała coś powiedzieć, ale Aron pokręcił głową, dając jej znak, by zaczekała. Po chwili dziewczyna wróciła, niosąc pęk kluczy.

– Mieszkał na samej górze – oznajmiła.

– Od kogo wynajmował mieszkanie? – zapytał Aron.

– Od pewnego emerytowanego pułkownika, który mieszka w Madrycie. Kamienica należy właściwie do jego żony, ale pułkownik Mendez sam się wszystkim zajmuje.

– Czy wie pani, jak Henryk znalazł to mieszkanie?

– Nie wiem. Pewnego dnia po prostu przyszedł z umową w ręce. Wcześniej mieszkali tu dwaj amerykańscy studenci. Były z nimi same problemy. Głośno puszczali muzykę i sprowadzali dziewczyny. Nie lubiłam ich. Odkąd zamieszkał tu Henryk, wszystko się zmieniło.

Blanka wyprowadziła ich na korytarz i otworzyła drzwi do windy. Louise zatrzymała się jeszcze na moment.

– Czy w ostatnich tygodniach był tu ktoś i pytał o Henryka? – zapytała.

– Nie – odparła dziewczyna.

Louise nie wiedziała, co tak nagle wzbudziło jej czujność. Być może uznała, że Blanka zbyt szybko udzieliła jej odpowiedzi, zupełnie jakby ją sobie wcześniej przygotowała, jakby spodziewała się tego pytania. Ktoś tu był i dziewczyna nie chce mi o tym

powiedzieć, pomyślała. Wsiadając do ciasnej windy, spojrzała na Arona. On jednak zdawał się niczego nie podejrzewać.

Winda skrzypiała żałośnie, kiedy we troje wjeżdżali na najwyższe piętro budynku.

– Czy Henryk przyjmował tu wielu gości? – podjęła Louise.

– Prawie wcale – odparła Blanka. – Bardzo rzadko się to zdarzało.

– To dziwne. Przecież on tak bardzo lubił przebywać w towarzystwie.

– W takim razie musiał się z nimi spotykać gdzie indziej.

– A czy dostawał jakieś listy? – odezwał się Aron.

Winda stanęła. Kiedy Blanka otwierała drzwi do mieszkania Henryka, Louise zauważyła, że były w nich aż trzy zamki. Jeden z nich wyglądał tak, jakby zamontowano go niedawno.

Uchyliwszy drzwi, dziewczyna cofnęła się o krok, żeby przepuścić przodem Louise i Arona.

– Poczta leży na stole kuchennym – powiedziała. – Jeśli będą mnie państwo potrzebować, będę u siebie. Wciąż do mnie nie dociera, że Henryk nie żyje. Nawet nie jestem sobie w stanie wyobrazić, jaki to dla państwa dramat. Chyba nigdy nie ośmielę się urodzić dziecka, ze strachu, że umrze jeszcze za mojego życia.

Przekazała klucze Aronowi, co trochę zirytowało Louise. Złościło ją, że w oczach innych to on zawsze był ważniejszy od niej.

Blanka ruszyła w dół po schodach. Louise i Aron weszli do mieszkania dopiero, kiedy usłyszeli, że za dziewczyną zatrzasnęły się drzwi. Skądś dochodziły dźwięki muzyki. Louise aż podskoczyła, kiedy na klatce schodowej zgasło światło.

Po raz drugi wchodzę do mieszkania, w którym są szczątki Henryka. Mimo że tu go nie znajdę, bo już go pochowałam, i tak

wyczuwam jego obecność.

Weszli do przedpokoju i zamknęli za sobą drzwi. Mieszkanko było małe i ciasne, kiedyś musiało stanowić część strychu. Miało świetlik, odsłonięte belki konstrukcyjne oraz skosy. Składało się z jednego pokoju, kuchni, łazienki i osobnej toalety. Z przedpokoju można było zajrzeć do wszystkich pomieszczeń.

Na kuchennym stole leżały jakieś koperty. Louise przejrzała je, były to przeważnie ulotki reklamowe, rachunek za prąd i oferta nowego abonamentu telefonicznego. Tymczasem Aron wszedł do pokoju. Stał na środku pomieszczenia, kiedy Louise do niego dołączyła. Rozglądali się wokół ze zdziwieniem. Pokój był niemal całkiem pusty, stało w nim łóżko przykryte czerwoną narzutą, biurko z laptopem oraz półka z książkami i teczkami. Nic więcej.

A więc to tu Henryk żył w tajemnicy. Nie powiedział o tym mieszkaniu żadnemu z nas. Widocznie odziedziczył po Aronie potrzebę życia w kryjówce.

Bez słowa obeszli całe mieszkanie. Louise zajrzała za zasłonę zakrywającą coś na kształt garderoby. Wisiały w niej koszule, spodnie, kurtka, stał kosz z bielizną oraz kilka par butów. Podniosła parę ciężkich trzewików i pod światło podejrzała podeszwy. Były ubrudzone czerwoną ziemią. Aron w tym czasie usiadł przy biurku i wysunął szufladę. Odstawiwszy buty na miejsce, Louise podeszła do niego i zajrzała mu przez ramię. Przez moment miała ochotę, by pogłaskać go po cienkich włosach. Szuflada w biurku była pusta.

Louise usiadła na stojącym obok taborecie.

– Blanka nie powiedziała nam prawdy – oznajmiła.

Aron spojrzał na nią z zaskoczeniem.

– Kiedy spytałam ją o to, czy ktoś tu był i pytał o Henryka, odpowiedziała zbyt szybko – ciągnęła Louise. – Wydało mi się to

podejrzane.

– Dlaczego miałyby kłamać?

– Dawniej ufałeś mojej intuicji.

– Dawniej mówiłem wiele rzeczy, których dziś bym już nie powiedział. Zajrzę do tego komputera.

– Jeszcze nie teraz, zaczekaj! Czy potrafisz sobie wyobrazić Henryka w tym mieszkaniu?

Aron odwrócił się na krześle i rozejrzał po pomieszczeniu.

– Właściwie nie – powiedział. – Ale ja go tak naprawdę nie znałem. Sama powinnaś sobie odpowiedzieć, zamiast pytać mnie.

– Wiemy, że tu bywał od pięciu lat, wynajmował to mieszkanie w tajemnicy przed nami, ale jakoś nie umiem go sobie tu wyobrazić.

– Chcesz powiedzieć, że mieszkał tu jakiś inny Henryk? – zapytał Aron.

Louise pokiwała głową.

Aron zawsze z łatwością odgadywał jej myśli. Kiedyś, kiedy jeszcze byli blisko, grali czasem w odgadywanie tego, w jaki sposób druga osoba na coś zareaguje. Mimo że łączące ich uczucie wygasło, zabawa najwyraźniej wciąż trwała.

– Inny Henryk – powiedziała. – Ten, którego prawdziwy Henryk ukrywał.

– Ale po co? Dlaczego?

– Czy tym razem to nie ty powinienesz odpowiedzieć na to pytanie?

Aron skrzywił się i przewrócił oczami.

– Byłem żalonym pijaczyną, który uciekł od wszystkich i wszystkiego, od odpowiedzialności za innych, a przede wszystkim od siebie samego. Nie sądzę, żeby Henryk był taki sam.

– Skąd masz taką pewność? W końcu był twoim synem.

– Nigdy byś mu nie pozwoliła na to, by stał się do mnie tak podobny.

– Ale skąd wiesz, że się nie mylisz?

– Przez całe swoje życie nigdy nie byłem niczego pewien, oprócz tego, że na co dzień towarzyszy mi zwątpienie.

Aron sprawdził wtyczkę zasilacza i otworzył laptopa. Louise patrzyła z podziwem, jak błyskawicznie jego palce poruszają się na klawiaturze.

Podniósł głowę i spojrzał na nią.

– Mam jeszcze jeden list od Henryka, którego ci nie pokazałem. Czułem, że powierzył mi sekret, którego miałem nie zdradzać nikomu innemu. Być może wcale tak nie było, ale to, co napisał, zrobiło na mnie tak wielkie wrażenie, że nie chciałem o tym powiedzieć nawet tobie.

– Nigdy nie chciałeś się niczym ze mną dzielić – odparła Louise z wyrzutem.

Aron wyraźnie się zdenerwował, ale odpowiedział spokojnie.

– Opowiem ci o tym liście.

Był to jeden z ostatnich listów, jakie Aron dostał od Henryka po tym, jak zdecydował się porzucić świat komputerów. Właśnie wrócił z Nowego Jorku, gdzie odebrał czek na wielką sumę, mającą mu zapewnić byt do końca życia, i pakował cały swój dobytek w mieszkaniu w Nowej Fundlandii. Większość rzeczy spalił – spalenie starej kanapy lub łóżka oznaczało dla niego to samo, co spalenie za sobą kolejnego mostu. Wtedy właśnie dostał ten list. Wysłano go z Paryża. Jedną z przyjaciółek Henryka, młodą wiolonczelistką z Bośni – z listu nie wynikało, jak się poznali ani czy łączyło ich coś więcej niż przyjaźń – wygrała konkurs dla młodych

solistów i w nagrodę miała zagrać z jedną z największych paryskich orkiestr. Podczas jednej z prób pozwolono Henrykowi usiąść wśród muzyków, między smyczkami i instrumentami dętymi. Było to dla niego niesamowite przeżycie, napisał, że potężne dźwięki przeszywały go aż do bólu. Stwierdził, że zawsze już będzie mógł powrócić w myślach do tej chwili, by czerpać z niej niezwykłą siłę, jaką daje doznanie bólu. W żadnym następnym liście do tego nie wrócił.

– Kiedy nasz syn siedział pośrodku orkiestry, odkrył coś na temat bólu – powiedział Aron. – Był dziwnym człowiekiem.

– Dobra – odezwała się Louise. – Włącz ten komputer. Może coś znajdziesz.

Sama sięgnęła po parę leżących na półce teczek i zabrała je do kuchni. Czowała, jak krew pulsuje jej w skroniach, zupełnie jakby przeszedł na nią ból, o którym Henryk pisał w liście. Dlaczego jej nigdy o tym nie opowiedział?, pomyślała. Z jakiego powodu zdecydował się napisać o tym ojcu, który nigdy się o niego nie troszczył?

Wyjrzała przez okno, na ciemne dachy pobliskich kamienic. Poczowała złość. Jednocześnie uświadomiła sobie, że poza bolesnym żalem po jego stracie Henryk dodatkowo przysporzył jej emocji, których sama przed sobą się wstydzi.

Odegnęła tę myśl.

To nie jest w tej chwili najważniejsze. Ważne jest co innego. Blanka nie powiedziała nam prawdy. To kolejny element układanki, który muszę jakoś dopasować do innych i stworzyć z nich całość. Nie wiem nawet, czy jej kłamstwo to początek jakiejś historii, czy może jej koniec. Czy kłamała, bo Henryk ją o to poprosił? A może ktoś całkiem inny zażądał tego od niej?

Przeglądając zawartość teczek, miała wrażenie, że z każdą kolejną stroną pojawiają się nowe, niepasujące do innych fragmenty, oderwane od jakiejś większej całości.

Henryk wiódł podwójne życie. Wynajmował mieszkanie w Barcelonie, o którym nikt nie wiedział. Skąd miał na nie pieniądze? Wynajem w takiej lokalizacji nie może być tani. Staram się podążać jego śladami, ale każda kolejna strona jest jak skrzyżowanie nieznanymi ulic.

Louise szybko się zorientowała, że w teczkach nie ma nic na temat mózgu Kennedy'ego, żadnych wycinków prasowych, kopii materiałów archiwalnych, żadnych notatek. Zamiast tego Henryk zgromadził materiały na temat największych instytucji medycznych na świecie, przede wszystkim sporo krytycznych tekstów o organizacjach takich jak Lekarze bez Granic. Pełno w nich było zaznaczeń, podkreśleń i różnych dopisków. Nagłówek mówiący o tym, że w dzisiejszych czasach nikt już nie musi umierać na malarię, był obwiedziony czerwoną ramką, a obok na marginesie widniał duży wykrzyknik. W innej teczce Henryk zgromadził artykuły i fragmenty z książek traktujących o dżumie. Kawałek po kawałku. Wciąż nie było widać całości. Jak to wszystko ma się do Kennedy'ego i jego zaginionego mózgu? Czy to w ogóle się ze sobą łączy?

Z pokoju obok dobiegło pokasywanie Arona, który wciąż stukał palcami w klawiaturę laptopa.

Tak właśnie spędzaliśmy czas, kiedy jeszcze razem mieszkaliśmy. On w jednym pokoju, ja w drugim, zawsze przy otwartych drzwiach. Pewnego dnia Aron je zamknął. Kiedy po chwili je otworzyłam, już go nie było.

Aron wszedł do kuchni, żeby napić się wody. Wyglądał na zmęczonego. Louise zapytała go, czy coś znalazł, on jednak pokręcił głową.

– Jeszcze nie – odparł.

– Jak myślisz, ile Henryk płacił za wynajem tego mieszkania? Chyba sporo, co?

– Powinniśmy zapytać o to Blankę. Znalazłaś coś w tych teczkach?

– Zbierał materiały o chorobach. O malarii, dżumie i AIDS. Nie ma tu nic o mnie ani o tobie. Miał zwyczaj zaznaczania zdań, czasem pojedynczych słów. Używał czerwonego pisaka, często stawiał wykrzykniki na marginesach.

– A więc powinnaś szukać wśród tych zaznaczeń. Chociaż wcale nie jestem tego pewien, może ważne jest to, co niezakreślone?

Aron wrócił do laptopa. Louise zajrzała do małej lodówki. Była prawie pusta.

Kiedy wybiła dwunasta, wciąż siedziała przy kuchennym stole i przeglądała zawartość ostatniej teczki. Ta też pełna była wycinków prasowych, głównie z angielskich i amerykańskich gazet, choć trafiła też na serię artykułów z „Le Monde”.

Mózg Kennedy’ego. Gdzieś musi być związek między twoją obsesją a tym wszystkim, co mam przed sobą. Próbuje patrzeć na to twoimi oczami, przekładać kartki twoimi dłońmi. Czego szukałeś? Co odebrało ci życie?

Louise aż podskoczyła na krześle, kiedy Aron bezszelestnie zjawił się w kuchni. Spojrzała na niego, od razu wiedziała, że udało mu się coś znaleźć.

– O co chodzi? – spytała.

Aron usiadł naprzeciwko niej. Sprawiał wrażenie zdezorientowanego, może nawet przestraszonego. Louise nagle ogarnął silny lęk. Przemknęła jej przez głowę myśl, że jednym z powodów, dla których kiedyś się z tym człowiekiem związała, była pewność, że on ochroni ją przed wszystkimi niebezpieczeństwami tego świata.

– Znalazłem plik, który był ukryty wewnątrz innego. Jak matryoszka. Udało mi się go otworzyć – oznajmił, po czym zamilkł.

Louise czekała na ciąg dalszy, lecz Aron milczał. Po chwili wstała, przeszła do pokoju i usiadła przy komputerze. Ujrzała tekst złożony z niewielu słów. Potem nie potrafiła sobie przypomnieć, czego się spodziewała, podchodząc do laptopa. Z pewnością nie tego, co tam zastała.

A więc i ja noszę w sobie śmierć. Ta myśl sprawia, że wszystko staje się nie do zniesienia. Być może umrę, nim skończę trzydzieści lat. Wiem, że teraz muszę być silny i znaleźć w tej sytuacji coś, co mnie wzmocni. Świadomość koszmaru musi stać się moją bronią. Już nic nie będzie mi straszne. Nie teraz, kiedy się dowiedziałem, że jestem zarażony wirusem HIV.

Serce Louise waliło jak młot. W panice pomyślała, że powinna zadzwonić do Artura i o wszystkim mu opowiedzieć. Jednocześnie zastanawiała się, ile z tego wie Nazrin. Czy ona też jest zarażona? Czy on ją zaraził? Czy dlatego nie chciał już dłużej żyć?

Pytania krążyły w jej głowie jak oszalałe. Musiała się mocno zaprzeć rękami o biurko, żeby nie upaść. Słyszała, jak w kuchni Aron podnosi się z krzesła i wchodzi do pokoju.

Zdążył ją złapać i podtrzymać dokładnie w chwili, w której straciła równowagę.

10

Parę godzin później Louise i Aron zamknęli mieszkanie i wyszli, żeby się przewietrzyć i zjeść śniadanie. Blanka nie pokazała się, kiedy wychodzili z kamienicy, doszli więc do wniosku, że nadal spała.

Wczesny ranek powitał ich rześkim powietrzem.

– Jeśli chcesz spać, idź do hotelu – zaproponowała Louise. – Ja muszę się trochę przewietrzyć, ale mogę pospacerować sama.

– Chcesz o tej porze chodzić sama po Barcelonie? – zdziwił się Aron. – Przyciągnęłabyś jakichś podejrzanych typów jak magnes. Bo niby co może robić kobieta na ulicach Barcelony tak wcześnie rano?

– Dam sobie radę. Wierz mi lub nie, ale umiem skutecznie pozbywać się towarzystwa nachalnych facetów z fiutem w jednej ręce i portfelem w drugiej. Chociaż tego portfela najczęściej nie pokazują.

Aronowi nie udało się ukryć zdumienia.

– Nigdy wcześniej nie słyszałem od ciebie takich rzeczy – powiedział.

– Bo wielu rzeczy o mnie nie wiesz – odcięła się Louise. – Najwyraźniej nawet tego, jak dobieram słowa.

– Jeśli tak bardzo chcesz pobyć sama, wyobraź sobie, że jestem tylko cieniem. Albo kurtką, którą się przewiesza przez ramię, kiedy się nie wie, czy będzie lało, czy nie.

Ruszyli jedną z głównych ulic, która po jakimś czasie zaprowadziła ich na duży plac. Ruch był niewielki, w restauracjach nie dostrzegli żywego ducha. Tuż obok nich powoli przejechał radiowóz.

Louise poczuła wielkie zmęczenie. Aron szedł u jej boku i – jak to miał w zwyczaju – w żaden sposób nie zdradzał, co czuje i myśli. Tymczasem myśli Louise krążyły wokół faktu, że Henryk był nosicielem wirusa HIV. Teraz mój syn nie żyje, rozmyślała. Żaden wirus już go nie dosięgnie. Czy mimo to świadomość bycia zarażonym była przyczyną jego śmierci? Czy Henryk nie był w stanie znieść tej myśli?

– Jak to możliwe, że nie stwierdzono zarażenia podczas sekcji zwłok? – odezwał się nagle Aron. – Może było za wcześnie, bo dopiero się zaraził i jego organizm nie zdążył jeszcze wyprodukować przeciwciał? Ale jeśli tak było, skąd on sam miał pewność, że się zaraził?

Zupełnie nieoczekiwanie Aron wybuchnął płaczem. Louise, patrząc, jak jej były mąż zanosi się gwałtownym szlochem, przypomniała sobie, że wcześniej widywała go w takim stanie jedynie wówczas, kiedy był kompletnie pijany i wyznawał jej bezgraniczną miłość. Jego łzy kojarzyły jej się z odorem przetrawionego alkoholu. Tym razem jednak było inaczej. Wiedziała, że rozpacz Arona jest szczerą.

Stali tak dłuższą chwilę, na nieznaną ulicy w centrum Barcelony. Świtało. Aron wciąż płakał.

Kiedy wreszcie się uspokoił, znaleźli otwartą kawiarnię i zjedli śniadanie. Potem wrócili do mieszkania Henryka.

Aron natychmiast zamknął się w łazience. Za moment wyszedł z przygładzonymi na mokro włosami i z zaczerwienionymi oczami.

– Przepraszam cię za ten żałosny wybuch – powiedział.

– Żałosne jest to, co w tej chwili wygadujesz – odburknęła Louise.

Aron nie odpowiedział, tylko podniósł ręce w geście poddania.

Wrócili do przeglądania zawartości laptopa. Louise przyglądała się, jak Aron szuka wśród plików ścieżek, które mogłyby ich dokądś zaprowadzić.

– Unkas – odezwała się nagle. – Pamiętasz go?

– *Ostatni Mohikanin*. James Fenimore Cooper. Jako dzieciak czytałem tę książkę z wypiekami na twarzy. Marzyłem o tym, żeby być ostatnim z mojego plemienia, plemienia Arona. Czy dziewczyny też to czytały?

– Artur czytał mi to na głos. Nie sędzę, żeby kiedykolwiek się zastanawiał nad tym, czy to książka dla dziewczyn. Zawsze czytał mi tylko to, co sam uważał za interesujące. Potem, kiedy miałam już siedem czy osiem lat, sama parę razy sięgnęłam po książki przygodowe o Indianach. Unkasa pamiętam bardzo dobrze.

– Co najbardziej zapadło ci w pamięć?

– Scena, w której jedna z córek pułkownika Munro staje nad przepaścią, bo woli umrzeć, niż dać się schwytać żadnemu krwi Indianinowi. Wyobrażałam sobie, że to ja, odważna do ostatniej chwili. Postanowiłam sobie wtedy, że tak właśnie będę żyć.

Tego dnia w Barcelonie Aron i Louise wdarli się do świata Henryka. Aron z zacięciem próbował sforsować zamki, które Henryk pozakładał na drzwiach strzegących jego tajemnic. Niektóre pękały i wpuszczały go do środka, inne pozostawały niewzruszone. Jednak to, co im się ukazywało, rodziło wciąż nowe pytania, zamiast odpowiadać na te, które zadali już wcześniej. Od jak dawna Henryk był nosicielem wirusa HIV? Kto go zaraził? W jednym z plików datowanych na rok 2004 napisał:

Noszę to w sobie. Obawiałem się tego, lecz teraz mam już całkowitą pewność. Stosując leki dostępne dziś, pożyję z dziesięć lat. Mimo że wkrótce pewnie pojawią się nowe, skuteczniejsze, dostałem wyrok śmierci, od którego nie sposób się wyswobodzić.

Nie wspomniał ani słowem o tym, jak doszło do zarażenia, kto był temu winien, w jakich okolicznościach się to stało. Próbowali znaleźć coś w starszych zapiskach, szukali we fragmentarycznych pamiętnikach Henryka, w których sporo było informacji o jego podróżach, ale nic na temat choroby. Ten wątek stale im gdzieś umykał. Louise wpadła na pomysł, żeby poszukać starych biletów lotniczych, niczego jednak nie znalazła.

W pewnej chwili Aronowi udało się włamać do plików programu, w którym Henryk systematycznie księgował swoje dochody. Kiedy otworzyła się tabelka, obojgu zapało dech w piersiach. Ich oczom ukazał się zapis, że w sierpniu 1998 roku ich syn otrzymał sto tysięcy dolarów.

– To ponad osiemset tysięcy koron szwedzkich – szepnął z niedowierzaniem Aron. – Skąd, na Boga, miał tyle pieniędzy?

– Nie napisał? – spytała Louise, wpatrując się w cyfry na monitorze.

– Jest tu tylko numer jego konta w jakimś hiszpańskim banku.

Aron próbował kopać jeszcze głębiej. Na jego twarzy wciąż rysowało się niedowierzanie. W grudniu tego samego roku na koncie Henryka pojawiła się kolejna suma, tym razem dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Henryk tylko odnotował wpływ, nie komentując w żaden sposób, skąd pochodzą pieniądze.

– Czy ktoś mu za coś zapłacił? – spytał Aron.

Louise nie знаła odpowiedzi.

Po chwili natrafili na kolejne duże sumy, które spłynęły na konto ich syna wiosną 2000 roku. Aron obliczył, że Henryk w krótkim czasie zgromadził dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

– Miał masę pieniędzy – powiedział. – Większość z nich wydał, nie mamy pojęcia na co, ale z pewnością było go stać na to mieszkanie. No i mógł podróżować tyle, ile chciał.

Louise obserwowała, jak Aron coraz bardziej zagłębia się w świat Henryka. Spostrzegła, że staje się niespokojny.

Być może widzi to wyraźniej niż ja. Te wielkie sumy przychodzące znikąd są bardzo niepokojące.

Aron stukał w klawiaturę, mrużąc coś o ślepych uliczkach.

– Zupełnie jak ten adres. Zaulek Chrystusa – wymamrotał.

– Henryk często powtarzał, że nie wierzy w przypadki – odparła Louise.

– Z taką sumą na koncie mógł sobie pozwolić na mieszkanie pod dowolnym adresem.

Aron nagle przestał pisać i zamarł. Louise spojrzała na niego, siedząc w kucki pod regałem z książkami.

– Co się stało? – spytała.

– Coś się otwiera – wyjaśnił Aron. – Nie wiem, co to jest.

Ekran zaśnieżył, a potem wyłonił się jakiś kształt. Louise podeszła do komputera i oboje z Aronem nachylili się w stronę ekranu, żeby lepiej widzieć. Prawie stykali się policzkami.

Ich oczom ukazał się tekst.

Latarnia w rękach Diogenesa. Pojąłem, że żyję w czasach, w których z zatajania prawdy uczyniono sztukę oraz naukę. Fakty, które niegdyś po prostu kłuły w oczy, dziś są umiejętnie skrywane. Uczciwego człowieka trzeba szukać ze świeczką. Jej płomień stale gaszą zimne

podmuchy wiatru, więc wciąż trzeba się decydować, czy się poddać, czy zapalić ją na nowo. A zapaliwszy płomień, czy kontynuować poszukiwania.

– O co mu chodzi? – zdziwił się Aron.

– Legenda głosi, że pewnego dnia, kiedy Diogenes się opalał, podszedł do niego Aleksander Wielki i zaproponował, że spełni każde jego życzenie. Diogenes poprosił go, by się przesunął, bo zasłania mu słońce. Poza tym filozof przechadzał się po mieście za dnia z zapaloną latarnią i mówił, że szuka człowieka. Miało to oznaczać, że szuka moralnej istoty. Wyśmiewał głupotę i chciwość. Wiele firm ubezpieczeniowych, a nawet biur detektywistycznych, odwołuje się do Diogenesa w swojej polityce, twierdząc, że to oni są właśnie „niosącymi latarnię”. Oświetlają drogę w ciemności i stawiają owej ciemności opór.

Wrócili do czytania, stwierdzając, że tekst jest manifestem Henryka:

Spośród wszystkich łbów krwiożerczej hydry najbardziej przerażają mnie trzy: „Winkelman and Harrison” ze swoimi szemranymi badaniami genetycznymi w wielkim kompleksie w Wirginii. Wystarczająco dziwne wydaje się już samo to, że mają swoją siedzibę niemal po sąsiedzku z główną siedzibą CIA w Langley. Nikt tak naprawdę nie wie, co się dzieje za betonowymi murami, jednak pewne brytyjskie służby tropiące nielegalne pieniądze z handlu narkotykami i bronią, które mogą pochodzić nawet z handlu kobietami w Europie i Ameryce Południowej, znalazły tam jakieś dojskie. Jednym z głównych właścicieli firmy jest niepozorny gość nazwiskiem Riverton, który ponoć mieszka na Kajmanach, chociaż to wcale nie jest pewne.

Drugim łbem hydry jest szwajcarski koncern Balco, który oficjalnie zajmuje się poszukiwaniem nowych rodzajów antybiotyków będących w stanie zwalczać szczepy bakterii odporne na działanie aktualnie dostępnych leków. Tak naprawdę odbywa się tam coś całkiem innego. Krążą plotki o tajnych stacjach eksperymentalnych koncernu w Malawi i Tanzanii, gdzie poza wszelką kontrolą testuje się nowe lekarstwa na AIDS.

Trzeci łeb potwora nie ma nazwy, symbolizuje bowiem sporą grupę naukowców, którzy pod przykrywką działalności charytatywnej testują lekarstwa na AIDS w Południowej Afryce. Mówi się tam o licznych zgonach z niewyjaśnionych przyczyn, o zaginięciach ludzi. Nikt oficjalnie nic nie wie.

Dlatego jeśli latarnie zgasną, trzeba je na nowo zapalić.

Aron odchylił się na oparcie.

– Najpierw mówi o jednej latarni, potem jest ich nagle więcej. Co to wszystko znaczy? Czy Henryk należał do jakiejś grupy próbującej się dostać do skóry firmom farmaceutycznym?

– To by nawet do niego pasowało – odparła Louise. – Chociaż zdawało mi się, że moim grzebaniem w ziemi skutecznie go zniechęciłam do wyjaśniania zagadek.

– Chciał pójść w twoje ślady?

– Czy chciał być archeologiem? W życiu! Kiedy był dzieckiem, nie znosił nawet zabaw w piaskownicy.

Aron wskazał palcem monitor.

– Musiał się na tym niezłe znać – powiedział. – Mam na myśli komputer. Dziwi mnie jednak, że mimo sum, jakimi dysponował, nie miał najnowszego oprogramowania. Stać go było na lepsze zabezpieczenia. Przychodzi mi do głowy tylko jedno wyjaśnienie.

– Że chciał przeznaczyć pieniądze na coś innego?

– Właśnie tak. A także, że liczył każdy grosz. Przeznaczał wszystko na inny cel. Pytanie tylko na jaki?

Postukawszy chwilę w klawiaturę, Aron natrafił na kolejny ukryty plik i wyciągnął na światło dzienne następną tajemnicę Henryka. Była to seria artykułów zeskanowanych bezpośrednio do komputera.

– Tu ich nie skopiował – odezwał się Aron. – Tu nie ma skanera. Czy miał taki sprzęt w mieszkaniu w Sztokholmie?

– Niczego takiego nie widziałam.

– A masz w ogóle pojęcie, jak wygląda skaner?

– Wiesz, nie zdarza nam się ich wygrzebywać z ziemi, ale często ich używamy – odcięła się Louise.

W pliku zapisane były cztery artykuły. Dwa z „Guardiana” oraz po jednym z „New York Timesa” i „Washington Post”. Wszystkie traktowały o aferze łapówkowej, w którą wplątany był personel pewnego szpitala. Osoby te nielegalnie udostępniły komuś karty dwóch pacjentów. Pierwszy z nich chciał pozostać anonimowy, drugi nazywał się Steve Nichols, w jednym z artykułów było nawet jego zdjęcie. Na obu potem ktoś wymuszał duże sumy pieniędzy w zamian za nieujawnianie, że są nosicielami wirusa HIV.

Tym razem Henryk nie zrobił żadnych dopisków, niczego nie podkreślił i nie postawił wykrzykników. Louise zamyśliła się. Czy sumy wpływające na konto Henryka mogły pochodzić z szantażu? Czy mój syn był szantażystą? Wiedziała, że Aronowi krążą po głowie te same myśli. Były tak nieprzyjemne i trudne do przyjęcia, że szybko je od siebie odegnęła. Aron wciąż siedział w milczeniu, gładząc palcem jeden z klawiszy. Louise zaczęła się obawiać, że

prawda o Henryku może okazać się ciemnym tunelem wiodącym do pomieszczenia pogrążonego w jeszcze gęstszym mroku.

Nie wiedzieli, co o tym wszystkim myśleć, wyłączyli więc komputer i wyszli z mieszkania. Blanka nie pokazała się i tym razem. Kiedy po długim spacerze wrócili do hotelu, Aron zapytał Louise, czy może spać w jej pokoju.

– Nie mam siły być sam – powiedział.

– Dobrze, ale przynieś swoją pościel. I nie budź mnie, jeśli przyjdiesz, a ja będę już spała.

Po paru godzinach obudziły ją jakieś szelesty. Otworzyła oczy i spostrzegła, że Aron się ubiera. Miał już na sobie spodnie, ale wciąż nagi tors. Przymknęła powieki i udając, że śpi, dyskretnie mu się przyjrzała. Miał bliznę biegnącą w poprzek lewej łopatki. Wyglądało to tak, jakby ktoś zranił go nożem. Wiele lat temu, kiedy zwykła opierać głowę w tym miejscu, nie było śladu po ranie. Była ciekawa, kiedy i jak się nabawił tej blizny. Pewnie podczas jednej z bijatyk, w które rzucał się na oślep, kiedy był pijany, pomyślała. Większość z nich sam wywoływał. Aron założył koszulę i usiadł na brzegu łóżka.

– Widzę, że już nie śpisz – powiedział.

– Dokąd się wybierasz? – spytała Louise.

– Donikąd. Pomyślałem, że wyjdę napić się kawy. Nie mogę spać. Być może wstąpię do jakiegoś kościoła.

– Od kiedy chodzisz do kościoła?

– Do tej pory nie zapaliłem świeczki dla Henryka. Coś takiego powinno się chyba zrobić w samotności.

Sięgnął po kurtkę, kiwnął głową na pożegnanie i wyszedł.

Louise wstała i powiesiła na klamce zawieszkę z napisem „Nie przeszkadzać”. Po drodze do łóżka stanęła przed lustrem i przyjrzała się swojej twarzy. Co widzi Aron, kiedy na mnie patrzy? Wiele razy słyszała, że jej twarz często się zmienia. Koledzy z pracy, którzy dobrze znali Louise i potrafili być z nią szczerzy, twierdzili, że zmienia twarz każdego dnia. Nie mam dwóch obliczy, jak Janus, mam ich co najmniej dziesięć, może nawet piętnaście, myślała. To maski, spośród których można wybierać. Niewidzialne dłonie zakładają mi jedną z nich o poranku, więc kiedy się budzę, sama nie wiem, którą noszę akurat tego dnia.

Ten obraz, obraz siebie samej w masce, często nawiedzał Louise w snach.

Louise Cantor, archeolog, pochylona nad jakimś wykopaliskiem, w masce rodem z tragedii greckiej.

Wróciła do łóżka, ale nie mogła już zasnąć. Czuła się bezradna i nie dawało jej to spokoju. Spróbowała zadzwonić do Artura, ale nie odebrał, więc pod wpływem impulsu odszukała numer do Nazrin. Z nią również nie udało jej się połączyć, dlatego zostawiła jej wiadomość, że odezwie się później i że sama jest trudno osiągalna, ponieważ przebywa za granicą.

W tamtych strasznych czasach, kiedy podejrzewałam, że Aron mnie zdradza, a więc jakiś rok przed tym, jak nasze małżeństwo legło w gruzach, zdarzało mi się przeszukiwać jego torby i kieszenie. Przeglądałam jego notatnik i zawsze starałam się pierwsza odebrać pocztę. Gdyby wciąż tak było, teraz weszłabym do jego pokoju.

Zawstydziała się na samą myśl, że mogłaby zajrzeć do jego rzeczy. W Australii, w domu czerwonych papug, ani razu nie rzucił się jej w oczy ślad obecności kobiety w życiu Arona, kobiety, którą ukrył, ponieważ pojawiła się Louise. A nawet jeśli Aron kogoś ma, nic mi

do tego, pomyślała. Uczucia, które kiedyś do niego żywiłam, nie da się już odkopać i odrestaurować.

Wypiła kawę i poszła na spacer. Przyszło jej na myśl, że powinna zadzwonić do kolegów w Grecji. Nie wiedziała jednak, co miałaby im powiedzieć.

Nagle zatrzymała się na środku chodnika, porażona myślą, że być może nigdy już nie wróci do Grecji na wykopaliska, być może uda się tam tylko po to, by zabrać swoje rzeczy i oddać klucze do domu. Przyszłość nie przybierała żadnego kształtu.

Po chwili zawróciła i ruszyła z powrotem do hotelu. Kiedy wchodziła, natknęła się na pokojówkę robiącą porządki. Zaczekała w recepcji, aż kobieta skończy. Przyglądała się pięknej nieznajomej głaszczącej psa oraz mężczyźnie, który czytał gazetę przez lupę. W pokoju spostrzegła, że klucz Arona wciąż leży na stoliku. A więc jeszcze nie wrócił, pomyślała. Wyobraziła go sobie zapalającego świeczkę w kościele.

Nic nie wiem o jego bólu, nie potrafię sobie wyobrazić jego cierpienia. Zapewne któregoś dnia wybuchnie jak uśpiony wulkan. Nastąpi eksplozja gorącej, powstrzymywanej przez długi czas lawy. Aron zginie jako buchający ogniem smok.

Znów wybrała numer Artura. Tym razem odebrał. Powiedział jej, że w nocy spadł śnieg. Louise wiedziała, że ojciec uwielbia śnieg, daje mu on poczucie bezpieczeństwa. Streściła mu, że są razem z Aronem w Barcelonie, ponieważ dowiedzieli się o mieszkaniu, które Henryk tu wynajmował. Zdecydowała się na razie nie mówić nic o jego chorobie. Nie wiedziała, jak Artur na to zareaguje. Rozmawiali krótko, gdyż ojciec Louise nie lubił rozgadywać się przez telefon. Zawsze trzymał słuchawkę w pewnej odległości od ucha, zmuszając Louise niemal do krzyku.

Po rozmowie z ojcem zadzwoniła do Grecji. Miała szczęście, bo słuchawkę podniósł kierownik wykopalisk, kolega z Uppsali, który pojechał tam, by ją zastąpić. Zapytała, jak idą prace, i z odpowiedzi wywnioskowała, że zgodnie z planem, że wszystko jest w fazie przygotowań do zimy. Postanowiła mówić całkiem szczerze o swojej przyszłej roli na wykopaliskach. Przyznała, że nie wie, czy będzie w stanie tam wrócić. Obecnie i tak nie miało to większego znaczenia, nadchodził sezon zimowy i prace miały być lada dzień zakończone. Żadne z nich nie wiedziało, co nadejdzie z początkiem roku i czy uda się zgromadzić nowe fundusze.

Nagle coś przerwało rozmowę. Louise oddzwoniła, ale w słuchawce rozległ się jedynie łagodny kobiecy głos mówiący po grecku, zachęcający zapewne, by spróbowała zadzwonić później.

Położyła się na łóżku i od razu zasnęła. Kiedy się obudziła, zegar wskazywał wpół do pierwszej. Arona wciąż nie było.

Louise przeszedł dreszcz niepokoju. Cztery godziny na wypicie kawy i zapalenie świeczki w kościele? Czyżby uznał, że nie ma na to siły, i zniknął? Czy znów będę musiała czekać pół roku na telefon z kolejnego odległego zakątka świata? Czy może jak kiedyś przemówi pijackim, rozżalonym głosem? Nie namyślając się wiele, zabrała klucz i weszła do jego pokoju. Na niskiej ławie leżała otwarta walizka, a w niej niedbale rzucone ubrania i maszynka do golenia w zniszczonym futerale. Przetrzęsając zawartość bagażu, Louise znalazła plastikową torebkę z dużą ilością gotówki. Włożyła ją do torebki, żeby nie zginęła. Na samym dnie walizki leżała książka, w której Bill Gates rozwodził się nad przyszłością komputerów. Przerzuciwszy parę kartek, Louise zorientowała się, że Aron podkreślał fragmenty tekstu i robił notatki na marginesach. Zupełnie jak Henryk, pomyślała. A jednak są do siebie podobni.

Mnie się chyba nigdy nie zdarzyło zapisać niczego w książce. Odłożyła książkę i sięgnęła po drugą, leżącą tuż obok. Było to studium na temat klasycznych, nierozwiązanych zagadnień matematycznych. Jedna strona została zagięta, widocznie w tym miejscu Aron skończył czytać. Tytuł następnego rozdziału brzmiał: „Wielkie twierdzenie Fermata”.

Włożywszy książkę z powrotem do walizki, Louise rozejrzała się po pokoju. W koszu na śmieci stała pusta butelka po wódce. Nie poczuła od Arona alkoholu, odkąd odnalazła go na falochronie. Zdaje się jednak, że opróżnił całą flaszkę, od chwili gdy przyjechaliśmy do Barcelony. Nigdzie nie było szklanki, a więc pił z butelki. Ale kiedy to zrobił? Przecież byliśmy razem prawie przez cały czas.

Wróciwszy do swojego pokoju, doszła do wniosku, że od dłuższego czasu nie robi nic innego, tylko czeka na Arona. Zniknął mój przewodnik, więc stoję w miejscu, pomyślała z niechęcią. Dlaczego nie potrafię się ruszyć?

Ostatecznie zostawiła wiadomość na stole i wyszła z hotelu. Zjadła lunch w małej restauracji nieopodal. Kiedy płaciła, była już trzecia. Aron musiał już wrócić, stwierdziła. Rzuciła okiem na komórkę, nie było tam jednak nieodebranego połączenia ani wiadomości.

Zaczęło padać. Louise wróciła do hotelu biegiem, z kurtką zarzuconą na głowę. „Nie, pan Cantor jeszcze nie wrócił. Czy dzwonił? Nikt nie zostawił dla pani żadnej wiadomości”.

Louise poważnie się zaniepokoiła. Czuła, że Aron tak po prostu nie wyjechał. Miała przeczucie, że coś się stało. Jeszcze raz spróbowała do niego zadzwonić, lecz wciąż nie odbierał.

Została w pokoju do wieczora. Aron się nie pojawił. Co jakiś czas do niego dzwoniła. Bez skutku. Miał wyłączony telefon. Koło siódmej zeszła do recepcji, usiadła w fotelu i znów zaczęła z nudów przyglądać się ludziom krążącym między wyjściem, ladą recepcyjną, barem i butikiem, w którym sprzedawano gazety. W rogu, przy drzwiach do baru, siedział jakiś mężczyzna i wpatrywał się w mapę. Louise dyskretnie mu się przyjrzała i coś w nim przykuło jej uwagę. Czyżby go już kiedyś widziała? Wstała i weszła do baru. Wypiła kieliszek wina, potem jeszcze jeden. Kiedy wróciła do foyer, mężczyzny z mapą już nie było, a na jego miejscu siedziała jakaś kobieta. Rozmawiała przez komórkę. Odległość między nimi była za duża, by Louise mogła rozróżnić język, w jakim mówiła nieznajoma, a tym bardziej usłyszeć, czego dotyczyła rozmowa.

O wpół do dziewiątej zamówiła kolejną lampkę wina, a potem wyszła z hotelu. Nie miała kluczy do mieszkania Henryka, zabrał je Aron. Louise doznała nagłego olśnienia. Przecież siedział tam przez cały czas! Przed komputerem Henryka!

Szła szybko i niebawem skręciła w Zaułek Chrystusa. Kiedy dotarła do drzwi kamienicy, obejrzała się za siebie. Przez moment miała wrażenie, że jakiś cień szybko się cofnął poza krąg światła latarni. Nagle dopadł ją strach.

Czy właśnie taki strach odczuwał Henryk? Czy to o nim rozmawiał z Nazrin i ze sobą samym w pamiętnikach?

Szybko weszła do środka i zadzwoniła do drzwi Blanki Roig. Minęła dłuższa chwila, nim dziewczyna otworzyła.

– Rozmawiałam przez telefon – wyjaśniła. – Mój ojciec się rozchorował.

– Czy widziała dziś pani mojego męża? – Louise przeszła od razu do rzeczy.

Blanka zdecydowanie pokręciła głową.

– Na pewno?

– Nie widziałam, żeby wchodził ani wychodził.

– Wziął klucze. Źle się umówiliśmy, a on ma wyłączony telefon.

– Mogę pani otworzyć. Potem proszę po prostu zatrzaskać drzwi.

Louise przyszło na myśl, że powinna zapytać Blankę, dlaczego nie mówiła jej prawdy. Coś ją jednak powstrzymało. Stwierdziła, że w tej chwili liczy się tylko to, by odnaleźć Arona.

Blanka otworzyła jej drzwi i zeszła po schodach. Louise stała chwilę w półmroku i nasłuchiwała. Potem weszła do środka i lampa po lampie zaczęła włączać światło. Obeszła całe mieszkanie.

Niespodziewanie poczuła, że spora liczba luźnych elementów układanki połączyła się właśnie w całość. Louise dostrzegła wzór.

Ktoś chciał się pozbyć Arona. Ma to coś wspólnego z Henrykiem, z jego podróżami, z jego strachem, chorobą i śmiercią. Oraz z mózgiem Kennedy'ego. Aron stał się jej przewodnikiem. Uznano go za niebezpiecznego, bo mógł odnaleźć ścieżkę, która musi pozostać w ukryciu.

Louise poczuła, że ze strachu oblał ją zimny pot. Powoli podeszła do okna i wyjrzała na ulicę.

Nie było tam żywej duszy. Miała jednak neodparte wrażenie, że ktoś przed chwilą stamtąd odszedł.

Po powrocie do hotelu Louise nie mogła zasnąć. Przypomniała sobie, jak się czuła wtedy, kiedy Aron od niej odszedł. I potem, kiedy słał jej pisane po pijaku listy z różnych stron świata. Teraz znów go nie było, a Louise czuwała. Zupełnie jakby nic się nie zmieniło.

W nadziei, że uda jej się w ten sposób wpłynąć na siły trzymające go z dala od niej, weszła do jego pokoju i wsunęła się pod kołdrę, pod którą Aron nawet nie zdążył się położyć. Wciąż nie mogła zasnąć. Myśli wirowały jej w głowie, miała wrażenie, że musi je zatrzymać i uporządkować, zanim się roztrzaskają. Co się mogło stać? Czyżbym się myliła co do niego? Czy ponownie zniknął, zostawiając mnie sam na sam ze śmiercią Henryka? Czy znowu podkulił ogon i uciekł? Czy naprawdę można być tak wyrachowanym, by udawać cierpienie i pod pretekstem wyjścia do kościoła i zapalenia świeczki dla zmarłego syna po prostu zwinąć manatki i odejść?

Wstała i wyjęła z barku parę buteleczek z alkoholem. Nie wiedziała, co pije, po prostu wlała do gardła mieszankę wódki, koniaku i jakiegoś likieru. Od razu poczuła rozlewający się po ciele spokój, choć dobrze wiedziała, jaki jest zdradliwy. Kiedy wróciła pod kołdrę, w jej głowie rozległ się głos Arona.

Nikt nie potrafi namalować morskiej fali. Zdolny artysta umie przenieść na płótno ruch, uśmiech, nawet mrugnięcie. Ale również ból czy strach, jak u Goi, kiedy mężczyzna w desperacji rozkłada ręce przed plutonem egzekucyjnym. Wszystko to da się uchwycić, wszystko to już widziałem. Poza falą. Morze każdemu wymyka się z rąk, fale nie dają się nikomu schwytać.

Przypomniała jej się podróż do Normandii, ich pierwszy wspólny wyjazd. Aron miał tam wygłosić wykład na temat wspólnej przyszłości telefonii i komputerów. Louise wzięła wolne na uczelni, żeby mu towarzyszyć. Jedną noc spędzili w Paryżu, w hotelu, gdzie przez ściany do ich pokoju wdzierała się orientalna muzyka. Następnego dnia, wczesnym rankiem wsiedli do pociągu do Caen. Łączyła ich wtedy wielka namiętność. Aron zaciągnął Louise do toalety, gdzie kochali się w pośpiechu. Pomyślała wtedy, że nie wyobrażała sobie czegoś takiego nawet w najśmielszych fantazjach.

Po przybyciu do Caen spędzili parę godzin w przepięknej katedrze. Louise przyglądała się Aronowi ukradkiem, powtarzając sobie w myślach, że oto widzi mężczyznę, z którym zamierza spędzić resztę życia.

Wieczorem tego samego dnia, kiedy Aron skończył wykład i publiczność nagrodziła go gromkimi brawami, Louise zwierzyła mu się ze swoich rozmyślań w katedrze. Aron mocno ją objął i odpowiedział, że przyszło mu do głowy to samo. Oboje byli zdania, że spotkali się po to, by już nigdy się nie rozstawać.

Nazajutrz bardzo wczesnie rano w strugach deszczu wyjechali z Caen wypożyczonym samochodem i udali się w stronę wybrzeża, w okolice, gdzie w czerwcu 1944 roku odbyła się inwazja. Aron miał w swoim drzewie genealogicznym krewnego z USA. Szeregowy Lucas Cantor poległ w bitwie na plaży Omaha, nie zdążywszy nawet zejść na ląd. Aron i Louise zostawili auto na parking, a potem długo spacerowali w deszczu i na wietrze po opustoszałej plaży. Aron był milczący i zamyślony, Louise nie chciała mu przeszkadzać. Myślała, że Aron nie odzywa się ze wzruszenia, on jednak przyznał jej się później, że nic nie mówił, bo zmarł i przemókł. Czemu

miałbym się wzruszać z powodu Lucasa Cantora, odpowiedział jej zdziwionym tonem. Przecież on nie żyje od trzydziestu pięciu lat.

To właśnie tam, na plaży w Normandii, Aron na moment przerwał milczenie, pokazał palcem na morze i powiedział, że nie ma na świecie artysty, który w przekonujący sposób potrafiłby namalować fale. Nie udało się to nawet Michałowi Aniołowi, nie umiał ich też wyrzeźbić Fidiasz. Fale przypominają człowiekowi o jego ograniczeniach, stwierdził.

Louise próbowała zaprotestować, udowodnić mu, że się myli, podać jakieś przykłady. Co z malarstwem marynistycznym Jacoba Hägga³? Czy zdaniem Arona Hägg też nie potrafił namalować fali? Co z motywami biblijnymi, co z japońskimi drzeworytami? Aron obstawał przy swoim, nawet uniósł głos, co zaskoczyło Louise, bo nigdy wcześniej tego nie zrobił. Jego zdaniem nie było artysty, który potrafiłby oddać piękno fal w zadowalający sposób. A ponieważ on, Aron, tak właśnie sądził, musiało tak być.

Potem nigdy więcej nie rozmawiali o falach, zdarzyło się to tylko ten jeden raz, na normandzkiej plaży, na której wiele lat temu poległ Lucas Cantor, nie zszedłszy nawet na ląd.

Louise zatopiła się w myślach. Dlaczego akurat teraz sobie to przypomniałam? Czy mam to uznać za jakiś znak? Wiadomość dotyczącą zniknięcia Arona, którą sama sobie podświadomie wysłałam?

Wstała z łóżka i podeszła do okna. Było uchylone. Na zewnątrz panował mrok, do pokoju dostawały się podmuchy ciepłego wiatru. Louise ledwie słyszała przejeżdżające ulicą samochody i odgłosy dochodzące z kuchni pobliskiej restauracji.

Nagle poczuła, że ta łagodna noc kryje w sobie jakiś fałsz. Aron już nie wróci, stwierdziła. Cienie na ulicy, które zdawało jej się, że

dostrzegła, kłamstwa Blanki, pizama Henryka, wszystko to mówiło jej, że i ona może być w niebezpieczeństwie. Szybko odeszła od okna i sprawdziła, czy drzwi są zamknięte. Serce waliło jej jak oszalałe. Nie mogła zapanować nad kotłującymi się w głowie myślami.

Znów otworzyła barek i wyjęła pozostałe buteleczki. Wódkę, gin, whisky. Potem się ubrała. Zanim odważyła się otworzyć drzwi, zrobiła głęboki wdech. Było wpół do czwartej nad ranem. Korytarz był pusty, mimo to zdawało jej się, że przy windzie mignął jakiś cień. Zamarła na krótką chwilę, próbując sobie wytłumaczyć, że to tylko przywidzenie.

W końcu ruszyła z miejsca, wsiadła do windy i zjechała na dół, do opustoszałej recepcji.

W okienku pokoju za ladą dostrzegła niebieską poświatę telewizora. Dźwięk był ledwie słyszalny. Odgadła, że ktoś ogląda stary film. Po chwili w drzwiach pojawił się recepcjonista, młody chłopak w wieku Henryka. Na piersi miał plaketkę z imieniem Xavier.

– Wcześniej pani wstała, pani Cantor – powiedział. – Noc jest ciepła, ale pada deszcz. Mam nadzieję, że nic pani nie obudziło?

– Nie spałam – odparła Louise. – Mój mąż zniknął.

Xavier rzucił okiem na szafkę z kluczami.

– Ja mam jego klucz – uprzedziła go Louise. – Męża nie ma w pokoju. Wyszedł wczoraj przed południem. Od tego czasu minęła prawie doba.

Recepcjonista nie wyglądał na przejętego.

– Czy rzeczy pani męża są w jego pokoju?

– Tak, nie brakuje niczego.

– A więc na pewno niebawem wróci. To z pewnością jakieś nieporozumienie.

Myśli, że się pokłóciliśmy, stwierdziła ze złością Louise.

– Żadne nieporozumienie. Mój mąż zniknął. Obawiam się, że spotkało go coś złego. Proszę mi pomóc.

Xavier rzucił jej spojrzenie pełne powątpiewania. Louise nie spuściła wzroku. Chłopak skinął głową, podniósł słuchawkę i powiedział kilka zdań po katalońsku. Potem cichutko odłożył słuchawkę, jakby się bał, że obudzi cały hotel.

– Szef ochrony hotelu, señor Castells, mieszka tuż obok. Przyjdzie tu za dziesięć minut.

– Dziękuję panu – odparła Louise.

Trzydzieści lat temu od razu bym się w nim zakochała, tak jak zakochałam się w mężczyźnie poznanym w samolocie lecącym do Szkocji. Teraz jednak nic takiego mi już nie grozi. Nie robi na mnie wrażenia ani ten chłopak, ani Aron, którego odkopałam w australijskiej ziemi i który znowu zniknął bez śladu.

Kiedy czekała na szefa ochrony, Xavier przyniósł jej filiżankę kawy. Louise czuła, że niepokój draży ją coraz głębiej. Odprowadziła wzrokiem drepczącego przez hol staruszka w kombinezonie roboczym.

Señor Castells, mężczyzna po sześćdziesiątce, wszedł do hotelu niemal bezszelestnie. Miał na sobie długi płaszcz oraz kapelusz przypominający borsalino. Xavier wskazał mu Louise kiwnięciem głowy.

– Pani Cantor z pokoju 533 mówi, że zaginął jej mąż – szepnął.

Louise uznała, że zabrzmiało to jak dialog z jakiegoś filmu. Señor Castells zdjął kapelusz, przez moment bacznie przyglądał się Louise, a potem zaprosił ją do pokoju obok recepcji. Pomieszczenie było

ciasne i nie miało okien, stały w nim jednak wygodne meble. Mężczyzna zdjął płaszcz i zaproponował jej, by usiadła.

– Proszę mi wszystko po kolei opowiedzieć – odezwał się. – Szczegółowo. Nie musi się pani spieszyć, mamy czas.

Louise mówiła powoli, podsumowując ostatnie wydarzenia w równym stopniu dla siebie, co dla señora Castellsa, który raz po raz notował coś w swoim zeszycie. Mrużył oczy z uwagą za każdym razem, kiedy Louise wspominała o Henryku i jego niespodziewanej śmierci. Mężczyzna nie przerwał jej ani razu, a kiedy skończyła, na dłuższą chwilę zatopił się w myślach. W końcu odchrząknął i poprawił się na krześle.

– Czy pani mąż ma jakikolwiek powód, żeby się ukrywać?

– On się nie ukrywa.

– Rozumiem, że cierpi pani po stracie syna, ale o ile wszystko dobrze zrozumiałem, nie ma podstaw, by przypuszczać, że to było morderstwo. Wspomniała pani, że szwedzka policja wypowiedziała się już na ten temat. Czy w tej sytuacji nie jest prawdopodobne, że pani mąż nie wytrzymał napięcia? Może chciał pobyć sam?

– Wiem, że coś się z nim stało. Nie potrafię tego udowodnić i właśnie dlatego proszę o pomoc.

– Na tym etapie sugerowałbym raczej, żeby pani uzbroiła się w cierpliwość i jeszcze trochę odczekała.

Louise gwałtownie poderwała się z krzesła.

– Pan mnie chyba nie rozumie! – krzyknęła. – Jeśli odmówi mi pan pomocy, urządzę w tym hotelu piekło! Żądam rozmowy z policją!

– Ależ oczywiście. Może pani porozmawiać z policją – odparł spokojnym tonem señor Castells. – Doskonale rozumiem, że jest pani zdenerwowana. Proszę jednak, żeby pani usiadła.

Mężczyzna zdawał się niewzruszony wybuchem Louise. Spokojnie podniósł słuchawkę i wcisnął jeden przycisk, pod którym najwyraźniej miał zaprogramowany numer do lokalnego posterunku policji. Wymienił z kimś parę słów, po czym odłożył słuchawkę.

– Za chwilę przyjedzie do nas dwóch mówiących po angielsku policjantów. Przyjmą od pani zgłoszenie i natychmiast zaczną szukać pani męża. Tymczasem napijmy się kawy – zaproponował.

Wkrótce do hotelu przybyli dwaj funkcjonariusze, jeden młody, drugi nieco starszy. Wszyscy usiedli w opustoszałym barze. Louise powtórzyła swoją opowieść, którą młodszy policjant skrupulatnie zapisywał. Nie mieli wielu pytań. Na zakończenie starszy policjant poprosił Louise o zdjęcie Arona.

Miała przy sobie jego paszport. Wręczyła go funkcjonariuszom, podkreślając, że Aron nigdy nie wyruszyłby w drogę bez tego dokumentu. Policjanci zapowiedzieli, że wezmą paszport, żeby go skopiować i spisać najważniejsze dane. Louise miała go odzyskać za parę godzin.

Kiedy policjanci wyszli z hotelu, zaczynało już świtać. Szef ochrony też już sobie poszedł, zamknąwszy wcześniej pokój obok recepcji na cztery spusty. Również Xavier gdzieś zniknął.

Louise poszła do swojego pokoju, położyła się na łóżku i zamknęła oczy.

Aron powiedział, że wstąpi do kościoła, chciał tam zapalić świeczkę. Potem coś się wydarzyło.

Usiadła na łóżku. Czyżby ktoś poszedł za nim do tego kościoła? Wstała, podeszła do stołu i rozłożyła na nim mapę centrum Barcelony.

Może w pobliżu hotelu lub mieszkania Henryka jest jakiś kościół? Próbowała odnaleźć odpowiednie miejsce na mapie. Plan był niewyraźny i Louise miała wątpliwości, do której z pobliskich świątyń mógł się udać Aron. Była pewna, że wybrał tę, która leżała najbliżej. Nie lubił spacerować bez celu.

Kiedy po dwóch godzinach zwrócono Louise jego paszport, wrzuciła go do torebki i wyszła z pokoju.

Przy drzwiach kamienicy, przy Zaułku Chrystusa, zastała Blanę myjącą okno w drzwiach.

– Muszę z panią porozmawiać. Właśnie teraz – oznajmiła.

Jej głos zabrzmiał ostro, niemal krzykliwie, jakby łajała niezdyscyplinowanego studenta, który nie wywiązał się z jakiegoś zadania na wykopaliskach. Blanka zamarła. Na dłoniach miała żółte gumowe rękawiczki. Louise dotknęła jej ramienia.

– Wczoraj Aron poszedł do kościoła i do tej pory nie wrócił. Gdzie tu w okolicy jest jakiś kościół? Mój mąż nie mógł odejść daleko.

Blanka pokręciła głową.

– Chodzi o kościół czy o kaplicę? – spytała.

– O jakąś świątynię, która zawsze jest otwarta. Miejsce, gdzie można wejść i zapalić świeczkę.

Blanka na moment się zamyśliła. Louise przyglądała się jej, czując rozdrażnienie z powodu żółtych rękawiczek. Miała ochotę zerwać je dziewczynie z dłoni.

– W Barcelonie jest mnóstwo kościołów, małych i dużych – powiedziała Blanka po chwili.

– Ale najbliżej jest Iglesia de San Felip Neri.

– Chodźmy tam – zarządziła Louise.

- My?
- Pójdzie pani ze mną. Proszę zdjąć te rękawiczki.

Fasada kościoła była zniszczona, a drzwi z ciemnego drewna otwarte na oścież. Wewnątrz panował półmrok, więc Louise przystanąła na chwilę w miejscu, żeby przyzwyczaić wzrok do ciemności. Stojąca obok niej Blanka przeżegnała się, uklękła, po czym jeszcze raz zrobiła znak krzyża. Wokół ołtarza krzątała się jakaś kobieta. Ścierała kurze.

Louise podała Blance paszport Arona.

– Niech pani pokaże jej zdjęcie Arona – szepnęła. – I spyta, czy go rozpoznaje.

Louise trzymała się z tyłu, kiedy Blanka podeszła do sprzątającej kobiety. Ta dokładnie obejrzała zdjęcie, trzymając paszport w plamie światła wpadającego przez pięknie pomalowane okno.

Maria stojąca pod krzyżem, Magdalena z odwróconą twarzą. Nad nimi błękitne niebo. Niebo da się namalować, ale nie fałę.

Po chwili Blanka wróciła.

- Rozpoznała go. Był tu wczoraj – powiedziała.
- Niech pani zapyta, o której godzinie przyszedł.

Blanka spełniła jej prośbę.

- Nie pamięta – odparła po chwili.
- Musi sobie przypomnieć. Niech jej pani powie, że zapłacę!
- Nie sądzę, by chodziło jej o pieniądze – skrzywiła się Blanka.

Louise zorientowała się, że niechcący obraziła dziewczynę, a przy okazji i wszystkie katalońskie kobiety. W tej chwili jednak nie miało to dla niej znaczenia. Uparła się, by Blanka powtórzyła pytanie.

– Może między pierwszą a drugą. Ojciec Ramon wpadł tuż przed nim i opowiedział, że jego brat złamał nogę.

– Co Aron tu robił? – drążyła Louise.

– Usiadł w pierwszym rzędzie.

– Zapalił świeczkę?

– Nie widziała. Wpatrywał się w okna, potem w swoje dłonie. Może siedział z zamkniętymi oczami. Nie przyglądała mu się. Widziała go kątem oka, tak jak kogoś, na kogo się nie patrzy.

– Niech pani zapyta, czy w kościele był wtedy ktoś jeszcze. Czy Aron przyszedł sam, czy z kimś?

– Nie wie. Ale na pewno nikt nie siedział obok niego w ławce.

– Czy w tym czasie ktoś inny wchodził do kościoła?

– Tylko siostry Perez, które przychodzą każdego dnia. Zapalają świeczki za swoich rodziców i od razu wychodzą.

– A ktoś jeszcze?

– Mówi, że nie pamięta.

Choć Louise nie rozumiała katalońskiego, wyczuła wahanie w głosie kobiety.

– Niech pani spyta ją jeszcze raz – poprosiła. – Niech pani jej powie, że to dla mnie bardzo ważne, żeby sobie przypomniała. Że chodzi o mojego zmarłego syna.

Blanka pokręciła głową.

– To nic nie da – odparła. – Ona naprawdę bardzo się starała.

Kobieta stała w milczeniu, rytmicznie uderzając miotełką do kurzu o udo.

– Więc niech pani ją poprosi, żeby pokazała, gdzie Aron siedział.

Sprzątaczką wyglądała na zaskoczoną, ale pokazała palcem na ławkę. Louise usiadła w tym miejscu.

– A gdzie stała ona? – pytała dalej.

Kobieta wskazała miejsce przy ołtarzu, tuż pod łukiem sklepienia. Louise się odwróciła. Z miejsca, na którym siedziała, widziała tylko

połowę drzwi do kościoła. Drzwi wciąż były otwarte na oścież.

Ktoś mógł wejść do środka niepostrzeżenie. Równie dobrze mógł też zaczekać na zewnątrz.

– O której Aron wyszedł? – pytała dalej Louise.

– Nie wie – przekazała Blanka. – Wyszła po nową miotłkę do kurzu.

– Jak długo jej nie było?

– Jakies dziesięć minut.

– I kiedy wróciła, on już wyszedł?

– Tak.

Louise doszła do wniosku, że właśnie dowiedziała się czegoś ważnego. Aron nie zostawił dla niej żadnych śladów, bo nie spodziewał się, że spotka go coś złego.

– Proszę jej podziękować i powiedzieć, że bardzo mi pomogła – zwróciła się na koniec do Blanki.

Kiedy wróciły do kamienicy w Zaułku Chrystusa, Louise w skupieniu spróbowała podjąć jakąś decyzję. Czy powinnam zapytać Blankę wprost, dlaczego skłamała, mówiąc, że nikt nie pytał o Henryka? Czy może raczej powoli się do niej zbliżyć, w nadziei, że sama mi o tym powie? Może ona się boi? A może ma jeszcze inny powód?

Usiadły w pokoju Blanki.

– Powiem wprost, co o tym wszystkim myślę – odezwała się Louise. – Aron zniknął i boję się, że spotkało go coś złego.

– Ale co mogło się z nim stać?

– Nie wiem. Śmierć Henryka nie miała naturalnej przyczyny. Podejrzewam, że mój syn wiedział coś, czego nie powinien wiedzieć.

– Co takiego? – zdziwiła się Blanka.

– Nie wiem. Może pani się domyśla?

- Nigdy mi nie opowiadał, czym się zajmuje.
- Przecież powiedział pani, że pisze artykuły do gazet. Nigdy ich pani nie pokazywał?
- Nie.
- Po raz kolejny Louise wyczuła w głosie Blanki wahanie.
- Jest pani pewna? – drążyła.
- Niczego sobie nie przypominam.
- A ma pani dobrą pamięć?
- Sądzę, że nie gorszą niż wszyscy.
- Chciałabym wrócić do pytania, na które pani już kiedyś odpowiedziała. Nie jestem pewna, czy wtedy dobrze panią zrozumiałam.
- Mam sporo do roboty – odparła Blanka.
- To zajmie tylko chwilę. Wcześniej powiedziała pani, że ostatnio nikt nie składał Henrykowi wizyt.
- Dobrze pani zrozumiała.
- Czy możliwe jest, że ktoś tu jednak był, a pani tego nie zauważyła?
- To się raczej nie zdarza.
- Ale przecież czasem musi pani wyjść. Na przykład na zakupy.
- Wtedy proszę siostrę, żeby mnie zastąpiła. Potem zdaje mi relację z wszystkiego, co się działo podczas mojej nieobecności. Gdyby do Henryka ktoś przyszedł lub o niego pytał, wiedziałabym o tym.
- A kiedy Aron i ja wychodziliśmy z mieszkania tamtej nocy, słyszała nas pani?
- Tak.
- Skąd mogła pani wiedzieć, że to my?
- Zapamiętuję odgłosy kroków. Każdy porusza się w inny sposób.

Jak do niej dotrzeć? Louise widziała, że Blanka się nie boi, ale z jakiegoś powodu nie mówi jej całej prawdy. Co ta dziewczyna ukrywa?

Blanka spojrzała na zegarek, wyraźnie zniecierpliwiona. Louise nagle doszła do wniosku, że nie ma nic do stracenia, i postanowiła zaryzykować, że dziewczyna całkiem zamknie się w sobie.

– Henryk pisał o pani w swoich listach – skłamała.

Znów zdawało jej się, że dziewczyna zareagowała nerwowo. Była spięta, Louise wyraźnie to czuła.

– Pisał o pani jako właścicielce mieszkania. Myślałam, że cała ta kamienica należy do pani. Nigdy nie wspomniał o żadnym emerytowanym pułkowniku.

– Mam nadzieję, że nie pisał o mnie źle – odpowiedziała Blanka.

– Skądże, wręcz przeciwnie.

– Co pani ma na myśli?

Louise uznała, że dziewczyna połknęła haczyk. Teraz nie mogła się już wycofać.

– Myślę, że był w pani zakochany – powiedziała. – Że podkochiwał się w pani w tajemnicy.

Blanka spuściła wzrok. Louise już miała kontynuować, kiedy dziewczyna uniosła dłoń.

– Moja matka szantażowała mnie przez całe życie – powiedziała.

– Igrała z moimi uczuciami, odkąd skończyłam dwanaście lat i po raz pierwszy się zakochałam. Dla niej moje uczucie do obcego chłopaka nie było niczym innym jak zdradą. Skoro kochałam kogoś innego, jej musiałam nienawidzić. Jeśli chciałam być z kimś innym, nie chciałam być z nią. Była potworem. Ona wciąż żyje, ale nie wie już nawet, kim jestem. To wspaniałe uczucie odwiedzać ją ze świadomością, że mnie nie rozpoznaje. Wiem, że brzmi to okrutnie,

ale taka jest prawda. Mogę głaskać ją po policzku i mówić jej, jak bardzo jej nienawidzę, a ona nic z tego nie rozumie. Nauczyłam się od niej jednego: nigdy nie owijać w bawełnę, nie krążyć wokół tematu, tak jak pani to właśnie robi. Jeśli chce mnie pani o coś zapytać, proszę to zrobić.

– Wydaje mi się, że Henryk był w pani zakochany. Nie wiem nic więcej.

– Henryk mnie kochał. Kiedy przyjeżdżał, prawie codziennie ze sobą sypialiśmy. Za dnia. Nocami Henryk wolał być sam.

Louise poczuła nagle, że pogrąża się w ciemności. Czy Henryk zaraził Blanę?, pomyślała. Czy ta dziewczyna nosi w sobie śmiertelną chorobę, nie mając o tym pojęcia?

– A czy pani go kochała? – spytała.

– Pożądałam go, ale nie wydaje mi się, żebym go kochała.

– A zatem musi pani wiedzieć o nim dużo więcej, niż mi pani powiedziała.

– A co chce pani wiedzieć? – Blanka odezwała się poirytowanym tonem. – Jaki był z niego kochanek? Jakie lubił pozycje? Czy chciał ze mną robić rzeczy, o których się nie mówi?

Louise poczuła się urażona.

– Nie chcę tego słuchać – szepnęła.

– A ja nie zamierzam pani o tym mówić. Powtarzam, że nikt go tu nie odwiedzał ani go ostatnio nie szukał.

– Coś w pani głosie sprawia, że pani nie wierzę.

– Sama pani decyduje o tym, w co pani wierzy, a w co nie. Po co miałabym kłamać?

– Też się nad tym zastanawiam.

– Wydaje mi się, że chodziło pani o mnie, kiedy pani pytała, czy Henryka ktoś odwiedzał. Wybrała pani bardzo okreźną drogę,

próbując się dowiedzieć czegoś, o co bała się pani zapytać wprost.

– Wcale nie myślałam o pani. Prawdę mówiąc, Henryk nigdy o pani nie pisał. Zmyśliłam to.

– Proponuję, żebyśmy zakończyły tę rozmowę, mówiąc sobie prawdę. Czy ma pani więcej pytań?

– Czy Henryka ktoś tu odwiedzał?

To, co nastąpiło potem, całkiem zaskoczyło Louise i miało ogromny wpływ na dalsze poszukiwania przyczyny śmierci Henryka.

Blanka podniosła się gwałtownie, podeszła do biurka i wyjęła z szuflady zaklejoną kopertę.

– Dał mi to, kiedy był tu ostatnim razem. Poprosił mnie, żebym się tym zaopiekowała. Nie wiem dlaczego.

– Co jest w tej kopercie? – spytała Louise.

– Jest zaklejona. Nie otwierałam jej.

– Dlaczego pokazuje mi to pani dopiero teraz?

– Bo Henryk dał ją mnie. Nie wspomniał ani o pani, ani o pani mężu.

Louise wzięła do ręki kopertę i obejrzała ją z każdej strony. Zastanawiała się, czy Blanka naprawdę nie zaglądała do środka. Zresztą i tak nie miało to w tej chwili żadnego znaczenia. Louise otworzyła list. Wewnątrz była zapisana kartka i zdjęcie. Blanka pochyliła się nad stołem, żeby lepiej widzieć. Wydawała się szczerze zaciekawiona.

Fotografia była czarno-biała i kwadratowa, wyglądała na powiększone zdjęcia paszportowe. Odbitka była nie najlepszej jakości. Widniała na niej twarz młodej, czarnoskórej, bardzo ładnej kobiety. Uśmiechała się, patrząc Louise prosto w oczy. Spomiędzy jej ust błyskały śnieżnobiałe zęby, a lśniące włosy były zaplecione ciasno przy głowie.

Na odwrocie zdjęcia Henryk zanotował imię i datę: „Lucinda, 12 kwietnia 2003”.

- Znam ją – odezwała się nagle Blanka. – Była tu kiedyś z wizytą.
- Kiedy? – spytała Louise.

Blanka zastanowiła się chwilę.

- Po wielkiej ulewie.

- Co to znaczy?

– Spadło wtedy tyle deszczu, że zatopiło całe centrum Barcelony. Pamiętam, że woda wlewała się do kamienicy przez próg. Dziewczyna ze zdjęcia przyjechała następnego dnia. Henryk odebrał ją chyba z lotniska. To było w czerwcu 2003 roku, na początku czerwca. Była tu przez dwa tygodnie.

- Skąd przyjechała?

- Nie wiem.

- Kto to jest?

Blanka spojrzała na Louise z dziwnym wyrazem twarzy.

– Myślę, że Henryk bardzo ją kochał. Za każdym razem, kiedy się na mnie natykali, był bardzo spięty.

- I nie mówił nic na ten temat po tym, jak już wyjechała?

- Nie.

- Jak wobec tego układała się wasza dalsza znajomość?

– Pewnego wieczoru Henryk przyszedł do mnie i zapytał, czy zjem z nim kolację. Zgodziłam się. Jedzenie mi nie smakowało, ale potem zostałam u niego na noc. Zachowywał się tak, jakby tej dziewczyny nigdy tu nie było.

Louise wyjęła list z koperty i zaczęła go czytać. Rozpoznała pismo Henryka. Wyglądało na to, że skreślił list w wielkim pośpiechu. Louise dobrze znała te zamaszyste zawijasy, w niektórych miejscach całkiem nieczytelne, zwłaszcza że tekst był po angielsku. Nie miał

nagłówka, składał się z samego, jakby wyrwanego z kontekstu komunikatu.

Dzięki Lucindzie coraz wyraźniej widzę to, co od jakiegoś czasu próbuję pojąć. Z początku zdawało mi się, że jej opowieści o chciwości i ludzkim cierpieniu nie mogą być prawdziwe. Wciąż jeszcze nie wyzbyłem się złudzenia, że widziałem już na świecie to, co najmroczniejsze. Lucinda opowiedziała mi o ciemności nie do przebycia, twardej jak stal. Czają się w niej drapieżniki, które tańczą na grobach wszystkich tych, którzy zginęli na marne. Lucinda wskaże mi drogę. Jeśli nie będzie mnie przez dłuższy czas, należy szukać mnie u niej. Mieszka w domu z cementu i blachy falistej, na tyłach ruin domów przy Avenida Samora Machel numer 10 w Maputo. Jeśli nie będzie jej w domu, można ją zastać w barze Malocura przy Feira Popular w centrum miasta. Pracuje tam od jedenastej każdego wieczoru.

Louise podała list Blance, która przeczytała go bardzo dokładnie, formując w ustach niemal każdą literę. Skończywszy, zgięła kartkę na pół i położyła ją na stole.

– Co miał na myśli, pisząc, że ta dziewczyna wskaże mu drogę? – spytała Louise.

Blanka pokręciła głową.

– Nie wiem. Ale z pewnością musiała być dla niego kimś ważnym.

Sięgnęła po list i wsunawszy go do koperty, podała Louise.

– Niech pani go weźmie – powiedziała.

Louise włożyła list do torebki.

– W jaki sposób Henryk regulował rachunki za mieszkanie? – spytała.

– Dawał mi pieniądze. Co kwartał. Wszystko jest opłacone do końca roku.

Po tym jak Blanka odprowadziła ją do wyjścia, Louise rozejrzała się po ulicy. Nieopodal była kamienna ławka, na której siedział jakiś mężczyzna i czytał książkę. Louise spuściła z niego wzrok dopiero wówczas, gdy odwrócił stronę.

– Co pani teraz robi? – spytała Blanka.

– Nie wiem. Ale odezwę się do pani za jakiś czas.

Blanka delikatnie pogłaskała ją po policzku.

– Mężczyźni zawsze uciekają, kiedy czują, że coś ich przerasta – powiedziała. – Pan Aron na pewno się znajdzie.

Louise odwróciła się szybko i ruszyła przed siebie. Czuła, że lada chwila wybuchnie płaczem.

W hotelu czekało na nią dwóch policjantów. Usiedli na kanapie w kącie foyer. Młodszemu funkcjonariuszowi najwyraźniej powierzono zadanie, by z nią porozmawiać. Co chwila zaglądał do notatek, przemawiając trudno zrozumiałą angielszczyzną.

– Niestety nie udało nam się odnaleźć pani męża, pana Arona Cantora. Nie ma go w żadnym szpitalu, nie został też zatrzymany na żadnym z naszych posterunków. Oczywiście jego dane pozostaną w naszej bazie. Proszę się uzbroić w cierpliwość.

Louise poczuła, że brakuje jej powietrza. Całkiem opadła z sił.

– Dziękuję panom – szepnęła. – Macie mój numer telefonu, poza tym w Madrycie jest ambasada Szwecji.

Policjanci zasalutowali i wyszli. Louise głęboko zapadła się w miękkiej kanapie. Zdała sobie sprawę, że straciła już wszystko. Nie pozostało jej nic.

Dopadło ją ogromne zmęczenie, paraliżujące jak nagły skurcz. Muszę położyć się spać, pomyślała. Teraz wszystko wydaje mi się zbyt skomplikowane. Jutro wyjadę.

Wstała z trudem i podeszła do windy. Zanim wsiadła do kabiny, rozejrzała się po foyer. Nikogo nie zobaczyła.

Kiedy późnym wieczorem samolot startował z lotniska w Madrycie, Louise czuła, jakby ta moc setek koni mechanicznych wydobyła się z jej wnętrza. Siedząc na miejscu 27A z policzkiem przyklejonym do szyby okna, sprawiła, że samolot uniósł się w górę. Była pijana, już w samolocie z Barcelony do Madrytu piła wódkę i czerwone wino, nic przy tym nie jadła. Czekając na przesiadkę w Madrycie, piła dalej i dopiero gdy zrobiło jej się niedobrze, wmusiła w siebie omlet. Resztę czasu spędziła, nerwowo przechadzając się po lotnisku i spodziewając się, że lada chwila zobaczy jakąś znajomą twarz. Dręczyło ją poczucie, że ktoś ją cały czas obserwuje.

Z lotniska w Madrycie zadzwoniła najpierw do Nazrin, potem do ojca. Dziewczyna znajdowała się akurat na jednej z ulic w Sztokholmie. Rozmowa się rwała, więc Louise nie miała pewności, czy Nazrin w ogóle zrozumiała, skąd do niej dzwoni, i czy usłyszała, że Henryk wynajmował mieszkanie w Barcelonie. Rozmowa urwała się nagle, jakby ktoś ściszył radio. Louise czterokrotnie próbowała do niej oddzwonić, ale za każdym razem słyszała w słuchawce komunikat z prośbą, by spróbowała połączyć się później.

Artur odebrał przy stole w kuchni. Ma swoją przerwę na kawę, pomyślała Louise. Przypomniała sobie zabawę w zgadywanki, którą wymyślili, kiedy Louise wyprowadziła się z domu i zamieszkała w Östersund. Za każdym razem, kiedy dzwoniła do ojca, miała odgadnąć, czy Artur akurat pije kawę, czyta gazetę czy może gotuje obiad. Ojciec zapisywał jej punkty i podawał jej wynik raz w roku. Najczęściej udawało jej się trafić, kiedy właśnie pił kawę.

Louise próbowała zapanować nad płaczącym się językiem, mówiła powoli, lecz ojciec od razu ją przejrzał.

– Która jest teraz godzina w Madrycie? – zapytał.

– Chyba ta sama co u ciebie. No, może godzinę wcześniej lub później. Nie wiem. Dlaczego pytasz?

– A więc nie wieczór?

– Popołudnie. Pada deszcz.

– Dlaczego jesteś pijana w połowie dnia?

– Nie jestem pijana.

W słuchawce zapadła cisza. Artur zawsze się wycofywał, kiedy czuł, że ktoś go okłamuje. Louise było wstyd.

– Wypiłam trochę wina. Czy to przestępstwo? Wiesz, że boję się latać.

– Pierwsze słyszę – odburknął.

– Dobrze więc, nie boję się latać. Straciłam za to syna, moje jedyne dziecko. A teraz na dodatek Arona.

– Nigdy sobie z tym nie poradzisz, sięgając po alkohol.

– Niech cię szlag! – nie wytrzymała Louise.

– Nawzajem – odparł spokojnym tonem Artur.

– Aron zniknął.

– Nie pierwszy raz. Zawsze podwijał ogon, kiedy robiło się nieprzyjemnie. Pewnie czmychnął do którejś ze swoich kryjówek.

– Tym razem jest inaczej.

Louise streściła mu wydarzenia ostatnich dni. Artur nie zadawał pytań. W słuchawce słyszała tylko jego rytmiczny oddech. Ten dźwięk wywoływał w niej poczucie bezpieczeństwa, pomyślała. W dzieciństwie zawsze ogarniał mnie spokój, kiedy mogła widzieć, czuć i słyszeć jego równy oddech. Gdy skończyła opowiadać, na

dłuższą chwilę zapadła cisza. Wędrowała między nimi tam i z powrotem, z Madrytu do Härjedalen.

– Chcę podążać śladami Henryka – odezwała się w końcu Louise.

– Pierwszy trop stanowi zdjęcie dziewczyny o imieniu Lucinda.

– Co ty wiesz o Afryce? – zaniepokoił się Artur. – Nie możesz pojechać tam sama.

– A kto ma ze mną pojechać? Ty?

– Nie chcę, żebyś jechała.

– Nauczyłeś mnie, jak sobie radzić. Przez to, że się boję, na pewno nie zrobię nic głupiego.

– Jesteś pijana.

– Wytrzeźwieję.

– Masz pieniądze?

– Mam. Znalazłam sporą sumę w walizce Arona.

– Na pewno wiesz, co robisz?

– Nie. Ale muszę tam jechać.

Artur zamilkł na długą chwilę.

– Tutaj też pada deszcz – powiedział w końcu. – Niedługo spadnie śnieg. Widać to po chmurach nad górami, są coraz cięższe.

– Muszę to zrobić – odparła Louise. – Muszę się dowiedzieć, co się stało.

Rozłączywszy się, Louise stanęła pod ruchomymi schodami, próbowała się schować pomiędzy rozstawionymi tam byle jak wózkami na bagaże. Czuła się tak, jakby ktoś jednym uderzeniem rozbił w drobny mak elementy układanki, które z takim trudem udało się zebrać w całość. Teraz wydawały się jeszcze mniejsze, jeszcze trudniejsze do odczytania.

W tej chwili ja tworzę jedyny wzór, pomyślała. Odłamki ułożyły się w obraz przypominający moją twarz. Nic więcej.

Weszła do samolotu do Johannesburga tuż przed jedenastą wieczorem. Stawiając krok między rękawem a pokładem maszyny, zawahała się. To, co robię, jest kompletnym szaleństwem, pomyślała. Zamiast wydostać się z mgły, brnę w nią coraz głębiej.

Podczas lotu Louise piła dalej. Obok niej siedziała czarna kobieta, która zdawała się cierpieć na bóle żołądka. Nie rozmawiały, wymieniły jedynie przelotne spojrzenia.

Jeszcze na lotnisku w Madrycie Louise uderzyło, że nic nie wskazuje na to, by była w drodze do Afryki. Czarnoskórych pasażerów było niewielu, większość stanowili Europejczycy.

Co właściwie wiedziała o czarnym kontynencie? Jakie miejsce zajmowała Afryka w jej świadomości? Kiedy Louise studiowała w Uppsali, jednym z najpopularniejszych ruchów studenckich były organizacje walczące z apartheidem w Republice Południowej Afryki. Uczestniczyła wówczas w kilku manifestacjach, nigdy jednak nie czuła, że uczestniczy w nich całym sercem. Nelson Mandela był dla Louise zagadkową postacią obdarzoną nadludzkimi zdolnościami, zupełnie jak greccy filozofowie, o których czytała w szkolnych lekturach. Afryka właściwie dla niej nie istniała. Był to odległy kontynent wywołujący w niej niewyraźne skojarzenia i obrazy najczęściej przedstawiające jakieś potworne rzeczy: martwe, nabrzmiałe ciała, piramidy zwłok, muchy łączące po twarzach wygłodniałych dzieci, apatyczne matki karmiące zawieszony u piersi niemowlęta. Pamiętała fotografie Idiego Amina z synem. W swoich groteskowych mundurach obaj wyglądali jak ołowiane żołnierzyki. Zawsze zdawało jej się, że w oczach Afrykańczyków czai się nienawiść. Teraz nie była pewna, czy w tych

czarnych zwierciadłach nie dostrzegą wyłącznie odbicia własnego strachu.

Nocą lecieli nad Saharą. Louise zmierzała do miejsca tak dla niej nieznanego i tajemniczego, jak było ono dla Europejczyków, którzy przybyli tu setki lat temu. Nagle uświadomiła sobie, że nie pomyślała o żadnych szczepionkach. Czy pozwolą mi przekroczyć granicę? Czy się niczym nie zarazę? Może powinnam coś łykać, żeby nie zachorować na malarię? Nie miała pojęcia.

Kiedy zgaszono światła w kabinie, Louise spróbowała obejrzeć film. Wciąż jednak coś odwracało jej uwagę. W końcu podciągnęła koc pod brodę, odchyliła oparcie fotela i zamknęła oczy.

Niemal natychmiast się poderwała i spojrzała w ciemność. Co takiego ostatnio sama do siebie powiedziałam? Jak szukać tego, czego wcześniej szukał ktoś inny? Nie umiała sformułować myśli, wymykały jej się w półśnie. Ponownie zamknęła oczy. Przez następne godziny zapadała w krótkie drzemki, dwa razy ostrożnie przeszła nad śpiącą obok niej kobietą, by znaleźć stewardesę i poprosić ją o szklanek wody.

Kiedy lecieli nad lasem równikowym, samolot wpadł w turbulencje. Potężnie nim zatrzęsło, a nad głowami pasażerów zaświecił się komunikat, by zapiąć pasy. Louise wyjrzała przez okienko i zorientowała się, że pod nimi szaleje burza. Błyskawice kroily ciemne niebo. Wyglądało to tak, jakby jakiś olbrzym próbował spawać pękające sklepienie. To Wulkan, pomyślała Louise, rzymski bóg stoi właśnie w swojej kuźni i uderza w kowadło.

Gdy nastał świt, na horyzoncie ujrzała cienką smugę światła. Pod nimi rozciągał się brązowoszary ląd. Po śniadaniu poczuła, że żołądek kurczy jej się ze strachu. Czy Afryka nie powinna być

zielona? To, co widziała, przypominało pustynię albo wypalone ściernisko.

Najbardziej bała się lądowania. Nie znosiła tej chwili. Zamknęła oczy i kurczowo trzymała się poręczy fotela. Koła samolotu uderzyły o asfalt, maszyna zwolniła, skręciła w stronę terminalu i w końcu stanęła. Louise siedziała bez ruchu, wstrzymując oddech. Nie miała ochoty tłoczyć się w wąskim przejściu, pośród ludzi, którzy w wielkim pośpiechu próbowali wydostać się z metalowej puszkii. Do sterylnej i klimatyzowanej kabiny powoli przedzierał się afrykański upał wraz z jego egzotycznymi zapachami. Louise nabrała powietrza do płuc. Ciepło i nieznaną woń przywiodły jej na myśl Grecję, mimo że wszystko pachniało tu inaczej. Nie poczuła tymianku i rodzynek. Wyczuwała nutę innych przypraw: pieprzu, może cynamonu, dymu z ogniska.

Wyszła z samolotu i udała się prosto do hali połączeń tranzytowych, gdzie skontrolowano jej bilet i paszport. Mężczyzna za ladą przewertował dokument, po czym podniósł na nią wzrok.

– Nie ma pani wizy? – zapytał.

– Powiedziano mi, że będę mogła ją kupić na lotnisku w Maputo

– odparła Louise.

– Czasem to możliwe, czasem nie – mruknął celnik.

– Co się stanie, jeśli mi jej tam nie dadzą?

Mężczyzna wzruszył ramionami. Jego czarna twarz lśniła od potu.

– Wtedy będzie nam miło gościć panią tu, w RPA. O ile mi wiadomo, w Mozambiku nie zobaczy pani ani lwa, ani lamparta, ani nawet hipopotama.

– Nie przyleciałam tu, żeby patrzeć na zwierzęta! – uniosła się Louise.

Od razu pożałowała swojej reakcji. Odzywam się tym zmęczonym, piskliwym głosem, pomyślała. Jestem wykończona, spocona, umarł mój syn. Jak ten człowiek ma to zrozumieć?

– Mój syn nie żyje – dodała po chwili, nieoczekiwanie.

Celnik zmarszczył czoło.

– Z pewnością dadzą pani wizę w Maputo – powiedział. – Szczególnie jeśli spotkało panią takie nieszczęście. Wyrazy współczucia.

Kiedy znalazła się w hali odlotów, wymieniła trochę pieniędzy na południowoafrykańskie randy i kupiła kawę. Później wspominała długie godziny spędzone na lotnisku w Johannesburgu jako niekończące się oczekiwanie w oddzielonej od świata próżni. Nie zapamiętała żadnych dźwięków, muzyki wydobywającej się z niewidocznych głośników, komunikatów dla pasażerów, żadnej twarzy. W pamięci utkwiła jej jedynie cisza i rozmazana mieszanina kolorów.

Wróciła do rzeczywistości dopiero w chwili, kiedy zapowiedziano jej samolot – South African Airways, lot nr 143 do Maputo.

Kiedy usiadła w fotelu w samolocie, była tak wyczerpana, że natychmiast zapadła w ciężki sen, z którego gwałtownie wyrwano ją już w Maputo. Wyjrzała przez okno i od razu stwierdziła, że jest bardziej zielono niż w RPA. Kolory jednak wciąż były blade, jakby wytarte. Wokół rozciągała się pustynia pokryta mizerną trawą. Na jej widok Louise pomyślała o cienkich włosach Arona.

Kiedy tylko wyszła z kabiny, dopadł ją potworny upał. Ostre słońce zmusiło ją do zmrużenia oczu. Co ja tu, na litość boską, robię? Mam

odnaleźć dziewczynę imieniem Lucinda. Tylko po co?

Wizę sprzedano jej bez problemu, choć podejrzewała, że słono za nią przepłaciła. W końcu wyszła z budynku lotniska i postawiła walizkę na chodniku. Tonęła we własnym pocie. Muszę opracować plan, pomyślała. Najpierw potrzebny mi jest samochód i hotel. Przede wszystkim hotel.

Obok niej stał czarny mężczyzna w uniformie. Trzymał tabliczkę z napisem „Hotel Polana”. Zorientował się, że Louise mu się przygląda.

- Pani do hotelu Polana? – zapytał.
- Tak – odparła bez namysłu Louise.
- Pani nazwisko?
- Nie mam rezerwacji.

Szybko przeczytała etykietkę z imieniem i nazwiskiem mężczyzny, przypiętą do jego ubrania. Rogerio Mandlate.

– Panie Mandlate, czy sądzi pan, że w hotelu Polana znajdzie się dla mnie pokój? – spytała.

- Nie mogę tego obiecać.

Po chwili siedziała w minibusie wraz z czwórką białych osób, dwoma mężczyznami i dwiema kobietami. Miasto zdawało się nabrzmiałe od upału. Po drodze minęli dzielnicę biedoty. Wszędzie mrowili się ludzie, przede wszystkim dzieci.

Louise przyszło na myśl, że Henryk musiał przebyć tę samą drogę, widział to, co teraz widzi ona. Czy myślał o tym samym? Nie wiedziała. Było to jedno z pytań, na które nigdy nie otrzymała odpowiedzi.

Słońce górowało w zenicie, kiedy Louise stanęła przed białym budynkiem, przypominającym pałac. Dostała pokój z widokiem na

Ocean Indyjski. Regulując klimatyzację, przypomniała sobie o ponurych zimowych porankach w środkowej Szwecji. Skrajny upał i zimno jakoś się ze sobą łączyły, pomyślała. Podczas pierwszej wizyty w Grecji doszła do wniosku, że dobrze znosi wysoką temperaturę, ponieważ w Szwecji nauczyła się radzić sobie z jej przeciwieństwem. Uznała, że zarówno Grecja, jak i Härjedalen przygotowały ją na warunki panujące w tym miejscu.

Rozebrała się do naga i stanęła w strumieniu zimnego powietrza wydobywającego się z klimatyzatora. Po chwili weszła pod prysznic. Czuła, że powoli opuszcza ją zmęczenie spowodowane podróżą.

Wykąpawszy się, usiadła na kraju łóżka, włączyła komórkę i zadzwoniła do Arona. Wciąż nie odbierał. Usłyszała jedynie głos zachęcający ją, by spróbowała połączyć się później. Wyciągnęła się na łóżku, naciągnęła na siebie cienką kołdrę i zasnęła.

Kiedy się obudziła, nie wiedziała, gdzie jest. Pokój był wychłodzony, a zegar wskazywał za dziesięć pierwsza. Spała ponad trzy godziny, głęboko, bez snów. Wstała i włożyła na siebie ubranie, po czym stwierdziła, że jest głodna. Zamknęła w sejfie swój paszport wraz z paszportem Arona i większością gotówki. Wstukała czterocyfrowy kod – 8854, początek numeru telefonu Artura. Powinam do niego zadzwonić i powiedzieć, gdzie jestem, pomyślała. Najpierw jednak muszę coś zjeść i uzmysłowić sobie, że przyjechałam do kraju, o którym nic nie wiem.

Widok czarnych kobiet wycierających kurz w eleganckim foyer przypominał jej, że znajduje się w Afryce. Prawie wszyscy goście byli Europejczykami. Louise usiadła w restauracji i zamówiła sałatkę. Rozejrzała się wokół. Czarni kelnerzy, biali goście.

Po jedzeniu zaczęła spacerować po budynku i znalazła bank, w którym wymieniła pieniądze. W niewielkim kiosku kupiła też mapę Maputo i przewodnik po Mozambiku. W innej części hotelu znalazła kasyno. Nie weszła do środka, przez drzwi spojrzała na samotnych, otyłych mężczyzn pociągających raz po raz za rączkę jednoręcznych bandytów. W końcu wyszła na zewnątrz budynku i obeszła duży basen, a potem ruszyła w dół zbocza wpadającego do morza. Dotarłszy na plażę, stanęła pod dużym parasolem. Ocean przypominał jej Morze Egejskie. Woda miała tu ten sam turkusowy kolor, a słońce migotało na jej powierzchni w taki sam sposób.

Po chwili podszedł do niej kelner i zapytał, czy czegoś sobie życzy. Poproszę mojego syna, pomyślała. Całego i zdrowego Henryka oraz głos Arona w słuchawce. I niech powie, że u niego wszystko w porządku.

Pokręciła odmownie głową.

Poszła przed kompleks hotelowy i znalazła się na dużym parkingu. Za ogrodzeniem hotelu mrowili się uliczni sprzedawcy. Louise zawahała się przez chwilę, zaraz jednak ruszyła przed siebie i weszła na chodnik. Minęła sprzedawców oferujących wyroby z pachnącego drzewa sandałowego: żyrafy, zabawne słonie, małe pudełka i groteskowe maski podobne do ludzkich twarzy. Przeszła na drugą stronę ulicy, odnotowując w pamięci, że Avis ma swoje biuro na rogu, po czym szła dalej szeroką aleją, którą, ku jej zdziwieniu, nazwano imieniem Mao Tse-tunga.

Minęła grupkę dzieciaków zgromadzoną wokół palących się śmieci. Jeden z nich podbiegł do niej z wyciągniętą rączką. Pokręciła głową i przyspieszyła. Chłopiec najwyraźniej był do tego przyzwyczajony. Nie ścigał jej, od razu się poddał. Za wcześnie na to, pomyślała Louise. Żebrakami zainteresuję się później.

Po jakimś czasie skręciła w mniej ruchliwą przecznicę, potem w kolejną ciągnącą się między murami, zza których dochodziło szczekanie psów. Ulica była opustoszała. W tych najgorętszych godzinach dnia wszyscy udali się na sjętę. Louise szła ostrożnie, patrząc pod nogi. Chodnik był nierówny, w wielu miejscach beton się całkiem wykruszył. Zastanawiała się, jak można tędy chodzić po zmroku.

Nawet się nie zorientowała, kiedy dwóch mężczyzn zaszło ją od tyłu. Jeden z nich niemal bezszelestnie objął ją ramionami i zablokował jej ruchy. Drugi przycisnął jej nóż do policzka. Louise spojrzała w parę przekrwionych oczu o rozszerzonych źrenicach. Napastnik był pod wpływem narkotyków. Jego angielszczyzna składała się w głównej mierze ze słowa *fuck*. Ten, który trzymał ją z tyłu i którego twarzy nie była w stanie dostrzec, krzychał jej do ucha:

– *Give me money!*

Oblał ją zimny pot, zdołała jednak zachować przytomność umysłu. Powiedziała powoli:

– Weźcie, co chcecie, nie będę stawiać oporu.

Mężczyzna stojący z tyłu zerwał jej torebkę z lewego ramienia i zaczął uciekać. Louise nie zdążyła nawet przyjrzeć się jego twarzy, spostrzegła jedynie, że był bosy, w podartym ubraniu i że biegł bardzo szybko. Napastnik z przekrwionymi oczami dźgnął ją nożem pod okiem i też rzucił się do ucieczki. On również nie miał butów.

Obaj byli w wieku Henryka.

Dopiero wtedy Louise zaczęła krzycheć. Zdawało się jednak, że nikt jej nie słyszy, odpowiadało jej tylko szczekanie po drugiej stronie muru. Nagle ulicą nadjechał samochód. Louise zagroziła mu drogę,

wymachując rękami. Krew kapłała jej spod oka na białą bluzkę. Kierowca zatrzymał się z wyraźnym wahaniem. Louise zdążyła się zorientować, że za kółkiem siedzi biały mężczyzna. Z krzykiem rzuciła się w jego stronę, lecz mężczyzna niespodziewanie dodał gazu i ruszył do tyłu z piskiem opon, szybko zawrócił i po chwili zniknął za rogiem. Louise zakreśliło się w głowie, była w szoku.

Cholerny Aron, mógł temu zapobiec. Powinien tu być i mnie obronić. Ale on zniknął. Wszyscy zniknęli.

Upadła na kolana i zaczęła głęboko oddychać, żeby nie zemdleć. Wrzasnęła, kiedy nagle ktoś położył jej dłoń na ramieniu. Stała nad nią czarna kobieta, trzymająca w drugiej ręce miskę z orzeszkami ziemnymi. Czuć było od niej potem, miała na sobie podartą bluzkę i kawałek szmaty owinięty wokół bioder.

Louise próbowała jej wytłumaczyć, że została napadnięta. Kobieta jej nie rozumiała, przemawiała w swoim języku, a potem po portugalsku.

Pomogła jej wstać. Wypowiedziała słowo „hospital”, lecz Louise pokręciła głową i odparła: „Polana. Hotel Polana”. Kobieta skinęła głową, mocno chwyciła ramię Louise i balansując z plecioną miską na głowie, podparła zranioną tak, żeby mogły iść. Louise zatamowała krwawienie znaną w kieszeni chusteczką do nosa. Mężczyzna nie zadał jej głębokiej rany, właściwie było to tylko draśnięcie, lecz ona czuła się tak, jakby wbił jej nóż w samo serce.

Kobieta uśmiechała się do niej pokrzepiająco. Kiedy w końcu dotarły pod hotel, Louise uświadomiła sobie, że nie ma przy sobie ani grosza, bo wszystko miała w torebce. Rozłożyła ręce w geście mającym oznaczać bezradność. Nieznajoma pokręciła głową, cały czas się uśmiechając i pokazując Louise białe, równiutkie zęby. Po

chwili ruszyła przed siebie ulicą. Louise patrzyła, jak kobieta powoli oddala się i w końcu znika w oślepiającym słońcu.

Kiedy weszła do siebie i obmyła twarz, wszystko wokół nagle się zawaliło. Zemdlała i upadła na podłogę w łazience. Kiedy się ocknęła, nie umiała określić, jak długo tak leżała. Może całymi godzinami, może tylko kilka sekund.

Nie ruszyła się z miejsca, pozostała na chłodnych kafelkach. Z oddali dochodził śmiech jakiegoś mężczyzny, a po chwili rozległ się radosny okrzyk kobiety. Louise wciąż leżała, uświadamiając sobie, jakie miała szczęście, niczego sobie nie uszkadzając przy upadku na twardą posadzkę.

Kiedyś we wczesnej młodości była w Londynie. Pewnego wieczoru podszedł do niej jakiś mężczyzna. Złapał ją mocno i próbował zaciągnąć do bramy. Dzięki temu, że zaczęła krzyczeć, kopać i gryźć, udało jej się uciec. Od tamtego dnia nigdy nie spotkała się z tego rodzaju przemocą.

Czy to była moja wina? Czy zanim sama wyszłam na ulicę, powinnam była się upewnić, że to bezpieczne? Nie, stanowczo nie. Nie miała ochoty brać całej winy na siebie. Poza tym fakt, że napastnikami byli biedni chłopcy bez butów, nie usprawiedliwiał tego, że jeden z nich zranił ją nożem.

Usiadła. Potem powoli wstała, przeszła do pokoju i położyła się na łóżku. Wstrząsnął nią dreszcz. W tej chwili sama czuła się jak rozbite naczynie, którego odłamki wirowały jej teraz w głowie. Świadomość, że Henryk nie żyje, dopadła nagle ją z całą mocą. Wiedziała, że zaraz całkiem się załamie. Poderwała się i usiadła, próbując resztkami sił się uspokoić, zaraz jednak z powrotem opadła na łóżko.

Zalewa mnie fala. Ta, której nikt nie potrafi namalować. Fala osiągnąca wysokość i prędkość, jakich nawet nie można sobie wyobrazić. Próbowałam go dogonić. Dotarłam aż tu, do Afryki. Ale on nie żyje, a ja nie wiem nawet, po co tu jestem.

Po fali rozpaczy nadeszła bezsilność. Louise leżała na łóżku ponad dobę. Nazajutrz rano, kiedy sprzątaczką zajrzała przez uchylone drzwi, Louise zdołała tylko unieść rękę i dać jej znak, by sobie poszła. Co jakiś czas popijała wodę z butelek stojących na stoliku obok łóżka. Nic nie jadła, skubnęła tylko kawałek jabłka przywiezionego z Madrytu.

W nocy wstała, podeszła do okna i wyjrzała na ogród oraz skrzącą się tafłę wody w basenie. W oddali rozciągała się zatoka, błyskało światło latarni, a nad wodą chwiejnie migotały światła łodzi rybackich. Po hotelowym ogrodzie powoli przechadzał się nocny stróż. W jakiś sposób widok ten przypomniawszy Louise Peloponez i greckie wykopaliska. Jednak teraz znajdowała się bardzo daleko i wątpiła, czy kiedykolwiek tam wróci. Tak naprawdę nie miała nawet pewności, czy kiedykolwiek znajdzie jeszcze sens w pracy archeologa.

Henryk nie żyje, więc nie żyję też ja. Człowiek jest w stanie tylko raz w życiu się podźwignąć. Czy to dlatego Aron znów zniknął? Czyżby się bał, że znów zamieni się w młot, który roztrzaska mnie w drobny mak?

Wróciła do łóżka. Raz po raz zapadała w płytki sen. Dopiero po południu poczuła, że wracają jej siły. Wzięła prysznic i zeszła na dół, by coś zjeść. Usiadła na zewnątrz, pod markizą. Było gorąco, ale znad morza wiał orzeźwiający wiatr. Rozłożyła plan miasta, który

kupiła w hotelowym kiosku. Zlokalizowała hotel, długo błędziła palcem po mapie, nim znalazła dzielnicę o nazwie Feira Popular.

Po jedzeniu usiadła w cieniu drzewa i przyglądała się dzieciom bawiącym się przy basenie. Cały czas trzymała w ręce komórkę. W końcu zdecydowała się zadzwonić do Artura.

Jego głos dochodził jakby z innego świata, słowa docierały do Louise z pewnym opóźnieniem. Ich wypowiedzi nakładały się na siebie, czasem oboje zaczęli mówić w tej samej chwili.

– To niezwykle, że możemy się słyszeć, będąc tak daleko od siebie – stwierdził Artur.

– Australia była jeszcze dalej – odparła Louise.

– Wszystko u ciebie w porządku?

Już miała opowiedzieć mu o napadzie, bo przez krótką chwilę poczuła, że nie pragnie niczego innego, niż przedostać się na drugą stronę słuchawki, wtulić się w jego ramiona i zapłakać. Opanowała się jednak i zrezygnowała ze zwierzeń.

– Hotel, w którym mieszkam, wygląda jak pałac – powiedziała.

– Myślałem, że to biedny kraj.

– Nie dla wszystkich. Bogactwo sprawia, że jeszcze wyraźniej widać tych, którzy nie mają niczego.

– Wciąż nie rozumiem, co zamierzasz tam robić.

– To, co powiedziałam. Odnajdę przyjaciółkę Henryka, dziewczynę imieniem Lucinda.

– Masz jakieś wieści od Arona?

– Żadnych. Ani od niego, ani o nim. Myślę, że został zamordowany.

– Po co ktoś miałby go zabijać?

– Nie wiem. Tego właśnie próbuję się dowiedzieć.

– Louise, mam tylko ciebie. Martwię się o ciebie, kiedy jesteś tak daleko.

– Przecież wiesz, że na siebie uważam.

– Czasem to nie wystarczy.

– Zadzwoń niedługo. Spadł śnieg?

– W nocy. Najpierw pojedyncze płatki, a potem rozpadało się na dobre. Siedziałem w kuchni i patrzyłem przez okno, jak na ziemię opada biały spokój.

Na ziemię opada biały spokój. Napadło mnie dwóch młodych mężczyzn. Czy śledzili mnie od samego hotelu? A może czaili się na tamtej ulicy, w cieniu, a ja ich nie spostrzegłam?

Louise poczuła do nich nienawiść. Chciała patrzeć, jak są chłostani, jak krwawią i krzyczą.

Była jedenasta, kiedy zeszła do recepcji i poprosiła o zamówienie taksówki, która miała ją zabrać do Feira Popular. Mężczyzna za ladą spojrzał na nią z zaskoczeniem, zaraz potem się uśmiechnął.

– Portier pani pomoże – powiedział. – Dotarcie tam zajmie niecałe dziesięć minut.

– Czy jest tam niebezpiecznie?

Zaskoczyła samą siebie tym spontanicznym pytaniem. Miała jednak świadomość, że napastnicy złożą nieproszoną wizytę w jej wyobraźni jeszcze niejedyn raz. Nadal zdarzało się, że ni stąd, ni zowąd przypominał jej się mężczyzna, który zaatakował ją wiele lat temu w Londynie.

– Dlaczego miałoby tam być niebezpiecznie? – zdziwił się recepcjonista.

– Nie wiem, po prostu zapytałam.

– Możliwe, że kręcą się tam podejrzane kobiety, ale dla pani nie stanowią one żadnego zagrożenia.

Prostytutki, pomyślała Louise. Ale przecież one są wszędzie.

Chwilę później jechała przez miasto. W taksówce śmierdziało rybą. Kierowca jechał zdecydowanie za szybko i zdawał się nie przejmować brakiem wstecznego lusterka. Louise miała wrażenie, że ta jazda w ciemności jest jak zejście do podziemi. Taksówkarz wysadził ją przy wejściu do czegoś przypominającego park rozrywki. Louise opłaciła wstęp, znów podejrzewając, że przepłaciła, po czym weszła w gąszcz kolorowo oświetlonych restauracyjek i barów. W oddali stała karuzela z końmi pozbawionymi głów oraz diabelski młyn z zardzewiałymi gondolami, który już dawno przestał się kręcić. Wokół dudniła muzyka, obok niej przemykały cienie, z ulicy widać było skąpo oświetlone pomieszczenia i ludzi pochylonych nad stolikami. Co chwilę mijały ją młodziutkie dziewczęta w skąpych spódniczkach, na niebotycznie wysokich szpilkach, o niemal obnażonych biustach. Niebezpieczne kobiety polujące na niewinnych mężczyzn, pomyślała.

Zaczęła rozglądać się za barem o nazwie Malocura. Zgubiła się w płataninie uliczek, co chwila wychodziła w tym samym miejscu, w którym już była, ale próbowała ponownie. Raz po raz podrywała się, czując zbliżające się do niej od tyłu ręce napastników. Chwilami zdawało jej się, że widzi błyszczącą klingę. W końcu weszła do baru odróżniającego się od innych tym, że był dobrze oświetlony. Zamówiła piwo i wódkę. Zdziwiła się, kiedy rozpoznała w nim parę, z którą jechała minibusem z lotniska. Mężczyzna i kobieta siedzieli w kącie niewielkiej sali. Oboje byli pijani. On raz za razem kładł jej

na ramieniu ciężką dłoń, jakby chciał swoją towarzyszkę przewrócić.

Minęła północ. Louise wyszła z jasnego baru i wznowiła poszukiwania. W końcu odniosła sukces. Bar naprawdę nazywał się Malocura – tak przynajmniej głosił tekturowy szyld – i mieścił się w rogu, blisko muru otaczającego teren Feira Popular. Louise spojrzała w ciemność, zanim weszła do środka, po czym zajęła miejsce przy stoliku.

Lucinda stała za barem i napełniała piwem kufle i szklanki ustawione na dużej tacy. Była drobniejsza, niż Louise ją sobie wyobrażała. Nie miała jednak żadnych wątpliwości, że widzi przed sobą dziewczynę ze zdjęcia.

Lucinda podeszła do jednego ze stolików i podała gościom napoje.

Potem napotkała wzrok Louise. Ta uniosła dłoń na znak, by dziewczyna podeszła.

- Chce pani coś zjeść? – zapytała.
- Poproszę tylko lampkę wina.
- Nie mamy wina, jest tylko piwo.
- A mogę dostać kawę?
- Chyba nikt nigdy nie prosił mnie tu o kawę.
- Więc poproszę piwo.

Chwilę później Lucinda wróciła z tacą, na której stała brązowa butelka.

- Wiem, że ma pani na imię Lucinda – powiedziała Louise.
- Kim pani jest? – zdziwiła się dziewczyna.
- Matką Henryka – odparła.

W tej samej chwili uświadomiła sobie, że ta dziewczyna nic nie wie. Nie ma pojęcia, że Henryk nie żyje. Było jednak za późno, nie mogła się wycofać.

– Przyjechałam tu, żeby pani powiedzieć, że Henryk nie żyje. Przyjechałam, bo mam nadzieję, że odpowie mi pani na pytanie dlaczego.

Lucinda stała bez ruchu. Miała głębokie spojrzenie, usta zacisnęła mocno w wąską kreskę.

– Mam na imię Louise. Czy Henryk o mnie opowiadał?

Czy kiedykolwiek opowiedział komukolwiek o swojej matce? Czy mówił ci o mnie? Czy jestem dla ciebie tak samo obcą osobą, jak ty jesteś dla mnie?

Lucinda zdjęła fartuch, zamieniła kilka słów z mężczyzną za barem, najwyraźniej jej szefem, po czym zaprowadziła Louise do innego, skąpo oświetlonego baru, zajmowanego głównie przez młode kobiety, siedzące w rzędach pod ścianami. Usiadły przy stoliku, Lucinda od razu zamówiła dwa piwa, nie zapytawszy Louise, czego się napije. W lokalu panowała zupełna cisza, nie grało radio ani muzyka. Mocno umalowane kobiety nie rozmawiały. Siedziały w milczeniu, niektóre paliły papierosy, inne oglądały swoje apatyczne twarze w kieszonkowych lusterkach, niespokojnie machając nogami. Louise spostrzegła, że wiele z nich to właściwie dziewczynki, które mogły mieć trzynaście, może czternaście lat. Miały na sobie krótkie spódniczki, wysokie szpilki i bardzo głębokie dekolty. Są uszmkowane jak zwłoki przed pogrzebem, pomyślała. Zwłoki, które zaraz zostaną pochowane w ziemi albo zmumifikowane. Jednak pamięci o prostytutkach nie zachowuje się dla potomności. One po prostu gniją i zamieniają się w proch za ostro pomalowanymi maskami.

Chwilę później na stoliku postawiono dwie butelki z piwem, dwie szklanki i plik serwetek. Lucinda pochyliła się nad blatem, żeby być bliżej Louise. Miała zaczerwienione oczy.

– Niech mi pani wszystko opowie. Powoli. Chcę wiedzieć, co się stało.

Na twarzy Lucindy nie było śladu udawania. Dziewczyna wpatrywała się w Louise dużymi, szeroko otwartymi oczami, jej czarne policzki i czoło lśniły od potu. Lęk przed tym, co za chwilę usłyszy, zdawał się całkiem szczery.

– Znalazłam Henryka martwego w jego mieszkaniu w Sztokholmie – zaczęła Louise. – Odwiedziła go pani kiedyś?

– Nigdy nie byłam w Szwecji – odparła Lucinda.

– Leżał na łóżku. Potem się okazało, że był nafaszerowany środkami nasennymi. Od nich właśnie umarł. Czy wie pani, dlaczego chciał popełnić samobójstwo?

Jedna z kobiet podeszła do nich i poprosiła o ogień. Lucinda zapaliła jej papierosa. Kiedy błysnął płomień, Louise zdążyła spostrzec, jak wynędzniałą twarz ma nieznajoma.

Czarne plamy na policzkach, zapudrowane w beznadziejnej próbie ich ukrycia. To objawy AIDS, czytałam o nich. Takie czarne placki i niegojące się rany zostawia śmierć, naznaczając swoją następną ofiarę.

Lucinda długą chwilę siedziała w bezruchu.

– Nic z tego nie rozumiem – odezwała się w końcu.

– Ani ja. Mimo to myślę, że może mi pani pomóc. Czy domyśla się pani, co się mogło stać? Czy ma to coś wspólnego z Afryką? Wiem, że Henryk był tu z początkiem lata. Co się wtedy stało?

– Nic, co mogłoby sprawić, że zapragnął odebrać sobie życie.

– Muszę wiedzieć, co wtedy robił. Kim był, kiedy przyjechał? Z kim się spotkał? Kim był, kiedy wyjeżdżał?

– Henryk był zawsze taki sam – odparła Lucinda.

Muszę dać jej trochę czasu, pomyślała Louise. Dziewczyna jest w szoku po tym, co powiedziałam. Wiem przynajmniej to, że Henryk wiele dla niej znaczył.

– Był moim jedynym dzieckiem – dodała. – Był wszystkim, co miałam.

Dostrzegła nagły błysk w oczach dziewczyny. Zaskoczenie, być może niepokój.

- Henryk nie miał rodzeństwa? – spytała Lucinda.
 - Nie. Był jedynakiem.
 - Powiedział mi, że ma siostrę. Starszą.
 - To nieprawda. Jestem jego matką. Nikt nie wie tego lepiej niż ja.
 - Skąd mam wiedzieć, że mówi pani prawdę?
- Louise poczuła złość.
- Jestem jego matką i ledwo żyję po stracie syna – warknęła. – Sprawia mi pani ogromną przykrość, podając w wątpliwość moją tożsamość.
 - Nie chciałam pani urazić, ale Henryk często opowiadał mi o swojej siostrze.
 - Henryk nie miał siostry. Być może chciał ją mieć.

Siedzące pod ścianami dziewczyny jedna po drugiej zaczęły wychodzić z baru. Po paru chwilach Louise i Lucinda zostały w lokalu same, pogrążone w półmroku i ciszy. Towarzyszył im jedynie znudzony barman, który opierając się o bar, wpatrywał się w swój paznokieć u kciuka.

- Są takie młode – odezwała się Louise. – Dziewczyny, które tu siedziały.
- Im są młodsze, tym większe mają wzięcie. Tutejsi mężczyźni preferują dwunasto- i trzynastolatki.
- Czy nie grożą im jakieś choroby?
- Pyta pani o AIDS? Ta, której podałam ogień, z całą pewnością jest chora. Ale nie wszystkie. W przeciwieństwie do swoich „niepracujących” rówieśnic te dziewczyny wiedzą, co im grozi. Są ostrożne. To nie one rozsiewają chorobę.

Ty to robisz. Zaraziłaś Henryka. Uchyliłaś drzwi i pozwoliłaś śmierci wślizgnąć się do jego ciała.

– Nienawidzą tego, co robią – ciągnęła Lucinda. – Ale dzięki temu, że ich klientami są wyłącznie biali mężczyźni, mogą potem mówić swoim chłopakom, że tak naprawdę ich nie zdradziły. Sypiają z białymi, a to się nie liczy.

– Naprawdę tak myślą?

– A dlaczego nie?

Louise chciała zapytać Lucindę wprost, rzucić jej w oczy pytanie: Zaraziłaś go? Wiedziałaś, że jesteś nosicielką? Jak mogłaś mu to zrobić?

Nic takiego jednak nie powiedziała.

– Muszę wiedzieć, co się tu wydarzyło – powtórzyła po chwili.

– Nic się nie wydarzyło. Czy Henryk był sam, kiedy nadeszła śmierć? – spytała Lucinda.

– Tak.

Właściwie to nie mogę być tego pewna, pomyślała Louise. Ktoś mógł tam być. Nagle stwierdziła, że to mogłoby tłumaczyć obecność piżamy. Henryk nie umarł w łóżku. Dopiero kiedy stracił przytomność lub przestał się bronić, ktoś go przebrał w piżamę. Ktokolwiek był wtedy w jego mieszkaniu, nie znał jego zwyczajów.

Niespodziewanie Lucinda zaczęła płakać. Jej ciałem wstrząsały spazmy. Barman, do tej pory zainteresowany wyłącznie swoim paznokciem, spojrział na Louise ze zdziwieniem. Pokręciła głową na znak, że nie potrzebują pomocy.

Po chwili wzięła Lucindę za rękę. Ciemna dłoń była ciepła i spocona. Louise mocno ją uściśniła. Dziewczyna przestała łkać i otarła oczy serwetką.

– Jak pani mnie znalazła? – zapytała.

– Henryk zostawił list w swoim mieszkaniu w Barcelonie. Napisał w nim o pani.

– Co napisał?

– Że można go u pani znaleźć, że będzie pani wiedziała.

– Co będę wiedziała?

– Nie mam pojęcia.

– I przyjechała pani aż tu, żeby się ze mną spotkać?

– Muszę się dowiedzieć, co spotkało Henryka. Czy znał tu kogoś jeszcze poza panią?

– Henryk miał wielu znajomych.

– A jeśli spytam o przyjaciół?

– Miał mnie i Eusebia.

– Kogo?

– Tak na niego mówił. To urzędnik z ambasady Szwecji. W niedziele często grali w piłkę na plaży, choć Eusebio to dość niezgrabny typ i bynajmniej nie wygląda na sportowca. Henryk czasem się u niego zatrzymywał.

– Myślałam, że mieszkał z panią.

– Ja mieszkam z rodzicami i rodzeństwem, Henryk nie mógł u mnie sypiać. Czasem wynajmował nam mieszkanie od kogoś z ambasady, kto akurat wyjechał. Eusebio mu w tym pomagał.

– Jak się ten człowiek naprawdę nazywa?

– Lars Håkansson. Nie wiem, czy dobrze wymawiam.

– I wtedy mieszkaliście u niego razem?

– Kochałam Henryka. Marzyłam o tym, żeby się ze mną ożenił.

Nigdy jednak nie przebywałam z nim w domu Eusebia.

– Rozmawialiście o tym? O małżeństwie?

– Nie, nigdy. To było tylko moje marzenie.

– Jak się poznaliście?

– Tak jak to zwykle bywa. Zupełnym przypadkiem. Czasem zwyczajnie idzie się ulicą i skręca w bok. Wszystko w życiu krąży wokół tego, co czeka za następnym rogiem.

– Więc za jakim rogiem spotkała pani Henryka?

Lucinda pokręciła głową, wyglądała na podenerwowaną.

– Muszę wracać do pracy – powiedziała. – Porozmawiajmy jutro. Gdzie się pani zatrzymała?

– W hotelu Polana.

Dziewczyna się skrzywiła.

– Henryk nigdy by tam nie zamieszkał. Nie byłoby go na to stać. Zdziwiłabyś się, pomyślała Louise. Widać nawet tobie wszystkiego nie opowiadał.

– Tak, jest bardzo drogi – odparła. – Ale jak się pani z pewnością domyśla, moja podróż nie była zaplanowana. Zamierzam się stamtąd wyprowadzić.

– Ile czasu minęło od śmierci Henryka?

– Parę tygodni.

– Kiedy dokładnie to się stało? Proszę mi podać datę.

– 17 października.

Lucinda wstała.

– Jeszcze chwila – Louise powstrzymała ją gestem. – Jest jeszcze coś, co koniecznie muszę pani powiedzieć.

Dziewczyna usiadła z powrotem na krześle i zapłaciła barmanowi, który akurat podszedł do ich stolika. Louise sięgnęła do kieszeni po portfel, lecz Lucinda odmownie pokręciła głową, spoglądając na nią nieprzyjemnie, niemal wrogo. Po chwili mężczyzna wrócił za bar i na powrót zajął się oglądaniem paznokcia. Louise zrobiła głęboki wdech, zbierając siły na to, co chciała powiedzieć.

– Henryk był chory – wykrztusiła wreszcie. – Był zarażony wirusem HIV.

Lucinda nie zareagowała. Czekala, aż Louise powie coś jeszcze.

– Czy rozumie pani, co do pani mówię?

– Tak, słyszałam – odparła.

– Czy to pani go zaraziła?

Nagle twarz Lucindy straciła wszelki wyraz. Wpatrywała się w Louise, jakby obserwowala ją z dużej odległości.

– Muszę się tego dowiedzieć, zanim umówię się z panią na następne spotkanie – dodała Louise.

Twarz Lucindy wciąż nie wyrażala niczego. Jej oczy zasłaniał półcień. Po chwili odpowiedziała łagodnym tonem. Louise nauczyła się jednak od Arona, że nawet najbardziej spokojny człowiek może dusić w sobie kipiącą złość.

– Nie chciałam pani urazić – powiedziała.

– Nie dopatryłam się u Henryka cech, które widzę u pani – powiedziała Lucinda. – Pani czuje odrazę do czarnych ludzi. Być może nie jest pani tego świadoma, ale tak jest. Pani zdaniem sami jesteśmy sobie winni, że nasz kontynent jest w tak żalosnym stanie. Myśli pani, że to przez naszą słabość. Większość białych chce wiedzieć przede wszystkim to, jak umieramy. Nie interesuje ich, jak żyjemy. Życie Afrykańczyka jest ulotne jak podmuch wiatru. Widzę, że pani też tak myśli. Henryk był inny.

– Nie ma pani powodu, by nazywać mnie rasistką – zaprotestowała Louise.

– Niech pani sama zdecyduje, czy to uzasadnione oskarżenie. Jeśli musi już pani wiedzieć, to nie ja zaraziłam Henryka.

– Jak więc się zaraził?

– Chodził na dziwki. Mogła z nim spać każda z dziewczyn, które tu pani przed chwilą widziała.

– Przecież mówiła pani, że one nie są zarażone.

– Wystarczy, że jedna z nich jest. Henryk był nieostrożny. Nie zawsze zakładał prezerwatywę.

– Dobry Boże! – krzyknęła Louise.

– Zapominał o tym, kiedy był pijany, i chodził od jednej do drugiej dziewczyny. Po tych eskapadach zawsze wracał do mnie skruszony. Szybko jednak o tym zapominał, nie ucząc się na błędach.

– Nie wierzę pani. Henryk nie był taki.

– Ja na jego temat wiem swoje, a pani swoje. Zapewne nigdy nie dojdziemy w tej kwestii do porozumienia. Ja bardzo go kochałam, a pani jest jego matką.

– Czy on zaraził panią?

– Nie.

– Przepraszam, że panią o to posądziłam. Bardzo trudno mi uwierzyć, że Henryk miał takie słabości.

– Nie był ani pierwszym, ani ostatnim białym mężczyzną, który przyjechał do biednego afrykańskiego kraju, żeby rzucić się na tutejsze kobiety. Tak naprawdę nic nie jest dla nich równie ważne, jak to, żeby wcisnąć się którejs z nich między nogi. Czarni nie są lepsi, oni chcą kłaść się na białych. Niech się pani spróbuje przejść po tym mieście, a gwarantuję pani, że co najmniej tysiąc czarnych mężczyzn gotowych będzie oddać wszystko, żeby tylko panią zaliczyć.

– Przesadza pani – odparła kwaśno Louise.

– Czasem właśnie tam jest prawda.

– Późno już – ucięła rozmowę Louise. – Jestem zmęczona.

– Dla mnie noc jest jeszcze młoda – powiedziała Lucinda, podnosząc się z miejsca. – Będę mogła pójść do domu dopiero nad ranem. Wyjdę z panią przed bramę i wsadzę panią do taksówki. Niech pani jedzie do hotelu i się wyśpi. Jutro porozmawiamy spokojnie.

Kiedy dotarły przed bramę, Lucinda powiedziała parę słów do strażnika. Po chwili z cienia wyłonił się mężczyzna z kluczykami do auta w dłoni.

– On panią zawiezie – wyjaśniła dziewczyna.

– O której się jutro spotkamy?

Louise nie usłyszała odpowiedzi, Lucinda zdążyła się już odwrócić i odejść. Jej oddalająca się postać majaczyła w ciemności.

Wnętrze taksówki śmierdziało benzyną. Louise starała się nie wyobrazić sobie Henryka pośród chudych, mocno umalowanych dziewcząt w króciutkich spódniczkach.

Kiedy dotarła do hotelu, wypła dwie lampki wina w barze, w którym znów natknęła się na parę towarzyszącą jej w drodze z lotniska.

Czuła do nich nienawiść.

Wróciła do pokoju, zgasiła światło i położyła się na łóżku, wsłuchując się w ciche buczenie klimatyzatora. Potem zaczęła płakać. Po długiej chwili zasnęła, cała we łzach, jak dziecko. We śnie odbyła podróż ze spalonej afrykańskiej ziemi do białych pustkowi w Härjedalen, do gęstych lasów, ciszy i do ojca, który przywitał ją zdziwiony i zarazem z niej dumny.

Nazajutrz rano dowiedziała się od recepcjonistki, że ambasada Szwecji znajduje się w bliskim sąsiedztwie hotelu. Wystarczyło

przejsć obok ulicznych handlarzy, potem minąć stację benzynową, i już się było pod żółtobrązowym budynkiem placówki.

– Wczoraj, kiedy wyszłam z hotelu i skręcałam w jedną z bocznych uliczek, zostałam napadnięta – oznajmiła Louise.

Dziewczyna za ladą zrobiła minę pełną współczucia i pokręciła głową.

– To się niestety dość często zdarza – powiedziała. – Ludzie tutaj są bardzo biedni i żerują na naszych gościach.

– Nie chciałam, żeby znów mnie to spotkało.

– Nic pani nie grozi na tym krótkim odcinku do ambasady. Czy wczoraj stało się coś poważnego?

– Na szczęście nie zostałam pobita, ale jeden z napastników wyjął nóż i drasnął mnie pod okiem.

– Tak, teraz widzę ślad – zaniepokoiła się recepcjonistka. – Naprawdę bardzo mi przykro.

– Cóż, stało się.

– Co pani skradziono?

– Torebkę. Ale szczęśliwie większość jej zawartości zostawiłam w hotelu. Zabrali mi trochę gotówki, nie miałam przy sobie paszportu, telefonu ani żadnych kart. Wzięli też mój brązowy grzebień, nie wiem, czy im się na coś przyda.

Louise zjadła śniadanie na tarasie. Przez krótką chwilę było jej nawet przyjemnie. Jakby nic złego się nie stało.

Jednak Henryk nie żyje, a Aron zniknął bez śladu. Poza tym w ciemności czają się jakieś cienie. Z jakiegoś powodu ktoś uznał za konieczne śledzić mnie i Arona.

Podczas drogi do ambasady Louise co chwilę oglądała się za siebie. Przed otaczającym budynek płotem z zielonych sztachet stała rzeźba przedstawiająca bryłę rudy żelaza. Umundurowany strażnik wpuścił Louise na teren placówki.

W pomieszczeniu, w którym mieściła się recepcja, wisiał oficjalny portret pary królewskiej. Na stojącej w rogu kanapie siedziało dwóch mężczyzn pogrążonych w rozmowie na temat „niedoboru wody i konieczności podjęcia działań w prowincji Niasa, kiedy tylko znajdą się środki”. Louise poczuła nagły żal, że straciła kontakt z pracą na wykopaliskach. O czym właściwie myślała tamtej nocy, kiedy paliła na dworze przy akompaniamencie ujadania psów Mitsosa? Koszmar, jaki się potem wydarzył, nastąpił bez żadnego ostrzeżenia. Louise, która wtedy spokojnie paliła przed domem, już nie istnieje.

Poprosiła o spotkanie z Larsem Håkanssonem. Siedząca za biurkiem urzędniczka zapytała, w jakiej sprawie Louise chce się z nim spotkać.

– Pan Håkansson znał mojego syna. Proszę mu powiedzieć, że przyszła matka Henryka. To z pewnością wystarczy.

Kobieta długo wystukiwała różne kombinacje wewnętrznych numerów, nim udało jej się połączyć z odpowiednią osobą.

– Pan Håkansson zaraz do pani zejdzie – powiedziała.

Mężczyźni, którzy rozmawiali o suszy w prowincji Niasa, gdzieś sobie poszli. Louise usiadła na granatowej kanapie.

Chwilę później przez szklane drzwi wszedł niski mężczyzna o rzadkich włosach i spalonej słońcem twarzy. Miał na sobie

garnitur. Pewnie lubi się opalać, pomyślała Louise. Lars Håkansson podszedł do niej, a ona od razu wyczuła u niego dystans.

– A więc jest pani matką Henryka Cantora – powiedział.

– Tak – odparła Louise.

– Niestety muszę panią poprosić o wylegitymowanie się. W tych trudnych czasach musimy być bardzo ostrożni. Co prawda terroryści akurat nas raczej nie zamierzają wysadzać w powietrze, ale departament spraw zagranicznych zaostrzył przepisy bezpieczeństwa i nie wolno mi zaprosić do środka nikogo, jeśli nie potwierdzę jego tożsamości.

Louise przypomniała sobie o dokumentach, które bezpiecznie leżały na dnie sejfów w hotelu.

– Nie mam przy sobie paszportu – przyznała.

– Więc będziemy musieli zostać tu, w recepcji.

Usiedli na kanapie. Louise wciąż czuła, że Håkansson odnosi się do niej z nieufnością. Dotknęło ją to.

– Czy nie będzie prościej, jeśli po prostu uznamy, że jestem osobą, za którą się podaję? – zapytała.

– Naturalnie – odparł Håkansson. – Przykro mi, że świat jest taki, jaki jest.

– Henryk nie żyje.

Mężczyzna nie zareagował. Louise czekała w milczeniu.

– Co się stało? – odezwał się po chwili.

– Znalazłam go martwego w łóżku, w jego sztokholmskim mieszkaniu.

– Myślałam, że Henryk mieszkał w Barcelonie.

Ostrożnie, pomyślała Louise. Ten człowiek wie coś, o czym ja nie miałam pojęcia.

– O tym, że Henryk ma mieszkanie w Barcelonie, dowiedziałam się dopiero po jego śmierci – powiedziała. – Przyjechałam tu, żeby zrozumieć. Czy spotkał się pan z Henrykiem podczas jego ostatniej wizyty w Maputo?

– Tak, dość dobrze się znaliśmy. Musiał kiedyś o mnie wspomnieć.

– Nigdy o panu nie mówił. Dowiedziałam się o panu od kobiety imieniem Lucinda.

– Lucinda? – zdziwił się Håkansson.

– Pracuje w barze o nazwie Malocura.

Louise wyjęła z kieszeni zdjęcie dziewczyny.

– Znam ją. Ale ona nie ma na imię Lucinda, tylko Julieta.

– Widocznie ma dwa imiona.

Lars Håkansson nagle poderwał się z kanapy.

– A niech to, złamię zasady. Zapraszam panią do mojego biura. Nie jest tam o wiele przyjemniej, ale przynajmniej trochę chłodniej.

Gabinet miał okna z widokiem na Ocean Indyjski. Na horyzoncie widać było zmierzające do zatoki łodzie rybackie o trójkątnych żaglach. Håkansson zaproponował Louise filiżankę kawy.

Wyszedł i chwilę później wrócił, niosąc dwa białe kubki z niebiesko-żółtymi flagami.

– Właśnie do mnie dotarło, że nawet nie złożyłem pani kondolencji – powiedział. – Przepraszam, ale ta wiadomość to dla mnie szok. Bardzo lubiłem Henryka. Przebywając z nim, często myślałem, że życzyłbym sobie mieć takiego syna.

– Nie ma pan dzieci? – spytała Louise.

– Mam cztery córki z pierwszego małżeństwa. Uroczą gromadkę młodych kobiet, które z pewnością dobrze przysłużą się światu.

Niestety syna się nie doczekałem.

Håkansson zamyślony wrzucił kostkę cukru do swojej kawy i zamieszał ołówkiem.

– Jak to się stało? – zapytał.

– Obdukcja wykazała wysokie stężenie środka nasennego w krwi Henryka. Na tej podstawie twierdzą, że popełnił samobójstwo.

Mężczyzna spojrzał na Louise z zaskoczeniem.

– I pani w to wierzy?

– Nie. I dlatego tu jestem. Szukam prawdziwej przyczyny. Jestem przekonana, że to, co spowodowało śmierć mojego syna, miało swój początek właśnie tu.

– W Maputo?

– Tego nie jestem pewna. Ale na pewno w tym kraju, na tym kontynencie. Mam nadzieję, że pomoże mi pan dotrzeć do prawdy.

Lars Håkansson położył kubek na stole i spojrzał na zegarek.

– Gdzie pani mieszka? – zapytał.

– Na razie w hotelu obok ambasady.

– Polana to dobry hotel, ale bardzo drogi. W czasie drugiej wojny światowej roiło się w nim od niemieckich i japońskich szpiegów. Dziś pełen jest znudzonych obywateli RPA.

– Zamierzam się przeprowadzić.

– Zapraszam do mnie – zaproponował. – Mieszkam sam i mam mnóstwo miejsca. Henryk często się u mnie zatrzymywał.

Louise zgodziła się natychmiast.

Håkansson wstał.

– Za chwilę mam spotkanie z ambasadorem – oznajmił. – Okazało się, że z jednego z kont naszego departamentu w tajemniczy sposób wyparowała spora suma pieniędzy. Pewnie jak zwykle chodzi o korupcję i lepkie paluchy któregoś z ministrów, który uznał za

konieczne wybudować domy swoim dzieciom. Niestety poświęcamy tu sporo czasu na tego typu sprawy.

Odprowadził Louise do recepcji.

– Henryk zostawił u mnie sportową torbę – powiedział na pożegnanie. – Nie wiem, co w niej jest, nie zaglądałem do środka, ale kiedy wstawiałem ją do szafy, okazała się dość ciężka.

– Sądzi pan, że jest w niej coś poza ubraniami?

– Zapewne papiery i książki. Mogę ją pani przynieść do hotelu dziś wieczorem. Niestety już wcześniej umówiłem się na kolację z kolegą z francuskiej placówki i nie mogę tego odwołać, choć najchętniej zostałbym dziś sam. Bardzo boleję nad śmiercią Henryka. Chyba to do mnie jeszcze nie dotarło.

Rozstali się na niewielkim placu przed ambasadą.

– Przyleciałam wczoraj i od razu zostałam napadnięta na ulicy – dodała Louise na odchodnym.

– Nic się pani nie stało? – zaniepokoił się Håkansson.

– Nie, sama jestem sobie winna. Nie powinnam włóczyć się sama po pustych, nieznanym ulicach, powinnam raczej trzymać się blisko ludzi.

– Tutejsi rabusie są szczwani i od razu rozpoznają nowo przybyłych turystów. Mimo to trudno ich nazywać kryminalistami. Żyją w przytłaczającej nędzy. Co można zrobić, kiedy się nie ma pracy i ma pięcioro dzieci na utrzymaniu? Gdybym był jednym z nich, na pewno okradłbym takiego gościa jak ja. Przyniosę pani tę torbę koło siódmej.

Louise wróciła do hotelu. Chcąc otrząsnąć się z uczucia zniechęcenia, kupiła kostium kąpielowy w drogim hotelowym

butiku. Przebrawszy się w pokoju, weszła do wody i przepłynęła kilka długości basenu. Wkrótce poczuła zmęczenie.

Pływam w stawie Röstjärn. Kapaliśmy się tam z ojcem, kiedy byłam mała. Przez czarną wodę nie było widać dna. Ojciec straszył mnie, że staw go nie ma w ogóle. Chodziliśmy tam latem, wokół brzęczały komary. Pamiętam, że bardzo go wtedy kochałam, za to, że miał takie silne ramiona, którymi bez trudu rozgarniał wodę.

Wróciła do pokoju, zdjęła kostium i naga położyła się na łóżku. Pozwoliła myślom odpłynąć.

Lucinda i Nazrin. Mieszkanie w Barcelonie i mieszkanie w Sztokholmie. Dlaczego Henryk ukrywał część swojego życia za zasłoną? I dlaczego w chwili śmierci miał na sobie pizamę?

Obudził ją dzwonek telefonu.

– Mówi Lars Håkansson – usłyszała w słuchawce. – Czekam w recepcji. Przyniosłem torbę Henryka.

– Już siódma? – zdziwiła się Louise. – Właśnie miałam wziąć prysznic.

– Zaczekam. Jestem trochę wcześniej. Dopiero czwarta.

Louise szybko się ubrała i zbiegła na dół po schodach. Håkansson na jej widok wstał. Trzymał w ręce czarną sportową torbę z czerwonym napisem „Adidas”.

– Przyjadę po panią jutro o jedenastej – zakomunikował.

– Mam nadzieję, że to nie kłopot.

– Skądże. Będzie mi miło panią gościć.

Wróciła do pokoju i od razu zajrzała do torby. Na wierzchu leżała para spodni i cienka kurtka w kolorze khaki. Nigdy nie widziała ich u Henryka. Pod spodem było parę plastikowych koszulek z jakimiś

papierami oraz kilka teczek, takich samych, jakie znalazła w obu mieszkaniach, w Sztokholmie i Barcelonie. Wysypała zawartość torby na łóżko. Na samym dnie było trochę ziemi. Louise sięgnęła po grudkę i roztarła ją między palcami. Czerwona, pomyślała. Znów ta czerwona ziemia.

Zacząła przeglądać papiery. Spomiędzy kartek wypadł zasuszony motyl. Na początku trafiła na artykuł po angielsku, autorstwa profesora Ronalda Wittermana z Uniwersytetu Oksfordzkiego. Jego tytuł brzmiał: *Przedsiónek śmierci. Podróż przez dzisiejszy biedny świat*. Z tekstu aż biło oburzenie. Daleki był od opanowanego, rzeczowego tonu, jakim zazwyczaj posługują się utytułowani profesorowie. Witterman wprost kipiał złością: „Nigdy dotąd nie mieliśmy do dyspozycji tylu środków umożliwiających nam uczynienie świata znośnym dla wszystkich ludzi. Przynosimy ujmę naszemu gatunkowi, bo zamiast te środki wykorzystać, pozwalamy pogłębiać się biedzie. Zaprzędaliśmy się, przenosząc odpowiedzialność i wszystkie środki na instytucje międzynarodowe, takie jak Bank Światowy, a nasze ograniczone wymagania doprowadziły do tego, że ludzkie cierpienie złożono na ołtarzu aroganckiego ekonomicznego doradztwa. Już dawno pozbyliśmy się sumienia”.

Ten Witterman nie ma żadnych zahamowań i nie potrafi odpuścić, pomyślała Louise. To dlatego Henryk się nim zainteresował.

W koszulkach znalazła też kilka kartek wyrwanych z notesu. Najwyraźniej Henryk zaczął tłumaczyć artykuł Wittermana na szwedzki. Louise zauważyła, że trudno mu było dobrać słowa i wpasować się w rytm długich zdań. Odłożyła artykuł na bok i zabrała się do przeglądania kolejnych kartek. Nagle natrafiła na wzmiankę o mózgu Kennedy’ego. Niewyraźnie zapiski Henryka

obejmowały kilka luźnych stron. Ułożyła je w kolejności i zaczęła czytać.

21 stycznia 1967 roku amerykański prokurator generalny Ramsey Clark odbył pewną rozmowę telefoniczną. Był zaniepokojony, nie wiedział, jaka będzie reakcja rozmówcy. Wystukawszy numer, zamienił kilka słów z sekretarzem, który polecił mu chwilę poczekać. Po paru minutach w słuchawce rozległ się szorstki głos. Prezydent Lyndon Baines Johnson zazwyczaj był miły i przyjaźnie nastawiony do ludzi, ale kiedy sprawy układały się nie po jego myśli, stawał się opryskliwy.

– Dzień dobry, panie prezydencie – powiedział prokurator.

– Powie mi pan, o co tu chodzi? – Prezydent nie odpowiedział na powitanie. – Sądziłem, że wszystko zostało wyjaśnione podczas sekcji zwłok w bazie Marines.

– Kazaliśmy wszystkim trzem patologom przyjechać do Waszyngtonu. Musiałem też ściągnąć Finka z Wietnamu.

– Mam gdzieś Finka! – krzyknął prezydent. – Na karku siedzi mi delegacja z Arkansas. Chcą gadać o zbożu. Nie mam na to wszystko czasu, do cholery!

– Najmocniej przepraszam, panie prezydencie – kajał się Clark. – Będę się streszczał. Nasi byli wczoraj w archiwum. Między innymi doktor Humes, który zeznawał przed Komisją Warrena w sprawie zdjęcia prawego płuca. To było ważne, aby móc orzec, jak zginął prezydent Kennedy.

– Tak, czytałem o tym w raporcie komisji. Czego pan ode mnie chce?

– Wygląda na to, że mamy problem. To zdjęcie zniknęło.

– Co to znaczy: zniknęło?

– Nie ma go. Prawdopodobnie zaginęło też drugie zdjęcie, to przedstawiające wlot kuli, która okazała się śmiertelna.

– Jak, do diabła, mogły zaginąć fotografie z sekcji zwłok Kennedy’ego? – wysapał prezydent.

– A jak mógł zaginąć jego mózg?

– Co teraz zrobimy?

– Lekarze się martwią, bo wcześniej zaświadczyli pod przysięgą, że te zdjęcia istnieją. A teraz ich nie ma. Tego jednego na pewno.

– Czy prasa się do tego dogrzebie?

– To niestety bardzo prawdopodobne. Wtedy cała zabawa zacznie się od nowa. Znowu pojawią się teorie spiskowe, że Oswald nie działał sam i tak dalej. Wszystko, co udało nam się wreszcie wyciszyć, znowu nabierze rozgłosu.

– Nie mam już czasu zajmować się sprawą Jacka. On nie żyje, i kropka. Staram się być prezydentem. Mam na głowie bezsensowną wojnę w Wietnamie i rozszalałych, biegających po ulicach czarnych, którzy Bóg raczy wiedzieć, co zrobią, jeśli za chwilę nie zajmiemy się kwestią równouprawnienia. Niech pan zadba o to, żeby lekarze nie gadali za dużo. I niech pan jak najszybciej odeśle Finka z powrotem do Wietnamu.

Henryk zakończył tekst notatką informującą, że jego treść pochodzi z niedawno otwartych archiwów Departamentu Sprawiedliwości. Dołączył też własny komentarz.

Wszystko zostało skrzętnie ukryte. Niewygodne fakty zamieciono pod dywan. Prawda wystąpiła w przebraniu. Żyjemy w świecie, w którym umiejętność zatajania faktów jest ważniejsza niż umiejętność ich ujawniania. Ten, kto odważy się wejść z latarnią w ręce w najciemniejszy kąt, nawet sobie nie wyobraża, co może tam znaleźć. Muszę dalej rozświetlać ciemność. Niebawem odłożę na bok materiały

dotyczące prezydenta Kennedy'ego i jego przeklętego mózgu. Są dla mnie tylko podręcznikiem, przewodnikiem po świecie kłamstw. I tym samym zaprowadzą mnie do prawdy.

Przeglądając zawartość następnej teczki, Louise natrafiła na kartkę wyrwaną z atlasu, na której widniała mapa południowych rejonów Mozambiku. Henryk nakreślił jedno kółko wokół miasta Xai-Xai i drugie, większe, wokół terenów na północny zachód od niego.

Louise odłożyła mapę na łóżko. Na samym dnie torby leżała duża brązowa koperta. Zajrzała do środka. Były tam wycinanki z czarnego papieru: dwie tworzyły wzory geometryczne, a trzy przedstawiały profile twarzy.

Od razu rozpoznała profil Henryka. Wezbrał w niej niepokój. Wycinanka była bardzo dobrze zrobiona. Henryk był już tylko cieniem. Czarny papier wyglądał złowieszczo, jak zapowiedź tego, co miało się stać.

Louise przyjrzała się dwóm pozostałym profilom. Jeden przedstawiał mężczyznę, drugi kobietę, najpewniej Afrykankę, były jednak nieopisane. Nie wiadomo, kto był autorem wycinanek. Może zrobił je Henryk?

Jeszcze raz przejrzała całą zawartość sportowej torby, lecz po chwili znów się znalazła w tym samym miejscu – siedziała z papierowymi profilami w dłoni, rozmyślając, co mogą one oznaczać.

W końcu postanowiła, że przespaceruje się po ogrodzie. Od morza powiewała łagodna bryza, przesiąknięta zapachem tajemniczych przypraw.

Usiadłszy na ławce, Louise spoglądała na czarną tafłę wody. W oddali błyskała boja huśtająca się na fali. Na horyzoncie majaczył zmierzający na południe statek.

Louise aż podskoczyła, kiedy nagle obok niej stanęła Lucinda.

Dlaczego ludzie poruszają się tu bezszelestnie? Dlaczego nie słyszę, kiedy nadchodzą?

Lucinda usiadła obok niej na ławce.

– I co pani znalazła w tej torbie? – spytała.

Louise się wzdrygnęła.

– Skąd pani o niej wie?

– Spotkałam Håkanssona – wyjaśniła dziewczyna. – Maputo to tylko pozornie duże miasto, w rzeczywistości jest całkiem małe. Spotkałam go przypadkiem i opowiedział mi o waszym spotkaniu.

– Twierdzi, że ma pani na imię Julieta. Zdziwił się, kiedy nazwałam panią Lucindą.

Przez twarz Lucindy przemknął cień.

– W tej części świata mężczyźni nazywają kobiety, jak chcą.

– A dlaczego one się na to godzą?

W tej samej chwili Louise domyśliła się, co Lucinda miała na myśli.

– Håkansson kiedyś uznał, że dziewczyna wyglądająca tak jak ja powinna mieć na imię Julieta – zaczęła wyjaśniać dziewczyna. – Przez trzy miesiące spotykaliśmy się dwa razy w tygodniu, prawie za każdym razem wieczorem, o z góry ustalonej porze w jakimś mieszkaniu położonym na uboczu, specjalnie przeznaczonym do tego typu spotkań. Po trzech miesiącach Håkansson poznał kogoś innego lub po prostu przyjechała do niego żona. Nie pamiętam.

– Czy to wszystko prawda? – spytała Louise.

Odpowiedź Lucindy odebrała jej mowę.

– Czy to prawda, że byłam jego dziwką? Czarną maskotką, którą bawił się, kiedy tylko miał na nią ochotę, w zamian za wynagrodzenie płatne w gotówce, w dolarach lub południowoafrykańskich randach? – wyrzuciła z siebie, wstając. – Nie jestem w stanie pani pomóc, skoro pani nie pojmuję, jak wygląda życie w kraju tak biednym jak ten.

– Nie chciałam pani urazić – odparła Louise.

– Nigdy pani tego nie zrozumie, bo nigdy nie musiała pani rozłożyć przed kimś nóg, żeby móc napęłnić żołądek sobie, swoim rodzicom i swoim dzieciom.

– Ale pani może mi o tym opowiedzieć.

– Po to właśnie przyszłam. Chcę, żeby jutro po południu pojechała pani ze mną w pewne miejsce. Coś pani pokażę. Coś, co widział Henryk. Nic się pani nie stanie, proszę się nie bać.

– Obecnie boję się wszystkiego. Ciemności, że zostanę napadnięta przez ludzi, których nie zdążę usłyszeć ani zobaczyć. Boję się, bo nic z tego nie rozumiem.

– Henryk też się bał. Jednak on próbował wyzbyć się lęku. I próbował zrozumieć.

Lucinda odeszła. Wciąż wiał łagodny wiatr. Louise długo patrzyła za oddalającą się dziewczyną, a potem wyobraziła sobie, jak idzie ciemnymi ulicami do baru, do pracy na nocną zmianę.

Rozejrzała się po dużym ogrodzie. Czuła, że wszędzie wokół czają się cienie.

Stała przy oknie, patrząc, jak słońce wynurza się z oceanu. Kiedy była małą dziewczynką, ojciec powiedział jej, że świat to wielka biblioteka wschodów i zachodów słońca. Louise nigdy nie zrozumiała, co miał na myśli. Jak można porównać ruch słońca do kartek papieru zamkniętych w okładkach? Rozmyślała o tym tego ranka, obserwując światło rozlewające się po tafli morza.

Przyszło jej na myśl, żeby zadzwonić do Artura i go o to zapytać. Rozmyślała się jednak.

Usiadła na małym balkonie i wybrała numer do hotelu w Barcelonie. Odebrał Xavier. „Pan Cantor się z nami nie kontaktował, nie odzywała się również policja”. Señor Castells miał go natychmiast powiadomić, jeśli pojawiłyby się jakiegokolwiek informacje na temat Arona Cantora.

– Nie otrzymałem też żadnych złych wiadomości! – dodał, krzycząc.

Xavier najwyraźniej był zdania, że rozmowa na tak wielką odległość wymaga podniesienia głosu.

Po paru minutach zerwało się połączenie. Louise nie zadzwoniła ponownie, utwierdziwszy się już w tym, co i tak przeczuwała. Wciąż ani śladu Arona.

Ubrała się i zeszła do restauracji. Na tarasie wiał orzeźwiający wiatr. Właśnie skończyła jeść i odsunęła talerz, kiedy ktoś zwrócił się do niej po nazwisku: „Pani Cantor”, z akcentem na ostatnią sylabę. Odwróciła głowę i zobaczyła nieogoloną twarz. Stał przed nią mężczyzna, Mulat, który równie dobrze mógł być Europejczykiem, jak i Afrykaninem. Miał przenikliwe spojrzenie.

Kiedy się odezwał, Louise zobaczyła, że nieznajomy ma zepsute zęby. Był niski, krępy i wyraźnie zniecierpliwiony.

– Pani Louise Cantor? – zapytał.

– Tak, to ja – odparła Louise.

Mimo że mężczyzna mówił angielszczyzną z portugalskim akcentem, łatwo go było zrozumieć. Nie pytając o pozwolenie, odsunął sobie krzesło i usiadł przy niej. Potem machnięciem dłoni odesłał zbliżającego się do nich kelnera.

– Mam na imię Nuno – powiedział. – Jestem przyjacielem Lucindy. Dowiedziałem się, że pani tu jest i że Henryk nie żyje.

– Nie wiem, kim pan jest.

– Jasne, że pani tego nie wie. Rozmawiamy nie dłużej niż minutę.

– Nuno? Tak po prostu? Znał pan mojego syna?

– Nuno da Silva. Jestem dziennikarzem. Henryk przyszedł do mnie parę miesięcy temu. Zadał mi parę pytań. Ważnych pytań. Ludzie często czegoś ode mnie chcą, ale rzadko pytają o to, co i mnie interesuje.

Louise próbowała sobie przypomnieć, czy w zapiskach Henryka pojawiło się nazwisko da Silva. Po chwili stwierdziła, że nigdzie się na nie nie natknęła.

– Co to były za pytania?

– Najpierw niech mi pani powie, co się stało. Lucinda powiedziała, że znaleziono go martwego w łóżku. Czyli gdzie?

– Dlaczego zadaje mi pan takie dziwne pytania? – zdziwiła się Louise.

– Dlatego, że Henryk wyglądał mi na młodego człowieka, który często zmieniał miejsca zamieszkania – wyjaśnił Nuno. – Zawsze był w drodze. Kiedy go spotkałem, od razu przyszło mi do głowy, że przypomina mnie sprzed dwudziestu pięciu lat.

– Umarł w swoim mieszkaniu w Sztokholmie – powiedziała Louise.

– Kiedyś tam byłem. W 1974 roku. W tamtych latach Portugalczycy zaczęli przegrywać swoje wojny w afrykańskich koloniach, a w Lizbonie lada dzień miała wybuchnąć Rewolucja Goździków. Pojechałem tam na jakąś konferencję, nie pamiętam już, kto płacił za mój bilet i załatwił mi wizę. Miło było patrzeć, jak szwedzka młodzież, nieświadoma okropieństw wojny i kolonializmu, tak ochoczo oferuje nam pomoc. Mimo to uznałem wtedy, że Szwecja to dziwny kraj.

– W jakim sensie?

– Całymi dniami rozmawialiśmy o wolności, a wieczorem nie mogłem znaleźć miejsca, gdzie po dwudziestej drugiej można by się napić piwa. Wszystko było albo zamknięte, albo obowiązywał zakaz spożywania alkoholu. Nikt nie umiał mi wyjaśnić, dlaczego tak jest. Szwedzi twierdzili, że nas rozumieją, podczas gdy nie rozumieli samych siebie. Co było przyczyną śmierci Henryka? – zakończył dygresję Nuno.

– Sekcja zwłok wykazała, że nałykał się on środków nasennych.

– Henryk nigdy nie popełniłby samobójstwa! Może chorował?

– Nie, był zupełnie zdrowy – odparła Louise.

Dlaczego kłamię? Dlaczego boję się przyznać, że możliwe, iż Henryk być może odebrał sobie życie ze strachu przed chorobą? Czy dlatego, że wciąż nie mogę w to uwierzyć? Henryk był chory, ale zamierzał walczyć o życie. Gdyby było inaczej, na pewno by mi o tym powiedział.

– Kiedy to się stało? – pytał dalej Nuno.

– 17 października.

Odpowiedź krępego mężczyzny uderzyła Louise.

– Zadzwoił do mnie parę dni wcześniej – oznajmił.

– Jest pan pewien?

– Jestem nie tylko dziennikarzem, ale też wydawcą gazety. Rozsyłał ją faksem codziennie oprócz niedzieli, więc praktycznie noszę w sobie kalendarz. Henryk zadzwonił do mnie we wtorek, a pani mówi, że zmarł w piątek.

– Czego od pana chciał?

– Powiedział, że ma parę pytań, które nie mogą czekać.

Restauracja zaczęła się napęlniać. Większość stanowili brzuchaci, głośno rozmawiający Afrykanerzy. Louise spostrzegła, że ich obecność irytuje Nuna da Silvē.

– Nigdy tu nie przychodzę – mruknął. – Nie ma tu niczego prawdziwego. Nic, co wskazywałoby, że jesteśmy w tym kraju. Ten hotel równie dobrze mógłby stać gdzieś we Francji, Anglii albo na przykład w Lizbonie. Tu bieda jest zamieciona pod dywan. Nie wolno jej spod niego wyściubić nosa.

– Dziś się stąd wyprowadzam – odparła Louise usprawiedliwiająco.

– Henryk nigdy by nie przestąpił progu tego hotelu, chyba że miałby tu jakąś sprawę do załatwienia.

– Na przykład jaką?

– Choćby taką, żeby namówić swoją matkę, by się stąd jak najprędzej wyniosła. Czy możemy usiąść na zewnątrz?

Nie czekając na odpowiedź Louise, Nuno wstał i szybkim krokiem wyszedł na taras.

– Bardzo dobry człowiek – odezwał się kelner, pochylając się nad Louise i wskazując podbródkiem Nuna da Silvē. – Nie boi się mówić głośno o tym, co inni przemilczają. Dlatego żyje w niebezpieczeństwie.

– Co to znaczy?

– Prawda zawsze jest niebezpieczna. Ale Nuno da Silva się nie boi. Jest bardzo odważny.

Kiedy Louise wyszła z hotelu, Nuno opierał się o ogrodzenie i z nieobecną miną wpatrywał się w morze. Stała tuż obok. Słońce kryło się za rozciągniętą nad ich głowami markizą kołyszącą się na słabym wietrze.

– Henryk przyszedł do mnie, żeby zadać mi kilka pytań – odezwał się Nuno. – Ale to właściwie były stwierdzenia. Od razu zrozumiałem, że wpadł na jakiś trop.

– Jaki trop?

Nuno da Silva niecierpliwie pokręcił głową, nie chciał, by mu przerywano.

– Nasza znajomość zaczęła się od małej katastrofy. Pewnego dnia Henryk zjawił się w redakcji i zapytał, czy zostanę jego Wergiliuszem. Nie rozumiałem, o co mu chodzi, chociaż słyszałem o Dantem. Uznałem, że to kolejny wieczny student, który próbuje być oryginalny, więc odpowiedziałem mu tak jak zawsze w podobnych sytuacjach. Kazałem mu iść do diabła. Wtedy przeprosił, powiedział, że wcale nie szuka Wergiliusza i nie uważa się za Dantego, że chciał po prostu pogadać. Zapytałem, dlaczego akurat ze mną, a on odpowiedział, że Lucinda mu tak poradziła, a tak naprawdę dlatego, że podczas każdej z rozmów, jakie odbył do tej pory, prędzej czy później pojawiał się moje nazwisko. Powiedziano mu, że jestem żywym dowodem wszystkiego, co się tu dzieje, że jako jedyny podaję w wątpliwość stan rzeczy w tym kraju, otwarcie mówię na przykład o korupcji. Poprosiłem go, żeby chwilę poczekał, bo musiałem skończyć artykuł. Henryk po prostu usiadł

i czekał cierpliwie, nie mówiąc ani słowa. Potem wyszliśmy. Redakcja mojej gazety mieści się w garażu, na podwórzu pewnego domu. Usiedliśmy na beczkach po paliwie, z których zrobiliśmy dość niewygodne ławki. Wbrew pozorom dobrze się na nich siedzi właśnie dlatego, że nie można odpocząć. Ból pleców dopada człowieka od nicnierobienia.

– Nie w przypadku mojego ojca – wtrąciła Louise. – Całe życie pracował jako drwal i ma zrujnowany kręgosłup, a bynajmniej się nie objął.

Nuno da Silva zdawał się nie słyszeć uwagi.

– Henryk powiedział mi, że przeczytał moje artykuły o AIDS – mówił dalej. – Przyznał mi rację.

– Co do czego?

– Co do przyczyn epidemii. Nie wątpię, że jej początków należy szukać w martwych szympanсах i ludziach, którzy zjedli ich mięso. Ale nigdy nie uwierzę, że ten wirus sam z siebie nauczył się tak świetnie ukrywać, mutować i co rusz objawiać się w nowym kształcie. Jestem przekonany, że ktoś musiał mu w tym pomóc. Nikt mnie nie przekona, że nowe odmiany wirusa nie powstały w tajnym laboratorium lub w miejscach, jakich Amerykanie na próżno szukali w Iraku.

– Ma pan na to jakieś dowody?

O ile Nuno był do tej pory zdenerwowany, o tyle teraz wyraźnie się zezłościł.

– Na potwierdzenie tego, co oczywiste, nie zawsze trzeba od razu mieć dowód. Z czasem się taki znajdzie. Wciąż aktualne jest to, co dawno temu mówili pierwsi kolonizatorzy: „Afryka byłaby rajem na ziemi, gdyby nie ci przekłeci Afrykańczycy”. AIDS to instrument, za pomocą którego można się ich po prostu pozbyć. Fakt, że w USA

umierają na tę chorobę głównie osoby o orientacji homoseksualnej lub o bogatym życiu seksualnym, nie ma wielkiego znaczenia, bo dzieje się to jakby na marginesie. To cyniczne nastawienie znajdzie pani przede wszystkim u ludzi, którzy uważają siebie za upoważnionych do władania światem. Henryk był tego samego zdania co ja, chociaż dodał do tego coś od siebie. Dokładnie zapamiętałem jego słowa: „Mężczyźni w Afryce tępią kobiety”.

– Co konkretnie miał na myśli?

– Tutejsze kobiety mają niewielkie szanse, by w jakikolwiek sposób się ochronić. Męska dominacja na tym kontynencie jest przerażająca. Ani myślę bronić patriarchy, ale to i tak nie daje Zachodowi prawa, by zakładać u nas laboratoria i pracować w nich nad bronią, która nas wykończy.

– Co było potem?

– Rozmawialiśmy około godziny. Spodobał mi się ten chłopak, więc zaproponowałem mu, żeby napisał o tym do europejskich gazet. Odpowiedział, że jest za wcześnie. „Jeszcze nie teraz”, tak brzmiały jego słowa.

– Dlaczego tak powiedział?

– Chciał najpierw zbadać jakiś trop, nie powiedział mi jaki. Zorientowałem się, że nie chce o tym rozmawiać. Może jeszcze za mało wiedział. Potem się pożegnaliśmy. Zaproponowałem, żeby znów mnie odwiedził, ale on już się nie pojawił.

Nuno da Silva rzucił okiem na zegarek.

– Muszę już iść – powiedział.

Louise postanowiła go zatrzymać.

– Ktoś zabił Henryka. Muszę się dowiedzieć, kto to zrobił i dlaczego – oznajmiła.

– Opowiedziałem pani wszystko ze szczegółami – odparł da Silva.
– Nie wiem, czego Henryk szukał, chociaż się tego domyślam.

– Powie mi pan?

Nuno pokręcił odmownie głową.

– To tylko przeczucie. Być może to, czego Henryk się dowiedział, okazało się zbyt ciężkie do udźwignięcia. Zdarza się, że ludzie umierają od samej świadomości, że inni cierpią.

– Powiedział pan, że Henryk wpadł na jakiś trop.

– Myślę, że nosił to w sobie, że tropem była myśl, która go przesładowała. Nigdy do końca nie zrozumiałem, o co mu chodziło. Niejasno mówił o jakichś powiązaniach, przemyśle narkotyków i przeładunkach ogromnych ilości heroiny z upraw maku w Afganistanie. O statkach zacumowanych u wybrzeży Mozambiku, szybkich motorówkach przewożących coś nocą przez niestrzeżone granice, najpierw do RPA, potem dalej, w świat. Dochody z przemytu są tak wysokie, że interes ten jest wart zachodu nawet po opłaceniu łapówek policjantom, celnikom, prokuratorom, sędziom, urzędnikom państwowym, a nawet niektórym ministrom. Z narkotyków jest na całym świecie ponoć tyle pieniędzy, ile z turystyki razem wziętej. To więcej niż z produkcji broni. Henryk opowiadał mętnie o jakimś mrocznym związku między tym wszystkim a epidemią AIDS. Nie mam pojęcia, skąd brał informacje. Naprawdę muszę już iść.

Pożegnali się przed wejściem do hotelu.

– Zatrzymałam się u znajomego z ambasady Szwecji. Nazywa się Lars Håkansson.

Nuno da Silva zrobił dziwną minę.

– Ciekawy człowiek – mruknął.

– Zna go pan? – spytała Louise.

– Jako dziennikarz muszę znać wszystkich, których warto znać. To samo dotyczy informacji.

Nuno da Silva szybkim gestem ujął dłoń Louise, odwrócił się i poszedł. Było widać, że bardzo się spieszy.

Louise uciekła przed upałem do pokoju. Wciąż miała przed oczami minę Nuna da Silvy, jaką zrobił, słysząc o Larsie Håkanssonie. Bez wątpienia nie darzył go szacunkiem.

Wpatrując się w sufit, Louise zastanawiała się, komu nie powinna ufać. Może powinnam unikać Håkanssona, pomyślała. Ale Henryk u niego mieszkał, a ja muszę sprawdzić wszystkie miejsca, w których mógł zostawić jakiś ślad.

Kwadrans po dziewiątej zadzwoniła do Artura. Słyszała w jego głosie, że czekał na jej telefon. Gardło ścisnęło jej się na myśl, że ojciec znów czuwał całą noc.

Zostaliśmy sami, tylko ja i on. Wszyscy inni odeszli.

Uznała, że uspokoją go zapewnienia, że u niej wszystko gra i niebawem przeniesie się do mieszkania znajomego Henryka, zatrudnionego w tutejszej szwedzkiej ambasadzie. Artur oznajmił, że u niego pada śnieg, z dnia na dzień coraz gęściej, i że nocą napadało go ponad dziesięć centymetrów. Poza tym, kiedy wracał do domu ze sklepu, znalazł na drodze martwego psa.

– Co mu się stało? – spytała Louise.

– Nie wyglądał, jakby go potracił samochód. Raczej jakby ktoś strzelił mu w łeb, a potem rzucił na drogę.

– Czyj to był pies?

– Raczej nikogo stąd. Tylko skąd u kogoś taka nienawiść do psa?

Kiedy skończyli rozmawiać, Louise jeszcze długo leżała na łóżku, analizując słowa Artura. „Skąd u kogoś taka nienawiść do psa?”. Potem rozmyślała o tym, co powiedział Nuno da Silva. Czyżby epidemię AIDS naprawdę wywołali ludzie chcący wytepić ludność Afryki? Czy śmierć Henryka rzeczywiście można zepchnąć na margines, jak wyraził się Nuno? Zdaniem Louise było to istne szaleństwo. Jej syn z całą pewnością też w to nie wierzył. Henryk nigdy nie zostałby zwolennikiem teorii spiskowej, na której chłodna analiza faktów nie zostawiłaby suchej nitki, stwierdziła.

Usiadła na łóżku i otuliła się kołdrą. Klimatyzator tak wychłodził pokój, że zatrzęsała się z zimna. Przyjrzała się gęszej skórcie na ramionach.

Na jaki trop zdaniem Nuna da Silvy wpadł Henryk? Nosił ten trop w sobie, tak powiedział. Trop był myślą, która go prześladowała. Kogo Henryk obserwował? Louise nie miała pojęcia, mimo to czuła, że zbliżyła się do rozwiązania zagadki.

Nagle głośno przekleła, krzycząc na cały pokój. Potem zerwała się z łóżka, weszła pod prysznic i długo stała pod strumieniem zimnej wody. Po kąpieli spakowała walizkę i w chwili gdy płaciła za pokój, w foyer zjawił się Lars Håkansson.

– Pomyślałam sobie właśnie, że gdyby mojemu ojcu urodził się syn, dostałby na imię Lars – powiedziała.

– Bo to naprawdę dobre imię – odparł Håkansson z uśmiechem. – Łatwo je wymówić we wszystkich językach, no, może nie po mandaryńsku, w Chinach. Lars Herman Olof Håkansson. Imię Lars mam po dziadku ze strony ojca, Herman po dziadku ze strony matki, oficerze marynarki, a Olof po Olofie Skötkonungu⁴. Moi patroni prowadzą mnie przez życie.

Ale na Lucindę mówiłeś Julieta. Aż tak cię podniecało nadanie jej nowego imienia?

Louise poprosiła Håkanssona, by zapisał jej swój adres na kartce, którą potem wręczyła recepcjonistce, prosząc o przekazanie jej kobiecie imieniem Lucinda, która zapewne będzie o nią pytać.

Lars Håkansson stał tuż obok, zatopiony w myślach. Louise mówiła cicho, tak żeby jej nie usłyszał.

Dom Håkanssona położony był w dzielnicy dyplomatów przy ulicy o nazwie Kaunda. Otaczały go podobne do niego wille, których strzegli umundurowani strażnicy i psy. Tu i tam powiewała jakaś flaga. Kiedy weszli przez furtkę, mężczyzna pracujący w ogrodzie odłożył narzędzia i podszedł do Louise, żeby ponieść jej bagaż. Odebrał go od niej, mimo że protestowała.

– Ten dom zbudował pewien portugalski lekarz – wyjaśnił Håkansson. – W 1974 roku, kiedy do Portugalczyków dotarło, że czarni niebawem sięgną po wolność, lekarz rzucił wszystko i uciekł. Podobno zostawił też jacht i pianino, które zgniło w porcie, bo nikt go nie załadował na statek do Lizbony. Porzucone domy przejęło państwo, a teraz wynajmuje je dla nas ambasada. Innymi słowy, mieszkam tu za pieniądze szwedzkich podatników.

Willę otaczał duży ogród, za budynkiem rosły wysokie drzewa. Zmierzając w stronę drzwi, Louise ostrożnie minęła uwięzowanego owczarka, który przyglądał jej się z nieufnością. W domu przywitały ich dwie służące, jedna stara, druga młoda.

– To jest Graça – powiedział Håkansson, kiedy Louise witała się ze starszą kobietą. – Jest już za stara na tę pracę, ale chciała zostać. Jestem jedenastą szwedzką rodziną, u której sprząta.

Staruszka silnie chwyciła ręczki toreb Louise i wniosła je na górę po schodach. Louise ze zgrozą patrzyła na jej chude ciało.

– A to Celina – ciągnął niewzruszony gospodarz, wskazując na młodą kobietę. – Jest bystra i dobrze gotuje. Jeśli będzie pani czegoś potrzebowała, proszę się zwrócić do niej. W ciągu dnia zawsze ktoś jest w domu. Ja wrócę dziś bardzo późno. Celina przygotuje dla pani jedzenie, proszę jej tylko dać znać, kiedy pani zgłodnieje. Teraz zaprowadzi panią do pokoju.

Håkansson był już za drzwiami, kiedy Louise go dogoniła.

– Czy to ten sam pokój, w którym mieszkał Henryk? – zapytała.

– Tak, uznałem, że tego pani będzie chciała, ale jeśli jest inaczej, może pani zająć inny. To spory dom. Podobno doktor Sa Pindo miał dużą rodzinę. Każde dziecko miało swój pokój.

– Po prostu chciałam wiedzieć.

– Więc teraz już pani wie.

Louise wróciła do domu. Celina czekała na nią przy schodach. Graça zdążyła już zejść na dół i pobiegła do kuchni. Louise ruszyła za młodą służącą, która poprowadziła ją przez białe korytarze.

W końcu weszły do pokoju przeznaczanego dla Louise. Wilgoć poznały jego ściany żółtymi plamami, w pomieszczeniu czuć było stęchlizną. A więc tu zatrzymywał się Henryk, pomyślała Louise. Pokój był mały, większość powierzchni zajmowało łóżko. W oknie zamontowano kratę, jak w więzieniu. Bagaż Louise leżał na łóżku. Otworzyła szafę. Była pusta, nie licząc stojącego w kącie kija do golfa.

Louise stanęła przy łóżku i zastygła w bezruchu, próbując sobie wyobrazić Henryka w tym pomieszczeniu. Bezskutecznie. Nie czuła jego obecności.

Potem rozpakowała torbę i wyszła poszukać łazienki. Po drodze minęła dużą sypialnię Håkanssona. Zerknęła do środka. Czy Lucinda vel Julieta, której ten człowiek płacił za seks, spała z nim w tym łóżku?

Poczuła niesmak. Zeszła do kuchni, odkorkowała do połowy opróżnioną butelkę wina i pociągnęła z niej duży łyk. Poniewczasie spostrzegła, że w półotwartych drzwiach stoi Graça i bacznie się jej przygląda.

W południe Celina podała jej omlet. Sposób, w jaki nakryła stół i ją obsługiwała, sprawił, że Louise poczuła się jak w restauracji. Nie zjadła wiele, podłubała tylko trochę w jedzeniu.

Taką właśnie pustkę odczuwa się tuż przed podjęciem ważnej decyzji, myślała. Przecież od dawna wiem, że powinnam stąd jak najszybciej wyjechać.

Wypiła kawę na tarasie z tyłu domu, gdzie nie było tak potwornie gorąco. Pies wciąż nieufnie się jej przyglądał. Pograżona w myślach, w końcu usnęła w fotelu.

Obudziła się, kiedy ktoś położył dłoń na jej ramieniu. Zobaczyła nad sobą Celinę.

– Ma pani gościa – powiedziała dziewczyna.

Louise wstała, otrzeźwiawszy w kilka sekund. Śnił jej się Artur i jakieś zdarzenie, które miało miejsce, kiedy była małą dziewczynką. Znow pływali w ciemnym jeziorze. Nic więcej nie zapamiętała.

W salonie czekała na nią Lucinda.

– Obudziłam panią? – zapytała.

– Mój żal po stracie Henryka i sny zlewają się w jedno. Odkąd umarł, nigdy nie spałam tak dużo i zarazem tak mało.

Celina weszła do pokoju i spytała o coś Lucinę w ich języku. Ta odpowiedziała jej w paru słowach i służąca zniknęła. Louise przyszło na myśl, że Celina porusza się bezszelestnie, jakby niezauważalnie unosiła się nad podłogą.

– O czym rozmawiałyście? Nie zrozumiałam ani słowa – zwróciła się do Lucindy.

– Zaproponowała mi coś do picia. Odmówiłam.

Lucinda miała na sobie białe ubranie i sandały na wysokich obcasach. Miała ciasno zaplecione włosy.

Jest taka piękna. Sypiała z moim synem, a wcześniej z Larsem Håkanssonem.

Na myśl o tym Louise znowu poczuła niesmak.

– Chcę panią zabrać na przejażdżkę – zaproponowała Lucinda.

– Dokąd?

– Za miasto. W miejsce, które wiele znaczyło dla Henryka. Wrócimy wieczorem.

Samochód Lucindy stał w cieniu kwitnącej jakarandy. Na czerwonej masce spadło parę płatków w kolorze lawendy. Auto było stare, trudno było uwierzyć, że wciąż jeździ. Usiadłszy na fotelu, Louise poczuła zapach owoców.

Najpierw jechały przez miasto. W samochodzie było strasznie gorąco. Louise wychyliła się przez okno, żeby ochłodzić twarz na wietrze. Na ulicach panował chaotyczny ruch, ze wszystkich stron tłoczyły się najróżniejsze pojazdy, każdy chciał mieć pierwszeństwo. W Szwecji większość tych samochodów nie miałyby prawa wyjechać na drogę. Ale to nie Szwecja, pomyślała po chwili. To biedny kraj we wschodniej Afryce, który Henryk odwiedził tuż przed śmiercią.

Wkrótce znalazły się na obrzeżach miasta. Wokół ciągnęły się podupadłe magazyny, a wzdłuż drogi straszyły zrujnowane chodniki. Co rusz mijały zardzewiałe wraki samochodów. Przede wszystkim jednak Louise nie mogła się nadziwić karawanom ludzi. Dziesiątkom wędrujących. Kiedy zatrzymały się na czerwonym świetle, zobaczyła kobietę z wielkim koszem na głowie. Inna, idąca tuż za tamtą, na głowie niosła parę czerwonych butów na obcasie. One wszystkie coś dźwigają, pomyślała. Każda kobieta niesie jakiś ciężar, nie tylko na głowie, ale i w niej samej.

Lucinda skręciła na ruchliwym skrzyżowaniu bez świateł. Louise podziwiała ją za zdecydowanie, ona nie byłaby w stanie jeździć w takim ruchu. Po chwili minęły drogowskaz z napisem Xai-Xai.

– Jedziemy na północ – oznajmiła dziewczyna. – Gdybyśmy jechały cały czas prosto, w końcu dojechałybyśmy do pani kraju. Niedługo skręcimy na wschód, a potem znowu na północ.

Przejechały obok dużego cmentarza. Przy bramie wejściowej tłoczył się szereg żałobników.

W końcu znalazły się za miastem. Ruch się rozrzedził, zniknęły także ciągnące się wcześniej wzdłuż drogi niskie budynki z gliny i z blachy. Teraz po obu stronach szosy kołysały się na wietrze wysokie trawy. W oddali rysowało się pasmo gór. Krajobraz tonął we wszystkich odcieniach zieleni. Lucinda była skoncentrowana na jeździe. Mimo że ruch był tu mniejszy, co chwilę drogę blokowały im przeciążone ciężarówki i autobusy wypluwające z siebie chmury spalin. Trudno je było wyprzedzić. Louise obserwowała ludzi pracujących na polach. Doliczyła się kilku mężczyzn, ale większość stanowiły kobiety. Pochylone, atakowały suchą ziemię motykami. Poboczem nieustannie wędrowali ludzie.

– To samochód Henryka – odezwała się nagle Lucinda.

Właśnie udało jej się wyprzedzić kolejny autobus i miały przed sobą odcinek pustej i prostej drogi.

– Kupił go za cztery tysiące dolarów – mówiła dalej. – Słono przepłacił. Kiedy wyjeżdżał, poprosił mnie, żebym się nim zaopiekowała do jego powrotu. Wygląda na to, że teraz należy do pani.

– Nie, nie należy do mnie – odparła Louise. – Po co Henryk go kupił?

– Lubił jeździć autem. Zwłaszcza odkąd odkrył miejsce, do którego właśnie jedziemy.

– Czyli dokąd?

Lucinda nie odpowiedziała. Louise nie spytała drugi raz.

– Kupił go od Duńczyka, który mieszka tu od lat i ma mały warsztat samochodowy. Wszyscy znają Carstena. To sympatyczny grubas, który ożenił się z drobną i chudziutką kobietą z Quelimane. Ciągłe się kłóca, nawet podczas niedzielnych spacerów na plaży. Przyjemnie jest na nich wtedy patrzeć, widać, że naprawdę się lubią.

Jechały ponad godzinę i przez większość czasu milczały. Louise obserwowała krajobraz, raz po raz dochodząc do wniosku, że jeśliby zastąpić zieleń bielą, mogłoby to być Härjedalen. Chwilami przypominał jej się też Peloponez. Wszystko stanowi całość, pomyślała. Z odłamków natury można zbudować każdy krajobraz.

Lucinda zredukowała bieg i zjechała z drogi. Po chwili zatrzymała się na szerokim poboczu z przystankiem autobusowym i paroma sklepikami. Ziemia była wydeptana przez dziesiątki stóp. Sprzedawano tu piwo, napoje orzeźwiające i banany. Kiedy się zatrzymały, do auta natychmiast podbiegła grupka chłopców z torbami termicznymi. Lucinda kupiła od nich dwie oranżady.

Jedną dała Louise, a dzieciaki przegoniła. Odeszły bez słowa sprzeciwu, nawet nie próbowały im przy okazji wcisnąć ciastek.

– Zawsze się tu zatrzymywaliśmy – powiedziała.

– Pani i Henryk?

– Czasem nie rozumiem pani pytań – odparła Lucinda. – Kogo innego mogłabym mieć na myśli? Jakiegoś klienta z przeszłości?

– Nie wiem nic na temat tego, jak wyglądało życie Henryka w tym kraju – usprawiedliwiła się Louise. – Czego tu szukał? I dokąd my teraz jedziemy?

Lucinda zapatrzyła się na grupkę dzieci bawiących się ze szczeniakiem.

– Kiedy byliśmy tu po raz ostatni, powiedział, że kocha to miejsce. Że właśnie tu świat się kończy, a zarazem zaczyna. I że nikt go tu nie znajdzie.

– Naprawdę tak powiedział?

– Dokładnie zapamiętałam te słowa. Zapytałam, co ma na myśli, bo też go nie rozumiałam. Czasem bywał patetyczny. Kiedy mówił wtedy o początku i końcu świata, był wyjątkowo spokojny. Zupełnie jakby nagle opuścił go strach, który zawsze w sobie nosił. A przynajmniej zniknął na jakąś chwilę.

– Co odpowiedział?

– Nic. Milczał. Potem pojechaliśmy dalej. O ile się nie mylę, już nigdy tu nie wrócił. Nie wiem, dlaczego wyjechał z Maputo, nie wiedziałam nawet, że ma taki plan. Pewnego dnia po prostu zniknął. Nikt nic nie wiedział.

Zupełnie jak Aron. Ten sam sposób ucieczki, bez słowa, bez wyjaśnienia. Zupełnie jak Aron.

– Usiądźmy w cieniu – zaproponowała Lucinda, otwierając drzwi. Louise poszła za nią w stronę drzewa, którego pień ugiął się tuż

nad ziemią, tworząc chropowatą, nierówną ławkę. Usiadły obok siebie.

– Cień i woda – powiedziała Lucinda. – Tych dwóch rzeczy nam tu najbardziej brakuje i tego sobie nawzajem użyjemy w gorącym klimacie. Czym wy się dzielicie tam, gdzie jest zimno?

– Ciepłem. Dawno temu w Grecji żył pewien słynny mężczyzna, któremu potężny władca zaproponował, że spełni jego życzenie. Usłyszawszy to, grzecznie poprosił króla, by się odsunął i odsłonił mu słońce.

– Jesteście do siebie podobni, pani i Henryk. Wyczuwam u pani tę samą bezradność.

– Dziękuję – mruknęła Louise.

– Nie miałam na myśli nic złego.

– To było szczere „dziękuję”. Miło mi, że pani zdaniem jestem podobna do syna.

– Czy nie powinno być na odwrót? Że to on był podobny do pani? Widać, jak bardzo się od siebie różnimy, ja i pani. Moim zdaniem tego, kim się jest, nie da się czerpać z przyszłości. Nie można zmierzać ku nieznanemu, nie mając w pamięci tego, co było.

– Przez całe życie przyświecał mi w pracy ten cel. Bez kawałków przeszłości i dochodzących z niej szeptów nie ma żadnego „teraz”, przyszłości, nie ma niczego. Może łączy nas więcej, niż się pani zdaje?

Tuż obok drzewa przebiegła grupka dzieciaków i chudy szczeniak, wznoszący za sobą chmurę kurzu.

Lucinda zaczęła rysować stopą po suchej ziemi. Nakreśliła coś przypominającego krzyż zamknięty w okręgu.

– Zmierzamy do miejsca, w którym Henryk doświadczał wielkiej radości. Myślę, że można by to nawet nazwać szczęściem. Tak,

chyba był tam szczęśliwy. Pewnego dnia kupił ten samochód, nie mówiąc mi nawet, do czego go potrzebuje. Czasem zniknął na parę tygodni. Pewnego wieczoru, grubo po północy, zjawił się w moim barze, zczekał, aż skończę, i odwiózł mnie do domu. Po drodze opowiedział mi o mężczyźnie, niejakim Christianie Hollowayu, który zbudował kilka ośrodków opieki nad chorymi na AIDS. Miejsca te nie miały nazw, bo Holloway to człowiek ponoć do tego stopnia pokorny, że uważał to za oznakę pychy. Pacjenci za nic tam nie płacą, a wszyscy, którzy pracują w ośrodku, to wolontariusze. Wielu z nich to Europejczycy, ale są wśród nich też Amerykanie czy Azjaci. To żyjący bardzo skromnie idealiści. Działalność Hollowaya nie ma nic wspólnego z religią, to nie żadna sekta. Henryk był zdania, że ci ludzie nie potrzebują religii, bo samo to, co robią, jest boskie. Tamtej nocy ujrzałam w Henryku coś, czego nigdy wcześniej nie dostrzegałam. Nareszcie udało mu się przebić przez mur zwątpienia, w który od tak dawna uderzał głową.

– Co było potem?

– Wyjechał następnego ranka. Może przyjechał do Maputo tylko po to, żeby podzielić się ze mną tą radością, nie wiem. W końcu odkrył coś, co mógł położyć na drugiej szali, zapobiec triumfowi zła. Tak właśnie powiedział. Często bywał patetyczny, ale naprawdę tak myślał. Był, jaki był, naoglądał się niesprawiedliwości, zrozumiał, że AIDS to zaraza, od której każdy umywa ręce. Nie wiem, czy fakt, że sam został zarazony, miał tu jakiegokolwiek znaczenie. Nie mam też pojęcia, jak do tego doszło. Ani kiedy. Ale od tamtej nocy, za każdym razem, kiedy się widzieliśmy, mówił, że musi mi pokazać ośrodek Hollowaya, miejsce, gdzie zwyciężyło dobro. W końcu pewnego dnia mnie tam zabrał. Jeden jedyny raz.

– Dlaczego jednak stamtąd wyjechał i wrócił do Europy?

- Nie wiem, może znajdzie pani odpowiedź tam, dokąd jedziemy.
- Zatem nie chcę dłużej czekać – odparła Louise, wstając. – Daleko jeszcze?
- Jesteśmy w połowie drogi.

Ruszyły dalej, wciąż przemierzając brunatnozielony krajobraz. Po jakimś czasie teren zrobił się płaski, a na horyzoncie pojawiła się szeroka rzeka. Dotarły do niej, a potem przejechały przez most i wjechały do miasta o nazwie Xai-Xai. Na jednym skrzyżowaniu Lucinda skręciła w lewo, obierając drogę, która za miastem wbijała się w gęsty busz. Samochód podskakiwał na wybojach.

Po dwudziestu minutach jazdy nagle wyrosła przed nimi wioska składająca się z kilku białych glinianych domków oraz paru większych budynków. Wszystkie zabudowania stały wokół dużego piaszczystego placu. Lucinda zatrzymała samochód w cieniu drzewa i zgasiła silnik.

– To tutaj – powiedziała. – Jesteśmy w ośrodku Christiana Hollowaya.

Jestem coraz bliżej Henryka. Był tu zaledwie parę miesięcy temu.

– Henryk mówił, że goście są tu mile widziani – powiedziała Lucinda. – „Przed nikim nie należy ukrywać dobra”, tak się wyraził.

– Naprawdę się tak wyraził?

– Myślę, że powtórzył to za Hollowayem lub którymś z jego współpracowników.

– Kim właściwie jest ten Holloway?

– Jakimś bogaczem. Henryk nie był tego pewien, ale Holloway ponoć dorobił się wielkich pieniędzy na jakichś technicznych patentach ułatwiających szukanie ropy na dnie oceanu. Podobno jest niewyobrażalnie bogaty, a przy tym bardzo nieśmiały.

– Trudno uwierzyć, że ktoś taki nagle postanawia poświęcić swoje życie chorym na AIDS.

– Dlaczego nie? Ja zdołałam zerwać ze swoim wcześniejszym życiem. Znam wielu ludzi, którym się to udało.

Lucinda zakończyła rozmowę, wysiadając z auta. Louise dalej siedziała na swoim miejscu. Ubranie kleiło jej się do spoconego ciała. Po chwili ona również wysiadła i podeszła do Lucindy. Na placu panowała zupełna cisza. Louise poczuła się nieswojo, zadrżała. Mimo że wokół nie było żywej duszy, czuła na sobie czyjś wzrok.

Lucinda wskazała palcem na ogrodzoną sadzawkę.

– Henryk mi o tym opowiadał – powiedziała. – O starym krokodylu.

Podeszły do ogrodzenia i spojrzały na stojącą błotnistą wodę. Na mulistym brzegu zbiornika leżał wielki krokodyl. Obie wzdrygnęły się ze strachu. Gad miał co najmniej cztery metry długości. Z paszczy zwisały mu krwawe resztki tylnych łap królika lub jakiejś małpy.

– Henryk powiedział, że ta bestia ma ponad siedemdziesiąt lat. Holloway twierdzi, że to ich anioł stróż.

– Krokodyl z białymi skrzydłami? – zdziwiła się Louise.

– Krokodyle żyją na ziemi od ponad dwustu milionów lat. Przeraza nas ich wygląd i nawyki żywieniowe, ale nikt nie zaprzeczy, że mają prawo tu żyć. Umiejętność przetrwania tych zwierząt jest imponująca.

Louise pokręciła głową.

– I tak niewiele z tego rozumiem. Najchętniej sama zapytałabym o to tego Hollowaya. Czy on tu mieszka?

– Nie wiem. Henryk mówił, że rzadko się pokazuje. Powiedział, że otacza go mrok.

– Naprawdę? „Otacza go mrok”?

– Dokładnie tak się wyraził.

Nagle w jednym z dużych budynków otworzyły się drzwi. W progu stanęła biała kobieta w jasnym fartuchu. Po chwili ruszyła w ich stronę. Louise spostrzegła, zdumiona, że nieznajoma jest bosa. Miała krótko ścięte włosy i piegowatą twarz. Była chuda. Mogła mieć tyle lat, co Henryk.

– Witajcie – odezwała się niewyraźnie, chyba po portugalsku.

Louise odpowiedziała po angielsku. Dziewczyna natychmiast zmieniła język i przedstawiła się jako Laura.

Trzy L, przemknęło przez głowę Louise. Wszystkie trzy mamy imię rozpoczynające się od litery L.

– Mój syn Henryk Cantor niedawno tu pracował – powiedziała. – Pamięta go pani?

– Przyjechałam z USA zaledwie miesiąc temu – wyjaśniła dziewczyna.

– Powiedział, że można tu tak po prostu przyjechać i obejrzeć to miejsce.

– Wszyscy są mile widziani. Oprowadzę panie. Muszę jednak uprzedzić, że AIDS to straszna choroba. Zanim zabije człowieka, najpierw go niszczy. To niezbyt przyjemny widok, między innymi dlatego choroba wzbudza taki strach.

Lucinda spojrzała na Louise.

– Ja umiem patrzeć na krew i przerażonych ludzi – powiedziała.

– Jak pani sobie z tym radzi?

– Kiedyś jechałam samochodem i trafiłam na wypadek, do którego doszło zaledwie parę minut wcześniej. Wszędzie było pełno krwi, jeden mężczyzna miał oderwany nos i krew tryskała z niego na wszystkie strony. Wtedy dałam radę. Chociaż może po prostu nie

dopuszczałam do siebie strachu, bo przeżycie było naprawdę potworne.

Laura wprowadziła je do najbliższej glinianej chatki. Louise miała wrażenie, że znalazła się w kościele. Małe okienka wpuszczały do środka niewiele światła, a w pomieszczeniu panowała aura tajemniczości. Christian Holloway to człowiek, którego otacza mrok, pomyślała Louise. Gdy weszły głębiej, uderzył je smród ludzkich odchodów. Pod ścianami, na pryzkach lub rozłożonych bezpośrednio na ziemi trzciniowych matach, leżeli chorzy. Louise z trudem dostrzegała ich twarze. Widziała jedynie błyszczące oczy i słyszała ciche postękiwania. W nozdrza uderzył ją potworny zapach. Odór znikł, kiedy tylko wyszły na słońce, żeby przejść do następnego domku. Czuła się, jakby cofnęła się w czasie, a przed jej oczami były cele z niewolnikami czekającymi na transport. Laura wyjaśniła jej szeptem, że ludzie zamknięci w ciemnościach są umierający, już nigdy nie wyjdą na słońce. Nic nie da się dla nich zrobić, można jedynie łagodzić ich ból. Lucinda trzymała się z tyłu. Laura nie mówiła wiele, po prostu prowadziła je od jednej chatki do drugiej, pokazując im ciemność i cierpienie. Louise przyszło w pewnej chwili na myśl, że klasyczne kultury, zwłaszcza starożytnych Greków, których grobowce odkopywała od lat – miały bardzo konkretne wyobrażenie o umieraniu, samej śmierci i o oczekiwaniu na nią. Właśnie wędruję po piekle z Dantem i Wergiliuszem, stwierdziła.

Wędrówka od domu do domu zdawała się nie mieć końca. Co chwila zagłębiały się w mrok pełen postękiwań i rżenia, gdzie z czarnych kątów dochodziły niezrozumiałe szepty. Louise przeszedł dreszcz, kiedy usłyszała płacz dziecka. To było najstraszniejsze – niewidoczne, ukryte w mroku, czekające na śmierć dzieci.

Gdzieniedzie nad chorymi pochylali się biali ludzie w fartuchach. Podawali umierającym wodę i lekarstwa, szeptali słowa pocieszenia. Louise dostrzegła wśród opiekunów młodą dziewczynę z kolczykiem w nosie, trzymającą w swojej dłoni czarną, wychudzoną dłoń jakiegoś chorego. Spróbowała wyobrazić sobie Henryka w tym piekle. Raz zdawało jej się nawet, że go widzi. Nie miała wątpliwości, że jej syn miał wystarczająco dużo sił, by pracować w tym miejscu i trwać przy tych ludziach.

Kiedy wyszły z ostatniej chatki i Laura zaprowadziła je do klimatyzowanego pomieszczenia z lodówką pełną chłodnych napojów, Louise poprosiła ją, by przyprowadziła kogoś, kto znał Henryka. Dziewczyna obiecała, że postara się kogoś znaleźć, i wyszła.

Lucinda siedziała w milczeniu, nie poczęstowała się wodą. Nagle wstała, podeszła do drzwi jakiegoś innego pomieszczenia i otworzyła je na oścież. Odwróciła się i dała Louise znak, by podeszła.

Pokój był pełen martwych ludzi. Niezliczonej liczby ciał leżących na podłodze, na matach lub brudnych prześcieradłach. Louise cofnęła się, przerażona. Lucinda zamknęła drzwi.

– Dlaczego nie pokazała nam tego pokoju? – zapytała.

– Po co miałyby to robić? – zdziwiła się Louise.

Louise poczuła mdłości. Miała wrażenie, że Lucinda wiedziała o tym pokoju i że już kiedyś otworzyła te drzwi.

Po paru minutach wróciła Laura w towarzystwie jakiegoś mężczyzny, na oko trzydziestoletniego. Kiedy podał Louise bezwładną dłoń na powitanie, dostrzegła na jego twarzy wysypkę. Miał na imię Wim, był Anglikiem i dobrze pamiętał Henryka. Louise zdecydowała naprędce, że nie powie mu o śmierci syna. Nie miała

siły na kolejną rozmowę o śmierci, chciała też pozbyć się potwornej wizji Henryka leżącego wśród tych martwych ciał.

– Zaprzyjaźniliście się? – zapytała.

– Henryk trzymał się raczej z boku – odparł Wim. – Większość tak robi, żeby tu wytrzymać.

– Czy jest tu ktoś, z kim Henryk nawiązał bliższą więź?

– W pewnym sensie wszyscy jesteśmy sobie bliscy.

Dobry Boże, chłopcze, odpowiedz na moje pytania. Nie stoisz przed sądem, tylko przede mną, jego matką.

– Na pewno nie pracujecie tu bez przerwy – kontynuowała.

– Niestety prawie bez wytchnienia.

– Jak pan zapamiętał Henryka?

– Był miły.

– Tylko tyle?

– Nie mówił wiele. Nie wiedziałem nawet, że jest Szwedem.

Wim nagle zorientował się, że coś musiało się stać.

– Dlaczego pani o to pyta?

– Bo mam nadzieję poznać odpowiedź – odparła Louise. – Ale rozumiem już, że pan jej nie zna. Dziękuję za pomoc.

Nagle wezbrała w niej złość na myśl o tym, że ten blady i nijaki mężczyzna nadal żyje, a Henryka już nie ma. Nie mogła się pogodzić z taką niesprawiedliwością. Bóg okrutnie z niej zadrwił.

Wyszły z budynku, prosto w objęcia obezwładniającego upału. Laura pokazała im jeszcze kwatery wolontariuszy, sypialnie ze starannie dopasowanymi moskitierami oraz stołówkę, w której unosił się zapach mydła.

– Dlaczego pani tu przyjechała? – zapytała Lucinda Amerykankę.

– Żeby jakoś pomóc. Chciałam zrobić coś pożytecznego, nie mogłam znieść bezczynności, wiedząc, jak ludzie tutaj cierpią.

– Czy spotkała pani kiedyś Christiana Hollowaya?

– Nie.

– A widziała go pani?

– Tylko na zdjęciu. – Laura wskazała palcem ścianę w stołówce. Wisiała tam fotografia w ramce. Louise podeszła bliżej, żeby się jej przyjrzeć. Na zdjęciu widniał profil siwego mężczyzny o wąskich ustach i spiczastym nosie.

Coś przykuło jej uwagę, ale nie potrafiła odgadnąć, co to było. Wstrzymała oddech i jeszcze raz przyjrzała się mężczyźnie na zdjęciu. Tuż przed jej nosem przeleciała z bzyczeniem mucha.

– Musimy już wracać – odezwała się Lucinda. – Nie chcę prowadzić po ciemku.

Podziękowały Laurze i wróciły do samochodu. Dziewczyna pomachała im na pożegnanie i zniknęła za drzwiami budynku. Lucinda włączyła silnik i właśnie miała ruszyć, kiedy nagle Louise powstrzymała ją gestem. Wyskoczyła z auta i pobiegła z powrotem do jadalni.

Kiedy była już w środku, ponownie podeszła do zdjęcia Hollowaya. Wiedziała już, co zwróciło jej uwagę.

Profil Christiana Hollowaya.

Jedna z wycinanek w torbie Henryka została wykonana na jego wzór.

Część III
Papierowy profil

Ciebie wszak rzecz dotyczy, gdy ściana u sąsiada płonie.

Horacy

Podczas drogi powrotnej do Maputo w krótkim afrykańskim zmierzchu Louise powtarzała jak mantrę parę słów.

Henryk odszedł na zawsze, ale być może uda mi się zrozumieć, co tak go tu ciągnęło. Aby zrozumieć, dlaczego umarł, muszę się dowiedzieć, dlaczego chciał żyć.

Zatrzymały się w tym samym miejscu co przedtem, obok przystanku i sklepów. Tu i ówdzie płonęły ogniska. Dopiero kiedy Lucinda kupiła wodę i paczkę herbatników, Louise zorientowała się, jak bardzo było głodna.

– Czy umie sobie pani wyobrazić Henryka w tym ośrodku? – spytała.

Twarz Lucindy oświetlał płomień pobliskiego ogniska.

– Nie podoba mi się tam – odparła. – Za pierwszym razem było tak samo. Coś mnie w tym miejscu przeraża.

– Wszystko jest tam przerażające, zwłaszcza ci ludzie czekający na śmierć.

– Nie, chodzi mi o coś innego. O coś, czego tam ani nie widać, ani nie słychać, ale czuć, że tam jest. Zastanawiałam się, co spowodowało, że Henryk nagle zaczął się bać.

Louise spojrzała na nią z uwagą.

– Był przerażony, kiedy ostatni raz go spotkałam – mówiła dalej dziewczyna. – Nie powiedziałam pani o tym. Cała jego wcześniejsza radość gdzieś zniknęła. Był blady, wyraźnie go coś dręczyło. Wtedy prawie się nie odzywał, choć wcześniej usta mu się nie zamykały. Czasem było to nawet męczące. Ale wtedy, zupełnie niespodziewanie, zamilkł. Ta bladość i milczenie były zupełnie jak nie u niego. A potem zniknął.

– Musiał coś powiedzieć, z czymś się zdradzić – naciskała Louise.
– Przecież byliście razem, razem zasypialiście i budziliście się obok siebie. Czy nie opowiadał, co mu się śniło? Nie mówił naprawdę nic?

– Przez ostatnie noce spał niespokojnie, często się budził spocony. Sen go opuszczał nad ranem i nie przychodził aż do świtu. Kiedy pytałam go, co mu się śniło, odpowiadał: „ciemności i to, co głęboko ukryte”. Nie wyjaśnił mi, co to znaczy, chociaż wielokrotnie go prosiłam. A gdy naciskałam, wrzeszczał i miał pościel. Strach, który nim zawładnął, nie opuszczał go nawet we śnie.

– Ciemności i to, co głęboko ukryte? – zdziwiła się Louise. – Wymieniał jakieś nazwiska?

– Mówił tylko o sobie. Powtarzał, że najtrudniejsze jest, żeby umieć wytrzymać.

– Co miał na myśli?

– Nie wiem.

Lucinda odwróciła twarz. Louise pocieszała się, że prędzej czy później pojawi się w jej umyśle odpowiednie pytanie. W tej chwili błędziła, nadaremno szukała właściwego klucza do zamkniętych drzwi tajemnic Henryka.

Wróciły do samochodu i ruszyły w dalszą drogę. Światła reflektorów przenikały otaczającą je ciemność. Louise sięgnęła po komórkę i wybrała numer Arona. Długo wsłuchiwała się w buczące jeden po drugim sygnały. Nikt nie odbierał.

Przydałbyś mi się tu. Potrafiłbyś dostrzec to, czego ja nie widzę.

W końcu auto stanęło pod domem Larsa Håkanssona. Strażnicy siedzący przy bramie wstali.

– Byłam tu parę razy – oznajmiła Lucinda. – Ale tylko wtedy, kiedy był pijany.

– Z Henrykiem? – spytała Louise.

– Nie, nie z Henrykiem. Z Håkanssonem, dobroczyńcą ze Szwecji. Tylko po pijaku zabierał mnie do własnego łóżka. Wstydził się swoich strażników, nie chciał, żeby ktokolwiek ze służby mnie widział. Europejscy mężczyźni w tym kraju uganiają się za dziewczkami, ale robią to tak, żeby nie rzucać się w oczy. Żeby strażnicy mnie nie zobaczyli, kazał mi przechodzić na tylne siedzenie i włożyć pod koc, który specjalnie po to tam woził. Oni oczywiście i tak się wszystkiego domyślali. Czasem nawet wystawiałam dłoń spod koca i im machałam. Najdziwniejsze było jednak to, że kiedy tylko znaleźliśmy się w tym domu, Håkansson zdejmował tę swoją przyjazną maskę. Pił dalej, ale nigdy tak dużo, żeby nie móc „uprawiać seksu”. Tak właśnie mówił. „Uprawiamy seks”. Myślę, że podniecała go myśl o seksie jako mechanicznej czynności odartej z wszelkich uczuć. Lubił myśleć o tym jak o klinicznym eksperymencie. Musiałam się rozbierać do naga i udawać, że jego tam nie ma, że mnie tylko podgląda, a ja nie jestem tego świadoma. Kiedy indziej żądał innej zabawy. Miałam rozebrać go do samych majtek, a potem wziąć jego członek do ust, podczas gdy cały czas miał je na sobie. Potem wchodził we mnie od tyłu i dalej szło już szybko. Na koniec dostawałam pieniądze, odwoził mnie i przestawałam być Julieta. Kiedy wyjeżdżał, nie dbał już o to, że strażnicy mnie widzą.

– Po co mi pani to opowiada? – spytała Louise.

– Chcę, żeby pani wiedziała, kim jestem.

– Albo kim jest Lars Håkansson.

Lucinda kiwnęła głową.

– Muszę jechać do pracy – szepnęła. – Już późno.

Szybko pocałowała Louise w policzek. Ta wysiadła z auta i przeszła przez bramę, którą otworzył dla niej jeden ze strażników.

Lars Håkansson czekał na nią w salonie.

– Martwiłem się – powiedział. – Nic pani nie powiedziała i zniknęła na tak długo.

– Przepraszam, nie pomyślałam.

– Jadła pani kolację? Zostawiłem dla pani trochę jedzenia.

Louise poszła za nim do kuchni i usiadła przy stole. Gospodarz postawił przed nią pełny talerz i lampkę wina. Słowa Lucindy wciąż pobrzmiwały w jej głowie. Wydały jej się w tej chwili zupełnie nierzeczywiste.

– Odwiedziłam ośrodek Christiana Hollowaya, w pobliżu miasta, którego nazwy nie jestem w stanie wymówić.

– Xai-Xai – odparł Håkansson. – Można je wymawiać przez „sz”, chociaż to nie do końca to – zaśmiał się. – A więc widziała pani jedną ze słynnych *missions*? Holloway sam je tak nazywa, chociaż broni się przed wszelkimi związkami z religią.

– Kim on jest?

– Moi koledzy i ja czasem się zastanawiamy, czy on w ogóle istnieje. Jest niczym nieuchwytny fantom. Prawie nic o nim nie wiadomo, poza tym że ma amerykański paszport i kupę forsy, którą teraz pompuje w tutejszą ludność chorą na AIDS.

– Tylko w Mozambiku?

– Nie, również w Malawi i Zambii. Ponoć dwie takie *missions* zbudował w okolicach Lilongwe i jeszcze jedną, a może i kilka przy granicy z Zambią i Angolą. Krąży plotka, że Christian Holloway kiedyś odbył pielgrzymkę do źródeł Zambezi. Wypływa ona na wyżynie Lunda w Angoli, potem zamienia się w strumień i w końcu

w wielką rzekę. Podobno postawił stopę w strużce wody tuż za źródłem i rzekł, że oto powstrzymał bieg potężnej rzeki.

– Po co to zrobił?

– Widocznie ma manię wielkości. Jak jednak widać, nie przeszkadza mu ona udzielać się charytatywnie na dużą skalę. Choć czasem słychać, że ta działalność niekoniecznie jest charytatywna.

– Kto tak twierdzi?

– Z plotkami jest tak samo jak z tą wielką rzeką. Ze źródła wydostaje się cienki strumyk, który potem staje się coraz większy, aż w końcu nie można go już powstrzymać. Trudno powiedzieć, gdzie leży ich źródło.

Zaproponował jej докладkę, ale Louise odmówiła. Nie chciała też więcej wina.

– Co miał pan na myśli, mówiąc, że jego działalność niekoniecznie jest charytatywna? – zapytała.

– Zapewne nie raz spotkała się pani z opinią, że za każdym wielkim majątkiem kryje się działalność przestępcza. Wystarczy spojrzeć na ten kontynent i na dyktatorów, którzy z ociekających złotem pałaców patrzą na przymierających głodem ludzi. Mówi się, że Christian Holloway również ma sporo za uszami. Parę lat temu brytyjska organizacja humanitarna Oxfam przeprowadziła śledztwo dotyczące jego działalności. A trzeba pani wiedzieć, że Oxfam działa bez zarzutu i w biednych krajach robi dużo dobrego. Z ich raportu wynika, że początki działalności Hollowaya były jasne i przejrzyste, gość nie miał nic do ukrycia. Rodzina Hollowayów była największym w USA producentem jajek, a Christian jej jedynym męskim potomkiem. Miał wiele siostr. Potem rodzinna firma zaczęła się zajmować także produkcją wózków inwalidzkich i perfum. Christian Holloway okazał się wybitnie uzdolnionym studentem

i z wyróżnieniem ukończył Harvard. Zrobił doktorat, zanim skończył dwadzieścia pięć lat. Wtedy zaczął majstrować przy pompach olejowych, opatentował jakieś modele i zaczął je sprzedawać. Do tego momentu wszystko na jego temat jest jasne. Niedługo potem Christian Holloway nagle zapadł się pod ziemię. Na trzy lata. Musiał to nieźle zorganizować, bo jego zniknięcie nie zwróciło wówczas niczyjej uwagi. Nie zainteresowały się tym nawet gazety.

– Co się z nim działo? – spytała Louise.

– Pewnego dnia nagle wrócił i dopiero wtedy zauważono, że go nie było. Opowiadał, że zwiedził świat i że podczas podróży zrozumiał, że musi założyć te swoje *missions*.

– Skąd pan to wszystko wie?

– Zbieranie takich informacji to część mojej pracy. Muszę wiedzieć, kim są ludzie, którzy nagle pojawiają się w tym biednym kraju i zaczynają wcielać w życie swoje szeroko zakrojone plany. Niestety zbyt często się zdarza, że po jakimś czasie takie osoby pukają do naszych drzwi i domagają się dodatkowych funduszy, bo przeceniły swoje możliwości, a przecież tyle już zainwestowały. Czasem po prostu się ulatniają, zostawiając za sobą niedokończone przedsięwzięcia, wzbogaciwszy się na biednych ludziach.

– Ale przecież Christian Holloway przyjechał tu jako bardzo bogaty człowiek.

– Naprawdę trudno jest przyjrzeć się z bliska ludziom z takim majątkiem, bo stać ich na to, żeby się szczelnie osłonić. Jeśli ten, kto zarządza firmą, zna się na rzeczy, nigdy do końca nie wiadomo, czy dana firma ma się dobrze, czy jest w stanie upadłości. Obserwuję to niemal każdego dnia. Wielkie koncerny naftowe albo gigantyczne przedsiębiorstwa, takie jak Enron, potrafią nagle lec w gruzach wskutek jakiejś niewidocznej reakcji łańcuchowej. I nikt, kto nie jest

w to bezpośrednio zaangażowany, nie jest w stanie tego przewidzieć. A ich szefowie uciekają, wieszają się lub potulnie czekają, aż zostaną wyprowadzeni w kajdankach, nie mogąc uwierzyć w to, co się stało. Tak więc Christiana Hollowaya otaczało nie tylko gdakanie milionów kur niosek, ale też plotki. Ludzie zastanawiali się, dlaczego ten człowiek nagle postanowił zostać dobroczyńcą i przeznaczyć swój majątek na pomoc chorym na AIDS. Różnie się o nim mówiło.

– Na przykład?

– Mam nadzieję, że naprawdę jest pani osobą, za którą się podaje, czyli pogrążoną w żałobie matką Henryka, a nie kimś innym.

– Kimże miałabym być? – zdziwiła się Louise.

– Bo ja wiem, choćby ciekawską dziennikarką. Nauczyłem się respektować tych dziennikarzy, którzy próbują raczej przysypać ziemią to, co inni odkopali.

– Sugeruje pan, że należy ukrywać prawdę?

– Nazwałbym to inaczej: nie wszystkie kłamstwa powinny wyjść na jaw.

– A więc czego dowiedział się pan o Christianie Hollowayu?

– Czegoś, o czym nie powinno się mówić na głos. Choć w tym przypadku nawet szept może okazać się krzykiem. Gdybym ujawnił wszystko, co wiem, z pewnością nie dożyłbym jutra. Musi pani zrozumieć, że w świecie, w którym ludzkie życie nie jest warte więcej niż równowartość paczki papierosów, trzeba być szczególnie ostrożnym.

Lars Håkansson dolał sobie wina. Louise odmownie pokręciła głową, kiedy próbował napełnić jej kieliszek.

– Henryk parę razy mnie zaskoczył – mówił dalej. – Po raz pierwszy, kiedy zapytał mnie, ile warte jest ludzkie życie.

Powiedział, że ma dość moich ogólnikowych stwierdzeń i poglądów moich kolegów, kiedy mówimy o wartości ludzkiego życia w kraju tak biednym jak ten. Pewnego dnia powiedział, że wychodzi, żeby się tego dowiedzieć. Nie wiem, dokąd poszedł ani co robił. Miał łatwość w nawiązywaniu znajomości. Pewnie włóczył się po zakazanych dzielnicach, nielegalnych spelunach i ciemnych zaułkach, jakich pełno w tym mieście. Bo tylko tam mógł znaleźć handlarzy ludzkim życiem. Jak wrócił, powiedział mi, że za trzydzieści dolarów można znaleźć człowieka, który zabije kogokolwiek, bez zadawania zbędnych pytań.

– Za trzydzieści dolarów?

– Dziś może za czterdzieści. Ale nie potrzeba więcej. Henryk nie mógł się z tym pogodzić. Zapytałem go wtedy, po co chciał się tego dowiedzieć, a on odpowiedział tylko: „To musi wyjść na jaw”.

Håkansson zamilkł, jakby nagle zdał sobie sprawę, że za dużo powiedział. Louise czekała na ciąg dalszy, ale on siedział w milczeniu.

– Pewnie ma pan dużo więcej do opowiedzenia – próbowała go zachęcić.

Gospodarz rzucił jej baczne spojrzenie. Louise dostrzegła, że jej rozmówca ma błyszczące i zaczerwienione oczy. Był podchmielony.

– Powinna pani wiedzieć, że w takim kraju jak Mozambik wszyscy mają to samo wielkie marzenie. To współczesna wersja legendy o kopalniach króla Salomona. Każdego dnia jacyś ludzie schodzą głęboko pod ziemię, a potem wychodzą na powierzchnię przemarznięci, zawiedzeni i wściekli, że rozwiązał się ich sen. Następnego dnia robią to samo. Czy coś znajdują?

– Nie rozumiem, o czym pan mówi. Czego oni szukają?

Håkansson pochylił się nad stołem i szepnął:

– Lekarstwa.

– Lekarstwa?

– Tak, lekarstwa, leku. Mówi się, że Christian Holloway ma tajne laboratoria, w których naukowcy z całego świata szukają leku na AIDS. To są dzisiejsze kopalnie króla Salomona. Kto by się przejmował kosztownościami, skoro można znaleźć lekarstwo na ten maleńki, widoczny tylko pod mikroskopem wirus, który pustoszy cały kontynent?

– Gdzie są te laboratoria?

– Nie wiadomo. Nikt nie potrafi tego udowodnić, jeśli to w ogóle jest prawda. Oficjalnie Christian Holloway jest dobrym człowiekiem, przeznaczającym swoje pieniądze na pomoc biedakom, od których wszyscy się odwrócili.

– Czy Henryk o tym wiedział?

– Oczywiście, że nie.

– Ale się domyślał?

– Trudno odgadnąć, co ludzie sobie myślą. Osobiście nigdy nie opieram swoich opinii na zgadywankach.

– Opowiedział mu pan to, co właśnie usłyszałam?

– Nie, nigdy na ten temat nie rozmawialiśmy. Być może Henryk szukał informacji o Hollowayu w internecie, korzystał z mojego komputera. Jeśli chce pani do niego zajrzeć, proszę bardzo. Zawsze jest najlepiej sprawdzić samemu.

Louise miała nieodparte wrażenie, że siedzący naprzeciwko niej mężczyzna kłamie jak z nut. Na pewno wszystko to opowiedział Henrykowi, pomyślała. Dlaczego temu zaprzecza?

Poczuła wzbierającą w niej falę nienawiści do tego człowieka. Jego pewność siebie, czerwone oczy i nabrzmiąta twarz wydały jej się odrażające. Podejrzewała, że Håkansson pogardza otaczającym

go biednym światem tak samo, jak pogardzał Lucindą. Polował na młode dziewczęta jak drapieżnik z europejskim paszportem kieszeni.

Wypiła ostatni łyk wina i wstała.

– Pójdę się położyć – oznajmiła.

– Jutro mogę pani pokazać miasto – zaproponował Håkansson. – Możemy wybrać się na przejażdżkę, potem przespacerować się po plaży i dokończyć rozmowę przy dobrym obiedzie.

– Zdecydujemy o tym jutro. Czy powinnam łykać coś przeciwko malarii? – zmieniła temat Louise.

– Miałoby to sens, gdyby zaczęła pani to robić tydzień temu.

– Tydzień temu nie wiedziałam nawet, że tu przyjadę. Czy pan coś zażywa?

– Skądże. Już swoje odchorowałem i mam to malaryczne świństwo we krwi od dwudziestu lat. Nie opłaca mi się nic zażywać, w zupełności wystarczy mi gęsta siatka nad łóżkiem.

Wychodząc z kuchni, Louise zatrzymała się w drzwiach.

– Czy Henryk wspominał kiedykolwiek o prezydencie Kennedym? – zapytała.

– O Kennedym? – powtórzył ze zdziwieniem Håkansson.

– Tak, zwłaszcza o jego zaginionym mózgu.

– Nie wiedziałem, że jego mózg zaginał.

– Czy Henryk o tym mówił?

– Nie, nigdy. Zapamiętałbym coś takiego. Teraz, kiedy pani o tym wspomniała, przypomniałem sobie ten listopadowy dzień w 1963 roku. Studiowałem wtedy w Uppsali. Padał deszcz, a ja musiałem siedzieć na nudnych wykładach z prawa. Wtedy nagle gruchnęła wieść. Wszyscy rzucili się do radioodbiorników i na parę minut zapadła cisza. Pamięta pani ten dzień?

– Nie bardzo – odparła Louise. – Tylko to, że mój ojciec zmarszczył czoło i zrobił się nieco bardziej milczący niż zwykle.

Louise wzięła prysznic, a potem położyła się, szczelnie zasunawszy siatkę wokół łóżka. Sen nie przyszedł od razu, chwilę wsłuchiwała się w szumiący w ciemności klimatyzator. W pewnym momencie usłyszała kroki Håkanssona na schodach, potem na korytarzu. W końcu zgasło światło na klatce schodowej i zniknęła jasna smuga pod jej drzwiami. Louise wyteżyła słuch.

Przebiegła w myślach wydarzenia tego dnia – dantejską wędrówkę przez sale z umierającymi, opowieść o Hollowayu. Powierzchnia czysta jak liza, ale brudne to, co pod spodem, pomyślała. Co takiego zobaczył Henryk? Co go nagle zmieniło? Najpewniej ujrzał coś, co miało pozostać w ukryciu. Bezskutecznie próbowała powiązać ze sobą luźne końce i połączyć fakty.

W końcu zasnęła, ale po jakimś czasie gwałtownie się przebudziła. Wokół panowała cisza tak głęboka, że wydała jej się podejrzana. Po paru sekundach Louise zrozumiała, że przestał pracować klimatyzator. Przez chwilę błędziła ręką w ciemności i wreszcie natrafiła na nocną lampkę. Nie działała. To pewnie awaria prądu, pomyślała Louise. Gdzieś w oddali zawarczał generator, potem zaśmiał się jakiś mężczyzna. Jeden ze strażników, stwierdziła w myślach. Wstała i podeszła do okna. Latarnie uliczne nie działały. Jedyne światło biło od ogniska, które rozpalili strażnicy. Louise mogła w nim dostrzec ich twarze.

Nagle poczuła lęk. Ciemność ją przerażała. Uświadomiła sobie, że nie ma nawet latarki, nic, czym by mogła odpędzić mrok. Wróciła do łóżka.

Henryk bał się ciemności, kiedy był mały. Aron zawsze obawiał się nocy. Nie mógł spać przy wyłączonym świetle.

Po paru minutach powrócił prąd. Znow zaszumiał klimatyzator. Louise natychmiast zapaliła lampkę przy łóżku i ułożyła się wygodnie, w nadziei, że zaraz zaśnie. Mimowolnie zaczęła analizować rozmowę z Håkanssonem. Dlaczego miałby kłamać, że nic nie powiedział Henrykowi? Nie przyszła jej do głowy żadna sensowna odpowiedź.

Przypomniała sobie jego słowa: „Korzystał z mojego komputera. Jeśli chce pani do niego zajrzeć, proszę bardzo”. Na tym komputerze pracował Henryk, pomyślała. Może uda mi się znaleźć na nim jakiś ślad, jakąś ukrytą wiadomość.

Całkiem wybita ze snu, wstała, szybko zarzuciła na siebie ubranie i otworzyła drzwi na korytarz. Stała chwilę w ciemności, czekając, aż jej wzrok przywyknie do mroku. Drzwi do sypialni Håkanssona były zamknięte. Jego gabinet znajdował się w drugim końcu korytarza, od strony ogrodu. Louise ruszyła po omacku w stronę otwartych drzwi. Znalazłszy się w środku, zamknęła je i wymacała włącznik światła. Potem usiadła przy biurku i włączyła komputer. Po chwili na monitorze pojawił się komunikat informujący o tym, że system został niepoprawnie zamknięty. Pewnie był tylko uśpiony, kiedy zabrakło prądu, pomyślała. Kiedy w końcu udało jej się otworzyć wyszukiwarke, wstukała nazwisko „Christian Holloway”. Wyskoczyło mnóstwo rekordów, w tym link do sieci restauracji, hotelu Holloway Inn w Kanadzie oraz jakichś meksykańskich linii lotniczych Holloway-Air. W końcu trafiła na Christian Holloway’s Missions. Właśnie miała kliknąć na link, kiedy na pasku narzędzi zamigotała koperta, znak przychodzącej poczty. Louise nie miała zamiaru czytać korespondencji Håkanssona, przyszło jej jednak na

myśl, że w skrzynce pocztowej może znaleźć jakieś ślady pozostawione przez Henryka. Serce zabiło jej mocniej, kiedy otwierała program pocztowy. Wkrótce znalazła dwa listy wysłane przez syna, pierwszy sprzed czterech miesięcy, drugi tuż sprzed jego wyjazdu z Maputo.

Otworzyła ten starszy. Był zaadresowany do Nazrin.

Najpierw drapię paznokciem po twardej powierzchni muru. Niestety nie zostawiam żadnego śladu. Sięgam więc po kamień. Zostawia ledwie widoczną rysę, która jednak zostaje. Od teraz mogę drapać, szarpać i trzeć, aż mur pęknie. Tak postrzegam moje życie w tym miejscu. Jestem w Afryce. Jest ciepło, nocami nie mogę spać, leżę więc nagi i skąpany w pocie, bo nie znoszę szumu klimatyzatora. Myślę, że moje życie polega na tym, by się nie poddawać, dopóki nie runął mur, z którym podjąłem walkę. Henryk.

Louise przeczytała ten list dwukrotnie. Drugi list Henryk wysłał na swój adres hotmailowy.

Piszę te słowa o świecie, właśnie przestały grać cykady i zaczęły pisać koguty, mimo że to środek miasta. Wkrótce będę musiał napisać do Arona, zapowiedzieć mu, że zerwę z nim kontakt, jeśli nie stanie na wysokości zadania i nie zacznie zachowywać się jak ojciec. Chcę, by stał się człowiekiem, z którym mam ochotę przebywać, którego obdarzę szacunkiem, w którym ujrzę siebie samego. Jeśli to zrobi, opowiem mu o niezwykłym mężczyźnie, którego jak dotąd nie udało mi się spotkać osobiście, o Christianie Hollowayu, dzięki któremu zrozumiałem, że mimo wszystko na tym świecie da się znaleźć dobro. Piszę te słowa w domu Larsa Håkanssona, na jego komputerze, i w tej chwili nie

wyobrażam sobie, że mogę być szczęśliwszy. Niebawem znów jadę do ośrodka dla chorych, gdzie znów poczuję się potrzebny. Henryk, do siebie samego.

Louise zmarszczyła czoło i pokręciła głową. Powoli przeczytała ten list raz jeszcze. Coś się w nim nie zgadzało. Nie dziwił jej fakt, że Henryk pisał do siebie samego, sama tak robiła, będąc w jego wieku. Zdarzyło się nawet, że wysłała taki list pocztą. Jej uwagę przykuło coś całkiem innego.

Przeczytała list trzeci raz. Nagle zrozumiała. Chodziło o język, o sposób, w jaki list był skonstruowany. Henryk tak nie pisał, on mówił wprost. Nie użyłby sformułowania „obdarzyć szacunkiem”. To nie były jego słowa ani jego język. W ten sposób mówi starsze pokolenie.

Wyłączyła komputer, zgasiła światło i otworzyła drzwi na korytarz. Zanim monitor zgasł, migotał przez parę sekund. W jego poświacie zobaczyła, że lekko unosi się klamka u drzwi do sypialni Håkanssona. Po chwili wszystko utonęło w ciemności. Podśluchiwał pod drzwiami gabinetu i szybko uciekł, jak tylko usłyszał, że wyłączam komputer, pomyślała.

Przeżyła krótki atak paniki. W jednej chwili chciała się natychmiast spakować i opuścić ten dom. Nie miała jednak dokąd pójść, wróciła więc do pokoju i zablokowała drzwi krzesłem. Potem wsunęła się pod kołdrę, wyłączyła klimatyzator i zostawiła lampkę przy łóżku zapaloną.

Po zewnętrznej stronie moskitiery bzyczał komar. Louise wsłuchiwała się w każdy szmer. Czuła, jak bije jej serce. Czy właśnie słyszałam kroki? Czy on podśluchuje pod moimi drzwiami?

Spróbowała się uspokoić. Po co Lars Håkansson miałby sfałszować list Henryka? I dlaczego w takim razie przechowywał go w skrzynce? Nie przychodziło jej do głowy żadne sensowne wytłumaczenie, zamiast tego ogarnęło ją uczucie, że wszystko wokół jest nierzeczywiste. Poczła się tak, jakby raz jeszcze weszła do mieszkania Henryka i znalazła go tam martwego.

Boję się, stwierdziła. Krązę wokół czegoś, co przeraziło Henryka. To coś jest blisko, przenika mnie jego chłód.

Noc była gorąca i duszna. Louise słyszała pomruk odległej burzy. Wydawało jej się, że niepogoda oddala się w stronę gór Królestwa Suazi.

Świt zastał Louise leżącą bezsennie na łóżku. Nie potrafiła zliczyć, ile razy od śmierci Henryka walczyła z bezsennością. Dopiero kiedy przez zasłony wdarła się do pokoju smuga porannego światła, a gdzieś w dole rozległ się głos Celiny rozmawiającej z obmywającym twarz przy pompie strażnikiem, ogarnął ją względny spokój i udało jej się wreszcie usnąć.

Obudziło ją szczekanie psa. Była dziewiąta, Louise spała trzy godziny. Leżała na łóżku, słuchając, jak któraś ze służących, Celina lub Graça, zamiata korytarz. Nie czuła już strachu, ale złość powodowaną poczuciem bezsilności. Czyżby Lars Håkansson naprawdę myślał, że może ją nabrać? Po co w ogóle miałby to robić?

W jednej chwili doszła do wniosku, że nie będzie tego dłużej tolerować. Ten człowiek brutalnie wtargnął w jej życie. Okłamał ją i sfałszował list Henryka. Poza tym ją wystraszył i sprawił, że nie mogła spać całą noc. Zamierzała przeszukać jego komputer, biurka i szafy, żeby sprawdzić, czy Henryk naprawdę zostawił tu jakiś ślad. Przede wszystkim jednak chciała ustalić, dlaczego Henryk mu ufał.

Kiedy zeszła do kuchni, Graça podała jej śniadanie. Louise czuła się zażenowana faktem, że obsługuje ją ta chwiejąca się na nogach staruszka. Stara służąca uśmiechnęła się do niej, ukazując puste dziąsła, po czym powiedziała coś niezrozumiałą mieszanką portugalskiego i angielskiego. Zamilkła, kiedy do kuchni weszła Celina. Młodsza służąca zapytała Louise, czy może posprzątać jej pokój.

– Sama to zrobię – odparła Louise.

Celina zaśmiała się nerwowo i pokręciła głową. Kiedy wyszła, Louise podążyła za nią.

– Jestem do tego przyzwyczajona, że zawsze po sobie sprzątam – nalegała.

– Nie tutaj. To moja praca.

– Jest pani z niej zadowolona?

– Tak.

– Jakie jest pani miesięczne wynagrodzenie?

Celina się zawahała. Louise jednak była biała, ważniejsza od niej, poza tym miała status gościa.

– Dostaję pięćdziesiąt dolarów i tyle samo w meticalach.

Louise szybko przeliczyła w głowie. Siedemset szwedzkich koron miesięcznie. To dużo czy mało? Na jak długo starcza taka suma? Zaczęła wypytywać Celinę o ceny chleba, ryżu, oleju. Odpowiedzi dziewczyny ją zaskoczyły.

– Ile ma pani dzieci? – pytała dalej.

– Sześcioro.

– A pani mąż?

– Jest gdzieś na południu i pracuje w kopalniach.

– Gdzieś na południu?

– Nie mam o nim wieści od dwóch lat.

– Kocha go pani?

Celina obrzuciła ją pełnym zdziwienia spojrzeniem.

– Jest ojcem moich dzieci – odparła.

Louise pożałowała ostatniego pytania, zorientowała się, że sprawiło dziewczynie przykrość.

Poszła do gabinetu Håkanssona i usiadła przy biurku. Panował tam przytłaczający upał. Włączyła klimatyzator i siedziała bez ruchu, aż powietrze w pokoju nieco się ochłodziło.

Ktoś tu był po jej nocnych odwiedzinach. Nie była to ani Graça, ani Celina, wyglądało na nieposprzątane. Kiedy Louise weszła do środka, zastała krzesło odsunięte od biurka. Pamiętała dobrze, że nocą je dosunęła.

To była jedna z najważniejszych zasad wpojonych mi w dzieciństwie przez Króla Artura. Odchodząc od stołu, należało zawsze dosunąć krzesło.

Rozejrzała się wokół. Otaczały ją regały zastawione książkami, teczkami i segregatorami. Jedna półka przeznaczona była na dokumenty dotyczące Banku Światowego. Sięgnęła po pierwszą teczkę z brzegu: *Strategy for Sub-Saharan Development of Water Resources 1997*. Odłożyła ją na miejsce, stwierdziwszy, że raczej nikt nie zaglądał do środka. Inna półka zarzucona była czasopismami po szwedzku, angielsku i portugalsku. Większość miejsca zajmowały książki. Biblioteka Håkanssona była chaotyczna i nieprzemysłana. Mocno sfatygowane kryminały Agaty Christie sąsiadowały z zestawieniami jakichś danych oraz nieczytelnymi dla Louise wydaniem afrykańskich książek. Wśród nich stał atlas jadowitych węży Afryki Południowej, przepisy kuchni szwedzkiej i album z sepiowymi zdjęciami pornograficznymi z połowy XIX wieku. Na jednym z nich, z 1854 roku, siedziały na drewnianej ławce dwie młode dziewczyny, trzymające marchewki między nogami.

Louise odstawiła album na półkę. Do głowy przychodziły jej opowieści o kelnerach, którzy plują do talerzy szanownych gości, zanim im je zanoszą.

Mogłabym narzygać mu do komputera. Za każdym razem, kiedy by przy nim siadał, czułby smród i nie miałby pojęcia, skąd on się wziął.

Już miała odejść od regału, kiedy dostrzegła kopertę wystającą spomiędzy grzbietów książek. Był to wyciąg z konta Håkanssona z zaznaczoną wpłatą ostatniego wynagrodzenia. Louise aż zatkało na widok tak wielkiej sumy. Ze swoimi pięćdziesięcioma dolarami Celina musiałaby pracować cztery lata, żeby zarobić tyle, ile jej pracodawca dostawał miesięcznie. Jak można budować mosty nad tak głębokimi przepaściami?, pomyślała. Jakie wyobrażenie o życiu Celiny ma taki człowiek jak Lars Håkansson?

Po chwili zorientowała się, że w myślach rozmawia z Arturem. Podnosiła głos, bo ojciec przecież źle słyszy. Potem zamieniła go na Arona. Siedzieli przy stole, nad którym krążyły czerwone papugi. Aron był przy tym niespokojny i nie chciał z nią rozmawiać, więc po chwili zamieniła go na Henryka. Syn siedział tuż obok niej. Łzy stanęły jej w oczach. Zmrużyła powieki w nadziei, że kiedy je otworzy, on naprawdę będzie stał obok. Otworzyła oczy. Była sama w pokoju.

Otrząsnąwszy się, podeszła do okna i zasunęła zasłonę. Z ulicy dochodziło szczekanie psów i śmiechy strażników. Ten ich śmiech uderzył ją już pierwszego dnia. Dlaczego ci biedni ludzie śmieją się o wiele częściej niż ja? Zadała to pytanie kolejno Arturowi, Aronowi i Henrykowi. Żaden jej nie odpowiedział, wszyscy milczeli.

Włączyła komputer z zamiarem usunięcia obu listów Henryka. Postanowiła też, że napisze list do Håkanssona, po szwedzku, jako Julieta, i wygarnie mu, co o nim myśli. Bo czyż ten człowiek nie został tu wysłany, żeby pomagać biednym?

Potem próbowała po kolei otwierać jego pliki, ale większość z nich była zabezpieczona. Danych Larsa Håkanssona strzegą pancerne drzwi, pomyślała. Była też przekonana, że jej klikanie pozostawia widoczne ślady. Håkansson będzie mógł prześledzić

wszystko, co tu robiła. Mimo to próbowała dalej. Bezskutecznie. Co rusz natykała się na podniesioną, broniącą dostępu dłoń. Wstukiwała pierwsze lepsze hasła, które przychodziły jej do głowy: nazwisko Håkanssona od tyłu, pisane normalnie, wspan, jego wszystkie możliwe skróty. Bezskutecznie. Jedynym, co udało jej się osiągnąć, było pozostawienie po sobie kolejnych śladów.

Aż podskoczyła, kiedy nagle usłyszała za plecami głos Celiny. Dziewczyna zaproponowała jej filiżankę herbaty.

– Nie słyszałam pani – sapnęła. – Że też potrafi się pani tak skradać.

– *Señor* nie lubi hałasu – odparła służąca. – Lubi ciszę, której jednak nie może znaleźć w Afryce. Stworzył ją sobie w tym domu, wymagając od Graży i mnie, żebyśmy się poruszały bezgłośnie, boso.

Louise podziękowała za herbatę, nie chciało jej się pić. Celina zniknęła bez najmniejszego szmeru, a ona dalej wpatrywała się w monitor, który wciąż odmawiał jej wstępu do tajemnic swojego właściciela. Te jego pliki są jak korytarze w kopalni, pomyślała. Nie mam mapy ani światła. Niczego tu nie znajdę.

Właśnie miała wyłączyć komputer, kiedy znów pomyślała o Henryku i jego obsesji na punkcie mózgu Kennedy'ego. Czego on szukał? Czyżby wierzył w to, że z mózgu można odczytać zarejestrowane w nim myśli, wspomnienia, archiwum rozmów, jakie przeprowadził ten najpotężniejszy na świecie człowiek, zanim w szarą substancję wdarła się zabójcza kula? Czyżby Henryk był zdania, że w tajnych wojskowych laboratoriach pracują maszyny zdolne ściągnąć i zapisać dane z martwego mózgu, tak jak sprawni informatycy odzyskują zawartość dysku twardego? Czy mój syn

znalazł to, czego szukał? A może natknął się na coś całkiem niespodziewanie?

Mimo że klimatyzator pracował pełną parą, Louise była cała złana potem. Wróciwszy do pokoju, zorientowała się, że Celina go posprzątała i zabrała brudne rzeczy do prania. Przebrała się w lnianą bluzkę. Z dołu dochodziły urywki rozmowy między Celiną i kimś, czyjego głosu Louise nie rozpoznawała. Czyżby Lars Håkansson wrócił do domu? Chwilę później służąca stanęła w drzwiach.

– Ma pani gościa – powiedziała. – To ta sama osoba co wczoraj.

Lucinda wyglądała na zmęczoną. Popijała wodę, którą podała jej Celina.

– Od wczoraj nie byłam w domu – powiedziała. – Przez całą noc Malocurę okupowała grupa Włochów budujących tu drogi. Można powiedzieć, że nasz mały bar w ciągu ostatnich paru godzin naprawdę zapracował na swoją nazwę. Goście wypili morze alkoholu i dali się wygonić dopiero nad ranem.

– Co znaczy „Malocura”? – spytała Louise.

– Szaleństwo. Bar otworzyła kobieta, która nazywała się Dolores Abreu. Jakoś w latach sześćdziesiątych, nie było mnie jeszcze na świecie. Podobno była wielką i grubą dziwką, jedną z tych, które nie pozwalają pracy wpływać na życie rodzinne. Wyszła za drobnego, skromnego mężczyznę imieniem Nathaniel. Grał na trąbce i to ponoć on jest autorem tańca marrabenta, popularnego w tym mieście w latach pięćdziesiątych. Dolores miała stałych klientów z Johannesburga i Pretorii. Działo się to w czasach, kiedy obłuda przeżywała w tym kraju swoje złote dni. Zgodnie z prawem Afrykanerzy nie mogli korzystać z usług czarnych dziwek. Musieli

więc wsiąść w auto lub pociąg i pofatygować się aż tu, żeby zakosztować naszych myszek.

Lucinda przerwała i z uśmiechem spojrzała na Louise.

– Mam nadzieję, że nie razi pani mój język.

– Na to, co kobiety mają między nogami, w wielu językach mówi się „myszka” – odparła Louise. – Mogłabym być zaskoczona wiele lat temu. Teraz już nie.

– Dolores była oszczędna – ciągnęła Lucinda – i po jakimś czasie zebrała sporą sumę. Nie można by tego nazwać majątkiem, ale wystarczyło, by zainwestować w bar. Podobno jej mąż wymyślił nazwę. Uważał, że żona straci wszystkie pieniądze, inwestując je w taki sposób, ale, jak widać, wszystko się udało.

– Co się z nią stało?

– Leży na cmentarzu Lhanguene, razem z Nathanielem. Bar odziedziczyły ich dzieci, ale od razu się o niego pokłóciły i po jakimś czasie interes przepadł wskutek jakiejś niejasnej transakcji z portugalskim sprzedawcą tkanin. Parę lat temu Malocurę kupiła córka ministra finansów. Nigdy tam nie była, nie zniżyłaby się do tego. Większość czasu spędza na zakupach w drogich butikach Paryża. Jak się nazywa ten najdroższy?

– Dior? – rzuciła Louise z wahaniem.

– Dior. Podobno jej dwie małe córeczki mają ubrania tylko stamtąd. A tutaj ludzie głodują. Co dwa dni do baru przychodzi posłaniec po pieniądze.

Lucinda przerwała na moment, zawołała Celinę i poprosiła ją o więcej wody.

– Przyszłam tu, bo nocą wpadłam na pewien pomysł – podjęła, upiwszy łyk. – Kiedy Włosi byli już całkiem pijani i zaczęli mnie obmacywać, wyszłam na papierosa. Spojrzałam na gwiazdy i wtedy

sobie przypomniałam, co kiedyś powiedział Henryk. „Gwiazdy nad Inhacą świecą tak jasno jak na północy Szwecji”.

– Gdzie? – zapytała Louise.

– Nad Inhacą. To wyspa w zatoce Maputo. Henryk często o niej mówił, że dwa razy ją odwiedził, mam wrażenie, że było to dla niego ważne miejsce. Pałac tego papierosa, przypomniałam sobie, że raz powiedział coś, co być może jest ważne: „Tam zawsze mogę się ukryć”. Dokładnie tak to powiedział. Henryk czasem bardzo starannie dobierał słowa i z pewnością był to taki moment.

– Co on tam robił?

– Nie wiem. Ludzie jeżdżą tam, żeby popływać, ponurkować, pospacerować po plaży lub się upić w hotelu.

– Henryk z pewnością nie po to tam jeździł.

– Dlatego właśnie sędzę, że ciągnęło go tam coś całkiem innego.

– Myśli pani, że szukał kryjówki?

– Raczej że kogoś tam spotkał.

– A kto tam mieszka? – dopytywała Louise.

– Prawie sami rybacy, może paru rolników. Poza tym na wyspie działa Stacja Morska Instytutu Oceanografii Uniwersytetu imienia Eduarda Mondlane’a, kilka sklepów i hotel. To wszystko, nie licząc ogromnej liczby węży. Mówi się, że Inhaca to dla nich raj.

– Henryk nie znosił węży. Za to uwielbiał pająki. Kiedyś, kiedy był małym chłopcem, nawet zdarzyło mu się, że jednego zjadł.

Lucinda zdawała się nie słyszeć Louise.

– Powiedział też coś, czego nigdy nie zrozumiałam. Coś na temat jakiegoś obrazu i malarza, który mieszka na wyspie. Nie pamiętam tego dokładnie.

– Gdzie byliście, kiedy opowiadał o wyspie?

– W hotelu, w łóżku. Jeden jedyny raz wynajął dla nas porządny pokój, zamiast ciągnąć mnie do jakiegoś pustego, ciemnego domu. Wtedy mi powiedział o tym malarzu i jego obrazie. Nadal mam przed oczami tę scenę. To było nad ranem, Henryk stał przy oknie, zwrócony do mnie plecami. Nie widziałam jego twarzy, kiedy mi o tym mówił.

– A o czym rozmawialiście wcześniej?

– O niczym. Spaliśmy. Kiedy otworzyłam oczy, Henryk już stał przy tym oknie.

– I nie wie pani, dlaczego mówił o jakimś malarzu i jego obrazie?

– Nie mam pojęcia. Może coś mu się przyśniło?

– Co było potem?

– Nic. Wrócił do łóżka.

– I więcej o tym nie wspominał?

– Nie, ani razu.

– Na pewno? – dążyła Louise.

– Na pewno. Potem sobie uświadomiłam, że to spotkanie na wyspie wywarło na nim duże wrażenie.

– Skąd ta pewność?

– Mówił to szczególnym tonem. Stał przy oknie i wyraźnie chciał mi o czymś opowiedzieć, ale z jakiegoś powodu tego nie zrobił.

– Muszę znaleźć tego malarza – oznajmiła Louise. – Jak się tam dostać? Promem?

– Płynie bardzo powoli. Najlepiej tam polecieć. To trwa dziesięć minut.

– Polecą pani ze mną?

Lucinda pokręciła głową.

– Muszę się zająć moją rodziną – powiedziała. – Ale pomogę pani zarezerwować pokój w hotelu i zawiozę panią na lotnisko. Wydaje

mi się, że samoloty latają na Inhacę dwa razy dziennie.

Louise na moment się zawahała. To wszystko jest zbyt niejasne, pomyślała. Zaraz jednak doszła do wniosku, że nie ma wyboru. Jeżeli chce się czegokolwiek dowiedzieć, musi sprawdzić każdy trop. Zastanowiła się, co na jej miejscu zrobiłby Aron. Jednakże Aron milczał.

W ciągu paru minut spakowała trochę ubrań do plastikowej reklamówki, zgarnęła ze stolika przy łóżku paszport, trochę pieniędzy i była gotowa do wyjścia. Oznajmiła Celinie, że wróci nazajutrz, ale nie zdradziła swoich planów.

Lucinda pojechała z nią na lotnisko. Panował przytłaczający upał. Otulał miasto jak ciepła puchowa kołdra.

– Niech pani poprosi o pomoc recepcjonistę w hotelu – poradziła jej Lucinda. – Jeden z nich utyka na jedną nogę. Ma na imię Zé. Proszę go ode mnie pozdrowić, a na pewno pani pomoże.

– Czy on mówi po angielsku?

– Całkiem nieźle, ale proszę nie zakładać, że wszystko rozumie, nawet jeśli będzie kiwał głową. Niech się zawsze pani upewni, zapyta dwa razy.

Kiedy stanęły na parkingu przed lotniskiem, samochód natychmiast otoczyła grupka chłopców chcących za pieniądze popilnować go i umyć. Lucinda cierpliwie odmawiała, nie podnosząc głosu.

Wkrótce ustaliły, że następny samolot na Inhacę startuje za niewiele ponad godzinę. W krótkiej rozmowie telefonicznej Lucinda zarezerwowała też pokój dla Louise.

– Powiedziałam, że zostaje pani tylko na jedną noc – wyjaśniła. – Ale może pani przedłużyć pobyt. To nie jest szczyt sezonu.

– Czy tam będzie cieplej niż tu?

– Przeciwnie, może być chłodniej. Właśnie to przyciąga tam turystów, których stać na wakacje.

Na dachu budynku lotniska była kawiarnia. Czekać na samolot, zjadły tam kanapki i napiły się wody. Wreszcie Lucinda wskazała palcem na mały samolot śmigłowy, który miał zabrać Louise na Inhacę.

– Mam do tego wsiąść? – Louise spytała z niedowierzaniem.

– Spokojnie, tutejsi piloci pracowali wcześniej jako piloci wojskowi – uspokoiła ją Lucinda. – Naprawdę wiedzą, jak latać.

– Skąd pani to wie? Zna ich pani?

Lucinda parsknęła śmiechem.

– Nic pani nie grozi – powiedziała.

Odprowadziła Louise aż do miejsca odprawy. Wyglądało na to, że oprócz niej na wyspę leciało tylko dwóch pasażerów: Afrykanka z niemowlęciem w chuście na plecach i jakiś Europejczyk z nosem utkwionym w książce.

– Prawdopodobnie ta podróż okaże się całkiem bezsensowna? – spytała Lucinę Louise.

– Na tej wyspie na pewno nie spotka panią nic złego, nikt na panią nie napadnie. Może się pani odprężyć i wybrać się na długi spacer po plaży.

– No dobrze. Wrócę jutro.

– O ile nie przedłuży pani pobytu.

– Po co miałabym to robić?

– Kto wie? – odparła Lucinda z uśmiechem.

Wkrótce pasażerowie zostali poproszeni o przejście do samolotu po płycie lotniska. Upał był nie do wytrzymania. Louise zakręciło się nagle w głowie i przez moment była pewna, że straci przytomność.

Mocno chwyciła się poręczy schodów i jakoś zdołała wejść do kabiny. Usiadła z tyłu. Przed nią po skosie siedział mężczyzna z książką.

Czy nie widziała go gdzieś wcześniej? Jego twarz była jej obca, Louise miała jednak wrażenie, że rozpoznaje plecy nieznajomego. Dopadł ją nagły strach, choć broniła się przed myślą, że jest śledzona. Tłumaczyła sobie, że nie ma powodu do obaw, że lęk przed tym człowiekiem jest wyłącznie wytworem jej wyobraźni.

Samolot wystartował i zanim obrał kurs w stronę wyspy, zrobił pętlę nad białym miastem. Daleko w dole majaczyły trójkąty łódek rybackich, chwiejące się niepewnie, trącane falami. Maszyna niemal natychmiast po starcie podeszła do lądowania i po pięciu minutach jej koła uderzyły o płytę lotniska na wyspie Inhaca. Pas do lądowania był niepokojąco krótki i popękany, ze szpar wystawały korzenie roślin.

Louise wysiadła i znów wpadła w objęcia upału. Traktor z przyczepą zabrał troje pasażerów do hotelu stojącego tuż przy małym baraku lotniska. Kobieta z dzieckiem ruszyła w swoją stronę, znikając w wysokiej trawie. Mężczyzna podniósł wzrok znad książki i uśmiechnął się do Louise. Odwzajemniła uśmiech.

W hotelu od razu udała się do recepcji i spytała stojącego za ladą mężczyznę, czy ma na imię Zé.

– Zé ma dzisiaj wolne – odparł recepcjonista. – Będzie jutro.

Louise poczuła zawód, ale szybko wzięła się w garść. Nie chciała się denerwować.

Poszła do swojego pokoju, wypakowała reklamówkę i wygodnie wyciągnęła się na łóżku. Po chwili wstała i udała się prosto na plażę. Trwał odpływ. Kilka zbutwiałych kutrów rybackich leżało

przewróconych w piasku, przypominały wyrzucone przez morze walenie. Brodząc w wodzie po kostki, Louise przyglądała się grupie mężczyzn zarzucających sieci nieopodal brzegu.

Spacerowała tak dobrych parę godzin, czując, że z głowy wyparowują jej wszystkie myśli.

O zmierzchu wróciła do hotelu i zjadła kolację w restauracji. Zamówiła rybę i popiła ją sporą ilością wina. Idąc do pokoju, czuła, że jest wstawiona. Padła na łóżko i sięgnęła po komórkę. Wybrała numer Arona. Nic się nie zmieniło. Dłuższą chwilę wsłuchiwała się w jednostajne buczenie. W końcu wysłała mu wiadomość: „Przydałaby mi się Twoja pomoc”. Wiedziała, że równie dobrze mogłaby wysłać wiadomość prosto w kosmos, gdzie nikt nigdy jej nie odczyta.

Louise gwałtownie się przebudziła. Obudził ją jakiś dźwięk. Czyżby sama wydała jakiś odgłos? Wysłuchała się w ciemność. Może chrapałam? Włączyła lampkę przy łóżku. Była jedenasta. Poprawiając poduszki, Louise doszła do wniosku, że już wcale nie chce jej się spać. Ten krótki sen ją otrzeźwił.

Nagle stanął jej przed oczami pewien obraz z przeszłości, rysunek autorstwa Henryka. Syn wykonał go w najtrudniejszym okresie dojrzewania. Był wówczas niedostępny, nie wychodził z niewidzialnej nory, do której Louise nie miała wstępu. Ona sama dobrze pamiętała ten czas w swoim życiu. Nienawidziła być nastolatką, pełną kompleksów, myśli samobójczych i nieustającej wściekłości na niesprawiedliwości tego świata. Jednak Henryk był jej przeciwieństwem, wszystko tłamsił w sobie. Mimo to pewnego dnia wyściubił nos ze swojej kryjówki i bez słowa położył na kuchennym stole, tuż pod nosem Louise, własnoręcznie sporządzony

obrazek. Całą kartkę pokrywał krwistoczerwony kolor, z dołu wyłaniał się czarny cień. To było wszystko. Nigdy jej nie wyjaśnił, co to miało oznaczać i dlaczego dał jej rysunek. Louise czuła jednak wtedy, że go trochę rozumie.

Zachodzące na siebie cierpienie i bezradność. Ciągła walka, która ostatecznie, gdy życie dobiegnie już końca, i tak nie wyłoni zwycięzcy.

Wciąż miała tę kartkę. Trzymała ją u Artura w starej skrzyni wraz z kolekcją innych pamiątek.

W pokoju jednostajnie szumiał klimatyzator. Po suficie niezmordowanie sunął jakiś wielonożny owad.

Louise po raz kolejny próbowała podsumować wydarzenia ostatnich tygodni. Mozolnie cofała się w czasie, starając się wyłączyć wszystkie zmysły i nie przegapić niczego, co mogłoby stanowić wyjaśnienie, dlaczego umarł jej syn. W pewnym momencie tej analizy poczuła się tak, jakby tuż obok niej siedział Aron. Był blisko, tak blisko, jak podczas pierwszego okresu ich związku, pełnego ciepłych uczuć i strachu przed dłuższym rozstaniem.

To do niego zwracała się w myślach, jakby prowadzili rozmowę lub jakby pisała list. Wiedziała, że gdyby Aron był przy niej, zdołałby nazwać słowami to, co zaledwie przeczuwała. Pomógłby jej wszystko zrozumieć.

Henryk umarł we własnym łóżku w mieszkaniu w Sztokholmie. Miał w sobie mnóstwo środków nasennych. Był ubrany w piżamę i miał kołdrę podciągniętą pod brodę. Dla niego oznaczało to koniec. Ale czy ta historia nie ma dalszego ciągu? Czy śmierć Henryka stanowi ogniwo w łańcuchu, który wcale się nie kończy? Henryk coś odkrył. Coś, co ma związek z Afryką i umierającymi ludźmi w Xai-Xai. To coś sprawiło, że z Henryka uszła cała radość, a jej miejsce

zajął strach. Poza tym Henryk okazywał wściekłość, chciał się przeciwko czemuś buntować. Przeciw czemu? Czy było to coś, co nosił w sobie? Czyżby się obawiał, że ktoś skradnie jego myśli, jego mózg, tak jak udało się ukraść mózg Kennedy'ego po zamachu w Dallas? A może sam próbował włamać się do mózgu kogoś innego?

Louise brnęła myślami dalej, chwilami mając wrażenie, że przedziera się przez gęsty las wokół Sveg, gdzie zwarte zarośla często uniemożliwiały wędrówkę.

Henryk miał mieszkanie w Barcelonie i sporą sumę pieniędzy. Zbierał artykuły o szantażowaniu ludzi chorych na AIDS. Coraz bardziej się bał. Ale czego? Czyżby za późno się zorientował, że wkroczył na jakiś niebezpieczny grunt? Czy był świadkiem czegoś, czego nie powinien był widzieć? Może ktoś upatrzył sobie w nim cel, czytał mu w myślach?

Henryk stale był sam, mimo że otaczali go ludzie: Nazrin, Lucinda, Nuno da Silva, ten podejrzany Lars Håkansson. W jego notatkach nie ma jednak o nich prawie żadnej wzmianki.

Musieli się wokół niego kręcić jeszcze jacyś ludzie. Henryk nie był typem samotnika. Lecz kim oni byli? I gdzie ich szukać? W Barcelonie? Tutaj, w Afryce? W rozmowach ze mną wielokrotnie zachwalał internet, dzięki któremu mógł przyjaźnić się z ludźmi na całym świecie.

To wszystko nie trzymało się kupy. Czuła, że stąpa po kruchym lodzie. Stwierdziła, że jest zbyt niecierpliwa. Wciąż mówiła, zamiast najpierw porządnie wysłuchać. Elementów układanki wciąż było za mało, by dało się je ułożyć w całość. Muszę szukać dalej, pomyślała.

Napiła się wody, którą przyniosła w butelce z restauracji. Owad z sufitu gdzieś sobie poszedł. Zamknęła oczy.

Obudził ją dzwonek telefonu. Aparat błyskał i wibrował, poruszając się po blacie szafki. Louise odebrała, przebudziła się w sekundę. W słuchawce coś szumiało, słysząc było czyjś oddech. Po chwili dzwoniący się rozłączył.

Spojrzała na zegarek, było tuż po północy. Usiadła na skraju łóżka. Kto to był? Trudno rozpoznać kogoś po milczeniu.

Z baru dobiegały dźwięki muzyki. Zdecydowała, że zejdzie na dół i napije się wina. Miała nadzieję, że dzięki temu uda jej się znów zasnąć.

Lokal był prawie pusty. W jednym kącie siedział starszy Europejczyk w towarzystwie bardzo młodej Afrykanki. Louise poczuła wstręt. Wyobraziła sobie jego grube cielsko przygniatające wątłą dziewczynę. Miała najwyżej osiemnaście lat. Czy Lucinda przeżywała podobne rzeczy? Czy Henryk widywał tu takie sceny?

Prawie duszkiem opróżniła dwie lampki wina, podpisała rachunek i wyszła na zewnątrz. Noc była łagodna i ciepła. Louise minęła basen i poszła dalej, poza zasięg światła padającego z okien hotelu. Nigdy jeszcze nie wiedziała tak rozgwieżdżonego nieba. Chwilę błędziła wzrokiem po jasnych punktach na niebie, aż w końcu znalazła Krzyż Południa. Aron kiedyś określił ten gwiazdozbiór mianem „zbawiciela marynarzy z południowej półkuli”. Często ją w ten sposób zaskakiwał, wykazując się całkiem obcą jej wiedzą. Henryk też potrafił zainteresować się czymś całkiem niespodziewanym. Louise dobrze pamiętała, jak pewnego dnia jej dziewięcioletni syn zakomunikował jej, że zamierza rzucić szkołę i zajmować się dzikimi końmi na Stepie Kirgiskim. Ostatecznie został w domu, bo nie chciał zostawiać jej samej. Przy innej okazji oznajmił, że zamierza nauczyć się żeglować

w pojedynkę, ale nie dlatego, by samotnie opłynąć Ziemię, uzyskując rekordowy wynik, i udowodnić, że to potrafi. Chodziło mu o to, by móc przebywać na morzu przez pięć, może nawet dziesięć lat, bez potrzeby schodzenia na ląd.

Znów zalała ją fala żalu. Henryk nigdy nie został żeglarzem ani nie pojechał do Kirgistanu. Mimo to próbował być dobrym człowiekiem. Dopóki ktoś mu w tym nie przeszkodził, ubierając go w pizamę.

Louise doszła do plaży. Fale przyływu łagodnie toczyły się na ląd, a ciemność rozmywała kontury odległych kutrów rybackich. Zdjęła sandały i zaczęła brodzić w wodzie, chwilami czując się tak, jakby wróciła na Peloponez. Zatęskniła za pracą, zakurzonymi wykopaliskami, kolegami, ciekawskimi i niechlujnymi studentami, greckimi przyjaciółmi. Zapragnęła stanąć w ciemności przed domem Mitsosa i zapalić wieczornego papierosa przy akompaniamencie szczekania psów i trzeszczącej greckiej muzyki wydobywającej się z gramofonu.

Po jej stopie przebiegł krab. W oddali migotały światła Maputo. Louise znów sobie wyobraziła, że ma przy sobie Arona. Światło przemierza duże odległości nad ciemną wodą. Pomyśl o nim jako o wędrowcu, który albo się oddala, albo jest coraz bliżej ciebie. W świetle znajdziesz zarówno przyjaciół, jak i wrogów.

Powiedział wtedy coś jeszcze, ale nie mogła sobie tego przypomnieć.

Nagle wstrzymała oddech. Ktoś był w pobliżu. Ktoś ją obserwował. Szybko się odwróciła, ale dostrzegła jedynie światła hotelu w oddali. Ogarnął ją paraliżujący strach, serce waliło jak oszalałe. Ktoś znajdował się tuż obok. Patrzył na nią.

Zaczęła krzyczeć. Wrzeszczała prosto w ciemność, aż wreszcie ujrzała kogoś zbliżającego się z latarką od strony hotelu. Znalazłszy się w kręgu światła, poczuła się jak dzikie zwierzę.

Nadeszło dwóch mężczyzn, bardzo młody recepcjonista i jeden z kelnerów z baru. Zapytali ją, czemu krzyczała, czy się zraniła, a może ukąsił ją wąż.

Louise tylko pokręciła głową, wyrwała recepcjoniście latarkę i poświeciła po plaży. Nikogo nie było. Uciekł, pomyślała. Przed chwilą ktoś tu przecież był.

Mężczyźni zaprowadzili ją do hotelu, recepcjonista pożegnał się z nią pod drzwiami pokoju. Zamknąwszy się od środka, Louise położyła się na łóżku z zamiarem czuwania do świtu. Mimo to po jakimś czasie usnęła. We śnie odwiedziły ją czerwone papugi z Apollo Bay. Było ich sporo, całe stado. Ptaki bezgłośnie uderzały skrzydłami.

Nazajutrz niebo pokrywała wilgotna mgiełka chmur. Idąc na śniadanie, za ladą recepcji Louise zauważyła nowego mężczyznę. Zapytała go, czy ma na imię Zé.

– José – odparł z uśmiechem. – W skrócie Zé.

Pozdrowiła go od Lucindy, po czym od razu spytała, czy na wyspie mieszka jakiś malarz.

– Może chodzić tylko o Adelinho – wyjaśnił mężczyzna. – Nikt poza nim nie maluje obrazów, nikt inny też nie zamawia paczek z farbami z Maputo. Wiele lat temu sam mieszał farby z tutejszych korzeni, liści i ziemi. Dziwnie maluje. Delfiny, tańczące kobiety, czasem jakieś powykręcane twarze, od których człowiekowi robi się niedobrze.

– Gdzie on mieszka?

– Za daleko, żeby iść pieszo, ale Ricardo, ten sam, który przywiózł panią z lotniska, zabierze tam panią za niewielką opłatą.

– Chętnie odwiedzę tego Adelo.

– Adelinho – poprawił ją Zé. – Niech pani dobrze zapamięta jego imię. Zrobił się trochę zarozumiały, odkąd te jego obrazy się sprzedają. Poproszę Ricarda, żeby przyjechał po panią za godzinę.

– Zdązę zjeść w pół godziny – powiedziała Louise.

– Ale Ricardo nie zdąży przyjechać. Zawsze, kiedy ma gdzieś zawieźć piękną kobietę, pucuje swojego jeepa. Za godzinę będzie czekał pod hotelem.

Louise zjadła śniadanie na tarasie w cieniu drzewa. Obserwowała mężczyznę pływającego w basenie. Nieznajomy mozolnie,

systematycznie pokonywał długości basenu jedną za drugą. Nagle znikąd pojawił się kudłaty pies i położył się u stóp Louise.

Afrykański kundel. Taki sam jak te, z którymi bawiłam się, będąc dzieckiem. Mój ojciec wygląda teraz zupełnie jak ty.

Pływak wyszedł z wody, wdrapując się na brzeg po metalowej drabince. Louise zauważyła, że jedna noga mężczyzny była odcięta na wysokości kolana. Podskakując na zdrowej nodze, zbliżył się do leżaka, przy którym stała proteza. Tymczasem do stolika Louise podszedł bosonogi kelner i zapytał ją, czy życzy sobie dolewkę kawy. Zanim odszedł, wskazał podbródkiem kalekiego mężczyznę.

– Pływa tak codziennie przez cały rok. Nawet kiedy jest zimno – powiedział.

– Czy tu w ogóle bywa zimno? – zdziwiła się Louise.

Kelner spojrzał na nią z powagą.

– W lipcu temperatura może spaść nocą do pięciu stopni. Strasznie wtedy marzniemy.

– Do pięciu stopni poniżej zera?

Pozałowała tego pytania na widok miny kelnera.

Mężczyzna dolał jej kawy i zgarnął ze stołu okruchy, które natychmiast wessał leżący pod stołem pies. Pływak zdążył już przymocować protezę.

– Pułkownik Ricardo to dziwny człowiek – mówił dalej kelner. – Jest u nas szoferem. Mówi, że brał udział w wielu wojnach, ale nikt mu do końca nie wierzy. Niektórzy twierdzą, że kiedyś się upił, poszedł na tory i to tam stracił nogę. Ja tam nie wiem. Pułkownik Ricardo to dziwak.

– Słyszałam, że bardzo dba o swój samochód.

Kelner nachylił się nad nią poufale.

– Ricardo wkłada wiele pracy w to, żeby samemu być czystym i schludnym. Co do jeepa, nieraz ludzie się skarżyli, że strasznie w nim brudno.

Louise podpisała rachunek, patrząc, jak pułkownik znika w drzwiach. Kiedy był ubrany, nawet nie zauważyła, że ma protezę.

O umówionej godzinie czekał na nią pod hotelem. Pułkownik Ricardo był wysportowanym i opalonym mężczyzną po siedemdziesiątce, o starannie uczesanych włosach. Mówił po angielsku z brytyjskim akcentem. Europejczyk z dużą domieszką czarnej krwi, pomyślała Louise. Jego rodzina ma z pewnością fascynującą historię.

– Podobno pani Cantor życzy sobie odwiedzić naszego słynnego Rafaela – powiedział. – Ucieszy się. Bardzo lubi, kiedy odwiedzają go kobiety.

Louise usiadła z przodu i dyskretnie spojrzała, jak pułkownik protezą naciska pedał gazu. Ruszyli ubitą drogą, wiodącą w stronę ogromnych traw, na południe wyspy. Pułkownik Ricardo prowadził ostro, rzadko zadawał sobie trud, by zahamować przed jakimś wybojem czy błotnistą kałużą. Louise trzymała się drzwi i rączki, którą miała przed sobą, bojąc się, że wypadnie na najbliższym zakręcie. Zegary na desce rozdzielczej albo wskazywały zero, albo drgały w najwyższych rejestrach prędkości i temperatur. Czuła się tak, jakby wieziono ją pojazdem wojskowym po polu bitwy.

Po półgodzinie pułkownik gwałtownie zahamował. Tę część wyspy porastał las. Między drzewami majaczyły jakieś niskie domki. Mężczyzna wskazał je palcem.

– Tam mieszka nasz kochany Rafael – oznajmił. – Jak długo pani zostanie? O której po panią przyjechać?

– Nie będzie pan czekał?

– Jestem za stary na czekanie. Przyjadę za parę godzin.

Louise rozejrzała się wokół, nie dostrzegając żywej duszy.

– Jest pan pewien, że on tu mieszka? – spytała.

– Rafael przyjechał na Inhacę pod koniec lat pięćdziesiątych.

Uciekł z miejsca, które wtedy nazywano Kongiem Belgijskim. Od tego czasu stąd nie wyjeżdżał, być może nawet nie wyszedł z domu.

Louise wysiadła z jeepa. Pułkownik pożegnał się z nią, uchylając czapki, i ruszył, unosząc chmurę pyłu. Gdy ucichło warczenie silnika, Louise zorientowała się, że otacza ją całkowita cisza. Nie skrzeczał żaden ptak, nie kumkała żaba, nawet wiatr stanął w miejscu. Ogarnęło ją dziwne uczucie, jak gdyby już kiedyś tu była. Po chwili dotarło do niej, że taka sama cisza panuje w lasach północnej Szwecji. Dźwięki zdają się tam nie istnieć.

„W tak przejmującej ciszy doświadczają się silnego uczucia samotności”. Aron wypowiedział te słowa podczas górskiej wędrówki w Norwegii. Była wczesna wiosna, malująca wszystko wokół na brązowożółto. Właśnie zaczęłam podejrzewać, że jestem w ciąży. Wędrowaliśmy w okolicach miasteczka Rjukan. Jednego wieczoru rozbiliśmy namiot nad małym jeziorem. Wtedy właśnie Aron powiedział, że głęboka cisza wzbudza w nim uczucie wielkiej nieznośnej samotności. Tamtego dnia nie słuchałam go zbyt uważnie, przejęta myślą, że być może będziemy mieli dziecko. Teraz jednak dokładnie to pamiętam.

Nieopodal w trawie pasło się kilka kóz. Nic sobie nie robiły z obecności Louise, która w końcu ruszyła ścieżką w stronę domków. Niskie budynki stały wokół piaszczystego placu, pośrodku którego dogasało ognisko. Wciąż nikt się nie pokazał, po chwili jednak Louise dostrzegła wpatrzoną w nią parę oczu. Na werandzie jednej

z chatek siedział mężczyzna, ale widać mu było tylko głowę. W pewnym momencie wstał i pomachał Louise, dając jej znak, żeby podeszła. Nigdy wcześniej nie widziała tak czarnego człowieka. Jego skóra była tak ciemna, że momentami wydawała się granatowa. Gospodarz wyszedł jej naprzeciw, prezentując nagi, lśniący tors. Był bardzo wysoki.

W końcu przemówił, powoli i starannie dobierając angielskie słowa. Zapytał, czy Louise mówi po francusku.

– Łatwiej mi się nim posługiwać – dodał, nie czekając na odpowiedź. – Chyba że chce pani rozmawiać po portugalsku.

– Niestety nie mówię ani w jednym, ani w drugim – odparła.

– Dobrze, więc pozostaniemy przy angielskim. Witam panią, pani Cantor. Podoba mi się pani imię, Louise. Brzmi ono jak szybki ruch na powierzchni wody albo jak refleks słoneczny, odrobina turkus.

– Skąd pan wie, jak się nazywam i że zamierzałam pana odwiedzić? – spytała Louise, nie ukrywając zdziwienia.

Mężczyzna uśmiechnął się i wskazał jej fotel na werandzie.

– Tylko głupiec próbuje zachować sekret na wyspie.

Louise zajęła wskazane jej miejsce, gospodarz zaś stał dalej, uważnie jej się przypatrując.

– Zawsze zagotowuję wodę, żeby moi goście nie nabawili się niestrawności. Może pani zatem pić spokojnie to, co zaproponuję. Chyba że preferuje pani rzymską gorzałkę? Mam przyjaciela, Włocha, nazywa się Giuseppe Lenate. To miły facet, który mnie tu odwiedza, kiedy chce odpocząć od zgiełku w robocie. Trzeba pani wiedzieć, że Giuseppe nadzoruje tutaj budowy autostrad. Zawsze przywozi rzymską gorzałkę. Pijemy ją tak długo, aż pośniemy. Potem pułkownik Ricardo odwozi go na lotnisko, a Giuseppe wraca do Maputo, by po miesiącu znów mnie odwiedzić.

– Dziękuję, nie piję gorzałki – odparła Louise.

Olbrzym Adelinho zniknął w ciemnym wnętrzu maleńkiej chatki. Louise pomyślała o jego włoskim przyjacielu. Była ciekawa, czy jest jednym z tych, którzy niedawno balowali całą noc u Lucindy. Wyglądało na to, że świat jest rzeczywiście mały w Maputo.

Po chwili wrócił Adelinho, niosąc dwie szklanki z wodą.

– Zakładam, że przyjechała pani zobaczyć moje obrazy – powiedział.

Pod wpływem impulsu Louise zdecydowała się na razie nie wspominać o tym, że jest matką Henryka.

– Słyszałam o nich od pewnej kobiety w Maputo – powiedziała.

– Czy ta kobieta ma jakieś imię?

Ponownie zdecydowała się skłamać.

– Julieta – odparła.

– Nie znam nikogo takiego. Czy to Mozambijka? Jest czarna?

Louise potwierdziła skinieniem.

– A kim pani jest? Próbuję odgadnąć, z jakiego pani jest kraju. Z Niemiec?

– Ze Szwecji.

– Odwiedziło mnie tu paru Szwedów. Niezbyt wielu.

Zaczął padać deszcz. Louise nawet nie zauważyła, kiedy cienka mgiełka przeszła w solidną warstwę chmur, które przesłoniły niebo. Deszcz był silny już od pierwszej kropli. Adelinho zadarł głowę i z z troskaniem spojrzął na dach werandy. Pokręcił głową.

– Pewnego dnia to wszystko runie mi na głowę – powiedział. – Blacha rdzewieje, belki już dawno zbutwiały. W Afryce zawsze budowano domy na chwilę.

Wstał i gestem zaprosił Louise, by za nim podążyła. Weszli do środka. W chacie znajdował się jeden pokój. Mieściły się w nim

łóżko i regał z książkami, na dywanie stał stół, parę wyciosanych z drewna krzeseł, resztę powierzchni, nie licząc kilku rzeźb, zajmowały ustawione w rzędach obrazy.

Adelinho zaczął układać je w taki sposób, żeby Louise mogła im się dobrze przyjrzeć. Opierał je o stół, łóżko i stołki. Malował farbami olejnymi na płytach pilśniowych. Louise była zaskoczona naiwnością motywów. Zupełnie jakby przyglądała się pracom dziecka próbującego odzwierciedlić rzeczywistość. Patrzyła na delfiny, ptaki, twarze kobiet, dokładnie takie, jak je opisał Zé.

W myślach od razu nazwała Adelinha „Malarzem Delfinów”. Stwierdziła też, że on i jej tworzący swoją leśną galerię ojciec mogliby uścisnąć sobie ręce. Zaraz jednak się rozmyśliła, doszedłszy do wniosku, że Artur jednak miał talent, którego brakowało Malarzowi Delfinów.

– Znalazła pani coś, co jej się podoba? – zapytał artysta.

– Delfiny – odparła Louise.

– Kiepski ze mnie malarz – powiedział niespodziewanie Adelinho.

– Niech pani sobie nie myśli, że o tym nie wiem. Nie umiem nawet oddać perspektywy. Nikt mi jednak nie zabroni ich malować.

Deszcz bębnił w blaszany dach chaty tak głośno, że Louise i Adelinho byli zmuszeni zamilknąć. Dłuższą chwilę siedzieli bez słowa, w końcu jednak ulewa ustała i znów mogli się nawzajem słyszeć.

– Pułkownik powiedział, że przyjechał pan z Kongo – odezwała się pierwsza Louise.

– Ricardo? On zawsze za dużo gada. Ale akurat tym razem miał rację. Uciekłem stamtąd, zaraz po tym jak rozpętał się największy chaos. Przyjechałam tu właśnie wtedy, kiedy ten wasz Szwed, Hammarskjöld⁵, rozbił się pod Ndolą w północnej Zambii, wtedy to

była Rodezja Północna. W tamtym czasie w moim kraju panowało istne piekło. Belgowie byli brutalnymi kolonizatorami, którzy od wielu pokoleń odcinali nam dłonie. Kiedy jednak nagle mieliśmy odzyskać niepodległość, wybuchł jeszcze potworniejszy konflikt.

– Dlaczego pan uciekł?

– Nie miałem wyjścia. Miałem dwadzieścia lat i doszedłem do wniosku, że jeszcze nie pora umierać.

– Angażował się pan w politykę w tak młodym wieku?

Adelinho obrzucił ją baczny spojrzeniem. Po ulewie wnętrze chaty tonęło w półcieniu i Louise bardziej czuła na sobie jego wzrok, niż go widziała.

– A kto powiedział, że angażowałem się w politykę? – mruknął malarz. – Byłem prostym, niewykształconym chłopakiem i zajmowałem się łapaniem szympanów, które potem sprzedawałem belgijskiemu laboratorium. Mieściło się na obrzeżach Leopoldville, miasta, któremu potem zmieniono nazwę na Kinszasa. Było w tym budynku coś dziwnego. Stał oddalony od innych, otoczony wysokim młotem. Pracowali w nim ludzie w białych fartuchach, czasem nosili maseczki. Chcieli, by łapać dla nich szympany. Dobrze za nie płacili. Ojciec nauczył mnie łapać małpy żywcem, więc ludzie w fartuchach cenili sobie moje usługi. Pewnego dnia zaproponowali mi pracę w laboratorium. Zanim się zgodziłem, zapytali mnie, czy brzydzę się ćwiartowania zwierząt, krojenia mięsa i widoku krwi. Byłem myśliwym, zabijałem zwierzęta bez mrugnięcia okiem, więc od razu wziąłem tę robotę. Nigdy nie zapomnę tego uczucia, kiedy po raz pierwszy założyłem taki biały fartuch. Zupełnie jakbym zakładał królewski płaszcz albo skórę lamparta jak jakiś plemienny wódz. Ten fartuch był dla mnie przepustką do niedostępnego dotąd

świata wiedzy i władzy. Byłem smarkaczem, dlatego nie wiedziałem, że śnieżna biel fartucha wkrótce splami się krwią.

Adelinho przerwał i pochylił się w przód, opierając łokcie na kolanach.

– Jestem starym gadułą – powiedział. – Od wielu dni nikt mnie nie odwiedzał. Moje żony, z których każda ma swoją chatę, przychodzą mi gotować, ale nie rozmawiamy, bo od dawna nie mamy już sobie nic do powiedzenia. Więc jeśli panią zamęczam, proszę powiedzieć.

– Nie zamęcza mnie pan. Proszę mówić dalej.

– O tym jak mój biały fartuch nasiąkł krwią? Skoro pani tego chce. Był tam pewien lekarz, nazywał się Levansky. Zaprowadził mnie do dużego pomieszczenia, gdzie siedziały w klatkach wszystkie złapane przeze mnie i innych szympansy. Levansky pokazał mi, jak je rozkrawać i wyjmować z nich wątrobę i nerki. Resztę wyrzucano, truchło nie było do niczego potrzebne. Potem miałem wszystko dokładnie zapisywać w czarnym notesie. Co i o której godzinie zrobiłem. W końcu dał mi szympansa, do dziś pamiętam, że było to młode szympansiątko, wrzeszczące wniebogłosy za matką. Jeszcze dzisiaj czasem słyszę te krzyki. Doktor Levansky był ze mnie zadowolony, ale mi się to od samego początku nie spodobało. Nie rozumiałem, dlaczego trzeba to robić akurat w taki sposób. Krótko mówiąc, nie dawało mi spokoju to, jak mój fartuch zabarwiał się krwią.

– Chyba nie rozumiem, do czego pan zmierza – powiedziała Louise.

– Naprawdę? Ojciec nauczył mnie, jak zabijać zwierzę dla pożywienia, dla skóry, w obronie własnej, swojej trzody albo żeby chronić uprawy. Nigdy nie zabijaliśmy po to, żeby zadać cierpienie.

Wiedzieliśmy, że za to surowo nas ukarzą bogowie. Wierzyliśmy, że wyślą mściciela, który pod postacią jakiegoś zwierzęcia obgryzie nas do kości. Nie pojmowałem, dlaczego wątrobę i nerki trzeba było wycinać szympansom na żywca. Strasznie się przy tym szarpały i zdawało się, że rozerwą skórzane pasy, którymi przywiązywałem je do stołu. Wrzeszczały jak ludzie. Wtedy zrozumiałem, że pod wpływem tortur ludzie i zwierzęta krzyczą tak samo.

– Czy to naprawdę było konieczne?

– Tłumaczono mi, że organy muszą pochodzić od żywych zwierząt, żeby nadawały się do sporządzania jakichś preparatów. Zagrozili mi, że jeśli pisnę komukolwiek choć słówko, wyrzucą mnie z pracy. Doktor Levansky przekonywał mnie, że ludzie w białych fartuchach nigdy nie zdradzają powierzonych im tajemnic. Poczuję się jak w pułapce, jakbym nagle stał się jednym z szympanсів, a to ich laboratorium stało się moją klatką. Chociaż akurat to zrozumiałem dopiero po jakimś czasie.

O dach chaty znowu zabębnił deszcz. Na dodatek zerwał się wiatr. Musieli poczekać, aż minie kolejna ulewa.

– Laboratorium stało się klatką? – zapytała Louise, kiedy deszcz wreszcie ustał.

– Raczej pułapką. Co prawda nie zatrzasnęła się ona na mojej ręce ani nodze, ale wokół mojej szyi powoli zaciskała się niewidzialna pętla. Na początku niczego nie dostrzegałem. Z czasem przywykłem do rozkrawania żywych szympanсів, wkładałem organy do wiader z lodem i zanosłem je pod drzwi właściwego laboratorium, do którego nie miałem wstępu. Bywało, że przez parę dni nie musiałem zabijać zwierząt. Wtedy miałem ich doglądać i pilnować, żeby się nie rozchorowały. Pamiętam, że czułem się wtedy jak strażnik więzienny, jakby nigdy nic przechadzający się

między celami skazanych na śmierć. Te dni strasznie mi się dłużyły, więc zacząłem się trochę rozglądać po laboratorium, choć dobrze wiedziałem, że nie wolno mi się kręcić poza pomieszczeniem z małpami. Kiedyś, po paru miesiącach pracy, zszedłem na dół, do piwnic.

Adelinho przerwał opowieść. W blachę bębniły ostatnie krople deszczu.

– Co pan tam znalazł? – spytała cicho Louise.

– Więcej szympanów. Te jednak nieznacznie różniły się od moich. Ich DNA było inne w niecałych trzech procentach. Wtedy oczywiście nie wiedziałem, czym jest DNA. Teraz już wiem. Nauczyłem się.

– Nie rozumiem – przerwała mu Louise. – Jakie inne szympansy?

– Nie trzymali ich w klatkach, ale na noszach.

– To były martwe małpy?

– To byli ludzie. I bynajmniej nie byli martwi. Nie całkiem. W tym pomieszczeniu, do którego wszedłem, było ich mnóstwo, strasznie stłoczonych. Dzieci, starcy, kobiety, mężczyźni. Wszyscy byli chorzy. Strasznie tam cuchnęło. Uciekłem. Nie dawało mi to spokoju, więc po jakimś czasie znów tam poszedłem. Co tam robili? Jak się tam znaleźli? Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że dałem się złapać w najgorszą pułapkę, w jaką może dać się schwytać człowiek. Pułapkę, która oznacza, że nie wolno widzieć tego, co się widzi, i nie można przestać robić tego, co się robi. Znowu stamtąd wyszedłem, zastanawiając się, dlaczego w piwnicach laboratorium przetrzymuje się chorych ludzi. Przechodziłem właśnie obok jakichś zamkniętych drzwi, kiedy rozległ się zza nich potworny krzyk. Nie wiedziałem, co robić. Nigdy w życiu nie słyszałem takich wrzasków. Potem nagle wrzask ucichł, trzasnęły jakieś drzwi. Schowałem się

pod stołem i po chwili zobaczyłem nogi wystające spod białych fartuchów. Kiedy przeszły, zajrzałem do pokoju, z którego dochodziły krzyki. Na stole leżała dziewczyna, miała najwyżej dwadzieścia lat. Rozcięli ją tak samo, jak ja rozcinałem szympany. Od razu do mnie dotarło, że wyjęli jej wątrobę i nerki, kiedy jeszcze żyła. Uciekłem z laboratorium i nie pokazywałem się w nim przez tydzień, aż w końcu przyszedł do mnie posłaniec z listem od doktora Levansky'ego. Groził mi, że spotka mnie coś złego, jeśli natychmiast nie wrócę. Wróciłem. Doktor Levansky nie był na mnie zły, wręcz przeciwnie, co mnie jeszcze bardziej zmyliło. Zapytał, co się stało, dlaczego się nie pokazuję, a ja powiedziałem mu prawdę: że widziałem w laboratorium kobietę, którą rozcięto żywcem. Levansky wyjaśnił mi, że dziewczyna była uśpiona i niczego nie czuła. Przecież ja dokładnie słyszałem, jak krzyczała, a ten człowiek kłamał mi prosto w oczy. Uśmiechał się. Dopiero wtedy zrozumiałem, że jego przyjazny ton jest fałszywy. Tłumaczył, że dzięki organom chorych ludzi oni mogą skutecznie szukać nowych lekarstw. Że wszystko jest utrzymywane w tajemnicy, by nie skradziono cennych preparatów. Kiedy spytałem, jakie choroby chcą leczyć tymi preparatami i na co chorują przetrzymywani w podziemiach ludzie, powiedział mi tylko, że wszystkim dolega to samo, gorączka od jakiejś infekcji w brzuchu. Poczulem, że znów mnie okłamał. Nie byłem aż tak głupi, żeby się nie połapać, że ludzie na noszach cierpieli na różne choroby. Domyśliłem się, że zostali specjalnie zarażeni. I to różnymi chorobami, żeby potem oni mogli próbować je leczyć. Zrozumiałem, że używają ich jak szympansów.

– Co było potem?

– Nic. Doktor Levansky wciąż był dla mnie miły, chociaż czułem, że mnie obserwuje, bo zobaczyłem coś, czego nie miałem prawa

widzieć. Po jakimś czasie zaczęła krążyć plotka, że ktoś porywa ludzi z okolic Leopoldville. Że ci ludzie trafiają później do jakiegoś laboratorium. Był rok 1957 i nikt jeszcze nie wiedział, co się niebawem wydarzy w kraju. Obudziłem się pewnego ranka i zdecydowałem, że muszę wyjechać. Czułem, że jeśli tego nie zrobię, prędzej czy później wyląduję w piwnicy, zostanę przypięty pasami do stołu i żywcem rozcięty. Nie mogłem tam wrócić. Wyjechałem. Ruszyłem na południe i w końcu trafiłem tu. Dziś mam stuprocentową pewność, że miałem rację. Tamto laboratorium używało ludzi tak samo jak szympanсів. Nasze DNA różni się od DNA tych małp o mniej niż trzy procent. Wtedy, w latach pięćdziesiątych, ludzie w białych fartuchach próbowali zatrzeć tę różnicę.

Adelinho zamilkł, zakończywszy opowieść. Wiatr szarpał blaszanym dachem chałupy. Nad wilgotną od deszczu ziemią unosił się zapach zgnilizny.

– Po tym jak tu przyjechałem – dodał jeszcze – pracowałem przez parę lat w izbie chorych. Dziś mam trochę ziemi, moje żony i gromadkę dzieci. W wolnych chwilach maluję. Nie przestałem się interesować medycyną. Mój kubański przyjaciel, doktor Raul, odkłada dla mnie wszystkie branżowe czasopisma. Czytając je, dochodzę do wniosku, że i dziś używa się ludzi jako królików doświadczalnych. Podobno nawet w tym kraju. Oczywiście większość ludzi temu zaprzeczy, ale ja swoje wiem. Jestem prostym człowiekiem, ale mimo to zdobyłem jakieś wykształcenie.

Deszczowe chmury gdzieś się rozwiały i coraz jaśniej świeciło słońce. Louise spojrzała na swojego rozmówcę. Zadrżała.

– Zimno pani? – zapytał.

– Nie, myślę o tym, co pan opowiedział.

– Widzi pani, okazuje się, że lekarstwo może być surowcem równie cennym, jak drogi metal lub kamień. A to, że człowiek kierowany chciwością skłonny jest posunąć się bardzo daleko, wiadomo przecież nie od dziś.

– Co pan słyszał o eksperymentach na ludziach, które robi się dziś?

– Nic ponadto, co już powiedziałem. Po prostu krążą takie informacje.

Nie ufa mi. Czyżby wciąż bał się pułapki, w jaką wpadł, mając dwadzieścia lat?

Adelinho wstał. Rozprostowując kości, zrobił skrzywioną minę.

– Starość nie radość – sapnął. – Krew krąży coraz wolniej, jakby z wahaniem, a sny stają się czarno-białe. Chce pani zobaczyć więcej obrazów? Portretuję też ludzi, którzy mnie odwiedzają. Czy dobrze zgaduję, że jest pani nauczycielką?

– Jestem archeologiem.

– I znajduje pani to, czego szuka?

– Czasami. Zdarza się też, że znajduję coś zupełnie nieoczekiwanego, ale potem się okazuje, że właśnie tego szukałam.

Louise wyniosła parę obrazów na werandę, żeby im się przyjrzeć w lepszym świetle.

Od razu go rozpoznała. To była jego twarz, lewy półprofil. Portret był niezbyt udany, ale i tak nie miała wątpliwości. To był Henryk. A więc przyjechał tu i wysłuchał opowieści malarza, stwierdziła. Nie przestawała wpatrywać się w obraz. Może są tu też i inne znajome mi twarze? Większość sportretowanych stanowili młodzi ludzie. Europejczycy, paru Azjatów. Dziewczęta i chłopcy.

Louise postawiła portret Henryka na ziemi i spróbowała pozbierać myśli. Widok twarzy Henryka był dla niej szokiem.

– Mój syn Henryk kiedyś tu pana odwiedził. Pamięta go pan? – zapytała, pokazując mu obraz.

– Pamiętam. Sympatyczny młodzieniec. Jak się miewa?

– Nie żyje.

Louise podjęła decyzję. Dotarła aż na tę wyspę, do domu malarza, którego kiedyś odwiedził jej syn. Uznała, że może sobie pozwolić na szczerość.

– Został zamordowany w swoim własnym mieszkaniu – powiedziała.

– W Barcelonie? – spytał Adelinho zaskoczonym tonem.

Znów poczuła silne ukłucie zazdrości. Dlaczego wszyscy wiedzieli więcej niż ja? Przecież go wychowałam, opiekowałam się nim aż do dnia, kiedy odważył się postawić swój pierwszy samodzielny krok.

Instynkt podpowiadał jej jednak, że Henryk próbował ją chronić. Kiedyś powiedział, że nigdy, przenigdy nie dopuści do tego, by spotkało ją coś złego. Czyżby dlatego zataił przede mną to, że ma małe mieszkanie w Zaułku Chrystusa?

– Nie wiadomo tak naprawdę, co się stało – podjęła rozmowę. – Sama próbuję się tego dowiedzieć, dlatego podążam jego śladami.

– I to one panią do mnie przyprowadziły?

– Tak. Henryk tu był. Namalował pan jego portret. Podejrzewam też, że opowiedział mu pan wszystko to, co ja dziś usłyszałam.

– Zapytał mnie o to.

– Skąd mógł wiedzieć, że pan coś takiego przeżył?

– Z plotek.

– Ktoś musiał mu o panu opowiedzieć, a potem pan komuś opowiedział o nim. Tak właśnie rozchodzą się informacje zwane

plotkami.

Adelinho nie odpowiedział, więc Louise mówiła dalej. Nie zastanawiała się nad pytaniami, które same wypadały z jej ust.

– Kiedy Henryk tu był?

– Niedawno. Namalowałem ten obraz niedługo po jego wizycie. O ile dobrze pamiętam, odwiedził mnie, zanim przyszły deszcze.

– Jak się tu dostał?

– Tak samo jak pani. Przywiózł go pułkownik.

– Przyjechał sam?

– Sam.

Louise zastanowiła się, czy naprawdę tak było. Może koło Henryka kręciła się jakaś nieznana, tajemnicza postać?

Adelinho zrozumiał, dlaczego zamilkła.

– Przyjechał sam – powtórzył z naciskiem. – Po co miałbym kłamać? Nie godzi się szargać pamięci zmarłego, kłamiąc nad jego grobem.

– Jak do pana trafił?

– Przez mojego przyjaciela, doktora Raula. Raul jest dumny ze swojego imienia. Odziedziczył je po ojcu, który był na pokładzie tego jachtu, jakże on się nazywał, tego, którym Fidel i jego oddział popłynęli na Kubę, żeby potem walczyć o wolność.

– Granma – wtrąciła Louise.

Adelinho przytaknął.

– Właśnie tak. Podobno jacht był dziurawy i mógł w każdej chwili zatonać. Niedoszli marynarze cierpieli na chorobę morską, musiał to być doprawdy przykry widok. Jednak bardzo mylący. Parę lat później udało im się zmusić Batistę i Amerykanów do ucieczki. Właściwie nie mówili na nich „Amerykanie”, ale „Jankesi”. *Yankees Go Home*, to hasło stało się znane na całym świecie. A dziś nasz rząd

leży przed nimi plackiem. Ale wie pani co? Pewnego dnia prawda wyjdzie na jaw i świat dowie się, że to oni pomagali Belgom, a nawet Portugalczykom trzymać nas pod butem.

– Jak Henryk trafił do doktora Raula? – pytała dalej Louise.

– Raul jest nie tylko znanym ginekologiem uwielbianym przez kobiety, prawdopodobnie jako jedyny traktuje je z należnym szacunkiem. Znany jest również z otwartej nienawiści wobec firm farmaceutycznych i ich laboratoriów testowych. Nie wszystkich i nie wszędzie, bo nawet w ich świecie można czasem się spotkać z dobrą wolą. Jednak doktor Raul jest zdania, że w tej branży zawsze zwycięża chciwość. Żyjemy w czasach, kiedy strumieniom miliardów dolarów pozwala się płynąć, jak chcą, dopuszczając tym samym, by chciwość przejęła hegemonię nad światem. „Hegemonia” to jedno z trudnych słów, których niedawno się nauczyłem. Teraz chciwość wyciąga łapę po lekarstwo na maleńki, siejący śmierć wirus. Zadziwiające, że wciąż nie wiadomo, skąd się wziął, choć wszyscy ogłędnie wiemy, że na początku atakował wyłącznie małpy, a potem zdołał pokonać mur ludzkiego systemu immunologicznego. Nie zrobił tego po to, by nas zniszczyć. Przyświecał mu taki sam cel, jaki przyświeca nam wszystkim.

– Czyli jaki?

– Przetrwanie. Jemu przecież nie chodzi o nic innego. Wirus nie ma sumienia, trudno go więc winić, że nie pojmuje różnicy między dobrem a złem. Jest zaprogramowany tak, by przetrwać i się mnożyć. Tworzy więc nowe odmiany, których jedynym celem również jest przetrwanie. Doktor Raul powtarza, że powinniśmy sobie z tym małym wirusem podać rękę, bo jesteśmy po tej samej stronie. Niestety jest inaczej. Wirus zachowuje się jak pijany kierowca w gęstym ruchu. Zdaniem doktora dzieje się tak dlatego,

że wokół nas szaleje jeszcze jeden wirus, całkiem innego typu. „Wirus chciwości typu A”, tak go nazywa. Rozprzestrzenia się równie szybko i jest tak samo śmiertelny, jak choroba wywoływana przez ten pierwszy. Raul próbuje stawiać czoła chciwości, stara się walczyć z wirusem, który dostaje się do ludzkiego krwiobiegu niezauważony. Ludzi, którym ufa, doktor wysyła do mnie. Chce, żeby usłyszeli, co mam do powiedzenia. Żeby byli świadomi, że w imię medycyny już w latach pięćdziesiątych krojono ludzi żywcem. Wcześniej porywano ich z domów i zarażano strasznymi chorobami, żeby potem używać jak laboratoryjne szczury czy małpy. I bynajmniej nie działo się to pod uciskiem szaleńczego reżimu, jak w Niemczech za Hitlera. To się działo po wojnie i dzieje się również dziś.

– W Xai-Xai?

– Nikt tego nie wie.

– Czy Henryk mógł wpaść na jakiś trop?

– To prawdopodobne. Radziłem mu, by był wyjątkowo ostrożny. Są na tym świecie ludzie, którzy posuną się do wszystkiego, by ukryć straszną prawdę.

– Czy Henryk kiedykolwiek wspominał coś panu o mózgu Kennedy’ego?

– O tym, że mózg prezydenta zaginął? Tak, był bardzo czytany.

– Wyjaśnił, dlaczego tak się tym interesował?

– Nie interesowało go samo zdarzenie. Prezydentów mordowano już wcześniej i pewnie zdarzy się to jeszcze nie raz. Każdy przywódca Stanów Zjednoczonych jest świadom tego, że na świecie są setki ludzi gotowych wycelować w niego broń. Henryka nie interesował też zaginiony mózg. Był ciekaw, w jaki sposób doszło do jego zniknięcia i jak udało się potem to zataić. Sądził, że jeśli uda

mu się odtworzyć tę historię, pozna odpowiedni mechanizm i idąc wstecz, będzie mógł dotrzeć do prawdy. Innymi słowy, miał nadzieję, że jeśli zrozumie, jak utajnia się coś tak ważnego na poziomie światowej polityki, uda mu się potem coś równie ważnego ujawnić.

– Wiem, że w Xai-Xai zobaczył coś, co go nagle zmieniło.

– Obiecał mi, że przyjedzie z kolejną wizytą, ale więcej się nie pokazał. Doktor Raul też nie wiedział, co się z nim stało.

– Uciekł, bo strasznie się czegoś bał.

– Mógł przecież napisać. Dlaczego nie użył żadnego z tych zręcznych elektronicznych wynalazków, żeby szepnąć coś do ucha Raula?

– Ktoś okazał się szybszy i go zamordował.

Zarówno Louise, jak i siedzący naprzeciwko niej mężczyzna wiedzieli, co to oznacza. Żadnego z nich nic już w tej historii nie dziwiło. Louise zrozumiała, że jest już bardzo bliska rozwiązania zagadki śmierci Henryka.

– Musiał się czegoś dowiedzieć, a potem zrozumiał, że oni o tym wiedzą. I wtedy uciekł – powiedział z namysłem Adelinho.

– Jacy „oni”? – spytała Louise.

Malarz pokręcił głową.

– Nie wiem – mruknął.

– Xai-Xai. Mężczyzna, który nazywa się Christian Holloway. Jego ma pan na myśli?

– Nie wiem.

W oddali rozległ się warkot silnika i po chwili na piaszczysty dziedziniec wjechał jeep pułkownika Ricardo. Louise właśnie miała wyjść na werandę, kiedy Adelinho położył jej dłoń na ramieniu.

– Ile ludzi wie, że jest pani matką Henryka? – pytał szeptem.

- W tym kraju? Niewielu.
- Będzie lepiej, jeśli tak pozostanie.
- Czy pan mnie ostrzega?
- Chyba nie muszę.

Pułkownik zatrąbił wściekle. Odjeżdżając, Louise spojrzała za ramię. Adelinho stał na werandzie i odprowadzał ją wzrokiem. Od razu za nim zatęskniła, wiedząc, że już nigdy go nie zobaczy.

Tuż po drugiej po południu wróciła do Maputo tym samym samolotem, z tymi samymi pilotami. Tym razem nie leciał z nią mężczyzna z książką. Na pokład wprowadzono za to młodego chłopaka, tak słabego, że ledwie trzymał się na nogach. Towarzyszące mu kobiety mogły być jego matką i siostrą. Louise od razu pomyślała, że chłopak ma AIDS. Choroba osiągnęła już ostatnie stadium.

Ten widok bardzo ją zdenerwował. Gdyby Henryk żył, za jakiś czas pewnie też byłby w takim stanie, pomyślała. Wtedy ja bym go tak podpierała. A kto podpierałby mnie? Zalała ją nowa fala rozpacz. Kiedy samolot wystartował, zamknęła oczy, w nadziei, że maszyna zaraz się rozbije i pozwoli jej zniknąć. Jednak po chwili ujrzała w dole turkusową wodę. Zaraz znów miała zejść na ziemię. Nie było już powrotu.

Podczas lądowania na rozgrzanym asfalcie lotniska w Maputo Louise była już zdecydowana. Jedynym miejscem, w którym wyraźnie czuła obecność Henryka, było Xai-Xai. Nie wróciła do domu Larsa Håkanssona, nie zadała sobie nawet trudu, żeby zadzwonić do Lucindy. Chciała być sama. Udała się prosto do mieszczącej się na lotnisku wypożyczalni samochodów. Podpisała

stosowną umowę i usłyszała, że auto zostanie podstawione za pół godziny. Obliczyła, że jeśli wyjedzie z Maputo o trzeciej, powinna dotrzeć na miejsce przed zmrokiem. Przewertowała książkę telefoniczną. Znalazła kilku doktorów Raulów, nie mogła jednak stwierdzić, który z nich jest przyjacielem malarza, bo nie podano ich specjalizacji.

W drodze do Xai-Xai o mało nie potrąciła kozy, która ni stąd, ni zowąd pojawiła się na drodze. Louise gwałtownie skręciła i o mały włos nie straciła panowania nad kierownicą. Na szczęście w ostatniej chwili jedno z tylnych kół odzyskało przyczepność na jakimś wyboju i samochód utrzymał się na drodze. Louise zjechała na pobocze, żeby ochłonać. Czuła, że otarła się o śmierć.

Kiedy Louise dojechała do miasta, skręciła w ulicę wiodącą nad morze i zarezerwowała nocleg w hotelu. Dostała pokój na drugim piętrze. Z ulgą zrzuciła z siebie przepocone ubranie i potem długo walczyła z prysznicem, zanim wreszcie udało jej się wykąpać. W końcu zeszła na plażę i kupiła capulane⁶, taką samą, jaką tutejsze kobiety wiązały sobie wokół bioder. Następnie wybrała się na długi spacer, rozmyślając o tym, co opowiedział jej Malarz Delfinów.

Po jakimś czasie zorientowała się, że zrobiło się późno, cienie wydłużyły się, a słońce prawie zaszło. Wróciła do hotelu i zjadła kolację w restauracji. Na małej scenie w rogu lokalu siedział albinos i grał na instrumencie przypominającym ksylofon. Louise upiła łyk wina, które okazało się zwietrzałe i na dodatek rozcieńczone. Oddała butelkę i poprosiła o piwo. Patrząc, jak księżyc odbija się w wodzie, poczuła nagłą chęć, by brodzić w ciepłym morzu. Wróciła

jednak do pokoju, zabarykadowała drzwi stołem i zasnęła ze stopami zaplątanymi w podartej moskitierze.

Przyśniło jej się stado koni na tle wietrznego, pogrążonego w śniegu krajobrazu. Artur stał pośrodku pola i pokazywał jej coś palcem. Miał oszronione wąsy. Louise nie mogła pojąć, co ojciec jej pokazuje.

Obudziła się wcześnie rano i poszła prosto na plażę. Ogromna kula słońca powoli dźwigała się z morza. Przez krótką chwilę Louise czuła, że Henryk i Aron są przy niej. Wszyscy troje patrzyli w słońce dopóty, dopóki nie oślepiło ich ostre światło.

Potem wróciła do hotelu, spakowała rzeczy i pojechała do ośrodka Christiana Hollowaya. Na miejscu panował taki sam spokój, jaki zapamiętała z pierwszej wizyty. Czuła się tam jak na cmentarzu. Długo nie wysiadała z samochodu, czekając, aż ktoś się pokaże. Doczekała się tylko kudłatego psa, który węsząc przy ziemi, pokręcił się po placu i sobie poszedł. Pod ścianą jednego z budynków przemknęło coś małego i ruchliwego, być może szczur.

Poza tym wokół nie było żywego ducha. W końcu Louise wysiadła z samochodu, podeszła do pierwszego z brzegu budynku i otworzyła drzwi. Od razu poczuła, że znów znalazła się w świecie chorych i umierających. W jej nozdrza wdarł się zapach, jaki zapamiętała z pierwszej wizyty. Śmierć pachnie kwaśno i zarazem ostro, pomyślała. Potem dochodzi do tego smród rozkładającego się ciała.

Oprócz odoru w powietrzu czuć było również strach. Większość chorych leżała skulona na pryczach i rozłożonych na ziemi matach, tylko najmłodsze dzieci leżały wyprostowane na plecach. Louise zaczęła powoli chodzić wśród chorych, starając się dojrzeć

cokolwiek w gęstym mroku. Zatopiła się w myślach. Kim są ci ludzie? Dlaczego tu są? Czy ktoś specjalnie ich zaraził, skazując na śmierć? Przyszło jej na myśl, że tak właśnie musiały kiedyś wyglądać przytułki dla ludzi uzależnionych od opium. Ale dlaczego Christian Holloway pozwala na to, by jego „pacjenci” konali w takich warunkach? Czyżby był zdania, że wystarczy im zapewnić dach nad głową? Louise nie mogła pojąć, czym kierował się ten człowiek, zakładając ten swój ośrodek.

Nagle się zatrzymała i utkwiała wzrok w leżącym naprzeciw niej mężczyźnie. Umierający patrzył na nią szklistymi oczami. Pochyliła się nad nim i położyła dłoń na jego czole. Nie miał gorączki. Znów ogarnęło ją silne uczucie, że znajduje się w przytułku dla uzależnionych, a nie w miejscu mającym grać rolę hospicjum. Mężczyzna poruszył wargami. Louise pochyliła się nad nim, by lepiej słyszeć. Z jego ust bił straszliwy odór, powstrzymała się jednak i nie odsunęła. Chory powtarzał w kółko tę samą frazę. Nic nie rozumiała, mimo że mrucał i mrucał wciąż to samo zdanie. Zaczynało się na „za”, może „zas”, przez chwilę zdawało jej się, że rozpoznaje słowo „oni”.

W oddali trzasnęły jakieś drzwi. Mężczyzna zareagował tak, jakby go ktoś uderzył. Skulił się, szybko odwracając twarz. Louise dotknęła jego ramienia, na co zwinął się w jeszcze ciaśniejszy kłębek.

Poczuła, że ktoś za nią stoi, i gwałtownie się odwróciła, jakby ze strachu, że zostanie napadnięta. Ujrzała kobietę w mniej więcej tym samym wieku co ona. Nieznajoma miała siwe włosy i okulary.

– Nie wiedziałam, że mamy gościa – odezwała się po angielsku z akcentem, który sprawił, że Louise przeniosła się myślami do swej podróży do Szkocji, tej, podczas której poznała Arona.

– Byłam tu już wcześniej i powiedziano mi, że wszyscy są zawsze mile widziani – powiedziała.

– To prawda – odparła kobieta. – Ale wolimy sami otwierać drzwi naszym gościom. Pokoje są ciemne, pełne niewidocznych progów, można się potknąć i zrobić sobie krzywdę. Chętnie panią oprowadzę.

– Mój syn Henryk kiedyś tu pracował. Poznała go pani?

– Jestem tu od niedawna, ale słyszałam o nim. Wszyscy dobrze go wspominają.

– Próbuję zrozumieć, co tutaj robił.

– To, co my wszyscy. Opiekował się chorymi. Pomagamy tym, którym nikt nie chce pomóc.

Nieznajoma, która nawet się nie przedstawiła, przyjaźnie wzięła Louise za rękę i poprowadziła do wyjścia.

Dotyka mnie delikatnie, ale czuję, że jej pazury są w gotowości, pomyślała Louise.

Wyszły na ostre słońce. Kudłaty pies leżał w cieniu drzewa i ciężko dyszał.

– Chciałabym się spotkać z Christianem Hollowayem – oznajmiła Louise. – Mój syn mówił o nim z dużym szacunkiem. Podziwiał go.

Zrobiło jej się niedobrze na myśl o tym, że skłamała, posługując się imieniem zmarłego syna. Wiedziała jednak, że było to konieczne, by zrobić kolejny krok.

– Jestem pewna, że pan Holloway się z panią skontaktuje – odparła grzecznie kobieta.

– Ale kiedy? Nie mogę tu zostać na zawsze. Czy można jakoś do niego zadzwonić?

– Nigdy nie słyszałam, żeby ktokolwiek umawiał się z nim telefonicznie. Muszę już iść.

– Czy mogę zostać i towarzyszyć pani w pracy?

Kobieta odmownie pokręciła głową.

– To nie najlepszy pomysł. Dzisiaj jest dzień zabiegów.

– Właśnie dlatego – nalegała Louise.

– Jesteśmy odpowiedzialni za chorych. Nie możemy pozwalać każdemu wchodzić, gdzie chce i kiedy chce.

Louise czuła, że nie uda jej się postawić na swoim.

– Czy dobrze zgaduję, że pochodzi pani ze Szkocji? – zapytała.

– Z północy – potwierdziła kobieta.

– Jak pani się tu znalazła?

Nieznajoma się uśmiechnęła.

– Życie czasem prowadzi nas niespodziewaną drogą.

Podążyła Louise ręką na pożegnanie, dając do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca. Louise wróciła do samochodu. Pies odprowadził ją tęsknym wzrokiem, zupełnie jakby też chciał stąd odjechać. Ruszając, spojrzała w lusterko wsteczne i ujrzała w nim siwowłosą kobietę. Stała tam i czekała, aż Louise wreszcie sobie pojedzie.

Wróciła do hotelu. W opustoszałej restauracji ten sam albinos wciąż grał na instrumencie przypominającym ksylofon. Pod oknami bawiła się w piasku grupka dzieci. Wyciągnęły skądś dziurawy kubeł na śmieci i uderzały w niego, jakby chciały go wychłostać. Mężczyzna z recepcji uśmiechał się przyjaźnie, ukradkiem czytając mocno zużyty egzemplarz Biblii. Louise poczuła mdłości, wszystko wokół było tak nierealne. Poszła do pokoju i padła na łóżko.

Nagle żołądek gwałtownie odmówił jej posłuszeństwa, zerwała się na nogi i w ostatniej chwili zdążyła do toalety. Potem powlokła

się z powrotem do łóżka, ale ledwie do niego doszła, znów musiała pobiec do ubikacji. Godzinę później miała już gorączkę.

Kiedy zajrzała do niej sprzątaczką, Louise z trudem zdołała jej wytłumaczyć, że jest chora i że chce być pozostawiona w spokoju i jedyne, czego potrzebuje, to butelka wody. Po kolejnej godzinie w drzwiach zjawił się kelner z hotelowej restauracji z małą butelką w ręce. Louise wręczyła mu banknot i poprosiła, by za chwilę wrócił z większą.

Resztę dnia spędziła na wędrówkach między łazienką a łóżkiem. O zmierzchu była już całkiem wyczerpana, mimo to czuła, że choroba ustępuje. Gdy nastał wieczór, z trudem się ubrała. Chciała zejść do restauracji na herbatę. Właśnie miała wyjść z pokoju, kiedy przypomniał jej się szepczący, chory mężczyzna.

Próbował mi coś powiedzieć. Chciał, żebym go wysłuchała. Był chory, z pewnością bardzo cierpiał, ale przede wszystkim był przerażony. Kiedy trzasnęły tamte drzwi, odwrócił się, jakby udawał, że nie nawiązał ze mną kontaktu. Mimo to jestem pewna, że próbował mi coś powiedzieć. Widziałam to w jego błyszczących oczach.

Nagle dotarło do niej, jakie słowo powtarzał mężczyzna. „Zastrzyki”. To właśnie szeptał. „Zastrzyki”. Ale czyż zastrzyków nie daje się chorym, żeby ulżyć im w cierpieniu?

Ten człowiek się bał. Chciał mi opowiedzieć o zastrzykach, które budziły w nim przerażenie.

Podeszła do okna i spojrzała na morze. Księżyc chował się za chmurami. Woda połyskiwała czernią, a piasek hotelowej plaży oświetlała samotna mała latarnia.

Louise próbowała przejrzeć ciemności na wskroś, rozpoznać w nich jakieś cienie. Tak właśnie zrobił Henryk, stwierdziła. Co tam

zobaczył? Czyżby szepczącego, umierającego człowieka?

Nazajutrz znów wstała wczesnym rankiem i owinąwszy się kupioną na wyspie chustą, poszła na plażę. Przyglądała się paru łodziom rybackim, które właśnie przybiły do brzegu. Wokół nich tłoczyły się kobiety i dzieci, pomagając przy sortowaniu ryb. Wkładały je do wiaderk wypełnionych lodem, a następnie stawiały je na głowie i odchodziły. Jakiś chłopiec podszedł do Louise i szeroko się uśmiechając, pokazał jej wielkiego kraba.

Spacerowała, brodząc po kostki w ciepłej wodzie. Mokra chusta kleiła jej się do skóry. Weszła na głębszą wodę, przepłynęła kawałek i zanurkowała. Wynurzyła się i była już zdecydowana, co zrobi. Postanowiła wrócić do szepczącego mężczyzny. Nie odejdzie od niego, aż zrozumie, co do niej mówi.

Wróciła do pokoju i zmyła z siebie pod prysznicem morską sól. Przez okno w łazience dopływały dźwięki ksylofonu. On chyba nigdy nie przestaje grać, pomyślała o siedzącym w restauracji albinosie. Przypomniała sobie, że przez białe włosy mężczyzny prześwitywały czerwone plamy oparzeń słonecznych. Podobne miał na policzkach.

Chwilę później zeszła do restauracji. Kelner przywitał ją przyjaznym uśmiechem i podał jej kawę. Skinieniem głowy wskazała grającego mężczyznę.

– Czy on zawsze tu jest? – zapytała.

– Bardzo lubi grać. Idzie do domu późnym wieczorem i zjawia się wcześniej rano. Żona go budzi.

– A więc ma rodzinę?

Kelner spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Dlaczego miałyby nie mieć? Ma dziewięcioro dzieci, a wnuków tyle, że nie potrafi ich zliczyć.

Ja już nie mam rodziny. Po śmierci Henryka nie został mi nikt.

Louise poczuła, że ogarnia ją furia. Wstała i szybko odeszła od stolika, słysząc w głowie jednostajne brzęczenie muzyki.

Wsiadła do samochodu i ruszyła w stronę ośrodka Christiana Hollowaya. Panował jeszcze większy upał niż poprzedniego dnia. Muzykę w głowie Louise zastąpiło głucho dudnienie.

Kiedy dotarła na miejsce, poczuła się, jakby miała *déjà vu*. Wokół falowało to samo rozpalone powietrze, a czarny kudłaty pies wciąż leżał i dyszał pod drzewem. Na placu nie było żywej duszy. Po piasku tańczyła plastikowa reklamówka, popychana słabymi podmuchami wiatru. Louise siedziała za kierownicą, wachlując się dłonią. Czuła, że opuściła ją już wściekłość, a jej miejsce zajęło przykre uczucie bezsilności.

Nocą przyśnił jej się Aron. To był prawdziwy koszmar. Pracowała na wykopaliskach i odkopła szkielet. Od razu wyczuła, że to kości Arona. Walczyła z tym snem, próbowała się z niego obudzić, on jednak nie chciał jej puścić i wciągał ją coraz głębiej. Dopiero kiedy zdawało jej się, że się dusi, gwałtownie się przebudziła.

Nagle z jednego budynku wyszedł jakiś mężczyzna w białym ubraniu. Nie rozglądając się, przeszedł do następnego domu i zniknął za drzwiami. Louise odprowadziła go wzrokiem, wciąż wachlując się dłonią. W końcu wysiadła z auta i poszła prosto do budynku, w którym była poprzedniego dnia. Czarny pies śledził ją wzrokiem.

Wkroczyła w ciemność, stanęła na moment, żeby przyzwycząić oczy do mroku. W pomieszczeniu śmierdziało bardziej niż wczoraj. Oddychała przez usta, chcąc uniknąć mdłości.

Prycza szepczącego mężczyzny była pusta. Chory zniknął. Gdzie on się podział? Louise rozglądała się wokół zrozpaczona. Czyżby pomyliła miejsce? Dzień wcześniej obok mężczyzny leżała kobieta owinięta batikową chustą. Ona wciąż leżała na tej samej pryczy.

Louise zaczęła ostrożnie chodzić między chorymi, uważając, żeby nikogo nie nadepnąć. Nigdzie nie znalazła mężczyzny, więc po chwili wróciła do pustej pryczy. Czyżby go przenieśli? A może zmarł? Wiedziała, że człowiek ciężko chory na AIDS może odejść w każdej chwili, mimo to odniosła wrażenie, że coś jest nie tak.

Już miała ruszyć do drzwi, kiedy poczuła na sobie czyjś wzrok. Rozejrzała się wokół. Chorzy upchnięci byli tak ciasno, że w słabym świetle wyglądali jak skiby ziemi. Tu i ówdzie powoli poruszała się czasem ręka lub noga. Wielu miało twarze nakryte prześcieradłami, jakby chciało być sam na sam ze swoim cierpieniem. Louise czuła wyraźnie, że ktoś jej się przygląda. W końcu w rogu sali zauważyła kucającego mężczyznę. To on na nią patrzył. Powoli się do niego zbliżyła. Był młody, w wieku Henryka, wychudzony, miał twarz pokrytą bliznami, a na głowie widać było łyse placki. Wpatrywał się w nią, nie mrugając. Ledwie widocznym gestem dał jej znać, żeby podeszła jeszcze bliżej.

– Mojżesza już nie ma – szepnął.

Odezwał się po angielsku z południowoafrykańskim akcentem. Tak przynajmniej Louise podejrzewała, po tym jak wysłuchała rozmowy białych współtowarzyszy podróży w drodze z lotniska do hotelu. Uklękła przy chorym, żeby lepiej słyszeć.

– Gdzie on jest? – zapytała.

– Pod ziemią.

– Umarł?

Mężczyzna złapał ją za nadgarstek. Miał uścisk słaby jak u małej dziewczynki. Jego palce były chude, dawno już straciły siłę.

– Zabrali go – wysapał.

– Kto go zabrał?

Przybliżył twarz do twarzy Louise.

– Pani go zabiła – powiedział. – Próbował za panią wołać.

– Nawet nie zrozumiałam, co do mnie mówił.

– Dali mu zastrzyk, a potem go wynieśli. Spał, kiedy po niego przyszli.

– Co się z nim stało?

– Nie mogę tu z panią rozmawiać. Oni nas widzą. Przyjdą po mnie tak samo jak po niego. Gdzie panią znajdzie?

– W hotelu przy plaży.

– Przyjdę, jeśli dam radę. Teraz proszę już iść.

Mężczyzna zwinął się w kłębek i nakrył prześcieradłem. W jego oczach widać ten sam strach, pomyślała Louise.

Kiedy wyszła na słońce, poczuła się tak, jakby upał uderzył ją w twarz. Szybko uciekła w cień pod ścianę budynku.

Kiedyś Henryk podzielił się ze mną spostrzeżeniem związanym z krajami, w których bywa tak potwornie gorąco. Ich mieszkańcy dzielą się nie tylko wodą. W taki sam sposób dzielą się cieniem.

Dłuższą chwilę stała w miejscu, rozmyślając o tym, co powiedział jej ten młody mężczyzna. Czyżby naprawdę miał zamiar przyjść do hotelu? Jak zamierza tam dotrzeć?

Kiedy w końcu ruszyła w stronę samochodu, spostrzegła, że w cieniu obok jej auta ktoś stoi. Był to około sześćdziesięcioletni mężczyzna, może nieco starszy, nie umiała ocenić na odległość. Gdy do niego podeszła, uśmiechnął się przyjaźnie i podał jej dłoń na powitanie.

Od razu go rozpoznała. Przemówił po angielsku, amerykański akcent był niemal niewyczuwalny.

– Nazywam się Christian Holloway – powiedział. – Doniesiono mi, że jest pani matką Henryka Cantora i że Henryk tragicznie zginął.

Louise poczuła się wytrącona z równowagi. Kto mu o tym doniósł?

Holloway zauważył jej zakłopotanie.

– Wiadomości, przede wszystkim te smutne, roznoszą się bardzo szybko. Co spotkało Henryka?

– Został zamordowany.

– Czy to możliwe? – Holloway zrobił zdziwioną minę. – Kto chciałby skrzywdzić człowieka marzącego o lepszym świecie?

– To właśnie próbuję ustalić.

Christian Holloway położył dłoń na ramieniu Louise.

– Zapraszam panią do mojego gabinetu – oznajmił. – Jest tam znacznie chłodniej niż tu.

Poprowadził ją w stronę budynku położonego nieco na uboczu. Czarny pies wiódł za nim wzrokiem.

– Kiedy byłem dzieckiem, spędzałem ferie zimowe u wuja na Alasce – mówił dalej Holloway. – Ojciec wysyłał mnie tam, żebym się zahartował. Właściwie hartował mnie przez całe dzieciństwo. Zdobywanie „żelaznej skóry”, jak się wyrażał, zdawało się dla niego być równie ważne, jak nauka. U wuja zawsze panował potworny ziąb. Dziś jednak dochodzę do wniosku, że zdobyta w dzieciństwie odporność na chłód pozwala mi lepiej znosić tutejsze upały.

Weszli do budynku, który składał się tylko z jednego wielkiego pomieszczenia. Dom zbudowano na podobieństwo afrykańskiej

okrągłej chaty przeznaczonej dla wodza. Christian Holloway zrzucił buty przy drzwiach, jakby wstępował do świątyni, zaprotestował jednak, kiedy Louise chciała zrobić to samo.

Rozejrzała się wokół z uwagą, z jaką zwykła oglądać świeżo odkopany grobowiec, nietknięty od tysięcy lat.

W pomieszczeniu stały meble kolonialne z różnych części świata. W jednym kącie znajdowało się biurko z dwoma monitorami, a na kamiennej posadzce leżał perski lub afgański dywan, na oko bardzo kosztowny.

Louise utkwiała wzrok w jednej ze ścian. Wisiała na niej ikona z Matką Boską, bardzo stara, prawdopodobnie bizantyńska. To niezwykle droga rzecz, jak na to, by tak po prostu wieszać ją na ścianie, pomyślała.

Christian Holloway podążył za jej wzrokiem.

– Madonna z Dzieciątkiem – powiedział. – Ci dwoje towarzyszą mi przez całe życie. Wszystkie religie imitują życie, lecz to, co boskie, ma swoje źródło w tym, co ludzkie. Wyjątkowo urodziwe dziecko można znaleźć w slumsach pod Dhaką lub w Medellin, geniusz matematyczny może przyjść na świat gdzieś w Harlemie jako syn lub córka jakiegoś ćpuna. Świadomość, że Mozarta pogrzebano w zbiorowej mogile dla biedoty, nie powinna być przerażająca, przeciwnie, ona uskrzydla. Wszystko jest możliwe. Tybetańczycy są zdania, że każda religia powinna umieścić swoich bogów pośród ludzi i kazać ludziom ich znaleźć. Zgadzam się z tym. Nie gdzie indziej, ale pośród ludzi, powinniśmy szukać boskiej inspiracji.

Przez całą tę długą przemowę Christian Holloway nie spuszczał wzroku z Louise. Oczy miał niebieskie, przejrzyste i zimne. zaproponował jej, żeby usiadła. Wtem bezszelestnie otworzyły się

jakieś drzwi, w których ukazał się ubrany na biało Afrykanin. Przyniósł tacę z herbatą, postawił ją na stole, po czym tak samo bezgłośnie się oddalił, niczym biała zjawa.

– Wszyscy od razu polubiliśmy Henryka – zmienił temat Holloway. – Był niezwykle pracowity i miał tę rzadką zdolność nieokazywania, być może wręcz nieodczuwania niechęci, jaka zwykle towarzyszy większości młodych i zdrowych ludzi, którzy obcują z chorobą i śmiercią. Nikt nie lubi, żeby przypominać mu, że koniec czeka za rogiem i jest dużo bliżej, niż nam się wydaje. Życie to tragicznie krótka podróż, która tylko w latach młodości zdaje się ciągnąć bez końca. Henryk szybko się przyzwyczaił. No i potem nagle zniknął. Wszyscy się zastanawialiśmy, co się z nim stało.

– Znalazłam go martwego w jego mieszkaniu – powiedziała Louise. – Miał na sobie piżamę, co od razu wzbudziło moje podejrzenie, że został zamordowany.

– Z powodu piżamy? – Holloway zrobił zaskoczoną minę.

– Mój syn zawsze spał nago.

Christian Holloway z namysłem pokiwał głową, wciąż nie spuszczać wzroku z Louise. Przyszło jej na myśl, że ten człowiek sprawia wrażenie, jakby przez cały czas prowadził ze sobą wewnętrzny dialog, na bieżąco analizując to, co widzi i słyszy.

– Też nigdy bym nie uwierzył, że tak młody i pełen żywej energii chłopak odbierze sobie życie.

– Czyż energia nie zawsze jest żywa? – spytała Louise.

– Nie. Wielu ludzi dźwiga jakieś naznaczone śmiercią brzemie, złą, ciężką energię, która powoli odbiera im życie.

Louise nagle postanowiła, że będzie mówić prosto z mostu.

– W życiu Henryka wydarzyło się coś, co go raptownie zmieniło.

– Nikt, kto tu pracuje, nigdy nie powraca jako ten sam człowiek, którym był, zanim do nas przybył. Większość doznaje szoku, niektórzy uciekają, ale spora część jest w stanie zebrać się w sobie i zostać.

– Nie sądzę, by zmianę, jaka zaszła w Henryku, wywołał widok umierających ludzi.

– W takim razie co mogło ją spowodować? Zajmujemy się tu ludźmi, którzy konaliby w samotności, w zrujnowanych chałupach, w przydrożnych rowach albo gdzieś między drzewami. Zwierzęta pożarłyby ich, jeszcze zanim wyzionęliby ducha.

– Mimo to jestem pewna, że Henrykiem wstrząsnęło coś innego – odparła Louise.

– Nie da się w pełni zrozumieć drugiego człowieka, w pełni nie można zrozumieć nawet siebie. Henryk nie był wyjątkiem. Wnętrze każdego człowieka przypomina ten kontynent sprzed stu pięćdziesięciu lat. Zbadano wówczas jedynie wybrzeża i tereny wzdłuż rzek. Cała reszta była jedną wielką białą plamą. Wszystkim się wydawało, że kryje ona góry złota i jakieś dwugłowe stwory.

– Wiem, że Henryka spotkało coś wstrząsającego. Po prostu jeszcze nie wiem, co to było – upierała się Louise.

– Tutaj każdego dnia dzieje się coś wstrząsającego. Jedni umierają, na ich miejsce wnoszeni są kolejni chorzy. Mamy tu cmentarz i potrzebnych nam kapłanów. Żaden pies ani dziki zwierz nie gryzie kości naszych zmarłych.

– Zniknął mężczyzna, z którym wczoraj chwilę rozmawiałam. Pewnie umarł w nocy.

– Z jakiejś przyczyny większość chorych odchodzi o świcie. Tłumaczymy sobie, że czekają na pierwsze promienie słońca, które oświecą im drogę w zaświaty.

– Ile razy spotkał się pan z Henrykiem, kiedy tu pracował?

– Rzadko widuję się z ludźmi. Z Henrykiem rozmawiałem dwa, może trzy razy. Nie więcej.

– O czym pan z nim rozmawiał?

– Nauczyłem się rozróżniać między tym, co warte zapamiętania, a tym, co można wyrzucić z pamięci, dlatego nie pamiętam szczegółów rozmów. Ludzie zazwyczaj mówią mało interesujące rzeczy. Nie przypominam sobie, żebym rozmawiał z Henrykiem o czymś ważnym, zapewne wymieniliśmy parę słów o tym, jak trudno wytrzymać upał i jak ciężką mamy tu pracę.

– O nic pana nie wypytywał?

– Nie. Nie był ciekawski.

Louise pokręciła głową.

– To dla mnie dość zaskakujące, bo był jedną z najbardziej dociekliwych osób, jakie znałam. Mówię to szczerze, mimo że był moim synem.

– Pytania, które nasuwają się w tym miejscu, tkwią na innym, dużo głębszym poziomie – odparł tajemniczo Holloway. – Gdy przebywa się przez dłuższy czas w otoczeniu śmierci, właściwie wszystkie pytania sprowadzają się do sensu życia, sensu doczesnego świata, sensu wszystkiego. Te pytania każdy zadaje sobie sam, w milczeniu, z czasem dochodząc do wniosku, że życie polega na stawianiu oporu. A na koniec i tak będą nas toczyć mrówki.

– Mrówki? – zdziwiła się Louise.

– Parę lat temu spędziłem kilka miesięcy w małej wiosce w północno-zachodniej Zambii. Dawniej w wiosce mieszkali mnisi franciszkańscy, ale potem, w latach pięćdziesiątych, przenieśli się na południe i osiedlili w rejonie między Solwezi a Kitwe. Zostawili zabudowania, które zajęła pewna para z Arkansas, chcąc stworzyć

tam coś w rodzaju duchowej oazy, niezwiązanej z żadną religią. Tam zetknąłem się z mrówkami nomadnymi. Słyszała pani o nich?

– Nie.

– Zdziwiające, jak mało ludzi o nich wie. Słowo „drapieżnik” wszystkim nam kojarzy się z dużym zwierzęciem. Może niekoniecznie bardzo dużym, ale z pewnością większym niż mrówka. Jednej nocy byłem tam sam, nie licząc strażników, i nagle obudziły mnie jakieś krzyki i walenie w drzwi. Wybiegłem i zobaczyłem, że strażnicy biegają dookoła z pochodniami i tu i tam podpalają trawę. Nie mając pojęcia, co się kroi, wyszedłem boso i od razu poczułem palące ukąszenia. Strażnicy wyjaśnili mi, że zaatakowała nas armia mrówek nomadnych, która po prostu szła przed siebie, a my znaleźliśmy się na trasie jej przemarszu. Mrówki zjadają wszystko, co stanie im na drodze, i niczym nie da się ich powstrzymać. Wzniecając ogień, można jedynie skłonić je do obejścia przeszkody. Szybko wciągnąłem kalosze i wybiegłem z latarką. Wokół nas maszerowały miliony mrówek, jedna przy drugiej, w idealnych formacjach. Nagle z kurnika dobiegło nas potworne gdakanie. Strażnicy pobiegli tam, chcieli wygonić kury, żeby je uratować, ale było za późno. Ptaki próbowały się bronić, zjadając mrówki, ale te żyły dalej w ich żołądkach i pożerały je od środka. Nie ocalała ani jedna kura. To był straszliwy widok. Oszalałe z bólu ptaki biegały w kółko. Potem często o tym myślałem. Próbowały się bronić, a ściągnęły na siebie bolesną śmierć.

– Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, jakie to uczucie być ukąszonym przez tysiąc mrówek – powiedziała Louise.

– Nikt nie jest w stanie sobie tego wyobrazić. Jednemu ze strażników taka mrówka weszła do ucha i gryzła go w błonę bębenkową. Wrzeszczał wniebogłosy, aż złapałem butelkę whisky,

wlałem mu alkohol do ucha i utopiłem owada. To była jedna mrówka, która miała mniej niż pół centymetra.

– Czy one żyją w tym kraju?

– Można je spotkać na całym kontynencie, ale pokazują się tylko po ulewnych deszczach.

– Przyznam, że trudno mi pojąć metaforę życia jako męczarni z mrówkami w brzuchu.

– Pomyślałem o tym, patrząc na tamte cierpiące kury. Człowiek sam dopełnia tragedii życia. Koniec nie przychodzi z zewnątrz.

– Nie zgadzam się z panem.

– Jestem świadom, że istnieją bogowie na sprzedaż, którzy pojawiają się, gdy cierpienie jest zbyt wielkie. Jednak ta droga nigdy mi nie odpowiadała. Nie znalazłbym w niej pociechy.

– Zamiast tego próbuje pan odpędzić mrówki najdalej, jak się da? Christian Holloway potaknął.

– Zaczyna mnie pani rozumieć. Oczywiście nie łudzę się, że będę w stanie odsunąć od siebie to, co ostateczne. Śmierć stale nam towarzyszy, idzie z nami przez życie krok w krok. Tak naprawdę pierwszym przystankiem w tej podróży ku śmierci jest szpitalna sala, w której przychodzą na świat niemowlęta.

– Opowiedział pan Henrykowi o mrówkach?

– Nie. Był na to za słaby. Dręczyłyby go potem koszmary.

– Henryk nie był słaby – zaprotestowała Louise.

– Postrzegamy nasze dzieci inaczej, niż widzą je inni. Dobrze o tym wiem, bo sam jestem ojcem. Mimo to nie potrafię odpędzić myśli, że ten nasz świat nie ma sensu.

– Czy pana dzieci też tu są?

– Nie. Troje mieszka w USA, a jedno nie żyje. Straciłem syna, podobnie jak pani.

– A więc wie pan, jak bardzo to boli.

Christian Holloway przyglądał jej się długą chwilę, prawie nie mrugając. Jest jak jaszczurka, pomyślała Louise. Lub jakiś inny gad. Zadrżała.

– Zimno pani? – zareagował gospodarz. – Mam zwiększyć temperaturę?

– Nie trzeba, to ze zmęczenia.

– Tak, świat jest doprawdy męczący. Stary i koślawy, zwijający się w reumatycznych bólach, mimo że gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie raczkują dzieci. Choć otaczają nas niemowlęta, my dwoje siedzimy tu i płaczemy za dwójką młodych, którzy zdecydowali się odejść przed czasem.

Minęło parę długich sekund, nim słowa Hollowaya dotarły do Louise.

– Czy pana syn też odebrał sobie życie? – spytała zdziwiona.

– Mieszkał z matką w Los Angeles. Pewnego dnia, kiedy był sam w domu, spuścił wodę z basenu, a potem wdrapał się na trampolinę i skoczył. Jeden ze strażników słyszał, jak krzyczy. Nie zginął na miejscu, ale kiedy przyjechała karetka, było już po nim.

W drzwiach znów pokazał się mężczyzna w białym ubraniu. Dał Christianowi Hollowayowi jakiś znak, na co ten wstał.

– Ktoś potrzebuje mojej rady – oznajmił. – Czasem to jedyne, co można zaoferować drugiemu człowiekowi. Wysłuchać go i być może udzielić jakiejś wskazówki. Zaraz wracam.

Louise podeszła do ściany, żeby przyjrzeć się z bliska ikonie. Wyglądała na oryginał, autentyczne dzieło sztuki. Po namyśle doszła do wniosku, że malowidło musiało wyjść spod pędzla jakiegoś greckiego mistrza w XII lub XIII wieku. Niezależnie od tego, jak

Christian Holloway wszedł w posiadanie ikony, musiała go kosztować majątek.

Zacząła przechadzać się po pokoju, po chwili stała przy biurku. Wygaszacze ekranu na monitorach przedstawiały delfiny wyskakujące z turkusowej wody. Jedna z szuflad biurka była na wpół wysunięta.

Nie mogąc się oprzeć pokusie, Louise odsunęła ją do końca. W pierwszej chwili nie dotarło do niej, co ukazało się jej oczom.

W szufladzie leżał zasuszony mózg. Mały, pomarszczony, prawdopodobnie ludzki.

Szybko zasunęła szufladę, czując, że serce wali jej jak oszalałe. Zasuszony mózg, myślała gorączkowo. Zaginiony mózg Kennedy'ego.

Wróciła na swój fotel i drżącą dłonią sięgnęła po filiżankę z herbatą. Czyżby istniał jakiś związek pomiędzy obsesją Henryka dotyczącą wydarzeń z 1963 roku a tym, co znajduje się w szufladzie biurka Christiana Hollowaya? Spróbowała zachować przytomność umysłu. To zbyt daleko idący wniosek, stwierdziła. Nieprawdziwe elementy układanki z łatwością układają się w nieprawdziwą całość. Nie chciała zachowywać się jak pijany archeolog, na dodatek ogarnięty obsesją. Ten pomarszczony mózg z pewnością nie ma nic wspólnego z Henrykiem. Postanowiła nie dopuszczać do siebie tej myśli, dopóki nie zgromadzi więcej informacji.

Chwilę później wrócił Christian Holloway.

– Najmocniej panią przepraszam – powiedział. – Przykro mi, że musiała pani tyle czekać.

Patrzył jej prosto w oczy i szeroko się uśmiechał. Tknięta przecuciem Louise doszła do wniosku, że gospodarz wie o jej

spacerze po pokoju. Może obserwował ją przez specjalny otwór w ścianie albo ma tu gdzieś zamontowaną kamerę? Widział, jak obserwuję ikonę, a potem jak podchodzę do biurka i wyciągam szufladę. Może specjalnie wysunął ją do połowy, żeby mnie skusiła? Pewnie wyszedł pod fałszywym pretekstem, żeby móc mnie podejrzec.

– Być może i mnie będzie mógł pan doradzić – odezwała się z udawanym spokojem.

– Chętnie spróbuję – odparł Holloway.

– Chodzi o Henryka i o pańskiego syna. Pan i ja dzielimy los, którego obawia się każdy rodzic.

– Steve targnął się na swoje życie kierowany furią i bezradnością. Henryk usnął w swoim łóżku, o ile dobrze zrozumiałem. Steve wykrzyczał swój żal, a Henryk zamknął go w sobie. To dwie różne drogi.

– Mimo to wiodą do jednego celu.

Steve. Coś mi mówi to imię. Gdzieś się już na nie natknęłam, ale nie pamiętam kiedy i gdzie. Steve Holloway? Nie mogę sobie przypomnieć.

– Po tym, jak Steve odebrał sobie życie, ja i jego matka przeżyliśmy potworną tragedię – mówił dalej Holloway. – Nawet jego ojczym, który go szczerze nie znosił, okazał głęboki smutek podczas pogrzebu. Samobójstwo bliskiej osoby wzbudza szczególny rodzaj wyrzutów sumienia. Wszyscy się zastanawialiśmy, dlaczego nie zauważyliśmy zbliżającej się katastrofy, dlaczego jej nie zapobiegliśmy.

– Podejrzewał pan, że to może się stać?

– Byliśmy w szoku, podobnie jak wszyscy inni, którzy znali Steve'a. Nikt nie mógł w to uwierzyć.

– Ja szukam jakiegoś śladu, choćby cienia znaku. Gdybym była religijna, powiedziałabym, że czekam na znak od Boga, który zapewni mnie, że istnieje jakieś wyjaśnienie tego, co się wydarzyło.

– Bogowie zabierają do siebie dużo wcześniej tych, których najmocniej kochają. Może Henryk był właśnie kimś takim?

– Nie wierzę w żadnego boga. Henryk też był niewierzący.

– Tak pocieszają się ci, którzy wierzą.

– Czy widział pan, że coś z pańskim synem jest nie tak, że zbliża się katastrofa?

– Śmierć Steve’a spadła na nas niespodziewanie. Podejrzewam, że zdecydował się na samobójstwo nagle, w jednej chwili, i ta myśl mnie przeraża. Po jego śmierci starałem się zrozumieć jak najwięcej na temat tego, dlaczego młodzi ludzie odbierają sobie życie. Wtedy się dowiedziałem, że to, iż samobójca zostawia list pożegnalny, to mit. Zazwyczaj nie zostawiają słowa wyjaśnienia, tylko znaki zapytania i krajobraz po katastrofie.

– Co mogło skłonić Steve’a do samobójstwa?

– Został głęboko zraniony, chyba najgłębiej, jak się da. Gdybym o tym wiedział, być może zdołałbym mu pomóc. Ale on nikomu się nie zwierzył. Ani matce, ani przyjaciołom.

Louise poczuła, że jej rozmówca zmierza do zamknięcia tematu śmierci swojego syna.

– Miałam nadzieję, że mi pan pomoże – powiedziała.

– Nie wiem jak. Jedyne, co można zrobić dobrego w życiu, to realizować dobre uczynki i pracować, choć w przypadku AIDS wszystko, co robimy, to kropla w morzu. Nigdy nie zostaną wyłożone wystarczająco duże pieniądze, by ulżyć chorym w cierpieniu i zwalczyć epidemię. Henryk był pełen chęci, by zrobić

co w jego mocy, kiedy tu do nas przybył. Naprawdę nie wiem, co pociągnęło go na drugą stronę.

Nic go donikąd nie pociągnęło. Nie włożył piżamy i nie opróżnił opakowania tabletek z rozpacz. Nie mówisz mi wszystkiego, co wiesz.

Po krótkim namyśle Louise doszła do wniosku, że może jest całkiem odwrotnie, że Christian Holloway nie wie nic więcej i to on od niej próbuje się czegoś dowiedzieć, odpowiednio konstruując pytania. Pyta się o to, czego się nie wie, nie na odwrót, pomyślała.

Nie chciała przebywać dłużej w tym miejscu. Christian Holloway i jego podejrzanе otwory w ścianach napawały ją lękiem. Wstała.

– Nie będę panu zabierać czasu – powiedziała.

– Przykro mi, że nie mogę pomóc.

– Próbował pan, to się liczy.

Wyprowadził ją na zewnątrz. W palącym słońcu podeszli razem do samochodu.

– Proszę jechać ostrożnie. I niech pani pije dużo wody – poradził jej na pożegnanie. – Wraca pani do Maputo?

– Jeszcze nie wiem. Być może zostanę do jutra.

– Hotel na plaży w Xai-Xai jest dość skromny, ale przeważnie czysty. Niech pani nie zostawia w pokoju nic cennego, nie chowa niczego pod materacem.

– Zostałam już raz napadnięta w Maputo. Od tego czasu jestem bardzo ostrożna i mam oczy dookoła głowy.

– Czy ktoś panią skrzywdził?

– Nie, oddałam napastnikom to, czego chcieli.

– To biedny kraj. Ludzie kradną, żeby przeżyć. W ich sytuacji robiłbym to samo.

Uścisknąwszy dłoń Hollowaya, Louise wsiadła do samochodu. Czarny pies wciąż leżał w cieniu drzewa.

Ruszając, Louise spojrzała w lusterko wsteczne. Christian Holloway odwrócił się i powoli wracał do swojego domu.

Kiedy dotarła do hotelu, od razu zasnęła. Obudziła się po zmroku.

Skąd ja znam imię Steve? Jestem pewna, że gdzieś się już na nie natknęłam. Chociaż Steve to popularne imię w Ameryce, podobnie jak Eryk w Szwecji albo Kostas w Grecji.

Zeszła do restauracji, żeby coś zjeść. Albinos siedział pod ścianą i grał na swoim instrumencie. Do stolika podszedł ten sam kelner co poprzedniego dnia. Na pytanie Louise odpowiedział, że instrument nazywa się timbila.

Po jedzeniu zdecydowała, że posiedzi jeszcze przy stoliku. Wokół stojącej na blacie lampki krążyły nocne owady. W lokalu było niewielu gości, paru mężczyzn pijących piwo i kobieta z trójką dzieci, jedzący w milczeniu kolację. Louise odstawiła na bok zamówioną wcześniej kawę i poprosiła o lampkę wina. Kiedy wybiła dziesiąta, albinos przestał grać, przewiesił sobie instrument przez ramię i zniknął w ciemności. Kobieta uregulowała rachunek, wstała i oddaliła się kołyszącym krokiem; z uwieszonymi u boków dziećmi wyglądała jak łódź ratunkowa otoczona bojami. Mężczyźni jeszcze chwilę rozmawiali, ale w końcu i oni sobie poszli. Widząc, że kelner zaczyna sprzątać, Louise też zapłaciła i wyszła, kierując się w stronę plaży. Powierzchnia wody lśniła w świetle samotnej latarni.

Gwizdnięcie było cichutkie, ale Louise usłyszała je natychmiast. Rozejrzała się wokół, błędząc wzrokiem po cieniach poza zasięgiem światła latarni. Rozległo się drugie gwizdnięcie, równie ciche.

Wtedy go zauważyła. Siedział na łódce odwróconej do góry dnem. Na widok mężczyzny Louise pomyślała o papierowych wycinankach z torby Henryka. Jego profil wydawał się podobnie wykrojony z ciemności.

Ześlizgnął się z łódki i dał jej znak, by podążyła za nim. Ruszył w stronę zrujnowanego domku, który najwyraźniej służył kiedyś za sklepik plażowy. Louise widziała sklep w ciągu dnia, zwróciła wtedy uwagę na resztki napisu nad wejściem. „Lisboa”.

Kiedy podeszła bliżej, zobaczyła, że w środku pali się małe ognisko. Mężczyzna kucnął w świetle płomieni, po czym położył się na rozścielonych na ziemi gałęziach. Louise usiadła naprzeciw niego. W skąym świetle dostrzegła, jak bardzo jest wychudzony. Skóra jego twarzy wydawała się mocno naciągnięta na kości policzkowe, na czole była jakaś niezagojona rana.

– Nie musi się pani martwić, nikt pani nie śledził – wyszeptał nieznajomy.

– Skąd pan to wie?

– Długo się pani przyglądałem w ciemności. – Wskazał brodą na zewnątrz. – Inni też ciągle obserwują.

– Jacy inni?

– Przyjaciele.

– Co chce mi pan opowiedzieć? Nawet nie wiem, jak się pan nazywa.

– Ja wiem, że pani nazywa się Louise Cantor.

Chciała zapytać, skąd mężczyzna zna jej nazwisko, zrozumiała jednak, że zamiast odpowiedzi zobaczy jedynie kolejny gest w ciemności.

– Trudno mi się rozmawia z ludźmi, kiedy nie wiem, jak mają na imię – upierała się.

– Jestem Umbi. Ojciec dał mi imię po swoim bracie, który zginął w młodości podczas pracy w kopalni na południu. Zawalił się chodnik. Nigdy go nie znaleziono. Ja też niedługo umrę. Chcę z panią porozmawiać, bo jedynym sposobem nadania mojemu marnemu życiu jakiegoś sensu jest próba zapobiegnięcia temu, by inni umierali tak samo jak ja.

– Przecież pan ma AIDS.

– Noszę w sobie truciznę. Nawet jeśli spuściliby ze mnie całą krew, ona i tak we mnie pozostanie.

– Ale chyba ktoś się panem zajmuje? – zapytała Louise z wahaniem. – Dostaje pan leki, które hamują rozwój choroby.

– Otrzymuję pomoc od tych, którzy nawet o tym nie wiedzą.

– Nie rozumiem.

Umbi nie odpowiedział, tylko dorzucił kawałek drewna do ogniska. Potem wychylił głowę przez drzwi i cicho zagwizdał w ciemność. Kiedy usłyszał podobny dźwięk, zrobił się spokojniejszy. Louise ogarnęło nieprzyjemne uczucie. Mimo że dobrze o tym wiedziała, dopiero teraz do niej dotarło, że siedzący naprzeciwko mężczyzna jest umierający. Zrozumiała, że Umbiego wkrótce już nie będzie, a jego skóra rozpadnie się na kawałki.

– Możesz, ten, z którym pani rozmawiała, nie powinien był się do pani odzywać. Mimo że była pani sam na sam z chorymi, ktoś was obserwował. Oni wszystko widzą. Umierający nie mają prawa do tajemnic.

– Dlaczego tak pilnują chorych i tych, którzy ich odwiedzają? Czy obawiają się, że mogłabym coś ukraść umierającym? Biednym ludziom, którzy znaleźli się w ośrodku Christiana Hollowaya dlatego, że niczego nie posiadają?

– Mojżesza zabrali nad ranem. Weszli, dali mu zastrzyk, zaczęli, aż umrze, i wynieśli go, owiniętego w prześcieradło.

– Dali mu zastrzyk, od którego umarł? – spytała zaszokowana Louise.

– Powtarzam to, co widziałem. Nic poza tym. Chcę, żeby pani komuś o tym opowiedziała.

– Kto dał mu ten zastrzyk? Któraś z tych bladych dziewcząt z Europy?

– One nie wiedzą, co się tam dzieje.

– Ja też nie.

– Właśnie dlatego przyszedłem. Chcę pani o tym opowiedzieć.

– A ja przyjechałam tu dlatego, że mój syn kiedyś pracował w tym ośrodku. Teraz już nie żyje. Miał na imię Henryk. Pamięta go pan?

– Jak wyglądał?

Gdy Louise opisywała Henryka, gardło zaciskało jej się z żalu.

– Nie, nie pamiętam go – odparł Umbi. – Być może jeszcze wtedy nie odnalazł mnie Archanioł.

– Archanioł? – zdziwiła się Louise.

– Tak na niego mówimy. Nikt nie wie, kim jest ani skąd przychodzi, ale musi być bliskim współpracownikiem Christiana Hollowaya. To bardzo miły, łysy mężczyzna, który przemawiając w naszym języku, obiecywał nam, że dostaniemy to, czego nam najbardziej brakuje.

– Czyli co?

– Szansę na ucieczkę od nędzy. Ludzie tacy jak pani często myślą, że prawdziwi nędzarze nie zdają sobie sprawy ze swojego położenia. Zapewniam panią, że jest inaczej. Archanioł tłumaczył nam, że zwraca się właśnie do nas, bo dostrzegł, że nasze cierpienie jest

większe od cierpienia innych. Kazał starszyźnie w naszej wiosce wskazać dwadzieścioro ludzi. Trzy dni później przyjechała po nich ciężarówka. Za pierwszym razem się nie załapałem, ale kiedy Archanioł wrócił, stanąłem z samego przodu i zostałem wybrany.

– Co się stało z tymi, których zabrała pierwsza ciężarówka?

– Archanioł powiedział, że zostaną jeszcze przez jakiś czas w miejscu, do którego ich zabrano. Oczywiście ich rodziny zaczęły się już niepokoić, bo nie miały od nich żadnych wieści. Kiedy Archanioł skończył mówić, wręczył przedstawicielowi starszyny gruby plik banknotów. Nigdy wcześniej w naszej wiosce nie widziano tylu pieniędzy. Było ich tak wiele, jakby nagle tysiąc robotników wróciło po wielu latach pracy w kopalniach na południu i wszyscy pokazali swoje oszczędności. Parę dni później znów przyjechała ciężarówka i wtedy byłem jednym z tych, którzy wdrapali się pod plandekę. Czułem się jak wybraniec. Miałem nadzieję, że nareszcie uda mi się wyrwać z biedy, która nawiedzała mnie nawet w snach.

Umbi zamilkł i wsłuchał się w ciemność. Do uszu Louise docierał jedynie jednostajny szum morza i pohukiwanie jakiegoś nocnego ptaka. Odniosła wrażenie, że Umbiego coś zaniepokoiło, nie wiedziała jednak, co to mogło być.

Mężczyzna zagwizdał cicho i znów wyteżył słuch. Nie odpowiedział mu żaden dźwięk. To, co działo się wokół, wydawało się Louise zupełnie nierzeczywiste. Co ona właściwie robiła w środku nocy przy ognisku z jakimś gwizdzącym mężczyzną? Otaczająca ją ciemność zdawała się nieprzenikniona. Nie była to wyłącznie ciemność nocy, ale i mrok, jaki Louise nosiła w sobie. Mrok, który zapanował w niej po śmierci Henryka i po zniknięciu Arona. Nagle zachciało jej się wrzeszczeć, przekrzyczeć wszystko, co

działo się wokół niej, czego nie rozumiała i czego również nikt inny zdawał się nie pojmować.

Pewnego wieczoru, całkiem niedawno, stałam przed domem na Peloponezie i paliłam papierosa. W domu obok czekały psy, z okien sąsiedniego budynku płynęła muzyka. Miałam nad sobą rozgwieżdżone niebo. Nazajutrz miałam polecieć do Szwecji, żeby wygłosić wykład o starożytnej ceramice i o znaczeniu tlenku żelaza dla czerwonego i czarnego koloru. Stojąc tak, pomyślałam, że mój związek z Vassilisem właśnie dobiegł końca. Cieszyłam się na spotkanie z Henrykiem. Noc była ciepła, dym z papierosa unosił się pionowo w górę. Teraz, parę miesięcy później, moje życie przypomina ruiny. Czuję wyłącznie pustkę i strach przed tym, co ma nastąpić. Żeby to jakoś przetrzymać, daję wyraz swojej wściekłości. Całkiem możliwe, nie przyznałam się do tego nawet przed sobą, że szukam ludzi odpowiedzialnych za śmierć Henryka, żeby ich zabić. Ten, kto podniósł rękę na mojego syna, wydał na siebie wyrok śmierci. Jest odpowiedzialny nie tylko za śmierć Henryka, ale też za moją.

Umbi podniósł się z trudem, prawie się przy tym przewrócił. Louise zerwała się, żeby mu pomóc, on jednak tylko pokręcił głową.

Ponownie zagwizdał, ale i tym razem odpowiedziała mu cisza.

– Zaraz wracam – powiedział.

Zrobił krok naprzód i po chwili zniknął w ciemności. Louise dorzuciła szczapę do ognia. Kiedy była małą dziewczynką, Artur nauczył ją, jak rozpalać ognisko i pilnować, żeby nie zgasło. Ojciec powtarzał, że sztukę tę potrafią opanować tylko ci, którzy wiedzą, czym jest prawdziwe zimno. Potem tego samego nauczył Henryka. Louise uświadomiła sobie, że w życiu stale towarzyszyły jej płonące ogniska. Nawet Aron odpowiadał czasem na zew przygody,

szkował termos z kawą oraz plecak i zmuszał ją, żeby towarzyszyła mu w wyprawach do lasu lub w góry. W takich chwilach zwykł mówić, że zrywa z komputerami raz na zawsze i rozpoczyna życie na łonie natury. Tak, ogniska od początku oświetlały ścieżkę mojego życia, podsumowała. Nie umiem żyć bez miłości i drewna, które podtrzymuje ogień.

Mijały minuty, a Umbiego wciąż nie było. Louise zaczął ogarniać niepokój. To, że nikt nie odpowiedział na gwizdnięcie, mogło oznaczać nadciągające niebezpieczeństwo.

W jednej chwili poczuła się zagrożona. Wstała i wycofała się poza krąg światła z ogniska. Stało się coś złego, stwierdziła, wstrzymując oddech. Wyteżyła słuch, ale słyszała tylko bicie własnego serca. Cofnęła się jeszcze o parę kroków. Otaczało ją morze ciemności. Po omacku zaczęła kierować się w stronę hotelu.

Nagle potknęła się o coś miękkiego. Jakieś zwierzę, pomyślała ze wstrętem. Wsunęła dłoń do kieszeni, przypomniawszy sobie, że powinna mieć w niej zapałki. Kiedy zapaliła jedną z nich, w migotliwym świetle maleńkiego płomyka ujrzała Umbiego. Mężczyzna był martwy. Ktoś podciął mu gardło, niemal oddzielając mu głowę od ciała.

Louise rzuciła się biegiem przed siebie. Dwukrotnie potknęła się i upadła.

Kiedy wreszcie dotarła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi, natychmiast zorientowała się, że ktoś w nim był. Rajstopy leżały w innym miejscu niż wcześniej, a drzwi do łazienki były uchylone. Louise była pewna, że je przed wyjściem zamknęła. Może ktoś wciąż tam jest, pomyślała w panice. Otworzyła ostrożnie drzwi na korytarz, gotowa do ucieczki, jednocześnie otwierając stopą drzwi do łazienki. Nikogo tam nie było.

Była już pewna, że ktoś ją obserwuje. Umbi i jego przyjaciele okazali się niewystarczająco ostrożni. Dlatego Umbi nie żyje.

Louise czuła strach tak obezwładniający, jak przenikliwy chłód. Wrzuciła swoje rzeczy do torby i wyszła z pokoju. Nocny portier w recepcji spał na materacu leżącym pod ścianą, za ladą. Poderwał się z krzykiem, kiedy Louise go zawołała. Uregulowała rachunek, wsiadła do samochodu i odjechała.

Dopiero kiedy znalazła się spory kawałek za Xai-Xai i upewniła się, że nie widzi w lusterku świateł jadącego za nią samochodu, powoli zaczęła się uspokajać.

W międzyczasie zdążyła sobie przypomnieć, gdzie zetknęła się z imieniem Steve.

Aron siedział przy komputerze Henryka, a ja patrzyłam na monitor przez jego ramię. Na ekranie otworzył się artykuł z „New York Times’a”, o mężczyźnie nazwiskiem Steve Nichols, który odebrał sobie życie. Był ofiarą szantażu. Steve Nichols, nie Steve Holloway. Chłopak mieszkał z matką. To ona mogła nosić nazwisko Nichols.

Z elementów układanki zaczął wyłaniać się obraz, którego Louise wcale się nie spodziewała.

Czyżby Henryk został zamordowany w zemście za to, że przez niego Steve Nichols odebrał sobie życie? Czyżby upozorowanie śmierci Henryka na samobójstwo miało być upiornym pozdrowieniem od tego, kto dokonał zemsty?

Louise zaczęła uderzać pięściami w kierownicę i wrzeszczeć na całe gardło, prosto w ciemność. Krzyczała na Arona. Akurat w tej chwili potrzebowała go jak nigdy wcześniej. On jednak uparcie milczał.

Zwolniła, zorientowawszy się, że jedzie za szybko. Uciekała, aby ratować życie, nie żeby zabić się na nieoświetlonych bezdrożach Afryki.

Po drodze bez żadnego ostrzeżenia samochód odmówił posłuszeństwa i stanął. Louise przekręcała kluczyk i wściekle naciskała na pedał gazu, ale niczego to nie zmieniało. Wskaźnik poziomu paliwa zatrzymał się na połowie baku, a wskazówka temperatury utrzymywała się w zielonym polu.

Przyczyna śmierci nieznana, stwierdziła w myślach, czując w sobie wzbierającą mieszankę wściekłości i strachu. Cholerny grat psuje się akurat wtedy, kiedy jest mi najbardziej potrzebny.

Stała bezradnie w ciemności. Wokół nie dostrzegała najmniejszego światełka. Nie miała odwagi otworzyć okna, nie mówiąc o drzwiach. Zepsuty samochód stał się jej pułapką, w której prawdopodobnie będzie tkwiła dopóty, dopóki ktoś nie nadjedzie.

Utkwiła wzrok we wstecznym lusterku, z lękiem wypatrując jakiegokolwiek ruchu i tego, że ktoś nagle wyłoni się z mroku. Wiedziała, że niebezpieczeństwo czai się z tyłu, nie z przodu. Raz po raz próbowała uruchomić silnik, ale rozrusznik kręcił się bez żadnego efektu. W końcu włączyła reflektory i zmusiła się, by wysiąść z auta.

Zalała ją kompletna cisza. Poczowała się tak, jakby ktoś nagle zarzucił jej gruby koc na głowę. Otaczała ją bezdźwięczna, niekończąca się nicość. Jedyne, co słyszała, był jej własny oddech. Zaczepnęła powietrza gwałtownie, jakby przed chwilą się topiła.

Muszę uciekać. Zaraz dopadnie mnie przerażenie. Ten, kto podciął gardło Umbiemu, depta mi po piętach. Czuję, że jest tuż przy mnie.

Podskoczyła i spojrzała za siebie. Nikogo nie było. Po chwili opanowała się na tyle, by zajrzeć pod maskę. Wbiła wzrok w brudne

trzewia samochodu i przypomniała sobie słowa Arona, które wypowiedział na samym początku ich małżeństwa swoim najbardziej szyderczym tonem: „Jeśli nie nauczysz się podstaw działania samochodowego silnika i nie będziesz wiedziała, co możesz sama naprawić, nie powinnaś dostać prawa jazdy”. Louise nigdy się tego nie nauczyła, nienawidziła brudzić się smarem. Przede wszystkim jednak nie zainteresowała się tym tematem na złość Aronowi.

Zatrzasnęła maskę z hukiem, który potoczył się w ciemność jak grzmot.

Jak brzmiała ta kwestia z *Makbeta*, którą tak lubił cytować? „Byli jak dwa działa obciążone podwójnym, grzmiącym ładunkiem”⁷. Taką moc przypisywał sobie Aron. Był przekonany, że nikt nie może się z nim równać. Co by powiedział teraz, kiedy samochód odmówił mi posłuszeństwa w środku nocy, na tym afrykańskim pustkowiu? Czy wygłosiłby jedno ze swoich kazań, w których twierdził, że do niczego się nie nadaje? Robił tak, kiedy był w kiepskim humorze, potem sprzeczałyśmy się bez końca, aż wreszcie zaczęliśmy rzucać w siebie naczyniami.

I tak go kocham, pomyślała, kucając za autem, żeby się wysikać. Próbowałam zastąpić go innymi mężczyznami, ale nic z tego nie wyszło. Czekałam na zalotników jak Porcja⁸. Obskakiwali mnie i prześcigali się w popisach, a w ostatnim akcie i tak każdy został odprawiony. Czy właśnie rozpoczął się mój ostatni akt? Sądziłam, że pożyję jeszcze co najmniej dwadzieścia lat. Od dnia, w którym umarł Henryk, pędem przebyłam całą sztukę i teraz nagle został mi tylko epilog.

Usiadła w aucie i znów utkwiała wzrok we wstecznym lusterku. Z tyłu nie widać było jednak żadnych świateł. Sięgnęła do kieszeni

po komórkę i wybrała numer Artura. „Abonent chwilowo niedostępny”, usłyszała. Wystukała numer do mieszkania Henryka. „Wiesz, co robić”. *You know what to do*. Zaczęła płakać i zostawiła swój szloch jako wiadomość na automatycznej sekretarce. Po tym wszystkim jeszcze raz zadzwoniła do Artura. Tym razem odebrał. Połączenie było zadziwiająco dobre. Louise słyszała jego głos tak wyraźnie, jakby stał obok.

– Gdzie ty jesteś? Dlaczego dzwonisz w środku nocy? Czy ty płaczesz?

– Samochód zepsuł mi się w szczerym polu – wychlipała Louise.

– Jesteś sama?

– Tak.

– Chyba oszalałaś?! Jak możesz jeździć sama po nocy w Afryce? Cholera wie, co cię tam może spotkać! – krzyczał Artur.

– Już mnie spotkało. Padł mi samochód. Mam benzynę w baku, temperatura jest w porządku, nie świeci się żadna kontrolka. Taka sama awaria może mnie spotkać tam, u ciebie, na północy.

– Nie ma nikogo, kto mógłby po ciebie przyjechać? Czy to wynajęty samochód? Jeśli tak, musieli dać ci jakiś numer alarmowy.

– Chcę, żebyś ty mi pomógł. Nauczyłeś mnie gotować, wiesz, jak naprawić magnetofon, umiesz nawet wypychać ptaki.

– Zaczynam się o ciebie poważnie martwić – sapnął Artur. – Jesteś wystraszona.

– Nie jestem wystraszona – skłamała Louise. – Nie płaczę.

W odpowiedzi ojciec wrzasnął tak głośno, że zabolęło ją w uchu.

– Nie kłam mi prosto w twarz! Nawet wtedy, kiedy możesz schować się za telefonem!

– Czy możesz mi pomóc, zamiast na mnie wrzeszczeć?

– Rozrusznik działa? – zapytał Artur już nieco spokojniejszym głosem.

Louise położyła telefon na kolanach i przekręciła kluczyk. Rozrusznik zakręcił.

– Chyba brzmi tak jak powinien – powiedział.

– To dlaczego nie zapala?

– Nie wiem. Czy droga jest dziurawa?

– Jak diabli.

– Więc pewnie obłuzował się jakiś kabel.

Louise ponownie otworzyła maskę, pochyliła się nad silnikiem i krok po kroku robiła to, co kazał jej ojciec. Potem usiadła za kierownicą i spróbowała włączyć silnik. Bez rezultatu.

W tej samej chwili zerwało się połączenie. Wściekła, krzyczała do słuchawki, ale nikt jej nie odpowiadał. Kilka razy z rzędu wystukała numer Artura, lecz słyszała tylko nagranie operatora po portugalsku. W końcu zrezygnowała i uciekła, w nadziei, że ojciec spróbuje się z nią połączyć.

Przez długą chwilę nic się nie wydarzyło. Wnętrze samochodu zalała ciemność. Louise spróbowała jeszcze zadzwonić pod numer telefonu podany w umowie najmu, ale nikt nie odbierał, nie nagrano też żadnego komunikatu.

Nagle coś błysnęło w lusterku wstecznym. Z tyłu nadjeżdżał jakiś samochód. Louise skuliła się ze strachu. Przyszło jej do głowy, by uciec i schować się w mroku, ale nie była w stanie się ruszyć. Auto było coraz bliżej. Kiedy już miała pewność, że w nią uderzy, światła nagle skrzyły i ciężarówka minęła ją z głuchym dudnieniem.

Miała wrażenie, że obok niej przemknął koń bez jeźdźca.

Była to jedna z najdłuższych nocy w życiu Louise. Spędziła długie godziny na wypatrywaniu świateł w lusterkach. Raz po raz bezskutecznie próbowała dodzwonić się do Artura.

Tuż przed świtem odruchowo przekręciła kluczyk. Samochód zapalił jak gdyby nigdy nic. Louise wstrzymała oddech. Silnik działał bez zarzutu.

Był już późny ranek, kiedy wjechała do Maputo. Poboczem znów ciągnęły sznury kobiet o prostych jak struna plecach. Wszystkie dźwigały na głowach wielkie ładunki, a na plecach lub brzuchach niosły owinięte chustami niemowlęta. Sunęły po czerwonej ziemi jak mrówki.

W chaosie ruchu ulicznego i chmurach czarnych spalin, wypluwanych przez ciężarówki i autobusy, Louise z trudem odnalazła drogę do hotelu.

Dotarła wreszcie na miejsce, wykąpała się i przespała parę godzin. Potem udała się prosto do domu Lucindy, nawet nie pomyślała o tym, by zajrzeć do Larsa Håkanssona. Podejrzewała, że Lucinda nadal śpi po pracowitej nocy w barze, uznała jednak, że nie ma wyboru, tylko ona mogła jej w tej chwili pomóc.

Zatrzymała samochód, lecz zanim wysiadła, jeszcze raz spróbowała zadzwonić do Artura. Wsłuchując się w jednostajne buczenie w słuchawce, przypomniała sobie, co kiedyś powiedział.

Ani Bóg, ani diabeł nie chcą mieć konkurencji. To dlatego my, ludzie, wylądowaliśmy w bezpiecznym świecie i czujemy się tu tacy samotni.

Kiedy odebrał, Louise od razu się zorientowała, jak bardzo ojciec jest zmęczony. Pewnie nie spał całą noc, pomyślała. Nigdy by się do tego nie przyznał. Mimo że zabraniał jej kłamać, sam nie odmawiał sobie do tego prawa.

– Co się z tobą dzieje? Gdzie jesteś? – zapytał.

– Nie uwierzysz, ale nad ranem samochód po prostu ruszył. Wróciłam do Maputo.

– Nie cierpię tych cholernych telefonów – warknął.

– Nie mów tak, są fantastyczne.

– Długo zamierzasz tam jeszcze siedzieć?

– Niedługo, ale nie mogę jeszcze wrócić. Pogadamy później, bo zaraz mi wysiądzie bateria.

Rozłączyła się, dostrzegając przed domem Lucinę w turbanie z ręcznika. Wysiadła z samochodu i właściwie dopiero wtedy poczuła, że ta długa noc rzeczywiście dobiegła końca.

Lucinda była zaskoczona.

– Tak wcześnie? – powiedziała.

– To ja powinnam się dziwić. O której pani się położyła?

– Nigdy wiele nie śpiam. A może jestem wiecznie zmęczona, tylko już tego nie zauważam?

Spokojnym gestem odprawiła grupkę małych dzieci, które mogły być jej rodzeństwem, bratankami, siostrzenicami, a może kuzynami. Potem zawołała jedną ze starszych dziewczynek i wydała jej jakieś polecenia. Ta posłusznie osuszyła ścierką dwa plastikowe fotele ogrodowe i przyniosła dwie szklanki z wodą.

Lucinda zauważyła niepokój Louise.

– Czy coś się stało? – spytała. – To dlatego przyjechała pani tak wcześnie?

Louise postanowiła o wszystkim szczerze opowiedzieć. Streściła więc swoją rozmowę z Christianem Hollowayem, spotkanie z Umbim, tragiczne wydarzenia na plaży, w końcu przygodę z samochodem.

– Musieli mnie obserwować – podsumowała. – Może nawet słyszeli moją rozmowę z Umbim. Zabili go, kiedy się zorientowali, że zamierza mi o wszystkim opowiedzieć.

Widziała, że Lucinda wierzy w każde jej słowo, w każdy szczegół jej opowieści. Kiedy zamilkła, dziewczyna długo siedziała w milczeniu. Na dachu domu pojawił się jakiś mężczyzna i zaczął głośno uderzać w kawałek blachy, najwyraźniej próbując coś naprawić. Lucinda krzyknęła do niego parę słów, po których natychmiast zszedł i usiadł w cieniu pod drzewem.

– Jest pani pewna, że Henryk był zamieszany w szantażowanie syna Hollowaya? – zapytała, nie ukrywając zdziwienia.

– Niczego nie jestem pewna – odparła Louise. – Po prostu staram się być obiektywna i myśleć logicznie. Cała ta historia wciąż pozostaje niejasna. Nawet w najgorszych koszmarach nie spodziewałabym się zobaczyć Henryka w roli szantażysty. Przyszłoby to pani do głowy?

– Oczywiście, że nie.

– Potrzebny mi jest komputer z dostępem do internetu. Może uda mi się znaleźć artykuły dotyczące śmierci Steve’a Nicholasa. Kto wie, może w którymś z nich znajdziemy potwierdzenie, że ten chłopak rzeczywiście był synem Christiana Hollowaya. Byłyby to pierwsze pasujące do siebie elementy.

– Jakie elementy?

– Sama dobrze nie wiem, ale wydarzenia związane ze śmiercią Henryka muszą się jakoś logicznie łączyć. Jest mi obojętne, od której strony zacznę je składać w całość. Na razie tylko drepczę w miejscu. Raz mi się wydaje, że coś rozumiem, ale po chwili znów wszystko przestaje do siebie pasować.

Lucinda wstała.

– Niedaleko stąd jest kafejka internetowa. Byłam tam kiedyś z Henrykiem. Szybko się ubiorę i zaraz tam pójdziemy.

Wbiegła do domu. Dzieci stały nieopodal i przyglądały się Louise z zaciekawieniem. Uśmiechnęła się do nich, a one odwzajemniły uśmiech, błyskając białymi ząbkami. Łzy napłynęły jej do oczu. Dzieci wciąż się uśmiechały.

Louise wytarła oczy na widok nadchodzącej Lucindy. Przecięły ulicę o nazwie Lenin. Po paru krokach Lucinda zatrzymała się przed piekarnią, dzielącą budynek z małym teatrem.

– Powinam była zaproponować pani śniadanie – powiedziała.

– Nie jestem głodna.

– Oczywiście, że pani jest, tylko nie chce się do tego przyznać. Nigdy nie zrozumiem, dlaczego biali ludzie nie umieją mówić szczerze o drobnych sprawach życiowych. Że dobrze spali, że zjedli, że marzą o tym, by włożyć czyste ubranie.

Lucinda weszła do piekarni i chwilę później wyszła z papierową torebką. Były w niej dwie spore bułki. Wzięła jedną, a drugą podała Louise.

– Miejmy nadzieję, że pewnego dnia wszystko, co w tej chwili zaprzęta nasze umysły, doczeka się wyjaśnienia – powiedziała, wgrzyzając się w ciasto.

– Umbi był drugim martwym człowiekiem, jakiego widziałam w życiu – odparła Louise. – Pierwszym był Henryk. Czy ludzie nie mają sumienia?

– Niewielu ludzi je ma. Biedni go nie mają, bo ich na nie nie stać, a bogaci, bo się boją, że sumienie będzie ich kosztowało.

– Henryk miał sumienie. Odziedziczył je po mnie.

– Henryk niewiele różnił się od innych.

Louise zareagowała krzykiem:

- Henryk nie był taki jak wszyscy!
- Był dobrym człowiekiem.
- O wiele więcej niż tylko dobrym człowiekiem.
- Czy można być kimś więcej niż dobrym człowiekiem?
- Chciał, żeby innym ludziom żyło się lepiej.

Lucinda zacisnęła zęby z głośnym kłapnięciem, zatrzymała się i zaciągnęła Louise pod markizę wiszącą nad wejściem do sklepu z butami.

– Mimo to był podobny do innych – syknęła. – Nie zawsze dobrze się zachowywał. Dlaczego mi to zrobił? Niech mi pani powie!

– Nie rozumiem, o co pani chodzi – odpowiedziała zaskoczona Louise.

– Zaraził mnie HIV. Mam to od niego. Zaprzeczyłam, kiedy pani o to zapytała, bo było mi pani żal, dość się już pani nacierpiała. Ale nie mogę tego dłużej ukrywać. Było tak, jak powiedziałam. Chociaż pewnie sama się już pani tego domyśliła.

Louise nie protestowała, w głębi ducha czując, że Lucinda powiedziała prawdę. Domyśliła się wszystkiego wkrótce po tym, jak się spotkały. Henryk ukrywał prawdę o swoim stanie zdrowia, nigdy nie powiedział jej też o mieszkaniu w Barcelonie. A teraz, kiedy jej syn już nie żył i ona sama uważała siebie za martwą, musiała z żalem przyznać, że wcale go nie znała. Nie miała pojęcia, kiedy w Henryku zaszły zmiany, pewnie następowały stopniowo, tak że Louise niczego nie zauważyła. On zaś widocznie nie chciał, żeby odkryła, iż stał się zupełnie innym człowiekiem.

Lucinda ruszyła przed siebie. Nie oczekiwała od Louise odpowiedzi. Strażnik pilnujący sklepu z obuwem odprowadził je

zaciekawionym spojrzeniem. Louise była tak zdenerwowana, że podeszła do niego i rzuciła po szwedzku:

– Co się pan tak gapi? Kochamy się. Jesteśmy przyjaciółkami. Kłócimy się, ale i tak się kochamy.

Potem dogoniła Lucindę i wzięła ją za rękę.

– Nie wiedziałam – szepnęła.

– Myślała pani, że to ja go zaraziłam. Uznała pani za oczywiste, że śmiertelną chorobę przekazała mu czarna dziwka.

– Nigdy nie myślałam o pani jako prostytutce.

– Biali mężczyźni uważają, że czarne kobiety są zawsze dostępne. Wszędzie i o każdej porze. Kiedy czarna, śliczna, dwudziestoletnia dziewczyna mówi białemu grubasowi, że go kocha, on całkowicie jej wierzy, bo jest święcie przekonany, że jego władza jest nieograniczona w tak biednym afrykańskim kraju. Henryk powiedział mi, że tak samo jest w Azji.

– Henryk też nigdy nie uważał pani za prostytutkę.

– Szczerze mówiąc, wcale nie jestem tego pewna.

– Proponował pani pieniądze?

– Nie musiał. Wielu białych mężczyzn jest zdania, że powinniśmy im dziękować za to, że pozwalają nam rozłożyć przed nimi nogi.

– To ohydne.

– Mogę pani opowiedzieć rzeczy o wiele ohydniejsze, o ośmiu i dziewięciuletnich dziewczynkach.

– Nie chcę tego słuchać.

– Henryk chciał. Jakkolwiek ohydna byłaby to historia, on zawsze chciał wiedzieć. „Chcę wiedzieć, by zrozumieć, dlaczego nie chcę wiedzieć”. Tak mówił. Na początku myślałam, że po prostu

próbuję być oryginalny. Potem zrozumiałam, że naprawdę tak myślał.

Lucinda się zatrzymała. Stały przed kafejką internetową urządzoną w nowo wyremontowanym budynku. Na chodniku naprzeciw wejścia jakieś kobiety rozłożyły trzcinowe maty, a na nich towary do sprzedania. Lucinda kupiła od nich parę pomarańczy, po czym weszły do środka. Louise próbowała zatrzymać ją jeszcze chwilę na zewnątrz, żeby dokończyć rozmowę.

– Nie teraz – zaprotestowała Lucinda. – Jeszcze do tego wrócimy. Po prostu chciałam, żeby pani знаła prawdę.

– Jak Henryk się dowiedział, że jest chory?

– Spytałam go o to, ale mi nie odpowiedział. Kiedy odkrył, że mnie zaraził, całkiem się załamał. Groził, że odbierze sobie życie. W końcu udało mi się go przekonać, że skoro zrobił to z niewiedzy, nie ponosi żadnej winy. Obiecał mi, że zdobędzie dla mnie wszystkie dostępne lekarstwa, które mogą spowolnić chorobę. Od tego czasu zaczęłam dostawać pięćset dolarów miesięcznie. Wciąż je dostaję.

– Skąd przychodzą pieniądze?

– Nie wiem. Po prostu wpływają na konto, które Henryk dla mnie założył. Zapewnił mnie, że nawet jeśli coś mu się stanie, będę je dostawała jeszcze przez dwadzieścia pięć lat. Suma trafia na konto punktualnie, dwudziestego ósmego dnia każdego miesiąca. Zupełnie jakby ciągle żył. Przecież to nie jego duch przeprowadza transakcje bankowe.

Louise szybko przeliczyła w głowie. Sześć tysięcy dolarów rocznie przez dwadzieścia pięć lat to w sumie sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów, około miliona szwedzkich koron. Henryk musiał umrzeć jako bogaty człowiek, pomyślała, zaglądając przez okno do kafejki internetowej. A może naprawdę odebrał sobie życie?

– Musiała go pani znienawidzić – odezwała się do Lucindy.

– Nie umiem nienawidzić. Wierzę, że to, co nas spotyka, zostało wcześniej zaplanowane.

– Śmierć Henryka na pewno nie była zaplanowana.

Weszły do środka i usiadły przy wskazanym komputerze. Większość klientów kafejki stanowili uczniowie w mundurkach. W milczeniu wpatrywali się w monitory, najwyraźniej czegoś się ucząc. Mimo że klimatyzator pracował pełną parą, w pomieszczeniu unosiła się wilgotna mgiełka. Lucinda rozżościła się na widok brudnego monitora. Kiedy obsługujący je chłopak przyszedł ze ścierką, żeby go przetrzeć, wyrwała mu ją ze złością i zrobiła to sama.

– Przez długie lata kolonializmu przyzwyczailiśmy się robić wyłącznie to, co nam polecono. Teraz powoli uczymy się myśleć samodzielnie, ale wciąż na wiele rzeczy po prostu nie mamy odwagi. Na przykład nie przyjdzie nam do głowy, żeby z własnej inicjatywy wyczyścić monitor.

– Powiedziała pani, że byliście tu kiedyś razem z Henrykiem.

– Tak, on czegoś szukał. Chodziło o Chiny.

– Spróbuje pani znaleźć te same materiały?

– Czemu nie? Niech mi tylko pani pozwoli się zastanowić. Proszę się najpierw zająć tym, czego pani szuka, a ja zajrzę do Malocury. Muszę zapłacić za prąd.

Lucinda zniknęła w palącym słońcu. Louise poczuła, jak pot spływa jej po plecach. Podniosła rękę. Nieprzyjemnie zapachniało spod pachy. Kiedy ostatnio się myła?

Skupiła swoją uwagę na klawiaturze, próbując sobie przypomnieć, jakie hasła wstukował Aron, pracując na laptopie Henryka. Pamiętała, z jakich gazet pochodziły artykuły, ale nie

potrafiła sobie przypomnieć, gdzie tekst wydrukowano. Jeden był z 1999 roku, drugi z 2000, tego Louise była pewna. Zaczęła od przeszukania archiwum „Washington Post”. Nie znalazła żadnego rekordu zawierającego hasło „Steve Nichols” czy „Steve Holloway”. Otarła pot z czoła i zaczęła szperać w archiwum „New York Times’a”. Pół godziny później miała już zbadany cały rok 1999. Kiedy przeszła do 2000 roku, niemal natychmiast natrafiła na tekst, który Henryk miał zapisany na dysku w laptopie. „Młody mężczyzna nazwiskiem Steve Nichols odebrał sobie życie, padłszy ofiarą szantażu. Szantażysta zagroził, że wyjawia fakt, iż Nichols jest zarażony wirusem HIV, oraz to, jak doszło do zarażenia”. Louise przeczytała artykuł bardzo dokładnie, potem przejrzała wszystkie związane z tekstem linki, ale żaden z nich nie odsyłał do tekstu czy choćby notatki, w której pojawiłoby się coś, co pozwoliłoby jej połączyć Steve’a Nicholasa z Christianem Hollowayem.

Przerwała poszukiwania na moment, podeszła do lady i kupiła butelkę wody. Uparte muchy latały tuż przy jej twarzy. Duszką opróżniła butelkę i wróciła do komputera.

Tym razem skupiła się na Christianie Hollowayu. Otwierała kolejne strony instytucji i organizacji świadczących pomoc chorym na AIDS. Już miała przestać, zrezygnowana, kiedy nagle natrafiła na nazwisko Steve Nichols. Widniało pod zdjęciem młodego chłopaka w okularach, o drobnych ustach i nieśmiałym uśmiechu. Mógł być parę lat starszy od Henryka. Nie dopatrzyła się w jego rysach najmniejszego podobieństwa do Hollowaya.

W poniższym wywiadzie Steve Nichols z zachwytem opowiadał o organizacji, dla której pracuje. A for Assistance. Działała ona w USA i Kanadzie, umożliwiając przyzwoite życie ludziom zarażonym wirusem HIV. Nie wspomniał o tym, że sam był

nosicielem, nie padło też ani jedno słowo na temat szantażu. Steve Nichols mówił tylko o tym, jak bardzo jest oddany swojej pracy.

Louise prawie się poddała, kiedy wpadła jej w oko króciutka nota biograficzna, zamieszczona w ramce pod wywiadem.

Steve Nichols. Urodzony w Los Angeles 10 maja 1970 roku. Syn Mary-Ann Nichols i Christiana Hollowaya.

Usatysfakcjonowana, z hukiem uderzyła otwartą dłońią w blat. Pracownik kafejki, czarny chłopak ubrany w garnitur i krawat, obrzucił ją badawczym spojrzeniem. Louise zamachała do niego uspokajająco i wytłumaczyła, że po prostu znalazła to, czego szukała. Chłopak kiwnął głową i znów pochylił się nad gazetą.

To odkrycie zszokowało Louise, mimo że wciąż nie była pewna, co ono oznacza. Christian Holloway był w żałobie po stracie syna. Czy odczuwał coś poza żalem? Czy gotowała się w nim żądza zemsty na człowieku, który szantażując Steve'a, skłonił go do odebrania sobie życia?

Rozmyślenia Louise przerwał powrót Lucindy. Dziewczyna usiadła obok, przysunąwszy sobie krzesło. Louise opowiedziała jej o swoim odkryciu.

– Mimo wszystko wciąż mam wątpliwości – podsumowała. – Gdyby coś takiego wydarzyło się dwadzieścia lat temu, nie byłabym zaskoczona. Ale czy w dzisiejszych czasach ktoś popełnia samobójstwo dlatego, że ktoś grozi mu, że opowie światu o jego chorobie?

– Może nie chodziło o to, że jest nosicielem HIV, ale o to, w jaki sposób doszło do zarażenia? Może Nichols bał się przyznać, że zaraził się od damskiej lub męskiej prostytutki?

Louise uznała, że Lucinda prawdopodobnie ma rację.

– Chciałabym, żeby pani spróbowała znaleźć to, czego wtedy szukał Henryk. Wie pani, jak się to robi?

Lucinda spojrzała na nią z wyrzutem.

– Fakt, że pracuję po nocach w barze i że kiedyś oddawałam się mężczyznom za pieniądze, nie oznacza, że nie umiem się posługiwać komputerem – warknęła. – Henryk mnie nauczył, jeśli to panią interesuje.

– Nie chciałam pani urazić.

– Sama pani wie najlepiej, czego pani chciała.

Louise stwierdziła z żalem, że znów udało jej się obrazić Lucindę. Ponownie ją przeprosiła. Dziewczyna tylko pokiwała głową, nie odzywając się ani słowem. Zamieniły się miejscami. Lucinda zaczęła swobodnie stukać w klawiaturę.

– Powiedział, że musi przeczytać coś o Chinach. Tylko jak się nazywała ta strona? – mruzczała pod nosem i wyraźnie szukała czegoś w pamięci. – Aids Report – powiedziała po chwili. – Tak, to ta strona.

Znów zastukała w klawisze. Jej dłonie poruszały się z zaskakującą płynnością. Louise przypomniała sobie lekcje pianina, na które posłała Henryka, kiedy był małym chłopcem. Marzyła wtedy przez chwilę, że jej syn zostanie wielkim pianistą. On natomiast, choć wyraźnie uszczęśliwiony, łomotał w klawisze palcami sztywnymi jak młotki. Po trzech lekcjach nauczyciel zasugerował, że będzie lepiej dla wszystkich, jeśli Henryk przerzuci się na perkusję.

– To było w maju – przerwała jej rozmyślania Lucinda. – Pamiętam, że tego dnia wiał silny wiatr i sypało piaskiem w oczy. Henrykowi wpadło coś pod lewą powiekę, pomogłam mu to wyciągnąć, a potem weszliśmy do tej kafejki.

Wskazała palcem stolik w kącie pomieszczenia.

– Dopiero co ją otworzyli. Siedzieliśmy tam, pod oknem. Wszystkie komputery były nowe, był tu nawet sam właściciel, Pakistańczyk lub Hindus, a może pochodził z Dubaju, nie wiem. W każdym razie chodził między stolikami i krzyczał na wszystkich, żeby ostrożnie obchodzili się ze sprzętem. Miesiąc po otwarciu musiał uciekać z kraju. Okazało się, że pieniądze, które zainwestował w ten lokal, pochodziły z przemytu narkotyków przez wyspę Mozambik. Nie wiem, kto teraz jest właścicielem kafejki, być może nikt tego nie wie. To zazwyczaj oznacza, że miejsce należy do któregoś z ministrów.

Lucinda zaczęła przeglądać jakieś archiwum i od razu trafiła na tekst, którego szukała. Odsunęła krzesło i zrobiła miejsce Louise.

Artykuł miał bardzo przejrzystą strukturę. Późną jesienią 1995 roku do prowincji Henan przyjechało kilku mężczyzn. Zaczęli skupywać krew. Dla biednych wieśniaków była to doskonała okazja, żeby zarobić trochę grosza. Dotychczas nawet nie przyszło im do głowy, że mogą zdobyć pieniądze na życie inaczej niż ciężką pracą, a tu nagle się okazało, że wystarczy się na chwilę położyć na noszach i pozwolić sobie utoczyć pół litra krwi. Mężczyzn, którzy ją kupowali, interesowało tylko osocze. Oddzielali je, a to, co zostało, wpompowywali wieśniakom z powrotem do żył. Niestety nie wymieniali ani nie czyścili igieł, a pech chciał, że wśród ochotników był mężczyzna, który parę lat wcześniej wybrał się do prowincji leżącej przy samej granicy z Tajlandią. Tam sprzedał trochę krwi, tak samo, jak robił to teraz. Nie wiedział, że zaraził go tam wirusem HIV, który następnie trafił do krwiobiegu całej grupy wieśniaków. Dwa lata później okazało się, że zaraziła się spora

część ludności prowincji Henan. Wielu ludzi już zmarło, inni ciężko się rozchorowali.

Wówczas nastąpiła druga faza „Katastrofy w Henan”, bo tak te nieszczęśliwe wydarzenia nazwał autor artykułu. Pewnego dnia w jednej z wiosek w prowincji zjawiała się kolejna grupa lekarzy. Zaproponowali chorym lekarstwo nowej generacji o nazwie BGB-2, wyprodukowane przez firmę Cresco z Arizony. Nowo przybyli lekarze zaoferowali chłopom leczenie za darmo, obiecując, że dzięki nowemu specyfikowi odzyskają zdrowie, mimo że BGB-2 jeszcze nie zostało dopuszczone do sprzedaży przez chińskie Ministerstwo Zdrowia. Mało tego, jak się okazało, chińskie władze nawet o tym leku nie słyszały i nie miały pojęcia o wizycie zagranicznych lekarzy w prowincji Henan. Tak naprawdę nikt nie wiedział, czy BGB-2 w ogóle jest skuteczne, a przede wszystkim, czy wywołuje jakieś skutki uboczne.

Kilka miesięcy później chłopci, którym podano lek, poczuli się znacznie gorzej. Zaczęła ich trawić gorączka, pacjenci opadli z sił, dostali krwotoku z oczu i paskudnej wysypki. Wiele osób umarło. Lekarze nagle gdzieś zniknęli i nikt już nigdy nie mówił o BGB-2. Firma z Arizony zaprzeczyła, by kiedykolwiek wysyłała kogoś do Chin, a potem zmieniła nazwę i przeniósła siedzibę do Anglii. Jedyнным ukaranym był mężczyzna, który jeździł od wioski do wioski i skupywał krew. Chiński sąd skazał go na śmierć za poważne przestępstwo podatkowe.

Louise rozprostowała plecy.

– Przeczytała pani do końca? – spytała ją Lucinda. – Henryka bardzo to zdenerwowało. Mnie również. Od razu przyszła nam do głowy ta sama myśl.

– Że to samo mogli zrobić tutaj?

Lucinda potaknęła.

– Ludzie żyjący w nędzy reagują zawsze w ten sam sposób. Dlaczego nie mieliby się na to nabrać biedacy w innej części świata?

Louise spróbowała zebrać myśli. Była zmęczona, głodna, spragniona, lecz przede wszystkim skołowana. Na dodatek nie mogła odpędzić od siebie widoku rozplatanego gardła Umbiego. Wciąż wpatrywały się w nią jego martwe szklane oczy.

– Czy Henryk jeździł już do Xai-Xai i nawiązał kontakt z Christianem Hollowayem?

– Tak, to było długo po tym.

– A czy już wtedy się zmienił?

– Mniej więcej w tym czasie zaczął się zmieniać. Pewnego ranka przyszedł do mnie do domu, sam mieszkał wówczas u Larsa Håkanssona, i poprosił mnie, żebym zabrała go do jakiejś kafejki internetowej. Spieszył się i był zniecierpliwiony, co było zupełnie do niego niepodobne.

– Dlaczego nie skorzystał z komputera Håkanssona? – zdziwiła się Louise.

– Nie wiem, ale pamiętam, że go o to spytałam.

– Co odpowiedział?

– Pokręcił tylko głową i powiedział, żebym się pospieszyła.

– Naprawdę nic więcej nie powiedział? Niech się pani zastanowi. To ważne!

– Przyszliśmy tu, do nowo otwartej kafejki. Pamiętam, że nadciągała burza, w oddali słychać było grzmoty. Powiedziałam, że jeśli nadejdzie burza, mogą wyłączyć prąd.

Lucinda zamilkła. Louise widziała, że dziewczyna próbuje sobie coś przypomnieć. Nagle znów ujrzała twarz Umbiego, biednego, umierającego człowieka, który za wszelką cenę chciał jej coś

opowiedzieć. Przeszedł ją dreszcz. Źle się czuła w tym dusznym i wilgotnym lokalu. Przeszkadzał jej zapach własnego potu.

– Na ulicy obejrzał się przez ramię – podjęła Lucinda. – Tak, teraz sobie przypominam. Dwa razy się zatrzymał i obejrzał za siebie. Tak mnie to zdziwiło, że nawet nie zapytałam go, o co chodziło.

– Może coś zobaczył? – spytała Louise.

– Nie wiem. Poszliśmy dalej. Potem zatrzymał się jeszcze raz. To wszystko.

– Bał się czegoś?

– Trudno powiedzieć. Może rzeczywiście tak było, a ja tego nie zauważyłam.

– Pamięta pani coś jeszcze?

– Siedzieliśmy przy komputerze niecałą godzinę. Henryk pracował w skupieniu, dokładnie wiedział, czego szuka.

Louise spróbowała sobie wyobrazić tę scenę. Ujrzała Henryka przy stoliku pod oknem. Z tamtego miejsca widać było całą ulicę, wystarczyło raz po raz podnieść głowę. Samemu było się schowanym za komputerem.

Chciał pójść do kafejki internetowej, bo nie chciał zostawiać śladów na komputerze Larsa Håkanssona.

– Pamięta pani, czy ktoś tu wtedy wchodził? – zwróciła się do Lucindy.

– Byłam zmęczona i głodna. Piłam coś i jadłam jakąś rozpaćkaną kanapkę. Tu ciągle ktoś wchodzi i wychodzi. Nie zapamiętałam żadnej szczególnej twarzy.

– Co było potem?

– Henryk skopiował artykuł na pendrive'a i wyszliśmy. W chwili gdy weszliśmy do mnie do domu, zaczęło padać.

– Czy oglądał się za siebie, kiedy wracaliście?

– Nie pamiętam.

– Niech się pani skupi!

– Jestem skupiona! Po prostu nie pamiętam. Biegliśmy, żeby zdążyć przed ulewą, a potem lało jak z cebra przez parę godzin. Ulicami płynęły rzeki. Oczywiście odcięli prąd i nie było go aż do popołudnia.

– Henryk został u pani?

– Widać, że nie ma pani pojęcia, co to jest afrykański deszcz. To jakby wodospad nad głową. Kto nie musi, nie wyściubia nosa za drzwi.

– Czy Henryk mówił coś jeszcze o tym artykule? Dlaczego tak bardzo chciał go przeczytać? Skąd się o nim dowiedział? Co on miał wspólnego z Christianem Hollowayem?

– Kiedy dobiegliśmy do domu, Henryk chciał położyć się spać. Zajął moje łóżko. Poprosiłam dzieci, żeby były cicho. Oczywiście dalej hałasowały, ale Henryk spał ciężkim snem. Przyszło mi nawet na myśl, że może się rozchorował. Spał tak, jakby miał za sobą wiele bezsennych nocy. Obudził się późnym popołudniem, już po ulewie. Wyszliśmy, kiedy się przejaśniło. Powietrze pachniało świeżością. Poszliśmy na spacer na plażę.

– I Henryk wciąż nic nie mówił?

– Opowiedział mi coś, co kiedyś od kogoś usłyszał. Nie mógł o tym zapomnieć. To miało miejsce w Grecji albo gdzieś w Turcji, dawno temu. Grupa ludzi, uciekając przed wrogiem, schowała się w jaskini. Mieli ze sobą zapas jedzenia na parę miesięcy, woda była na miejscu, bo skapywała ze sklepienia. Jednak kryjówka została odkryta przez nieprzyjaciela. Zamurowano ich w grocie. Parę lat temu odnaleziono to miejsce i wszystkich tych ludzi, od wieków nieżywych. Najdziwniejsza była ceramiczna donica stojąca pośrodku

jaskini. Używano jej do zbierania wody z sufitu. W miarę jak mijały lata, minerały zawarte w kapiącej wodzie utworzyły stalagmit, który połączył się z naczyniem. Henryk powiedział, że właśnie tak wyobraża sobie cierpliwość. Nie wiem, kto mu to opowiedział.

– Ja – odparła Louise. – Grotę odnaleziono na Peloponezie, to była prawdziwa sensacja. Brałam udział w odkryciu.

– Co pani robiła w Grecji?

– Pracowałam tam jako archeolog.

– Nie wiem, czym zajmuje się archeolog.

– Szukaniem śladów przeszłości. Śladów ludzi. Grobowców, jaskiń, w których kiedyś ktoś mieszkał, pałaców, miast, manuskryptów. Przekopujemy ziemię w poszukiwaniu tego, czego już nie ma.

– Nie słyszałam, żeby w tym kraju byli jacyś archeolodzy.

– Są, chociaż jest ich niewielu. Czy Henryk naprawdę nie powiedział, od kogo słyszał tę opowieść?

– Naprawdę.

– Czy wspomniał o mnie choć raz?

– Nie.

– Nigdy nie opowiadał o swojej rodzinie?

– Mówił, że jego dziadek jest wielkim artystą. Często wspominał też o siostrze, Felicji.

– Henryk nie miał siostry. Był moim jedynym dzieckiem.

– Wiem, ale to siostra przyrodnia.

Przez krótką chwilę Louise pomyślała, że to może być prawda. Aron mógł mieć dzieci z inną kobietą i się do tego nie przyznać. Louise nie potrafiła sobie jednak wyobrazić większej zniewagi niż to, że Aron powiedział o tym Henrykowi, a jej nie wspomniał o tym ani słowem.

Zaraz jednak doszła do wniosku, że to bzdura. Henryk by jej o tym powiedział, nawet jeśli Aron błagałby go o milczenie.

Nie było żadnej siostry. Henryk ją sobie wymyślił. Louise nie miała pojęcia dlaczego. Nie przypominała sobie, by jej syn kiedykolwiek uskarżał się na brak rodzeństwa. Pamiętałyby o tym.

– Czy kiedykolwiek pokazał pani zdjęcie tej siostry? – spytała Lucindę.

– Właściwie to nawet mam jej fotografię.

Louise pomyślała, że chyba traci rozum. Przecież nie ma żadnej siostry, żadnej Felicji. Dlaczego Henryk ją zmyślił?

Wstała.

– Chcę stąd wyjść – oznajmiła. – Muszę coś zjeść i się przespać.

Opuściwszy kafejkę, ruszyły ulicą, brnąc przez niemiłosierny upał.

– Jak Henryk znosił ten skwar?

– Uwielbiał go, ale nie wiem, jak go znosił.

Kiedy znalazły się pod domem Lucindy, dziewczyna zaprosiła Louise do środka. Wewnątrz było ciasno. Louise przywitała się z matką Lucindy, zgarbioną starszą kobietą o silnych dłoniach, pomarszczonej twarzy i przyjaznym spojrzeniu. Wszędzie wokół tłoczyły się dzieci w najróżniejszym wieku. Lucinda powiedziała coś do nich i po chwili wszystkie wybiegły przez otwarte na oścież drzwi, w których powiewała zasłona.

Lucinda zniknęła za inną zasłoną. Po chwili rozległo się za nią rzeżące radio. Lucinda wróciła ze zdjęciem w dłoni.

– Dostałam je od Henryka – powiedziała, podsuwając je Louise. – To on i jego siostra Felicja.

Louise wzięła do ręki fotografię i podeszła do okna, żeby lepiej zobaczyć. Był to portret Henryka i Nazrin. Przez chwilę próbowała cokolwiek z tego zrozumieć, ale myśli chaotycznie krążyły jej w głowie. Dlaczego to zrobił? Dlaczego okłamał Lucindę, mówiąc jej, że ma siostrę?

Po chwili oddała jej zdjęcie.

– To nie jest jego siostra – powiedziała. – To jego przyjaciółka.

– Nie wierzę pani.

– Henryk nie miał siostry.

– Dlaczego miałby kłamać?

– Nie wiem. Ja natomiast na pewno nie kłamię. To jego przyjaciółka, ma na imię Nazrin.

Lucinda więcej nie protestowała.

– Nie lubię ludzi, którzy kłamią – szepnęła.

– Naprawdę nie rozumiem, dlaczego pani powiedział, że ma siostrę o imieniu Felicja.

– Moja matka nigdy w życiu nie wypowiedziała fałszywego słowa. Dla niej nie istnieje nic innego poza prawdą. Ojciec zawsze ją okłamywał, zapewniał, że w jego życiu nie ma żadnych innych kobiet, że zgubił zarobione pieniądze. Kłamał w każdej sprawie, z jednym wyjątkiem: kiedy mówił, że nie poradziłby sobie w życiu bez niej. Mężczyźni kłamią.

– Kobiety czasem też.

– Ale tylko wtedy, kiedy muszą się bronić. Mężczyźni toczą wojnę z kobietami na wiele sposobów. Kłamstwo jest tu potężną bronią. Lars Håkansson posunął się nawet do tego, że zmienił mi imię. Chciał Julietę, nie jakąś Lucindę. Do dziś czasem się zastanawiam, co to za różnica. Czy Julieta inaczej rozkłada nogi niż ja?

– Nie podoba mi się, kiedy mówi pani o sobie w ten sposób.

Lucinda stała się nagle milcząca i niedostępna. Louise wstała i ruszyła do drzwi. Lucinda odprowadziła ją do samochodu. Nie odezwały się do siebie ani słowem i nie umówiły na następne spotkanie.

Louise kilkakrotnie zabłądziła, nim zdołała odnaleźć drogę do domu Larsa Håkanssona. Stojący przy bramie strażnik drzemał w tym obezwładniającym upale. Podskoczył, kiedy zorientował się, że ktoś podjechał. Zasalutował i otworzył bramę. Celina właśnie rozwieszała pranie. Louise powiedziała jej, że jest głodna, i dokładnie godzinę później, gdy zbliżała się jedenasta przed południem, była już po posiłku i po kąpieli. Położyła się na łóżku w chłodnym pokoju i usnęła.

Kiedy się obudziła, zmierzchało. Zegar wskazywał szóstą. Louise przespała wiele godzin, intensywnie śniąc. Pościel była mokra od potu.

Aron stał na wierzchołku jakiejś odległej góry, ja wędrowałam po niekończących się mokradłach, gdzieś w Härjedalen. We śnie byliśmy daleko od siebie. Henryk siedział pod drzewem oparty o wielki kamień i czytał książkę. Kiedy zapytałam go, co czyta, pokazał mi album ze zdjęciami. Nie rozpoznałam na fotografiach nikogo.

Pogrążona w rozmyślaniach na temat snu, Louise zebrała wszystkie brudne rzeczy i walcząc chwilę z poczuciem winy, w końcu rzuciła je na podłogę, by zostały wyprane. Potem uchyliła drzwi na korytarz i wyczuła słuch. Z kuchni nie dochodził żaden dźwięk, w ogóle dom wydawał się pusty.

Ponownie wzięła prysznic, ubrała się i zeszła na dół. W każdym pomieszczeniu szumiał klimatyzator. Na stole w kuchni stała

otwartą butelką wina. Louise nalała sobie kieliszek i usiadła na kanapie w salonie. Z ulicy dochodziły urywki głośnej rozmowy strażników. Okna były zasłonięte. Popijając wino, Louise zastanawiała się, co się wydarzyło, odkąd wróciła z Xai-Xai. Czy ktoś znalazł Umbiego? Czy komukolwiek przyszło na myśl, że ona ma z tym coś wspólnego? Czy ktoś obserwował ich tamtej nocy?

Nagle poczuła zbliżający się atak paniki. Dopiero teraz, kiedy nareszcie się wyspała, ujrzała wszystko w innym świetle. Jakiś mężczyzna próbował jej coś powiedzieć w tajemnicy i został bestialsko zamordowany, podsumowała. Równie dobrze mogło to spotkać i Arona. Jemu też ktoś mógł poderżnąć gardło.

Pod wpływem nagłych mdłości pobiegła do toalety i zwymiotowała. Potem położyła się na zimnej posadzce w łazience. Osunęła się na nią niemal bezładnie, jakby ściągnął ją na dół jakiś wir. Przemknęła jej przez głowę myśl, że opada na dno leśnego jeziora o czarnej wodzie, w którym pływali z Arturem.

Nie przejęła się przebiegającym tuż obok karaluchem. Owad przemknął po ścianie i zaraz zniknął za rurą odpływową pod umywalką.

Muszę w końcu złożyć skorupy w całość. Znam przecież tyle różnych wzorów, powinnam jakiś rozpoznać już po paru kawałkach. Muszę postępować tak jak ze starożytnymi naczyniami. Przesuwać fragmenty, zamieniać je miejscami i dopasowywać od nowa, z cierpliwością, z jaką powstaje stalagmit.

Niestety każdy obraz, który wyłaniał się po złożeniu choćby dwóch luźnych kawałków, był istnym koszmarem. Najpierw Henryk odkrył, że jest nosicielem wirusa HIV. Potem dowiedział się, że na bezbronnych, żyjących w nędzy ludziach robi się eksperymenty mające na celu wynalezienie lekarstwa na AIDS. Na dodatek w jakiś

sposób wmieszał się w szantaż na Stevie Nicholcie, który w konsekwencji odebrał sobie życie.

Długo przekładała skorupy, łączyła je ze sobą z różnych stron, próbowała też zostawiać między nimi puste miejsca na fakty, których jak dotąd nie odkryła. Nic jednak nie trzymało się kupy.

W końcu zdecydowała się zajrzeć pod spód każdego z kawałków. Szantażysta nie spodziewa się, że jego ofiara popełni samobójstwo, pomyślała. W szantażu chodzi o to, by szantażowany zapłacił szantażyście za milczenie. Skoro Henryk nie spodziewał się, że Steve Nichols odbierze sobie życie, jak zareagował, kiedy się o tym dowiedział? Zawstydził się? Załamał?

Skorupy uparcie milczały. Nie odpowiadały na żadne pytanie.

Louise spróbowała pójść o krok dalej. A może Henryk szantażował szantażystę? Może Steve Nichols był jego przyjacielem? Być może to Steve powiedział mu o swoim ojcu i jego ośrodkach w Afryce. Czy Steve znał prawdę? Czy zdawał sobie sprawę, co się kryje za ich nieskazitelną fasadą?

Utknęła na ostatnim elemencie układanki. Zadała sobie ostatnie pytanie: Czy śmierć Umbiego to dowód na to, że dzieje się tu to samo, co w odległej prowincji Henan?

Louise nie leżała już na podłodze, lecz siedziała z głową opartą o toaletę. Mimo że szum klimatyzatora zagłuszał wszystkie inne odgłosy, zorientowała się, że ktoś się jej przygląda. Gwałtownie odwróciła głowę.

W drzwiach stał Lars Håkansson.

– Źle się pani czuje? – zapytał.

– Nie.

– Więc czemu siedzi pani na podłodze w łazience? Proszę mi wybaczyć ciekawość.

– Musiałam zwymiotować, potem nie miałam siły się podnieść.

Wstała i zamknęła mu drzwi przed nosem. Serce waliło jej ze strachu.

Kiedy wyszła z łazienki, Håkansson siedział na kanapie ze szklanką piwa w dłoni.

– Lepiej pani?

– Tak, lepiej. Musiałam zjeść coś nieświeżego.

– Gdyby była tu pani dłużej, zapytałbym o ból głowy i gorączkę.

– Nie mam malarii.

– Na razie. O ile pamiętam, niczego pani nie zażywa.

– Tak, ma pan rację.

– Jak podróż na Inhacę?

– Skąd pan wie, że tam byłam?

– Znajomy panią widział.

– I wiedział, kim jestem?

– Tak.

– Pływałam, jadłam, odwiedziłam pewnego malarza.

– Tego, który maluje delfiny i tańczące piersiaste kobiety? To niezwykle człowiek, wiele przeżył.

– Polubiłam go. Namalował portret Henryka. Widziałam go tam, pośród wielu innych obrazów.

– Jego portrety nie są szczególnie udane. W ogóle kiepski z niego artysta, nie ma za grosz talentu.

Louise nie spodobał się pogardliwy ton Håkanssona.

– Widziałam gorsze dzieła sztuki. Spotkałam wielu artystów wychwalanych przede wszystkim za swoje aspiracje, a nie za warsztat i talent, którego im najczęściej po prostu brakowało.

– Doskonale zdaję sobie sprawę, że moje zdanie na temat tego, co jest sztuką, nie może się równać z opinią klasycznie wykształconego archeologa. Jako doradca ministra zdrowia w tym kraju, na co dzień zajmuję się zgoła innymi sprawami.

– Co to ma do rzeczy?

– Choćby to, że trudno znaleźć czas, by zajmować się sztuką, kiedy w każdym szpitalu brakuje prześcieradeł lub wcale ich nie ma. Najsmutniejsze jest jednak to, że każdego roku przeznaczamy na ten cel specjalne fundusze, ale wszystko ginie, zarówno pieniądze, jak i prześcieradła. Przepadają na dobre w bezdennych kieszeniach skorumpowanych urzędników.

– Dlaczego pan otwarcie nie protestuje?

– Bo stracę pracę i odeślą mnie do domu. Nie tędy droga. Staram się osiągnąć cel innymi sposobami, na przykład zabiegam, by podniesiono tym urzędnikom pensje, a trzeba pani wiedzieć, że są one beznadziejnie niskie. Może właśnie w ten sposób uda się ograniczyć chciwość.

– Czy do korupcji nie są przypadkiem potrzebne dwie ręce?

– Jasne, że tak. Wiele rąk sięga po fundusze dotacyjne. Zarówno te, które biorą, jak i te, które przekazują dalej.

Nagle zadzwonił telefon. Håkansson odebrał, powiedział parę słów po portugalsku, po czym wyłączył komórkę.

– Przepraszam, dziś wieczorem znów będę musiał zostawić panią samą. Muszę być na przyjęciu w ambasadzie niemieckiej. Niemcy finansują sporą część służby zdrowia w tym kraju.

– Dam sobie radę.

– Jak się będzie pani kładła, proszę zamknąć drzwi od środka. Pewnie wrócę bardzo późno.

– Skąd u pana ten cynizm? – spytała nagle Louise. – Pytam otwarcie, bo i pan nawet go nie ukrywa.

– Cynizm to moja forma obrony. Rzeczywistość oglądana przez pryzmat cynizmu wydaje się bardziej znośna. W przeciwnym razie łatwo byłoby stracić grunt pod nogami i utonąć.

– Utonąć w czym?

– W poczuciu beznadziei. Wielu sądzi, że Afryka nie ma przed sobą przyszłości i że jedyne, co możemy zrobić, to przyglądać się cierpieniom tych, którzy mieli nieszczęście przyjść na świat w tym miejscu. Czy ten kontynent w ogóle jeszcze obchodzi kogoś poza poszukiwaczami południowoafrykańskich diamentów, angolańskiej ropy i nigeryjskich talentów do gry w piłkę nożną?

– Pan też jest tego zdania?

– I tak, i nie. Tak, jeśli mowa o ogólnym spojrzeniu na Afrykę jako miejsce pogrążone w totalnym chaosie. Z tego powodu rzeczywiście nikt nie chce się nią poważnie zajmować. Nie, bo przecież nie da się spisać na straty całego kontynentu. Możemy przynajmniej próbować utrzymać jego głowę nad powierzchnią wody do czasu, aż sam znajdzie jakiś sposób, żeby się uratować z topieli. Jestem zdania, że w tym miejscu znów ktoś musi od nowa wymyślić koło.

Lars Håkansson wstał.

– Muszę się przebrać – oznajmił. – Ale chętnie dokończę tę rozmowę. Czy udało się pani już na coś trafić albo poznała pani kogoś, kto pomoże pani w poszukiwaniach?

– Każdego dnia trafiam na coś nowego – odparła Louise.

Håkansson spojrział na nią z namysłem, kiwnął głową i zniknął w przedpokoju. Po chwili Louise usłyszała szum wody w łazience na piętrze. Kwadrans później gospodarz był z powrotem na dole.

– Chyba się trochę zagalopowałem – powiedział bez żadnego wstępu. – Nie jestem cyniczny, to raczej zwykła szczerść. Nic nie działa na ludzi równie deprymująco, jak nazywanie rzeczy po imieniu. Żyjemy w czasach, w których rządzi zakłamanie.

– Czy to oznacza, że obraz tego kontynentu nie jest prawdziwy?

– Miejmy nadzieję, że ma pani rację.

– Znalazłam dwa listy wysłane przez Henryka z pańskiego komputera. Ale jeśli mam być całkiem szczerą, sędzę, że jeden został napisany przez pana. Dlaczego?

Lars Håkansson obrzucił ją badawczym spojrzeniem.

– Co pani sugeruje? Po co miałbym podszywać się pod Henryka?

– Nie wiem. Żeby mnie zmylić?

– A po co miałbym chcieć panią zmylić?

– Nie wiem.

– Myli się pani. Gdyby Henryk nie umarł, wyrzuciłbym teraz panią z mojego domu.

– Staram się to zrozumieć.

– Tu nie ma niczego do rozumienia. Nie fałszuję listów. Najlepiej o tym zapomnijmy.

Mężczyzna wyszedł do kuchni. Louise usłyszała szcęknięcie, zaraz po nim trzask zamykanych drzwi i zgrzyt klucza w zamku. Po chwili Håkansson wrócił, znów wyszedł i zatrzasnął drzwi. Przed domem zawarczał silnik samochodu, zaszurała otwierana przez strażnika brama. Niebawem rozległ się ten sam odgłos, brama została zamknięta.

Louise pozostała sama. Weszła na górę i usiadła przed komputerem, ale go nie włączyła. Nie miała na to siły.

Drzwi do sypialni Håkanssona były lekko uchylone. Louise otworzyła je szerzej stopą. Na środku pokoju leżała sterta ubrań.

Naprzeciwko łóżka, na szafce, stał duży telewizor, a przy nim krzesło zarzucone książkami i czasopismami. Poza tym w pomieszczeniu było jedynie biurko ze składanym blatem i duże lustro na ścianie. Louise usiadła na krawędzi łóżka i rozejrzała się wokół, wyobrażając sobie, że jest Lucindą. Po chwili wstała i podeszła do biurka. Widziała podobny mebel w dzieciństwie, u jakiegoś dalekiego krewnego, do którego zabrał ją Artur. Pamiętała, że był to emerytowany drwal, bardzo już stary. Louise była wtedy małą dziewczynką, on zaś miał ponad dziewięćdziesiąt lat. Biurko Håkanssona wyglądało dokładnie jak tamto. Louise podniosła parę leżących na nim książek. Prawie wszystkie traktowały o służbie zdrowia w ubogich krajach. Czyżby niesprawiedliwie oceniła tego człowieka? Co ja właściwie o nim wiedziałam? Może wcale nie jest cynicznym obserwatorem, ale ciężko pracuje, żeby uczynić świat trochę lepszym?

Wróciła do swojego pokoju i położyła się na łóżku. Postanowiła, że kiedy tylko nabierze siły, zejdzie na dół i zrobi sobie coś do jedzenia. Afryka ją wykańczała.

Zasnęła, mając przed oczami twarz Umbiego.

Po jakimś czasie gwałtownie się przebudziła.

Śniło mi się, że byłam w domu starców, w odwiedzinach u dziewięćdziesięcioletniego krewnego. Jego ręce cały czas drżały. Po całym życiu ciężkiej pracy drwala wyglądał jak wysuszona skorupa.

Teraz pamiętała wszystko dokładnie. Podczas tamtej wizyty miała sześć lub siedem lat. Biurko stało pod ścianą. Nad nim wisały oprawione w ramki czarno-białe zdjęcia ludzi z poprzedniego wieku, prawdopodobnie przedstawiały rodziców krewnego.

W pewnym momencie Artur podszedł do biurka, otworzył blat i wysunął jedną z szuflad. Potem obrócił ją do góry nogami i pokazał Louise schowek pod jej dnem.

Louise wstała i wróciła do sypialni Larsa Håkanssona. Pamiętała, że ojciec wysunął wtedy szufladę z lewej strony biurka. Wyjęła ją i obróciła. Nic. Poczowała się głupio na myśl, że zasugerowała się snem, mimo to sprawdziła pozostałe szuflady.

W ostatniej szufladzie krył się schowek. Była największa, więc spokojnie zmieściło się w niej parę notatników. Louise sięgnęła po pierwszy z brzegu i zaczęła go przeglądać. Na pierwszy rzut oka w zapiskach nie było nic szczególnego. W jakiś nieprzyjemny dla Louise sposób przypominały notatki Henryka. Kartki wypełnione były pojedynczymi literami, hasłami, krzyżykami i wykrzyknikami.

Louise znalazła aktualny notatnik i otworzyła go na dniu, w którym przyleciała do Maputo. Kartki w tym miejscu były niezapisane, nie widniało na nich zupełnie nic, żadna godzina, nazwisko. Wertowała dalej, aż dotarła do dnia wczorajszego i natknęła się na literę L, a potem XX. Doszła do wniosku, że nie może to oznaczać nic innego, tylko informację, że ona, Louise, była w Xai-Xai. Ale skąd Håkansson o tym wie?

Cofnęła się o parę stron i znalazła kolejną notatkę: „CH Maputo”. Nie miała wątpliwości, że oznacza to, iż w Maputo był Christian Holloway. A przecież Lars Håkansson powiedział jej w trakcie rozmowy, że nie zna tego człowieka, stwierdziła w myślach.

Odłożyła notatnik na miejsce i zasunęła szufladę. Strażnicy, których rozmowy słyszała jeszcze przed chwilą, ucichli. Louise obeszła cały dom, sprawdzając czy okna, drzwi i kraty są zamknięte.

Za kuchnią znalazła małe pomieszczenie, w którym urządzono pralnię i miejsce do prasowania. W małym okienku ktoś zostawił

odczepiony haczyk. Po chwili Louise odkryła, że również krata nie została zamknięta. Pociągnęła za nią, żeby ją zatrzasnąć od środka. Usłyszała znajomy odgłos. Otworzyła kratę. To samo szczęknięcie. Przez moment próbowała skojarzyć, kiedy je słyszała, i po chwili była już pewna. Lars Håkansson wszedł do tego pomieszczenia tuż przed wyjściem z domu. Wtedy usłyszała ten dźwięk.

Powiedział, żebym się szczelnie zamknęła od środka, analizowała w myślach. Mimo to zanim wyszedł, otworzył okienko i kratę. Umożliwił komuś wejście do domu.

Atak paniki nadszedł w jednej sekundzie. Louise nie umiała odróżnić, czy to wszystko dzieje się naprawdę, czy też pod wpływem długotrwałego stresu padła ofiarą wytworów własnej wyobraźni. Szybko jednak doszła do wniosku, że nawet jeśli uzna, że wszystko sobie wmówiła, nie odważy się zostać w tym domu ani chwili dłużej. Włączając po drodze wszystkie lampy, dotarła do pokoju, prędko spakowała rzeczy, a potem, trzęsącymi się ze strachu dłońmi, ostrożnie otworzyła drzwi wejściowe i kratę. Czuła się przy tym jak złodziej wymykający się z celi za pomocą skradzionych kluczy. Nocny stróż spał, kiedy mijała bramę, ale kiedy dotarła do auta, zbudził się ze zdrygnięciem. Pomógł jej zapakować bagaż na tylne siedzenie.

Pojechała prosto do hotelu Polana, w którym spędziła pierwsze noce w Maputo. Nie zważając na protesty recepcjonisty, sama wniosła walizki do pokoju. Usiadła na brzegu łóżka. Była cała roztrzęsiona.

Być może trochę przesadziłam, pomyślała. Dostrzegłam cienie tam, gdzie powinnam była dostrzec ludzi, logiczny związek w czymś, co było zwykłym przypadkiem. To wszystko mnie po prostu przerasta.

Długo siedziała bez ruchu, nim wreszcie udało jej się uspokoić. Potem zeszła do recepcji, gdzie jej powiedziano, że najbliższy samolot do Johannesburga wylatuje nazajutrz o siódmej. Recepcjonista pomógł jej zarezerwować bilet. Zjadła kolację w hotelowej restauracji i wróciła do pokoju. Stała przy oknie i wbiła wzrok w znajdujący się na zewnątrz basen. Nie mam pojęcia, co tu się dzieje, pomyślała. Wdepnęłam w coś zupełnie dla mnie niepojętego. Być może uda mi się coś z tego zrozumieć, kiedy spojrzę na to z dystansu.

Żywiła ogromną nadzieję, że Arona nie spotkało nic złego. Wiedziała, że jeśli ojciec Henryka żyje, pewnego dnia się do niej odezwie.

Tuż przed piątą rano pojechała na lotnisko. Na miejscu oddała kluczyki od auta, odebrała bilet i już miała pójść w stronę kontroli bezpieczeństwa, kiedy zobaczyła stojącą przy wejściu do budynku kobietę palącą papierosa. Była to dziewczyna, która pracowała w barze z Lucindą. Louise nie wiedziała, jak miała na imię, niemniej była pewna, że to właśnie ona. Uświadomiła sobie, że zamierza opuścić Maputo bez słowa pożegnania. Poczowała wstyd.

Podeszła do dziewczyny i zorientowała się, że ta ją poznaje. Zapytała po angielsku, czy może zostawić u niej wiadomość dla Lucindy. Dziewczyna potaknęła. Louise wyrwała kartkę z notesu i napisała: „Wyjeżdżam. Nie należę jednak do tych, którzy znikają bez słowa. Odezwę się”.

Złożyła kartkę na czworo i wręczyła ją młodej kobiecie, która nie przestawała przyglądać się swoim paznokciom.

- Dokąd pani jedzie? – zapytała.
- Do Johannesburga – odparła Louise.

– Zazdroszczę pani. Sama chętnie bym tam pojechała, ale to niestety niemożliwe. Przekażę Lucindzie wiadomość dziś wieczór.

Louise przeszła przez kontrolę bezpieczeństwa i stanęła przed wielką szybą z widokiem na płytę lotniska. Na zewnątrz czekał już na nią wielki samolot.

Sądzę, że zaczynam powoli pojmować rzeczywistość rządzącą tym kontynentem. Tam, gdzie panuje nędza, dochodzą do głosu brutalne siły, którym nic nie może stanąć na drodze. Biedni Chińczycy oraz ich afrykańscy bracia i siostry w niedoli traktowani są jak króliki doświadczalne. Ale co takiego zobaczył Henryk? Wciąż jeszcze nie udało mi się odkryć, co kryje tajemniczy świat Christiana Hollowaya. Mimo to mam kilka odłamków naczynia i z czasem na pewno znajdę ich więcej. Po prostu nie mogę się poddawać i tracić nadziei.

Weszła na pokład samolotu jako jedna z ostatnich. Chwilę później maszyna przyspieszyła i poderwała się w górę. Nim samolot przebił się przez warstwę chmur, Louise zdążyła zauważyć tylko malutkie, zmierzające do brzegu łódki rybackie o trójkątnych żaglach.

Dwadzieścia trzy godziny później Louise wylądowała na lotnisku imienia Elefteriosa Venizelosa w Atenach. Samolot nadleciał od strony morza. Wyrosły przed nią Pireus i Ateny ze swoją chaotyczną zabudową i plątaniną ulic.

Kiedy ostatnio stąd wyjeżdżała, przepełniała ją radość. Teraz Louise wracała całkiem zdruzgotana, zmęczona wydarzeniami, których nie była w stanie pojąć. Jej głowa pękała od szczegółów niedających się w żaden sposób powiązać, zlepić w całość.

Do czego właściwie wracała? Do wykopalisk, za które już nie odpowiadała? Musiała uregulować zaległy czynsz u Mitsosa, spakować resztę swoich rzeczy i pożegnać się z tymi, którzy przygotowywali wykopaliska do zimy.

Przyszło jej na myśl, że powinna odwiedzić Vassilisa, zaraz jednak doszła do wniosku, że nie ma mu nic do powiedzenia. Właściwie już nikomu nie miała nic do powiedzenia.

Przyleciała liniami Olympic Air, straciwszy majątek na bilet w biznesklasie. Dzięki temu w trakcie długiego lotu miała do dyspozycji dwa sąsiadujące ze sobą fotele. Podobnie jak podczas lotu na południe, w pewnej chwili zdawało jej się, że widzi w dole płonące ogniska. Jednym z nich było ognisko Umbiego. Ostatnie, jakie kiedykolwiek zapalił. Gdzieś tam w dole krył się również człowiek, który odebrał mu życie.

Louise miała teraz całkowitą pewność, że Umby zginął dlatego, że próbował jej coś powiedzieć. Choć broniła się przed wzięciem na siebie odpowiedzialności za jego śmierć, musiała przyznać, że nie doszłoby do tej tragedii, gdyby nie przybyła do Mozambiku.

Czy jednak mogła być tego pewna? Myśl ta prześladowała ją nawet we śnie. Umbi nie żył. Jego martwy wzrok utkwiony był w pustkę, gdzieś za plecami Louise. Wiedziała, że już nigdy nie zajrzy mu w oczy. Nigdy się też nie dowie, co chciał jej powiedzieć.

Na ateńskim lotnisku Louise zapragnęła nagle zostawić wykopaliska i wynająć pokój w hotelu, na przykład w Grande Bretagne przy placu Syntagma, a potem wtopić się w tłum. Chciała spędzić tak dobę lub dwie i dać sobie czas, żeby przynajmniej dojść do siebie.

Wynajęła jednak samochód i ruszyła nowo wybudowaną autostradą na Peloponez. Wciąż było ciepło, jesień jeszcze nie nadeszła. Droga wiała się między wypalonymi słońcem pagórkami. Tu i tam z ziemi wyrastały białe skały, jaśniejące niczym kości między kępami suchej trawy i niskimi drzewami.

Zbliżając się do Argos, Louise uświadomiła sobie, że już się nie boi. Zostawiła cienie, które prześladowały ją w afrykańskich ciemnościach. Była ciekawa, czy Lucinda dostała wiadomość i co sobie o niej pomyślała. A Lars Håkansson? Wcisnęła pedał gazu. Znienawidziła tego mężczyznę, mimo że nie miała pewności, czy rzeczywiście był wplątany w ciąg zdarzeń, który doprowadził Henryka do śmierci. Nie chciała mieć z nim nic wspólnego.

Skreśliła na stację benzynową, w której budynku mieściła się przydrożna restauracja. Kiedy weszła do środka, przypomniała sobie, że już tu kiedyś była z Vassiliszem, swoim cierpliwym, lecz zawsze trochę nieobecny kochankiem. Tamtego dnia Vassilis odebrał ją z lotniska. Louise wróciła z Rzymu z konferencji poświęconej niedawnemu odkryciu prastarych manuskryptów na pustyni w Mali. Znaleźisko było sensacyjne, ale konferencja okazała się nudna. Było zdecydowanie zbyt wielu uczestników, a organizacja

pozostawiała wiele do życzenia. Wracając do Argos, zatrzymali się w tym miejscu na kawę.

Louise pamiętała też, że noc po powrocie spędziła u Vassilisa. Obecnie tamte chwile wydawały jej się tak odległe, jakby przeżyła je w dzieciństwie.

Większość stolików zajmowali kierowcy ciężarówek, na wpół śpiący nad swoimi kubkami z kawą.

Louise zjadła sałatkę, popijając wodą. Na deser też zamówiła filiżankę kawy. Zapachy i smaki upewniły ją, że wróciła do Grecji. Wszystko było tu znajome i bliskie, nie tak obce i nieznane jak w Afryce.

Dotarła do Argos około jedenastej. Skręciła na szosę wiodącą do domu, który wynajmowała. Zaraz jednak zmieniła zdanie, zawróciła i pojechała prosto na wykopaliska. Liczyła się z tym, że większość jej kolegów wróciła już do domu, mimo to miała nadzieję, że jeszcze paru zostało, żeby przygotować miejsce pracy na zimę. Ale nie zastała nikogo. Wykopaliska wyglądały na porzucone. Wszystko zostało zamknięte na cztery spusty, nie było nawet strażnika.

Poczuła, że to jedna z najsamotniejszych chwil w jej życiu, mimo że nic nie mogło się równać z jej rozpaczą po śmierci Henryka. Uczucie, jakie ogarnęło ją w tym momencie, było nieprawdopodobne. Została porzucona na bezkresnym pustkowiu.

Przypomniała jej się gra, w którą czasem bawili się z Aronem. Wyobrażali sobie, co by każde z nich zrobiło, gdyby się okazało, że jest pierwszym lub ostatnim człowiekiem na ziemi. Nie pamiętała, jakich udzielali odpowiedzi. W tej chwili nie była to już żadna gra.

Nagle nadszedł starszy mężczyzna z psem. Louise rozpoznała w nim częstego gościa na wykopaliskach. Nie pamiętała, jak się

nazywał, wiedziała tylko, że pies ma na imię Alice. Mężczyzna grzecznie uchylił czapki na powitanie. Odezwał się po angielsku. Mówił powoli i starannie dobierał słowa. Wyglądało na to, że cieszy się, iż ma okazję poćwiczyć.

– Sądziłem, że wszyscy już wyjechali – powiedział.

– Jestem tu przejazdem – odparła Louise. – Nic się tu nie będzie działo aż do wiosny.

– Ostatnia grupa wyjechała przed tygodniem, ale pani tu chyba nie widziałem od dłuższego czasu.

– Byłam w Afryce.

– Tak daleko? Nie bała się pani?

– Czego miałabym się bać?

– Bo ja wiem... dziczy? Czy tak to się mówi? *The wilderness*?

– Jest tam tak samo jak tu. Łatwo zapominaamy, że wszyscy ludzie należą do jednej wielkiej rodziny. Każdy krajobraz ma w sobie coś, co przypomina krajobraz z całkiem innego miejsca na ziemi. Jeśli to prawda, że człowiek pochodzi z Afryki, wszyscy mamy jedną czarną pramatkę.

– Pewnie ma pani rację – odparł mężczyzna z namysłem, spoglądając na psa, który położył mu się u stóp, składając łeb na łapie – Pewnie nie przeżyje tej zimy – powiedział smutno.

– Choruje?

– Jest już bardzo stara. Ma co najmniej tysiąc lat. To antyczny pies, widzi pani, pamiątka z pradawnych czasów. Każdego ranka podnosi się z coraz większym trudem. Teraz to ja wyprowadzam ją na spacer, nie ona mnie, jak to było wcześniej.

– Mam nadzieję, że jeszcze trochę pożyje.

– Zobaczymy na wiosnę.

Mężczyzna uchylił czapki i odszedł. Pies ruszył za nim na sztywnych łapach.

Nagle Louise podjęła decyzję, że odwiedzi Vassilisa w jego biurze. Wiedziała, że podsumowanie sezonu to pracowity okres dla księgowego, czuła jednak, że już nigdy więcej tu nie powróci. Najwyższy czas, by ktoś inny przejął wykopaliska. Życie Louise zbczyło z wyznaczonej ścieżki. Nie miała pojęcia, dokąd teraz zmierzało.

Dotarła do miasta i zaparkowała pod biurem Vassilisa. Zobaczyła go przez okno. Siedział za biurkiem i rozmawiał przez telefon. Zapisywał coś, śmiał się.

Zapomniał o mnie. Już dla niego nie istnieję. Byłam tylko tymczasową przyjaciółką, z którą sypiał, by zapomnieć o smutkach. On dla mnie był tym samym.

Odjechała, zanim Vassilis zdążył ją zauważyć.

Kiedy przyjechała do domu, długo nie mogła znaleźć kluczy. Weszła wreszcie do środka i zorientowała się, że Mitsos tu wchodził. Nie kapał żaden kran, żadna lampa nie świeciła się na marne. Na stole w kuchni leżało kilka listów, w tym dwa z Instytutu Szwedzkiego w Atenach oraz dwa od Towarzystwa Przyjaźni Domu Szwedzkiego w Kawali. Louise nie zadała sobie nawet trudu, by je otworzyć.

Na półce obok lodówki stała butelka wina. Louise odkorkowała ją i napełniła lampkę. Nigdy w całym swoim życiu nie piła więcej niż w ciągu ostatnich tygodni.

Od dawna nie zaznała spokoju. Nie potrafiła się wyciszyć. Miała wrażenie, że jej wnętrze jest w nieustannym ruchu. Do tego dochodził zewnętrzny wir zdarzeń, który co rusz ją wciągał, by po chwili wyrzucić zdezorientowaną.

Popijając wino, usiadła w skrzypiącym fotelu Leandrosa. Długo wpatrywała się w odtwarzacz, zanim zdecydowała, jakiej chce posłuchać muzyki.

Gdy butelka była opróżniona do połowy, Louise przesiadła się do biurka, wyjęła papier listowy oraz pióro i zaczęła pisać list do Uniwersytetu w Uppsali. Tłumaczyła w nim, w jakiej znalazła się sytuacji, i poprosiła o rok bezpłatnego urlopu. „Biorąc pod uwagę mój ból i roztrzęsienie, byłoby nieuczciwe utrzymywać, że jestem w stanie wziąć odpowiedzialność za wykopaliska. Teraz staram się ze wszystkich sił, o ile jakiegokolwiek mi jeszcze zostały, zadbać o siebie, by móc znów stanąć na nogi”.

List wyszedł dłuższy, niż się spodziewała. Wniosek o urlop powinien być krótki i zwięzły. To, co napisała, było jak modlitwa albo raczej spowiedź, która wymknęła się spod kontroli. Louise chciała jednak, by wszyscy wiedzieli, jak to jest stracić dziecko.

W szufladzie znalazła kopertę. Wsunęła do niej list i zakleiła. Na zewnątrz czekały psy Mitsosa. Potem Louise wsiadła do auta i pojechała do pobliskiej tawerny, w której kiedyś często jadała. Właściciel lokalu był niewidomy. Wciąż siedział na tym samym krześle, powoli zamieniając się w rzeźbę. Kucharką w tawernie była jego synowa, a gości obsługiwała jego żona. Żadne z nich nie mówiło po angielsku, dlatego Louise zwykle po prostu wchodziła do ciasnej zaparowanej kuchni i pokazywała palcem, co miałyby ochotę zjeść.

Tym razem zdecydowała się na greckie gołąbki, sałatkę, kieliszek wina i kawę. W lokalu było niewielu gości. Louise знаła wszystkich z widzenia.

Kiedy wróciła do domu i otwierała drzwi, z ciemności wyłonił się Mitsos. Louise aż podskoczyła ze strachu.

- Przestraszyłem cię? – zapytał sąsiad.
- Nie wiedziałam, że to ty – odparła Louise.
- A któż inny mógłby to być? No, może Panayiotis. Ale dziś pojechał na mecz Panathinaikosu.
- Jaki wynik? Wygrywają?
- Na pewno. Panayiotis obstawił trzy do jednego, a zazwyczaj ma nosa.

Louise otworzyła drzwi i zaprosiła Mitsosa do środka.

- Nie było mnie trochę dłużej, niż planowałam – powiedziała.

Mitsos usiadł na krześle w kuchni. Spojrzał na Louise poważnym wzrokiem.

– Słyszałem, co się stało. Strasznie mi przykro. Wszystkim nam przykro. Panayiotis się rozplakał, kiedy się dowiedzieliśmy o wszystkim, nawet psy ten jeden jedyny raz zamknęły pyski.

- Zupełnie się tego nie spodziewałam.
- Nikt się nie spodziewa śmierci tak młodego człowieka. Chyba że trwa wojna.

– Przyjechałam zabrać resztę rzeczy i opłacić zaległy czynsz.

Mitsos rozłożył szeroko ramiona.

- Nic mi nie jesteś winna.

Powiedział to z takim naciskiem, że Louise nie miała odwagi zaprotestować. Widziała, że sąsiad jest skrepowany, wyraźnie szukał jakiegoś tematu do rozmowy. Przypomniała sobie, że Mitsos pod pewnymi względami przypomina jej Artura. W podobny, wzruszający Louise sposób nie umiał sobie radzić z uczuciami.

– Leandros jest chory – powiedział nagle. – Nasz stary stróż. Jak wy na niego mówicie? *Phylakas angelos*?

- Tak, to nasz anioł stróż. Co się stało?

– W pewnej chwili zaczął się zataczać, a potem się przewrócił. Najpierw lekarze myśleli, że to ciśnienie, ale w zeszłym tygodniu znaleźli w jego głowie wielki *ongos*. Jak to się nazywa? Guz?

– Jest w szpitalu? – zignorowała pytanie Louise.

– Nie, nie zgodził się na to. Nie chce też, żeby mu zaglądali pod czaszkę. Woli umrzeć.

– Biedny Leandros.

– Ma za sobą długie życie. Mówi, że najwyższy czas odejść. *Oti prepi tha teleiossi*, jak tutaj mawiamy. „Na to, co i tak ma się skończyć, kiedyś nadejdzie kres”.

Mitsos wstał, zbierał się do wyjścia.

– Wyjeżdżam jutro – powiedziała Louise. – Wracam do Szwecji.

– Wrócisz w przyszłym roku?

– Tak.

Nie zdążyła cofnąć tych słów.

W połowie drogi do drzwi Mitsos się odwrócił i powiedział:

– Był tu ktoś i pytał o ciebie.

Louise zeszywniała. Mitsos poruszył jedną z ciasno oplatających ją nici.

– Kto to był? – zapytała.

– Nie wiem.

– Był Grekiem?

– Nie. Mówił po angielsku. Wysoki, chudy, z rzadkimi włosami. Zapytał, czy jesteś, a potem pojechał na wykopaliska. Miałem wrażenie, że wiedział, co cię spotkało.

Ku swojemu przerażeniu Louise pomyślała, że mógł to być Aron.

– Nie przedstawił się?

– Murray. Ale nie wiem, czy to imię, czy nazwisko.

– Może być jednym i drugim. Opowiedz mi to ze szczegółami. Kiedy przyjechał? O co dokładnie zapytał. Przyjechał autem czy przyszedł pieszo, a jeśli autem, to czy zaparkował je tak, że było je stąd widać?

– Dlaczego, na Boga, wypytujesz mnie o takie rzeczy? – zdziwił się Mitsos.

Louise poczuła, że nie ma już siły ukrywać prawdy.

– Dlatego że to mógł być ktoś niebezpieczny. Mógł to być morderca Henryka, a być może i mojego byłego męża. Dlatego że mógł chcieć zabić również i mnie.

Mitsos spojrział na nią osłupiały. Widać było, że za moment zaprotestuje. Louise podniosła dłoń na znak, by o nic nie pytał.

– Musisz mi uwierzyć. Nie oczekuję niczego więcej. Kiedy dokładnie tu był?

– W zeszłym tygodniu. W czwartek wieczorem. Po prostu zapukał do drzwi. Nie słyszałem warkotu silnika. Psy nie szczekały. Zapytał o ciebie.

– Pamiętasz, co dokładnie powiedział?

– Czy wiem, czy pani Cantor jest w domu.

– Pani Cantor, nie Louise?

– Nie. Pani Cantor.

– Spotkałeś go wcześniej?

– Nie.

– Czy sprawiał wrażenie kogoś, kogo mogę znać?

Mitsos zawahał się chwilę.

– Nie, nie sędzę, żeby cię znał – odparł po namyśle.

– Co mu odpowiedziałeś?

– Że pojechałaś do Szwecji i nie wiem, kiedy wrócisz.

– Powiedziałeś, że potem pojechał na wykopaliska.

- Tak, następnego dnia.
- I co było potem?
- Zapytał, czy na pewno nie wiem, kiedy wrócisz. Wtedy uznałem, że jest trochę za bardzo ciekawski, więc mu powiedziałem, że to wszystko, co wiem, i że właśnie wychodzę na kolację.
- I co on na to?
- Przeprosił za to, że mnie nachodzi. Ale nie powiedział tego szczerze.
- Dlaczego tak myślisz?
- To się czuje. Sprawiał wrażenie miłego, ale go nie polubiłem.
- I co było potem?
- Poszedł sobie, a ja zamknąłem drzwi.
- Usłyszałeś samochód?
- Z tego co pamiętam, to nie. Psy tym razem też siedziały cicho.
- I już więcej nie wrócił?
- Potem już go nie widziałem.
- Czy pytał o mnie ktoś jeszcze?
- Nie.

Louise zrozumiała, że nie dowie się niczego więcej. Podziękowała Mitsosowi, który odwrócił się i poszedł. Kiedy tylko zatrzasnęły się za nim drzwi do jego domu, wsiadła do auta i odjechała. Po drodze do Aten był hotel o nazwie Nemea. Louise już raz w nim nocowała z powodu awarii kanalizacji w wynajmowanym domu. Teraz była chyba jedynym gościem w całym hotelu i dostała pokój z podwójnym łóżkiem oraz widokiem na ciągnący się po horyzont gaj oliwny. Usiadła na balkonie, lecz kiedy owiał ją chłodny jesienny wiatr, poszła po koc. Z oddali dobiegały dźwięki muzyki i śmiech jakichś ludzi.

Rozmyślała o tym, co powiedział jej Mitsos. Nie miała pojęcia, kim był mężczyzna, który się nią interesował. Przekonała się jednak, że ludzie, którzy ją obserwują, są bliżej, niż przypuszczała. Nie udało jej się ich zgubić.

Podjeżdżają, że wiem więcej, niż wiem naprawdę, albo że się nie poddam, dopóki nie dotrę do prawdy. Jedynym sposobem na uwolnienie się od nich jest zaprzestanie poszukiwań. Sądziłam, że zostawiłam ich bezpowrotnie w Afryce. Myliłam się.

Siedząc w ciemności na balkonie, Louise podjęła ostateczną decyzję. Nie zostanie dłużej w Grecji. Musi zdecydować między powrotem do Barcelony a podróżą do Szwecji. Nie było to trudne. Louise wiedziała, że teraz najbardziej potrzebuje Artura.

Nazajutrz wróciła do domu i opróżniła go z reszty swoich rzeczy. Potem wrzuciła klucze do skrzynki Mitsosa. Dołączyła do nich liścik, w którym napisała, że być może kiedyś wróci po bujany fotel Leandrosa. Do koperty włożyła też banknot i dopisała prośbę, by Mitsos kupił staremu stróżowi kwiaty lub papierosy od niej oraz życzył mu powrotu do zdrowia.

W końcu wsiadła do auta i ruszyła w stronę Aten. W powietrzu wisiała wilgotna mgła. Na ulicach panował całkiem spory ruch i kierowcy zachowywali się nerwowo. Jechała zdecydowanie za szybko, mimo że wcale się nie spieszyła. Czas płynął gdzieś obok. Nie miała na niego wpływu, tkwiąc w miejscu, w którym wcale go nie było.

Udało jej się kupić bilet na wieczorny lot do Sztokholmu z przesiadką w Kopenhadze. Wylądowała w Szwecji koło północy i udała się prosto do położonego przy lotnisku hotelu. Pieniądze Arona wciąż jeszcze starczały jej na podróże i noclegi. Zapoznała się

z porannym planem lotów i zadzwoniła do Artura. Poprosiła, by przyjechał po nią do Östersund, ale dopiero wieczorem, bo wcześniej chciała jeszcze zajrzeć do mieszkania Henryka. Arturowi wyraźnie ulżyło, że Louise wreszcie wróciła do domu.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– Jestem zbyt zmęczona, żeby o tym rozmawiać.

– Tutaj pada śnieg – odparł. – Spokojnie i bezszelestnie. Termometr wskazuje cztery stopnie poniżej zera. Nawet mnie nie zapytałaś, jak poszło polowanie na łosia.

– Przepraszam. Jak poszło?

– Dobrze. Ale trwało zdecydowanie za krótko.

– Ustrześliś coś?

– Żaden łosć niestety się nie pojawił na mojej drodze, mimo to w dwa dni wyczerpaliśmy limit. Przyjadę po ciebie, kiedy już zdecydujesz, o której przylecisz.

Tej nocy Louise po raz pierwszy od tygodni spała spokojnym głębokim snem, nie niepokojona przez nerwowe sny. Następnego ranka wymeldowała się z hotelu i zostawiwszy bagaż w przechowalni, pojechała pociągiem do Sztokholmu. W mieście padał zimny deszcz, znad Bałtyku wiał porywisty wiatr. Kuląc się z zimna, ruszyła w stronę stacji metra Slussen, po chwili jednak doszła do wniosku, że pogoda jest nie do wytrzymania, i złapała taksówkę. Kiedy usadowiła się już na tylnym siedzeniu, nagle przed oczami stanęła jej twarz Umbiego.

Nic się nie skończyło. Louise Cantor wciąż otaczają cienie.

Dotarła pod bramę kamienicy przy Tavastgatan, a dłuższą chwilę zbierała siły, by wejść do góry. W końcu ruszyła po schodach i otworzyła drzwi do mieszkania.

Na podłodze w przedpokoju leżały ulotki reklamowe i jakieś lokalne gazetki. Louise pozbierała je i zaniósła do kuchni. Potem usiadła przy stole i dłuższą chwilę wsłuchiwała się w odgłosy dobiegające z sąsiednich mieszkań. Gdzieś grała muzyka. Jak przez mgłę pamiętała, że słyszała podobną, kiedy była tu poprzednim razem.

Wróciła pamięcią do chwili, w której odkryła martwego Henryka.

Zawsze spał nago, a tamtego dnia miał na sobie piżamę.

Nagle sobie uświadomiła, że istnieje wyjaśnienie tej zagadki, którego wcześniej w ogóle nie brała pod uwagę, bo nie dopuszczała do siebie myśli, że jej syn rzeczywiście mógł popełnić samobójstwo. A jeśli naprawdę tak było? Nie chciał, żeby znaleziono go nagiego, dlatego włożył starannie wyprasowaną piżamę.

Louise poszła do sypialni i spojrzała na łóżko. Może Göran Vrede i patolog mają rację? Henryk mógł odebrać sobie życie, bo nie potrafił znieść myśli o chorobie lub też dlatego, że okrutny, niesprawiedliwy świat okazał się dla niego zbyt wielkim ciężarem. Aron zniknął, ponieważ był, kim był. Człowiekiem niezdolnym do wzięcia na siebie żadnej odpowiedzialności. Zabójstwo Umbiego pozostawało zagadką, mimo to wcale nie musiało mieć niczego wspólnego ze śmiercią Henryka i zniknięciem Arona.

Dałam się uwieźć w jakimś koszmarze, zamiast dopuścić do siebie prawdę, pomyślała. Wciąż jednak nie była w pełni przekonana. Zbyt wiele faktów działało na korzyść pierwszej wersji wydarzeń, sprawiając, że igła kompasu kręciła się w kółko. Louise nie wiedziała nawet, co się stało z pościelą Henryka. Przyszło jej na myśl, że być może zabrano ją razem z ciałem. W końcu w każdej antycznej wazie, którą udało jej się poskładać ze skorup, były jakieś

niedoskonałości i szpary, odstające krawędzie. Rzeczywistość nie zdradza wszystkich swoich tajemnic.

Wychodząc z mieszkania Henryka, Louise wciąż była pełna wątpliwości.

Poszła pieszo do stacji Slussen i stamtąd wzięła taksówkę na lotnisko. Świat za szybą samochodu był szary i lekko zamglony. Jesień powoli dobiegała końca, wkrótce miała nadejść zima.

W terminalu krajowym kupiła bilet do Östersund na szesnastą dziesiątą. Artur odebrał telefon w lesie i potwierdził, że po nią przyjedzie.

Louise miała przed sobą trzy godziny czekania. Wiedziała, że musi porozmawiać z Nazrin. Obawiała się tej rozmowy, chciała bowiem powiedzieć jej o chorobie Henryka. Czy ją zaraził? Nazrin, swoją siostrę Felicję. Spojrzała na las rosnący po drugiej stronie płyty lotniska, zastanawiając się, czy da sobie radę, kiedy sprawdzą się jej najgorsze obawy. Kiedy się okaże, że jej syn zaraził również swoją nieistniejącą siostrę.

Potem zajęła myśli planowaniem przyszłości.

Mam zaledwie pięćdziesiąt cztery lata. Czy poczuje jeszcze kiedykolwiek radość i dreszcz emocji na myśl o tym, co kryje się pod ziemią i czeka, by zostać przeze mnie odkopane? Czy to już koniec? Czy istnieje dla mnie jeszcze jakaś przyszłość?

Wiedziała, że nie dokopała się jeszcze do dna tajemnicy śmierci Henryka.

Zabija mnie ta niewiedza. Muszę sprawić, żeby elementy układanki złożyły się w całość i opowiedziały mi logiczną historię. Być może to ostatnie archeologiczne wyzwanie, jakie mnie czeka.

Sięgnęła po komórkę i wybrała numer Arona. „Abonent jest poza zasięgiem sieci”, usłyszała.

Czekając na swój lot, obserwowała, jak samoloty startują z lotniska i jak lądują, wyłaniając się z chmur jak wielkie błyszczące ptaki. Wreszcie wstała i odebrała bagaż, potem przeszła przez kontrolę bezpieczeństwa i usiadła na niebieskim fotelu w poczekalni.

W połowie pusty samolot wystartował o czasie.

W Östersund było bezwietrznie i padał śnieg. Zapadł już zmrok.

Artur czekał na nią przy taśmie w punkcie odbioru bagażu. Louise zauważyła, że na jej przyjazd ojciec starannie się ogolił i ładnie ubrał.

Kiedy wsiedli do auta, Louise zaczęła płakać. Artur pogłaskał ją po policzku, a potem ruszył, kierując się na most na jeziorze Storsjön i drogę wiodącą do Sveg. W okolicach Svenstavik Louise zaczęła opowiadać o podróży do Afryki.

– Na razie opowiadam to na próbę – powiedziała. – Nie wiem, jak powinnam dobierać słowa, żeby dokładnie odtworzyć tę historię.

– Nie musisz się spieszyć – odparł Artur.

– Nie wiem czemu, ale ciągle mi się zdaje, że muszę.

– Wszystko, co do tej pory robiłaś w życiu, odbywało się w dużym pośpiechu. Nigdy tego nie rozumiałem. A przecież i tak udaje nam się zdążyć jedynie z niewielką częścią tego, co sobie zaplanujemy i czego byśmy sobie życzyli. Nawet długie życie tak naprawdę jest krótkie. Dziewięćdziesięciolatek może mieć tak samo niecierpliwe sny jak nastolatek.

– Wciąż nie mam wieści od Arona. Nie wiem nawet, czy żyje.

– Trzeba koniecznie go odnaleźć. Nie chciałem nic robić bez ciebie, ustaliłem tylko, czy wrócił do Apollo Bay. Nie zrobił tego.

Jechali przez ciemny las. Światła reflektorów omiały wznoszącą się po obu stronach drogi gęstą ścianę drzew. Wciąż padał drobny śnieg. Gdzieś między Ytterhogdal a Sveg Louise usnęła, opierając głowę o ramię jedyne go bliskiego człowieka, jaki jej pozostał.

Następnego dnia udała się na komisariat i zgłosiła zaginięcie Arona. Od razu rozpoznała policjanta przyjmującego zgłoszenie. Pamiętała go z dzieciństwa. W szkole był parę klas wyżej od niej, miał skuter i Louise była w nim beznadziejnie zakochana, choć nie miała pewności, czy nie z powodu tego właśnie skutera. Mężczyzna nie zadał jej wielu pytań, złożył jej tylko kondolencje.

Po wizycie na komisariacie poszła na cmentarz. Grób otulała gruba pokrywa śniegu. Wciąż brakowało kamiennego nagrobka, ale Artur zapewnił ją, że już go zamówił u kamieniarza w Östersund.

Idąc tam, Louise obawiała się, że nie wytrzyma tego widoku. Jednak kiedy stanęła nad grobem, była spokojna, niemal obojętna.

Henryka tu nie ma. Jest we mnie. Nie leży w ziemi pod śniegiem. Umarł tak wcześnie, ale mimo to zdołał odbyć długą podróż. Pod jednym względem był do mnie bardzo podobny. Podobnie jak ja brał życie na poważnie.

Jakaś kobieta przeszła sąsiednią alejką. Przywitała się z Louise, ale się nie zatrzymała. Jej twarz wydawała się znajoma, Louise nie mogła jednak przypomnieć sobie jej imienia.

Zaczął padać śnieg. Louise właśnie miała opuścić cmentarz, kiedy w jej kieszeni zabrzączał telefon. Dzwoniła Nazrin. Ledwo ją było słychać, w tle przeszkadzały jakieś hałasy.

- Słyszysz mnie pani?! – dziewczyna krzyknęła do słuchawki.
- Ledwo. Gdzie jesteś?

– Czasy się zmieniły – odparła Nazrin. – Kiedyś rozmowę telefoniczną zaczynało od „Jak się masz?”, dziś na początek ustalamy położenie geograficzne.

– Ledwo cię słyszę. Coś strasznie huczy w tle.

– Jestem na dworcu centralnym w Sztokholmie. Wokół biegają ludzie i jeżdżą pociągi.

– Wyjeżdżasz?

– Właśnie wróciłam z Katrineholm. A gdzie pani jest?

– Przy grobie Henryka.

Nazrin na moment zamilkła, po chwili znów się odezwała:

– Czy dobrze słyszałam? Jest pani na północy?

– Tak, i właśnie stoję przy jego grobie. Pada śnieg. Jest całkiem biało.

– Chciałabym tam teraz być. Proszę poczekać, wejdę tam, gdzie sprzedają bilety. Trochę będzie ciszej.

Hałas w tle nagle ucichł i został zastąpiony przez pojedyncze głosy.

– Teraz lepiej? – spytała Nazrin tak wyraźnie, jakby stała tuż obok. Louise niemal poczuła jej oddech na szyi.

– Zdecydowanie – odparła.

– Tak nagle pani wyjechała. Byłam zaskoczona.

– Odbyłam długą podróż. Wstrząsającą, chwilami przerażającą. Spotkajmy się. Możesz przyjechać?

– Może umówimy się w połowie drogi? – zaproponowała dziewczyna. – Mój brat wyjechał za granicę i zostawił mi samochód. Lubię prowadzić.

Louise przypomniała sobie, że kiedyś jechali z Arturem do Sztokholmu i zatrzymali się w Järvsö. Było to mniej więcej w połowie trasy. Zaproponowała to miejsce.

– Nie wiem, gdzie to jest – odparła Nazrin. – Ale znajdę. Mogę przyjechać już jutro. Spotkajmy się przy kościele o drugiej.

– Dlaczego przy kościele?

– Bo na pewno jest tam jakiś kościół. Chyba że przychodzi pani do głowy lepsze miejsce? Kościół zawsze łatwo znaleźć.

Kiedy skończyły rozmawiać, Louise weszła do kościoła w Sveg. Pamiętała, że przychodziła tu jako mała dziewczynka. Wpatrywała się w wielki ołtarz, wyobrażając sobie, że rzymscy żołnierze nagle ożyją, zejść z obrazu i ją porwą. Nazywała to „zabawą w strach”.

Nazajutrz wyjechała wcześniej rano. Przestało padać, ale drogi były śliskie. Chciała mieć duży zapas czasu. Artur pożegnał się z nią przed domem, stojąc na mrozie z nagim torsem.

Spotkały się pod kościołem o umówionej porze. Stał na wyspie, na środku rzeki Ljusny. Nazrin przyjechała drogim mercedesem.

Wiatr rozwiął chmury i zaświeciło słońce. Zima zrobiła krok w tył, dając jesieni jeszcze trochę czasu.

Louise zapytała Nazrin, czy spieszy się z powrotem do domu.

– Mogę zostać do jutra – odparła dziewczyna.

– Jest tu elegancki stary hotel, nazywa się Järvsöbaden. Nie sądzę, by o tej porze roku był problem z miejscami.

Dostały dwa pokoje w jednym ze skrzydeł dużego budynku. Louise zaproponowała, żeby poszły na spacer, ale Nazrin pokręciła głową. Wolą pozostać i porozmawiać.

Usiadły w ustronnym miejscu w foyer, gdzie w kącie tykał stary zegar. Nazrin bezwiednie pocierała dłonią zaczerwienienie na policzku wyglądające na wysypkę. Louise postanowiła od razu przejść do rzeczy.

– To dla mnie bardzo trudne, ale muszę ci o czymś powiedzieć – zaczęła. – Henryk był zarażony wirusem HIV. Myślę o tobie, odkąd się o tym dowiedziałam.

Bała się reakcji Nazrin. Wielokrotnie zadawała sobie pytanie, jak ona sama by zareagowała na taką wieść. Nie spodziewała się tego, co usłyszała.

– Wiem – odparła dziewczyna.

– Powiedział ci? – spytała zaskoczona Louise.

– Nie. To znaczy tak, w pewnym sensie. Dowiedziałam się dopiero po jego śmierci.

Otworzyła torebkę i wyjęła z niej list.

– Niech pani to przeczyta – powiedziała, podając kopertę Louise.

– Co to jest?

– Niech pani czyta.

List był od Henryka, niedługi. Henryk w kilku zdaniach informował Nazrin, że się dowiedział o swojej chorobie, i wyrażał nadzieję, że jej nie zaraził.

– Dostałam go parę tygodni temu. Przyszedł z Barcelony. Ktoś go musiał wysłać, dowiedziawszy się o śmierci Henryka. Podejrzewam, że on sam tak to zaplanował. Często mówił o tym, co i jak trzeba zaplanować na wypadek, gdyby coś się wydarzyło. Myślałam sobie wtedy, że lubi dramatyzować. Teraz rozumiem.

Blanka musiała mieć przygotowany ten list, kiedy byliśmy u niej z Aronem, pomyślała Louise. Henryk zapewne dał jej jasną instrukcję: „Wyślij to, jeśli umrę”.

– Nie przestraszyłam się – mówiła dalej Nazrin. – Zawsze byliśmy ostrożni. Oczywiście zrobiłam badania. Nie jestem zarażona.

– Możesz sobie wyobrazić, jak się denerwowałam przed tą rozmową.

– Rozumiem, ale Henryk nigdy by mnie nie naraził na niebezpieczeństwo.

– Ale mógł cię zarazić, zanim sam się dowiedział, że jest nosicielem.

– Myślę, że bardzo szybko się o tym dowiedział.

– Mimo to zdecydował się nic nie mówić.

– Pewnie się bał, że go zostawię. Kto wie, może bym to zrobiła? Nie potrafię teraz odpowiedzieć na to pytanie.

Podeszła do nich jakaś kobieta i zapytała, czy zjedzą kolację w hotelu. Chętnie się zgodziły, ale ponieważ Nazrin nagle zapragnęła wyjść na zewnątrz, postanowiły najpierw się przespacerować. Ruszyły przed siebie wzdłuż rzeki. Louise opowiedziała jej o podróży do Afryki. Nazrin nie zadawała wielu pytań. Wdrapały się na niewielki pagórek i ze szczytu oglądały okolicę.

– Trudno mi w to uwierzyć – odezwała się Nazrin. – Henryk został zamordowany, ponieważ się o czymś dowiedział? I potem Aron zniknął z tego samego powodu?

– Nie oczekuję, że mi uwierzysz – odparła Louise. – Być może uda ci się coś przypomnieć. Może Henryk powiedział coś, co by pasowało do tej teorii? Wymienił jakieś nazwisko?

– Nie, niczego takiego sobie nie przypominam.

Rozmawiały do późnej nocy. Kiedy nazajutrz Louise ruszyła w powrotną drogę do domu, Nazrin jeszcze spała. Opłaciwszy hotel, Louise zostawiła jej wiadomość.

Parę kolejnych tygodni Louise spędziła zatopiona w spokoju późnej jesieni. Razem z Arturem czekali na zimę. Sypiała długo, w ciągu dnia zajmowała się pisaniem raportu dla uniwersytetu,

podsumowującego tegoroczne wykopaliska. W wolnych chwilach rozmawiała z przyjaciółmi i znajomymi, wszędzie spotykając się ze zrozumieniem i słysząc słowa pociechy. Zapewniano ją też, że będzie, kiedy już minie żałoba, mile widziana z powrotem w pracy. Louise wiedziała jednak, że jej żałoba nigdy się nie skończy. Przeciwnie, zostanie z nią na zawsze i będzie rosła w siłę.

Co jakiś czas odwiedzała znajomego policjanta w jego malutkim biurze, ale nigdy nie miał on dla niej żadnych nowych wiadomości. Aron przepadł bez śladu, mimo że poszukiwano go na całym świecie. Zniknął tak, jak wiele razy wcześniej, nie zostawiając żadnej wiadomości.

Przez cały ten czas Louise nie rozmyślała wiele o przyszłości. Przyszłość przestała dla niej istnieć, jawiła się jako pusta biała kartka. Louise trzymała się prosto, ale wciąż towarzyszyła jej obawa, że w każdej chwili jej spokój może się posypać. Dużo spacerowała, często wybierając trasę wiodącą w jedną stronę przez stary most kolejowy, a z powrotem przez nowy. Parę razy zdarzyło jej się wstać bardzo wcześnie, założyć stary plecak Artura i zniknąć w lesie na wiele godzin, by powrócić dopiero o zmierzchu.

Próbowała pogodzić się z myślą, że być może nigdy nie uda jej się dowiedzieć, co było przyczyną śmierci Henryka. Raz po raz podnosiła jeszcze pojedyncze elementy układanki, przyglądała się im i próbowała ułożyć je w całość. Robiła to jednak z coraz bardziej gasnącą nadzieją na znalezienie rozwiązania. Artur trwał przy niej nieustannie, zawsze gotowy do rozmowy i wszelkiej pomocy.

Niekiedy rozmawiali do późna w nocy, najczęściej o sprawach codziennych, o pogodzie, czasem wspominali dzieciństwo Louise. Zdarzało jej się wypróbować na ojcu różne hipotezy. A może było tak, pytała, a może inaczej? Artur słuchał z uwagą, ale Louise,

słyszając własne słowa, najczęściej sama dochodziła do wniosku, że znów zabrnęła w ślepią uliczkę.

Pewnego popołudnia, na początku grudnia, zadzwonił telefon. Niejaki Jan Lagergren chciał rozmawiać z Louise. Nie słyszała jego głosu od wielu lat. Studiowali na jednym roku w Uppsali, ale Jan miał całkiem inne plany na przyszłość. Przez krótki czas nawet się sobą interesowali, nic jednak z tego nie wyszło. Louise zapamiętała jedynie, że największą ambicją kolegi było znalezienie pracy w administracji państwowej, najlepiej takiej, która zawiodłaby go za granicę.

Dziwnie się czuła, słyszając jego głos po tych wszystkich latach.

– Wydarzyło się coś niezwykłego – oznajmił. – Dostałem niedawno list od jednej z moich niezliczonych ciotek zamieszkałych w Härjedalen, w którym rzeczona ciotka napisała, że widziała cię w kościele w Sveg. Bóg raczy wiedzieć, skąd wiedziała, że się znamy. Napisała mi też, że niedawno straciłaś syna. Pomyślałem, że zadzwonię, żeby ci złożyć kondolencje.

– To miłe słyszeć twój głos po tylu latach – odparła Louise. – Brzmi zupełnie tak samo jak dawniej.

– Mimo to się zmieniłem. Głos mam ten sam, za to zostały mi kępki włosów na głowie, w ogóle nic już nie wygląda tak jak kiedyś.

– Miło cię słyszeć i dziękuję ci za pamięć. Henryk był moim jedynym dzieckiem.

– Czy zginął w jakimś wypadku?

– Policja mówi, że to było samobójstwo, ale trudno mi w to uwierzyć. Chyba nadal się oszukuję.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Nie musisz nic mówić, wystarczy, że zadzwoniłeś. Porozmawiajmy chwilę, nie mieliśmy kontaktu przez dwadzieścia pięć lat. Jak potoczyło się twoje życie? Dostałeś tę pracę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych?

– Prawie. Bywało, że przez dłuższy czas miałem w kieszeni paszport dyplomatyczny, ale najczęściej za granicę wysyłała mnie Sida⁹.

– Ja niedawno wróciłam z Afryki. Z Mozambiku.

– Nigdy tam nie byłem. Spędziłem trochę czasu w Addis Abebie, potem mieszkałem w Nairobi. Za pierwszym razem pracowałem jako doradca do spraw rozwoju rolnictwa, później występowałem jako szef całej komórki zajmującej się pomocą dla Kenii. Teraz pracuję jako dyrektor jednego z wydziałów Sidy w Sztokholmie. A ty? Zostałaś archeologiem?

– Tak. I prawie osiadłam w Grecji. Czy podczas pracy w Sidzie nie spotkałeś przypadkiem niejakiego Larsa Håkanssona?

– Spotkałem go kiedyś, zamieniliśmy parę słów, ale nigdy nie łączyły nas żadne wspólne sprawy. Dlaczego pytasz?

– Poznałam go w Maputo. Mieszka tam i pracuje dla tamtejszego Ministerstwa Zdrowia.

– No cóż, mam nadzieję, że to odpowiedni człowiek na to stanowisko.

– Jeśli mam być szczerą, wcale go nie polubiłam.

– Więc dobrze zrobiłem, nie mówiąc o nim jako o moim najlepszym przyjacielu – zaśmiał się Jan.

– Trochę mi wstyd o to pytać, ale czy znasz może jakieś plotki na jego temat? Chodzi mi o to, jaką ma opinię wśród ludzi. Ciekawi mnie to, bo ponoć przyjaźnił się z moim synem.

– Popytam. Oczywiście nie będę zdradzał, dla kogo te informacje.

– Jak się ogólnie masz? – zmieniła temat Louise. – Czy życie okazało się takie, jak się spodziewałaś?

– Niezupełnie. Ale czy to w ogóle możliwe? Zadzwoń do ciebie, kiedy uda mi się czegoś dowiedzieć.

Dwa dni później, kiedy Louise siedziała w fotelu i przeglądała stary podręcznik do archeologii, znów zadzwonił telefon.

Na każdy dźwięk jego dzwonka podrywała się, mając głęboką nadzieję, że to Aron. Tym razem oddzwaniał Jan Lagergren.

– Zdaje się, że masz dobrą intuicję – powiedział. – Zapytałem o twojego znajomego parę osób, o których wiem, że potrafią odróżnić prawdę od zawistnych plotek. Wygląda na to, że Lars Håkansson nie ma wielu godnych zaufania przyjaciół. Uważa się go za wyniosłego i aroganckiego. Nikt nie kwestionuje jego kompetencji, ale z pewnością nie jest to człowiek czysty jak łąza.

– Co ma na sumieniu?

– Mówi się, że posługując się paszportem dyplomatycznym, przemycił sporą ilość skór dzikich zwierząt i jakichś zagrożonych wyginięciem gadów. Chodzi o chronione gatunki, których nie wolno ruszać. Dla ludzi bez skrupułów to intratny interes. Podobno nie jest to wcale trudne, bo, dla przykładu, skóra pytona jest bardzo lekka. Inna plotka głosi, że pan Håkansson jest zamieszany w nielegalny handel samochodami. No i wreszcie że posiada dwór w Sörmland, na który teoretycznie go nie stać. Posiadłość nazywa się Pański Dwór i nazwa ta mówi sama za siebie. Podsumowując, określiłbym Larsa Håkanssona jako zdolnego, lecz wyrachowanego człowieka, który doskonale potrafi zadbać o swój interes. Niestety znam takich wielu.

– Dowiedziałaś się czegoś jeszcze?

– Czy to nie wystarczy? – Jan nie ukrywał zdziwienia. – Z tego, co właśnie ci przekazałem, wyraźnie wynika, że Lars Håkansson lubi łowić ryby w mętnej wodzie. Na dodatek jest zdolnym aktorem, bo nikt go jeszcze na niczym nie przyłapał.

– Słyszałeś kiedyś może o jakimś Christianie Hollowayu?

– Czy on też pracuje dla Sidy?

– Nie. Zakłada prywatne ośrodki opieki nad chorymi na AIDS.

– To godne pochwały. Raczej o nim nie słyszałem.

– Czy jego nazwisko nie padło w żadnej z rozmów na temat Larsa Håkanssona? Wydaje mi się, że ci dwaj współpracują.

– Zapamiętam to nazwisko i jeśli uda mi się czegokolwiek dowiedzieć, znów się odezwę. Tymczasem zanotuj sobie mój numer telefonu. Z ciekawością wysłucham, dlaczego tak się interesujesz tym Håkanssonem.

Louise zapisała numer na okładce starego podręcznika.

Wykopałam kolejny ceramiczny odłamek z afrykańskiej ziemi, pomyślała. Lars Håkansson, człowiek wyrachowany, zdolny do wszystkiego. Dołączyła odłamek do reszty i w tej samej chwili poczuła się nieludzko zmęczona.

Ściemniało się coraz wcześniej. Nie tylko na dworze, ale też w niej. Louise miała wrażenie, że ciemności wnikają do jej wnętrza i moszczą się tam na dobre. Mimo to bywały dni, kiedy czuła, że wracają jej siły, i nie poddawała się przygnębieniu. Wówczas rozkładała w wyobraźni zgromadzone odłamki i próbowała złożyć je w całość, skleić z nich naczynie, którym kiedyś były. Artur chodził przy niej na palcach, z fajką w ustach, i tylko stawiał przed nią nowy kubek z kawą. Po jakimś czasie Louise

podzieliła odłamki na poboczne i te, które tworzyły trzon. Afryka znajdowała się na samym środku.

Geograficznym centrum było Xai-Xai. Louise znalazła w internecie wiadomości na temat wielkiej powodzi, która nawiedziła miasto przed paroma laty. Cały świat obiegiło zdjęcie małej dziewczynki urodzonej na drzewie w trakcie trwania kataklizmu. Jej matka wdrapała się na nie, ratując się przed utonięciem.

Jednak odłamki zgromadzone przez Louise nie opowiadały ani o życiu, ani o początku czegoś nowego. Mówiły o śmierci, chorobie, o doktorze Levanskym i jego eksperymentach w Kongu Belgijskim. Louise drżała na każdą myśl o krzyczących, przypiętych pasami małpach i ludziach.

Przytłaczająca wiedza, jaką Louise zgromadziła podczas podróży do Afryki, towarzyszyła jej nieustannie, owiewając ją niczym przenikliwy chłód. Często zadawała sobie pytanie, czy podobnie odczuwał to Henryk. Czy jego również przeszywał ten ziąb? Czy postanowił odebrać sobie życie, bo nie był w stanie udźwignąć świadomości, że są miejsca, gdzie ludzi i zwierzęta traktuje się w bestialski sposób?

Co chwila zaczynała od nowa. Rozsypywała odłamki i zestawiała je w nowe wzory.

Tymczasem jesień przeszła w głęboką zimę.

Czwartek 16 grudnia był dniem słonecznym i chłodnym. Louise wstała wcześnie rano, obudzona hałasem, jaki robił Artur, odśnieżając podjazd do garażu. Rozdzwonił się telefon. W pierwszej chwili Louise nie zrozumiała, kto dzwoni. W słuchawce słychać było trzaski, a w tle jakiś słaby głos, jakby z bardzo daleka. Czyżby to był

Aron, który nagle postanowił się odezwać, siedząc wśród tych swoich czerwonych papug?

W końcu rozpoznała głos Lucindy. Brzmiał słabo, ale był pełen napięcia.

– Jestem chora – oznajmiła dziewczyna. – Umieram.

– Co mogę dla pani zrobić?

– Niech pani przyjedzie.

Głos w słuchawce zanikał, Louise miała wrażenie, że zaraz jej się wymknie. Jednak po chwili przez szum przebiły się kolejne słowa.

– Chyba w końcu zrozumiałam. Wiem, co odkrył Henryk. Niech pani przyjedzie, zanim będzie za późno.

Połączenie zostało zerwane. Z zewnątrz wciąż dochodziło szuranie łopaty. Louise siedziała jak sparaliżowana.

W sobotę 18 grudnia Artur zawiózł Louise na podstokholmskie lotnisko Arlanda. Następnego dnia przed południem wysiadła z samolotu w Maputo.

Upał uderzył w nią niczym rozgrzana do czerwoności pięść.

Zdoławszy jakimś cudem dogadać się z niemówiącym po angielsku taksówkarzem, odnalazła dom Lucindy. Kiedy wreszcie dotarła na miejsce, dziewczyny nie było w domu. Na widok Louise matka Lucindy się rozpląkała. Po tym Louise była już niemal pewna, że przyjechała za późno. Nagle z głębi mieszkania wyłoniła się jedna z sióstr Lucindy i przemówiła dziwaczną, ale dość zrozumiałą angielszczyzną.

– Lucinda żyje – powiedziała. – Ale nie ma jej w domu. Rozchorowała się nagle, nie miała sił, by wstać z łóżka. W ciągu paru tygodni strasznie schudła.

Louise nie była pewna, czy dobrze rozumie. Dziewczyna z każdym słowem mówiła coraz mniej wyraźnie, jakby kończyły jej się baterie.

– Lucinda powiedziała, że *Donna* Louisa na pewno przyjedzie i będzie o nią pytać. Mamy powiedzieć Donnie Louisie, że Lucinda pojechała po pomoc do Xai-Xai.

– Naprawdę tak powiedziała? – spytała zaskoczona Louise. – Wiedziała, że przyjadę?

Rozmawiały przed domem, słońce świeciło tuż nad ich głowami. Louise zrobiło się niedobrze od upału. Czuła jeszcze w kościach szwedzką zimą.

Lucinda pojechała po pomoc do Xai-Xai, powtórzyła w myślach. Była pewna, że jest dokładnie tak, jak Lucinda powiedziała przez telefon. Zostało niewiele czasu.

Taksówkarz, który przywiózł Louise z lotniska, czekał przy samochodzie. Usiadł w cieniu na ziemi i słuchał radia grającego na cały regulator. Louise poprosiła siostrę Lucindy, żeby podeszła z nią

do kierowcy i wyjaśniła mu, dokąd ma ją zawieźć. Kiedy mężczyzna zrozumiał, jak daleko ma jechać, westchnął przeciągle. Louise jednak nalegała. Musiała jechać do Xai-Xai i chciała tam jechać natychmiast. Kierowca wymienił cenę za kurs opiewającą na miliony meticali. Louise zaproponowała, że zapłaci w dolarach, co od razu znacznie go ożywiło. W końcu udało im się uzgodnić cenę, powiększono ją o koszty paliwa oraz wszystko inne, w co należało się wyposażyć na drogę. Louise pamiętała, że odległość wynosi sto dziewięćdziesiąt kilometrów. Taksówkarzowi zdawało się to tak daleko, że traktował tę podróż jako ekspedycję w nieznanne.

– Niech go pani zapyta, czy był kiedykolwiek w Xai-Xai – poprosiła siostrę Lucindy.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Proszę mu powiedzieć, że ja byłam tam wcześniej i znam drogę. I niech powie, jak ma na imię.

Po chwili Louise wiedziała już, że taksówkarz ma na imię Gilberto, ma żonę, szóstkę dzieci i jest katolikiem. W aucie wisiało zdjęcie coraz bardziej schorowanego papieża Jana Pawła II.

– Proszę mu jeszcze powiedzieć, że chcę w samochodzie odpocząć, więc nie musi mówić do mnie przez cały czas.

Gilberto przyjął tę wiadomość jak dodatkową zapłatę i cicho zamknął drzwi za Louise, kiedy ta usadowiła się już na tylnym siedzeniu. Odjeżdżając, widziała tylko pełną zwątpienia twarz matki Lucindy.

Dotarli do Xai-Xai późnym popołudniem, zaliczywszy po drodze dwie drobne naprawy: zmianę przedniego koła i umocowanie oberwanego wydechu. Przez całą drogę Gilberto nie odezwał się ani

słowem, zamiast tego sukcesywnie pogłaśniał radio. Louise próbowała zebrać siły. Nie wiedziała, co ją czeka.

Nie mogła odpędzić od siebie wspomnienia martwego Umbiego. Wielokrotnie chciała kazać kierowcy zatrzymać się i zawrócić do Maputo. Była bliska paniki, czuła, że zmierza prosto w pułapkę, która zatrzaśnie się za nią i już nigdy jej nie wypuści. Jednocześnie jednak pobrzmiwał jej w głowie głos Lucindy. *Umieram.*

Tuż przed tym, jak wjechali na most na płynącej przez miasto rzece, odpadła fotografia papieża, lądując między przednimi siedzeniami. Gilberto zatrzymał się i przypiął ją na miejsce. Louise poczuła złość. Czy ten facet nie rozumie, że mam mało czasu?

Jechali przez zakurzone ulice. Louise wciąż jeszcze nie postanowiła, jaki będzie jej kolejny krok. Czy powinna kazać taksówkarzowi zawieźć się do ośrodka Hollowaya i kazać mu czekać? A może lepiej pojechać do hotelu i znaleźć tam inny transport? W końcu podjęła decyzję. Poprosiła kierowcę, by skręcił w stronę plaży. Chwilę później zatrzymali się pod hotelem. Kiedy tylko wysiadła z taksówki, do jej uszu doleciały dźwięki timbili, na której grywał albinos. Zapłaciła za kurs, uściśnięła dłoń Gilberta na pożegnanie, po czym zabrała walizkę i weszła do hotelu. Tak jak poprzednio mogła wręcz przebierać w wolnych pokojach. Klucze do nich wisiły w równych rzędach. Żadnego nie brakowało. Louise zorientowała się, że recepcjonista albo jej nie poznaje, albo udaje, że wcześniej się nie spotkali. Nie poprosił jej jednak ani o paszport, ani kartę kredytową. Znowu poczuła się jednocześnie niewidzialna i... obserwowana.

Recepcjonista mówił płynnie po angielsku. Zapewnił, że zamówi dla niej taksówkę, ale że najpierw pomówi ze swoim bratem, który

ma świetny samochód. Louise zgodziła się, lecz poprosiła, by recepcjonista skontaktował się z nią jak najszybciej. Weszła do pokoju, stanęła przy oknie i wbiła wzrok w zrujnowany sklepik na plaży. To tam ktoś poderżnął gardło Umbiemu, pomyślała, czując wzbierającą falę mdłości. Strach znów wbił w nią swoje szpony.

Szybko umyła się pod ledwie kapiącym kranem w łazience, potem zeszła na dół i zmusiła się do jedzenia. Wybrała grillowaną rybę z sałata, ale tylko trochę w niej podłubała. Timbila brzmiała coraz bardziej obco. Ryba była pełna ości.

Louise długo siedziała z telefonem w dłoni, wahając się, czy zadzwonić do Artura. Nie zadzwoniła, uznawszy, że w tej chwili liczy się tylko wołanie Lucindy o pomoc. Czy to naprawdę wołanie o pomoc? A może to sygnał do ataku?

Albinos przestał grać. Louise usłyszała szum morza, brzmiący niczym pomruk uspiionej bestii. Łagodne fale muskały brzeg. Przyplłynęły aż z odległych Indii, z wybrzeży Goa. Upał był tu znacznie znośniejszy niż w Maputo.

Louise uregulowała rachunek i wyszła z restauracji. Na zewnątrz czekał już na nią mężczyzna w krótkich spodenkach i koszulce z amerykańską flagą. Stał przy zardzewiałej ciężarówce. Przywitał się przyjaźnie i przedstawił jako Roberto. Z jakiejś zupełnie niejasnej przyczyny chciał, by Louise mówiła do niego Warren. Wdrapała się do szoferki i wytłumaczyła, dokąd chce jechać. Warren mówił dobrze po angielsku, z takim samym południowoafrykańskim akcentem jak jego brat recepcjonista.

– Do ośrodka Christiana Hollowaya – powtórzył mężczyzna. – To dobry człowiek. Pomaga chorym. Niedługo wszyscy zachorujemy i umrzemy – dodał gładko. – Nas, Afrykanów, za parę lat już nie

będzie. Zostaną tylko kości zasypane piachem i puste pola. Kto będzie jadł kassawę, kiedy nas zabraknie?

Louise była zaskoczona dziarskim tonem, z jakim Warren mówił o szalejącej wokół epidemii i śmierci. Czyżby on też był chory? A może to sposób na zapanowanie nad strachem?

Pierwszą rzeczą, na jaką Louise zwróciła uwagę, gdy dotarli na miejsce, było to, że nigdzie nie zauważyła czarnego psa. Warren zapytał, czy ma na nią czekać, czy przyjechać za jakiś czas. Pokazał, że ma komórkę, i podał jej numer. Louise zadzwoniła na próbę, udało się jej połączyć za drugim razem. Warren nie chciał od niej pieniędzy, zapewniając, że to może poczekać i że w taki upalny dzień nie trzeba się z niczym spieszyć. Louise wysiadła z auta. Warren zawrócił i po chwili zniknął za zakrętem.

Stała w cieniu pod drzewem, tam gdzie zwykle wylegiwał się pies. Powietrze było nieruchome, białe budynki otaczała zupełna cisza. Była piąta. Louise zastanowiła się, czy Artur i tego dnia musiał odgarniać śnieg. Z zadumy wyrwał ją mały ptaszek, który trzepocząc skrzydełkami, poleciał tuż nad ziemią w stronę morza. Wołanie o pomoc czy znak do ataku? Czy Lucinda mogła wysłać oba sygnały równocześnie? Louise wpatrywała się w stojące w półokręgu białe zabudowania.

Lucinda musi mieć pewność, że do niej trafię. W którym domu jej szukać? Oczywiście w tym, w którym byliśmy razem po raz pierwszy.

Ruszyła przez piaszczysty dziedziniec, czując się tak, jakby wkroczyła na scenę. Wiedziała, że obserwuje ją ukryta widownia. Otworzyła drzwi i wkroczyła w ciemność. Uderzył ją smród

odchodów i niemytych ciał. Chorzy zajmowali całą podłogę. Prawie nikt się nie ruszał.

Plaża śmierci. Ci ludzie wypełzli tu na ląd w nadziei, że znajdą pomoc. To miejsce jest jak wybrzeże Lampedusy, gdzie morze wyrzuca ciała nielegalnych emigrantów z Afryki. Nie udaje im się osiągnąć tego, o czym marzyli.

Stała nieruchomo, czekając, aż wzrok przyzwyczai się do ciemności. Wsłuchiwała się w chór oddechów. Jedne były krótkie, chrapliwe i gwałtowne, inne tak ciche, że trudno je było usłyszeć. Co jakiś czas w pomieszczeniu rozlegały się rżenia i chrapliwe krzyki, które jednak szybko przechodziły w szept. Louise rozejrzała się wokół, próbując odnaleźć Lucindę. Nie mogła znieść dławiącego smrodu, wyjęła więc z kieszeni chusteczkę i zakryła nią usta i nos. Czowała, że lada chwila podda się mdłościom, zaczęła więc chodzić po sali, ostrożnie stawiając stopy, żeby nie nadepnąć na niczyją rękę czy nogę. Są jak ludzkie korzenie, pomyślała i od razu odpędziła tę niedorzeczną myśl. Nie chciała sobie zaprzętać głowy niepotrzebnymi skojarzeniami. Szukała dalej.

W końcu znalazła ją w rogu pomieszczenia. Dziewczyna leżała na macie, między ścianą a filarem podtrzymującym sufit. Louise spojrzała jej w oczy. Lucinda wyglądała bardzo źle. Była prawie naga, a jej wychudzona klatka piersiowa unosiła się pod wpływem szybkich, płytkich oddechów. Louise zrozumiała, że dziewczyna celowo wybrała miejsce za filarem. Nikt tam nie widział jej twarzy. Lucinda pokazała palcem na ziemię. Obok niej leżało pudełko zapalek. Louise udała, że upuszcza chusteczkę, i schyliwszy się, podniosła ją razem z pudełkiem. Spojrzała na Lucindę, ale ta ledwie zauważalnie pokręciła głową. Louise wyszła na zewnątrz, jakby nie znalazła tego, czego szukała.

Oślaniając twarz od palącego słońca, ruszyła pylistą drogą wiodącą poza ośrodek. Kiedy znalazła się za zakrętem, zadzwoniła do Warrena. Przyjechał po dziesięciu minutach. Przeprosiła go, że nie przewidziała, iż wizyta potrwa tak krótko, ale okazało się, że musi już wracać, być może nawet jeszcze tego samego dnia będzie chciała wrócić do Maputo.

Kiedy dotarli pod hotel, Warren znów odmówił przyjęcia pieniędzy. Zapewnił, że jeśli będzie go potrzebowała, wystarczy zadzwonić. Teraz zamierzał pospać w cieniu auta, a potem trochę popływać.

– Pływam z wielorybami i delfinami – powiedział. – Wtedy zapominam, że jestem człowiekiem.

– Chce pan o tym zapomnieć? – spytała Louise.

– Chyba każdy kiedyś marzył, żeby mieć płetwy zamiast rąk i nóg.

Louise poszła do pokoju. Umyła twarz i ręce pod kranem, który nagle odzyskał wigor i tryskał silnym strumieniem wody. Potem usiadła na brzegu łóżka i otworzyła pudełko po zapalniczkach. Wewnątrz tkwił skrawek papieru urwany z gazety. Na nim malutkimi literami Lucinda nakreśliła wiadomość: „Słuchaj timbili po zmroku”. Nic więcej.

Słuchaj timbili po zmroku.

Louise postanowiła zaczekać na zmierzch w pokoju, ponieważ za pomocą kopniaka udało jej się zmusić klimatyzator do pracy.

Po jakimś czasie wyrwał ją z drzemki telefon od Warrena. Chciał wiedzieć, czy Louise będzie go wkrótce potrzebowała. Jeśli nie, pojedzie do Xai-Xai zobaczyć się z żoną, która lada dzień będzie rodzić. Louise kazała mu jechać.

Zanim wsiadła do samolotu na lotnisku Arlanda, kupiła w butikach kostium kąpielowy. Było jej z tego powodu trochę wstyd, ponieważ do Afryki leciała spotkać się z umierającą Lucindą. Próbowowała przekonać samą siebie do zejścia na plażę. Bezskutecznie. Uznała, że musi oszczędzać siły. Wciąż nie wiedziała, co ją czeka wieczorem. Przeraził ją chrapliwy oddech Lucindy.

Patrząc przez okno, Louise rozmyślała o tym, że wszystko wokół wysycha i umiera w palącym słońcu. Wiedziała jednak, że to złudna myśl, bo zarazem nie ma niczego, co sprzyja życiu tak jak słońce. Gdyby ktoś nazwał Afrykę kontynentem śmierci, Henryk by głośno zaprotestował. Powiedziałaby, że z własnej winy nie dostrzegamy prawdy, skupiając się tylko na tym, jak Afrykanie umierają, a nie na tym, jak żyją. Kto wypowiedział te słowa? Nie mogła sobie przypomnieć. Pamiętała jedynie, że natknęła się na nie w notatkach Henryka, w jego mieszkaniu w Sztokholmie. Nagle stanęło jej przed oczami zdanie zanotowane na jednej z teczek z materiałami o zaginionym mózgu Kennedy'ego. Henryk musiał napisać je w złości. „Jak my, Europejczycy, byśmy zareagowali, gdyby świat interesował się tylko tym, jak umieramy, a nie naszym życiem?”

Louise stała przy oknie aż do zmierzchu. Spoglądała na morze, raz po raz rzucając okiem na pogrążone w cieniu ruiny sklepiku. Ciężarówka Warrena zniknęła, a pod oknami grupka dzieci bawiła się czymś, co z daleka wyglądało jak martwy ptak. Ścieżką wzdłuż plaży wędrowały kobiety z koszami na głowach. Jakiś mężczyzna próbował jechać rowerem w głębokim piasku. Przewrócił się i wstał, wesoło się przy tym śmiejąc. Louise patrzyła na niego z zazdrością. Było mu wesoło, mimo że poniósł porażkę!

Kiedy ciemność okryła już świat grubym kocem, Louise zeszła do restauracji. Albinos z timbilą siedział już na swoim miejscu. Nie grał jeszcze, na razie jadł ryż z warzywami z czerwonej plastikowej miski. Obok niego stała butelka piwa. Mężczyzna przeżuwał powoli, jakby wcale nie był głodny. Louise podeszła do baru, mijając stolik, przy którym nad kuflami z piwem przysypiali jacyś mężczyźni. Dziewczyna za barem była tak podobna do Lucindy, że Louise na moment zamarła. Wystarczyło jednak, by barmanka się uśmiechnęła i pokazała luki po zębach, a złudzenie minęło. Louise poczuła, że musi się napić czegoś mocnego. Artur postawiłby przed nią butelkę wódki na stole, pomyślała. „Masz, pij, wzmocnij się”, tak by pewnie powiedział. Poprosiła o szklanekę whisky, choć wcale za nią nie przepadała. Dodatkowo zamówiła butelkę tutejszego piwa Laurentina. Albinos zaczął grać. „Słuchaj timbili po zmroku”, szepnęła Louise. Do restauracji weszło kilku nowych gości, wśród nich starszy Portugalczyk w towarzystwie młodej afrykańskiej dziewczyny. Louise oceniła różnicę wieku między nimi na jakieś czterdzieści lat. Miała ochotę podejść do tego faceta i uderzyć go w twarz. Widok tych dwojga był dla niej żywym dowodem na to, że na tym kontynencie wciąż miał się dobrze kolonialny wyzysk.

A jednak wiem tak niewiele. Mogę godzinami rozprawiać o grobowcach z epoki brązu albo znaczeniu tlenku węgla dla koloru greckiej ceramiki, ale o realnym świecie, poza wykopaliskami i muzeami, wiem o wiele mniej, niż wiedział Henryk. Tak mało się nauczyłam. Zrozumiałam to dopiero teraz, kiedy mam już ponad pięćdziesiąt lat.

Opróżniła szklanekę i poczuła, że zaczyna się pocić. Ogarnął ją błogi stan lekkiego upojenia. Albinos wciąż grał. Dziewczyna za barem obgryzała paznokcie. Louise nasłuchiwała, starając się

uchwycić dźwięki dochodzące z zewnątrz. Po chwili wahania zamówiła drugą szklankę whisky.

Było za dwadzieścia siódma. Która godzina jest teraz w Szwecji? Dwie godziny później czy dwie wcześniej? A może ta sama? Nie wiedziała.

Timbila nagle zamilkła, co wyrwało Louise z zamyślenia. Opróżniła drugą szklankę i zapłaciła. Albinos wolnym krokiem przeszedł przez salę, kierując się w stronę toalety. Louise wyszła przed hotel. Wciąż nie było ciężarówka Warrena. W tle szumiało morze. Ktoś przeszedł obok niej, pogwizdując. W oddali zamigotało światło przejeżdżającego roweru. Louise czekała w skupieniu.

Albinos znów zaczął grać, jednak z miejsca, w którym stała teraz Louise, muzyka brzmiała inaczej. Dobiegała jakby z oddali. Nagle Louise zorientowała się, że słyszy inną timbilę. Zajrzała przez okno do wnętrza restauracji. Albinosa nie było przy instrumencie.

Zrobiła parę kroków przed siebie. Wibrujące dźwięki timbili dochodziły od strony morza, ale nie ze zrujnowanego sklepiku, lecz z przeciwnej strony, z miejsca, gdzie rybacy rozwieszali swoje sieci. Louise poczuła, że paraliżuje ją strach. Nie wiedziała, co mogło się na nią czaić w ciemności, zebrała się jednak w sobie i szła dalej, starając się myśleć o Henryku. Miała wrażenie, że w tej właśnie chwili zbliżyła się do niego bardziej, niż udawało jej się to dotychczas.

Próbowała usłyszeć w ciemności coś poza timbilą, lecz w tle słyhać było jedynie pomruk morza i chlupot fal. Samotność, jaką w tej chwili odczuwała Louise, była bezgłośna i zimna jak mroźna noc.

Powoli zbliżała się do źródła muzyki, nie mogła jednak nigdzie dostrzec blasku ogniska ani najmniejszego choćby światełka.

Podeszła jeszcze bliżej, czując, że niewidzialna timbila gra tuż obok niej. Nagle instrument ucichł.

Louise poczuła, że ktoś złapał ją za kostkę. Podskoczyła ze strachu. Ucisk natychmiast zelżał. Już miała rzucić się do ucieczki, kiedy usłyszała głos Lucindy.

– To ja – powiedziała cicho dziewczyna.

Louise usiadła w kucki, macając dłonią przestrzeń wokół siebie. W końcu trafiła na Lucinę. Dziewczyna siedziała oparta o uschnięty pień drzewa powalonego przez sztorm. Louise dotknęła jej rozpalonej gorączką wilgotnej twarzy. Lucinda chwyciła ją za rękę i pociągnęła w dół, dając do zrozumienia, że ma się schować.

– Nikt mnie nie widział – szepnęła. – Wszyscy myślą, że jestem zbyt słaba, żeby wstać, lecz ja mam jeszcze trochę sił. Nie na długo mi ich jednak starczy. Wiedziałam, że pani przyjedzie.

– Nie mogłam uwierzyć, że choroba może postępować tak szybko.

– Nie chcemy wierzyć w to, że śmierć jest tuż obok. Niektórych choroba wykańcza o wiele szybciej niż innych. Ja się do nich zaliczam.

– Mogę panią stąd zabrać, zapewnić pani porządną opiekę.

– Już za późno. Poza tym miałam pieniądze Henryka i nawet one mi nie pomogły. Choroba rozprzestrzenia się po moim ciele jak pożar po suchym pastwisku. Jestem gotowa na śmierć. Tylko czasem się boję. Zwłaszcza nad ranem, kiedy wschód słońca wygląda piękniej niż zwykle i dociera do mnie, że mogę już więcej go nie zobaczyć. Część mnie położyła się już na spoczynek. Człowiek umiera stopniowo, jakby powoli wchodził do morza. Najpierw zanurzają się jego stopy, potem kostki, łydki, dopiero po jakimś czasie stoi po brodę w wodzie. Myślałam, że do samego końca

zostanę u mamy, ale potem zdałam sobie sprawę, że nie chcę umierać na marne, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu. Wtedy pomyślałam o pani, o tym, jak próbowała pani odnaleźć ducha Henryka, przejść drogę, którą on przeszedł, zobaczyć to, co on widział. Pojechałam więc do Xai-Xai, żeby sprawdzić, czy naprawdę jest tak, jak Henryk przypuszczał, i czy za fasadą dobrej woli rzeczywiście kryją się ludzie o czarnych skrzydłach, wykorzystujący śmierć innych do własnych celów.

– Co pani tam zobaczyła?

Słaby głos Lucindy drżał, kiedy mówiła.

– Potworności. Chcę jednak opowiedzieć wszystko po kolei. Nieważne, w jaki sposób dotarłam do Xai-Xai. Nie ma znaczenia, czy ktoś mnie tam zawiózł na taczce, czy na przyczepie ciężarówki. Mam wielu przyjaciół, nie jestem sama. Włożyłam na siebie najgorsze ubranie, jakie znalazłam, i kazałam zostawić się na piasku, w brudzie, gdzieś w pobliżu ośrodka Hollowaya. Leżałam tak i czekałam na zmierzch. Jako pierwszy zobaczył mnie starszy mężczyzna o siwych włosach. Potem przyszli inni, wszyscy w gumowych kaloszach, kombinezonach i rękawicach. Byli to biali Południowoafrykańczycy, chyba jeden z nich był Mulatem. Zadawali mi pytania zupełnie jak na przesłuchaniu, czy mam AIDS i skąd jestem. W końcu podjęli decyzję, że mogę zostać. Umieścili mnie w jednym z domów, ale kiedy zapadła noc, przeszłam tam, gdzie mnie pani znalazła.

– Jak udało się pani zadzwonić?

– Wciąż mam przy sobie telefon. Przyjaciel, który mnie tu dzisiaj przywiózł, co drugi dzień ładuje mi baterię i podrzuca nocą. Czasem dzwonię do mamy. Słucham jej płaczu i błagań, żebym nie

pozwoliła zabrać się śmierci. Pocieszam ją, chociaż wiem, jak jest to beznadziejne.

Lucinda zaczęła kaszleć, długo i ciężko. Louise zmieniła pozycję i natrafiła dłonią na jakiś przedmiot. Był to mały magnetofon. Słuchaj timbili po zmroku. Więc to nie duch grał na instrumencie, pomyślała. Lucinda przestała kaszleć, lecz atak wyraźnie ją zmęczył. Oddychała z wysiłkiem. Nie mogę jej tu zostawić, stwierdziła Louise. Henryk by na to nie pozwolił. Musi być jakiś sposób na złagodzenie jej cierpienia, może nie jest jeszcze za późno na ratunek.

Nagle Lucinda złapała Louise za nadgarstek, jakby chciała się na niej oprzeć. Nie wstała jednak, zaczęła mówić dalej.

– Kiedy leżę tam, na podłodze, nasłuchuję. Nie słucham chorych, ale tego, co mówią zdrowi, którzy do nas przychodzą. Nocami, kiedy młode białe anioły śpią i czuwają tylko strażnicy, ożywa podziemie. Pod podłogą są pomieszczenia.

– Co się tam dzieje?

– Potworności.

Głos Lucindy był już tak słaby, że Louise musiała się nad nią pochylić, by cokolwiek usłyszeć. Dziewczyna znów zaczęła kaszleć. Przez moment zdawało się, że się udusi. Kiedy w końcu zaczerpnęła powietrza, w jej płucach coś zabulgotało. Minęła dłuższa chwila, nim zebrała siły na dalszą opowieść. Z hotelu dobiegały dźwięki timbili. Albinos znów zaczął grać.

– Jeśli nie ma pani siły, niech pani już więcej nie mówi – szepnęła Louise.

– Muszę. Mogę nie dożyć jutra. Nie pozwolę, żeby pani długa podróż się zmarnowała. Żeby zmarnowało się wszystko, co zrobił Henryk.

– Co pani tam widziała?

– Mężczyźni w kaloszach, kombinezonach i rękawicach robią ludziom zastrzyki. Jednak nie dostają ich wyłącznie chorzy. Wielu spośród tych, którzy dotarli do ośrodka, nie chorowało na AIDS. Umbi mówił prawdę. Są wykorzystywani jako króliki doświadczalne. Ci ludzie testują na nich szczepionki. Potem wstrzykują im krew zakażoną wirusem HIV, żeby się przekonać, czy szczepionka działa. Większość umierających w pomieszczeniu, w którym mnie pani znalazła, została zarażona celowo. Byli zupełnie zdrowi, kiedy przywieziono ich do Xai-Xai. Oczywiście są też inni, tacy jak ja, którzy zarazili się w inny sposób. Nam dają nietestowane wcześniej leki. Sprawdzają, czy da się zatrzymać zaawansowaną chorobę. Ci, którzy nam to robią, traktują nas na równi z szympanсами, królikami czy szczurami. Widocznie doszli do wniosku, że doświadczenia na zwierzętach niepotrzebnie wydłużają drogę do celu. Przecież to nie one mają być w przyszłości leczone. Poza tym, któż się przejmie losem kilku Afrykańczyków? Przecież w grę wchodzi lekarstwo, które uratuje ludzi Zachodu.

– Skąd pani to wszystko wie?

– Po prostu wiem. – Głos Lucindy nagle przybrał na sile.

– Nie rozumiem.

– A powinna pani.

– Jak się pani tego wszystkiego dowiedziała? Nasłuchując?

– Henryk mi o tym powiedział.

– Opisał to właśnie w ten sposób?

– Nie wprost. Myślę, że chciał mi tego oszczędzić. Ale wytłumaczył mi, co to za wirus i w jaki sposób szuka się środków do walki z chorobą. Robi się testy, obserwuje skutki uboczne. Henryk dużo o tym czytał, mimo że nigdy nie studiował medycyny. Po

prostu chciał wiedzieć. Potem zatrudnił się w Xai-Xai jako wolontariusz. Chciał poznać prawdę. Myślę, że to, co zobaczył, okazało się dużo gorsze niż cokolwiek, czego mógł się spodziewać.

Louise spróbowała odnaleźć w ciemności dłoń Lucindy.

– Myśli pani, że dlatego umarł? Dlatego że odkrył, co się dzieje w tamtych podziemiach?

– Wolontariusze mają surowy zakaz schodzenia na dół. Mówi się im, że są tam niebezpieczne próbki wirusa. Henryk złamał zakaz. Zszedł po schodach, bo nie mógł powstrzymać ciekawości. Chciał poznać prawdę.

Louise powtórzyła w myślach słowa Lucindy. Henryk zszedł po schodach i odkrył tajemnicę, przez którą potem zginął. A więc miała rację. Jej syn został zamordowany. Ktoś zmusił go do połknięcia środków nasennych. Ale czy to naprawdę mogło być tak proste?

– Jutro opowiem pani więcej – szepnęła Lucinda ledwie słyszalnie. – Teraz nie mam już sił.

– Nie może pani tam wrócić. Zabiorę panią stamtąd – oznajmiła Louise.

– Jeśli nie wrócę, oni skrzywdzą moją rodzinę. Zostanę. Wszystko mi jedno, gdzie umrę.

Zrozumiawszy, że przekonywanie Lucindy nie ma sensu, Louise spróbowała ją skłonić, żeby dała się chociaż odwieźć do Xai-Xai samochodem Warrena.

– Jak ma pani zamiar wrócić? – zapytała.

– Proszę nie pytać. I nie martwić się o mnie. Może pani zostać do jutra?

– Tak, będę w tym hotelu.

– Niech pani przyjdzie tu jutro o tej samej porze, gdy usłyszy pani dźwięk timbili. Może będę w innym miejscu, jeszcze nie wiem,

ale zjawię się na pewno. Jeśli tylko dożyję jutra. Nie jest dobrze umrzeć, zanim się dokończyło swoją opowieść.

– Zatem na pewno zobaczymy się jutro.

– Wkrótce umrę. Obie dobrze o tym wiemy. Wie pani, czego się najbardziej boję? Nie bólu ani szamotania się serca tuż przed końcem. Boję się, że będę umierała nieskończenie długo. A teraz niech pani już idzie.

Louise milczała, nie znajdując odpowiednich słów. Dźwięki timbili napływały falami, niesione wiatrem od morza.

Louise wstała i ruszyła w stronę oświetlonego hotelu. Z ciemności, w których zostawiła Lucinę, nie dochodził żaden dźwięk.

W restauracji, przy jednym ze stolików, siedziała grupa białych Południowoafrykańczyków. Jedli kolację. Przy barze stał Warren. Przywołał gestem Louise, wyglądał na podchmielonego.

– Dzwoniłem do pani, ale pani nie odbierała. Myślałem już, że przepadła pani w morzu.

– Wyłączyłam telefon – odparła Louise.

– Martwiłem się. Czy jeszcze dziś wieczorem będę pani potrzebny?

– Nie.

– A jutro? Co wieczór zakładam się ze słońcem, które z nas wcześniej wstanie.

– Czy mogę zapłacić panu za dzisiejszy kurs?

– Jeszcze nie. Nie teraz. Jutro będzie nowy dzień. Niech pani ze mną usiądzie i opowie mi o swoim kraju. O śniegu i zimnie.

– Jestem zbyt zmęczona. Może jutro.

Louise dotarła do pokoju, ledwo powłócząc nogami. Myśli wirowały jej w głowie. Wiedziała, że powinna wrócić na dół i zjeść

cokolwiek, nawet jeśli wcale nie miała na to ochoty. Chciała też usiąść i spisać świadectwo Lucindy, lecz znalazła siłę jedynie na to, by stanąć przy oknie.

Przed hotelem stały trzy samochody, dwie białe toyoty land cruiser i ciężarówka Warrena. Louise zmarszczyła czoło. Kim właściwie był Warren? I dlaczego jego brat recepcjonista jej nie rozpoznał? Powinien był. Czyżby udawał? Dlaczego Warren nie był teraz w domu z rodziną? Dlaczego nie pozwalał sobie zapłacić? Pytania rodziły jej się w głowie i nie chciały dać spokoju. Czyżby Warren miał za zadanie jej pilnować?

Potrząsnęła głową, chcąc odpędzić natrętne myśli. Potem zasunęła zasłonę i sprawdziła, czy drzwi są zamknięte. Były, ale na wszelki wypadek zablokowała je jeszcze krzesłem i biurkiem. Dopiero wówczas zaczęła się przygotowywać do spania. Po jakiejś chwili usłyszała, jak odjeżdżają dwie białe toyoty. Wyjrzała przez szparę między zasłonami. Ciężarówka Warrena stała na swoim miejscu. Timbila zamilkła.

Louise wsunęła się pod kołdrę. Klimatyzator wypluwał z siebie pojedyncze podmuchy nieco chłodniejszego powietrza. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że przesypuje słowa Lucindy przez filtr. Przyglądała się każdemu z nich uważnie, nie chcąc przeoczyć niczego ważnego.

Obudziła się rano. W pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie jest. Wstała i energicznie odsunęła zasłonę w oknie. Samochód Warrena zniknął. Jakaś czarna kobieta, naga od pasa w górę, myła się pod kranem przed wejściem do hotelu. Zerknąwszy na zegarek, Louise stwierdziła, że przespała osiem godzin. Spojrzała w to miejsce, gdzie zeszłego wieczoru spotkała Lucindę. Suchy pień leżał na swoim

miejscu. Na trawniku przed hotelem gdała stadko kur. Louise zawstydzila się na myśl o podejrzeniach, jakie miała wobec Warrena.

Widzę to, co chcę widzieć, pomyślała. Powinnam szukać prawdy w ciemności, a nie tam, gdzie jest jasno.

Woda migotała w promieniach słońca. Louise nie mogła się powstrzymać. Włożyła kostium kąpielowy, owinęła się ręcznikiem i zeszła na dół. Na plaży nie było nikogo, nie licząc kilku chłopców bawiących się w piasku oraz grupki pochylonych kobiet, brodzących po kostki w wodzie. Wyglądały, jakby czegoś szukały lub zbierały muszelki. Louise powoli oddalała się od brzegu, zanurzając się coraz głębiej. W końcu popłynęła. Prąd był silny, ale była w stanie się mu przeciwstawić.

Tuż obok mnie znajduje się Artur. Pływamy razem w ciemnym stawie, Artur mówi mi, że pod nami nie ma dna.

Louise położyła się na plecach i rozluźniła swoje ciało. Pływanie zawsze uwalniało ją od napięcia. Kiedy między nią a Aronem się nie układało, chodziła popływać – w morzu, jeziorze, basenie, tam gdzie miała najbliżej. Ułożyła się na plecach i patrzyła w błękitne niebo. Wczorajsze spotkanie z Lucindą wydawało jej się w tej chwili mglistym snem.

Kiedy w końcu wyszła z wody i wytarła się ręcznikiem, po raz pierwszy od wielu tygodni czuła się wypoczęta. Wróciła do hotelu. Nigdzie nie dostrzegła ciężarówki Warrena. Z sąsiadującego z hotelem kempingu doleciał zapach grillowanej ryby. Albinos z timbilą jeszcze się nie zjawił. Louise była jedynym gościem w restauracji. Po chwili podeszła do niej kelnerka, której Louise wcześniej nie widziała. Zamówiła omlet z chlebem i kawę. W lokalu

panował zadziwiający spokój. Louise odniosła wrażenie, że poza nią, kelnerką i niewidoczną osobą w kuchni nie było na świecie nikogo.

Henryk również musiał siedzieć któregoś dnia w tym miejscu i jeść. Być może spędzał czas tak jak ja w tej chwili, samotnie, przy śniadaniu, czekając, aż albinos zacznie grać na timbili.

Po jedzeniu Louise wypiła drugą filiżankę kawy. Kiedy chciała zapłacić, kelnerka nagle gdzieś zniknęła. Wsunęła pieniądze pod spodek i wyszła. Wciąż ani śladu ciężarówki Warrena. Louise poszła do pokoju i zamknęła się od środka. Dopiero kiedy się odwróciła, spostrzegła, że ktoś siedzi na krześle pod oknem. Christian Holloway wstał, unosząc ręce w przeproszającym geście.

– Wiem, że nie wolno bez pytania wchodzić do czyjegoś pokoju – powiedział. – Jeśli pani chce, wyjdę i zapukam jak porządny człowiek, którym jak panią zapewniam, jestem.

– Jak pan tu wszedł? – spytała przestraszona Louise. – Czy drzwi nie były zamknięte?

– Mam różne niezwykle umiejętności – odparł Holloway. – Kiedyś postanowiłem, że nauczę się otwierać zamki. Te drzwi nie stawiały długo oporu. Dawno temu, kiedy byłem w Szanghaju, udało mi się sforsować potrójny zamek w drzwiach do świątyni. Mam też inne talenty, potrafię na przykład zręcznie wycinać profile z papieru. To trudna sztuka, wymaga wytrwałych ćwiczeń, ale jest niezwykle relaksująca.

– Skąd Henryk miał pana profil wycięty z papieru?

– Dałem mu go. Kiedy był w Chinach, widział, jak się to robi, i chciał się tego nauczyć. Jest coś fascynującego w redukowaniu ludzi do kawałka wycinanki, nie sądzi pani?

– Po co pan przyszedł?

– Interesuje się pani moją pracą. Uznałem więc za stosowne poświęcić pani trochę czasu.

– Chciałabym się ubrać w spokoju.

– Zatem kiedy mogę wrócić?

– Wolałabym, żebyśmy się spotkali na dole.

Holloway zmarszczył czoło.

– W restauracji i w barze panuje hałas. Nienastrojone instrumenty, brzęk garnków, ludzie rozmawiający o niczym.

– Nie zgadzam się z panem. Będę gotowa za godzinę.

– Niedługo wrócę.

Holloway bezszelestnie wyszedł z pokoju. Z pewnością od pogardzanych przez siebie Afrykańczyków nauczył się jednego – jak poruszać się bez najmniejszego choćby dźwięku.

Ubierając się, Louise starała się przygotować do rozmowy. Nie wiedziała, czy powinna zasypać go pytaniami, czy po prostu wszystko mu wygarnąć i oskarżyć o zabójstwo jej syna. Powinnam się go bać, pomyślała. Powinnam być przerażona. Jeśli mam rację, ten człowiek może zabić mnie bez mrugnięcia okiem, tak samo jak zabił mojego syna, a potem Umbiego. Nawet jeśli wejdzie do tego pokoju sam, wszędzie czają się jego ludzie. Są niewidzialni, ale trzymają się blisko.

Christian Holloway zapukał tak cicho, że Louise ledwie go usłyszała. Kiedy otworzyła drzwi, na korytarzu nie było nikogo poza nim. Uśmiechnął się i wszedł do pokoju.

– Ten hotel był kiedyś ulubionym miejscem południowoafrykańskich turystów – powiedział. – W czasach, kiedy Mozambik był portugalską kolonią, panował tu istny raj na ziemi. Piękne plaże, mnóstwo ryb, piękna pogoda, no i młodziutkie

dziewczyny, które kosztowały naprawdę niewiele. Dziś to już tylko wspomnienie.

– Więc świat mimo wszystko stał się trochę lepszy?

– To zależy, kogo pani o to zapyta.

– Pytam pana. Nie wiem, kim pan jest i jaki postawił przed sobą cel.

– Czy to dlatego wciąż pani tu wraca?

– Kiedyś przyjechał tu mój syn Henryk. To pan już wie. Potem wrócił do domu, do Szwecji, i umarł. To też panu wiadomo.

– Tak, już pani złożyłem kondolencje. Wiem jednak, że nie da się wziąć na siebie czyjś żalu. Przeżywa się go samotnie, podobnie jak śmierć.

– Dlaczego mój syn musiał umrzeć?

Christian Holloway nie dał się wyprowadzić z równowagi. Przyglądał się Louise niezmaconym wzrokiem. Patrzył jej prosto w oczy.

– Dlaczego pani sądzi, że znam odpowiedź na to pytanie?

– Sądzę, że jest pan jedyną osobą, która ją zna.

– Co pani zdaniem wiem?

– Dlaczego Henryk nie żyje. I kto go zamordował.

– Sama pani powiedziała, że według policji było to samobójstwo.

– To bzdura. Ktoś go zmusił do połknięcia tabletek.

– Wiem z doświadczenia, jak trudno pogodzić się z faktem, że własne dziecko odebrało sobie życie.

– Wiem, że pana syn się zabił, bo był zarażony wirusem HIV.

Na twarzy Hollowaya dało się dostrzec cień zdziwienia. Zniknął równie szybko, jak się pojawił.

– Nie jestem zaskoczony, że zna pani tę historię. Pani syn na pewno też ją znał. W dzisiejszym świecie nie da się ochronić żadnej

tajemnicy.

– Henryk twierdził, że wszystko można zataić. Dlatego interesował się sprawą zniknięcia mózgu prezydenta Kennedy'ego.

– Słyszałem o tym. Komisja Warrena zajmowała się tą sprawą długo i bezskutecznie. Podejrzewam, że istnieje jakieś proste wyjaśnienie, którego nikomu nie chciało się sprawdzić.

– Henryk był zdania, że w dzisiejszym świecie prawdę zatajają ludzie zamieszani w potężne spekulacje, w których interesie jest to, by pewne fakty nie wyszły na jaw.

– Nie wyróżnia to naszych czasów w żaden szczególny sposób. W każdej epoce działały się podobne rzeczy.

– Tak samo jak dziś zadaniem porządnego człowieka jest wyjawienie prawdy i niesprawiedliwości.

Christian Holloway szeroko rozłożył ręce.

– Przeciwstawiam się niesprawiedliwości na swój własny sposób. Zwalczam niewiedzę i strach. Udowadniam, że nawet jednostka może nieść pomoc. Powiedziała pani, że jest ciekawa, jaki jest mój cel. Powiem pani. Otóż jest to chęć zrozumienia, w jaki sposób niewykształcony człowiek, jakim był Czyngis-chan, zdołał ze swoimi hordami pokonać świetnie wyszkolone wojska, podbić lepiej rozwinięte kraje i stworzyć imperium, jakiego nie widział dotąd świat. Co było jego bronią, która uczyniła go niepokonanym? Sądzę, że znam odpowiedź.

– Zdradzi mi ją pan?

– Broń jego wojowników, ich długie łuki. I sposób, w jaki właściwie zrastali się ze swoimi końmi. Umiejętność oddania celnego strzału z łuku w trakcie szalonego galopu. Podobnie jak wszystkie odpowiedzi na najważniejsze pytania, ta jest nadzwyczaj prosta. Do dziś czerwienię się ze wstydu na myśl, że odnalezienie jej

zajęło mi tak wiele czasu. To oczywiste, że wojownicy oddawali strzał w chwili, kiedy wszystkie cztery końskie kopyta znajdowały się nad ziemią, w tym krótkim momencie idealnej równowagi. Wojownik, któremu udało się wystrzelić, mógł być pewien, że jego strzała dojdzie celu. Czyngis-chan bynajmniej nie liczył na to, że zwycięży dzięki przewadze liczebnej swoich dzikich, żądnych krwi hord. Atakował, bo posiadał dokładną wiedzę o tym, że pośrodku chaosu pojawia się moment idealnego spokoju. To mnie inspiruje, tak właśnie próbuję żyć.

– Budując te swoje ośrodki?

– Próbując przywrócić stan równowagi. Ludzie zarażeni wirusem HIV w tym kraju i na całym tym kontynencie muszą umrzeć. Chyba że mieli szczęście urodzić się w jednej z nielicznych bogatych rodzin. Jeśli ktoś zarazi się tym samym wirusem na Zachodzie, może liczyć na wszelką pomoc, niezależnie od tego, kim są jego rodzice.

– Ale przecież ma pan tam tajne podziemie. Pana ośrodek jest jak statek przewożący niewolników. Skuci łańcuchami, tłoczą się pod pokładem, a na górze spacerują zamożni pasażerowie.

– Nie rozumiem, o czym pani mówi.

– Wiem, że w pana ośrodku jest podziemie. Robicie eksperymenty na chorych i zdrowych ludziach. Wiem to, choć nie umiem tego udowodnić.

– Kto pani naopowiadał takich rzeczy?

– Był tam pewien mężczyzna, który próbował ze mną porozmawiać. Dzień później już go nie było. Potem zjawił się inny, który zdążył przekazać mi pewne informacje, ale i on potem zginął. Podcięto mu gardło.

– Pierwsze słyszę.

– Ale nie zaprzeczy pan, że ponosi pan odpowiedzialność za to, co się dzieje w ośrodkach?

– Nie zaprzeczę.

– Więc odpowiada pan za to, że w pana tak zwanych *missions* wyprawia się rzeczy zaprzeczające całkowicie idei, dla której ośrodki zostały rzekomo stworzone.

– Pozwoli pani, że jej coś wytłumaczę – odparł Holloway chłodno. – Żaden świat nie istnieje bez walki przeciwieństw, żadna cywilizacja nie powstałaby, gdyby najpierw nie ustalono, jakie reguły będą panowały wśród ludzi. Mimo to reguły tworzone są dla słabych. Silna jednostka ocenia, na ile te reguły może naciągnąć, a potem ustala własne. Pani najwyraźniej życzyłaby sobie, żeby wszystkie ludzkie działania wpływały z chęci czynienia dobra, ale zapewniam panią, że tam, gdzie nie ma żądzy zysku, nie ma też żadnego rozwoju. Patenty na leki gwarantują zarobek umożliwiając dalsze badania i rozwój medycyny. Załóżmy na moment, że to, co pani o mnie mówi, jest prawdą. Czy nie sądzi pani, że z tych na pozór brutalnych działań może wyniknąć coś pozytywnego? Proszę nie zapominać, że bardzo nam się spieszy ze znalezieniem lekarstwa na AIDS i że południowa Afryka stoi u progu katastrofy porównywalnej jedynie z epidemią dżumy, która w swoim czasie spustoszyła Europę. Jak pani sądzi, czy są na świecie kraje, które gotowe są wyłożyć miliardy na znalezienie lekarstwa? Pieniądze przeznacza się na ważniejsze cele, na przykład na wojnę w Iraku. – Christian Holloway wstał. – Proszę mi wybaczyć, ale nie mam więcej czasu – oznajmił. – Muszę już iść. Jeśli zechce pani mnie znów odwiedzić, będzie pani mile widziana.

– Nie poddam się, dopóki się nie dowiem, co takiego spotkało Henryka.

Holloway bezszelestnie otworzył drzwi.

– Jeszcze raz przepraszam, że włamałem się do pani pokoju. Nie mogłem się oprzeć pokusie – rzucił na pożegnanie i wyszedł.

Louise obserwowała przez okno, jak Christian Holloway wsiada do samochodu i odjeżdża.

Przeszedł ją dreszcz. Czuła, że Holloway jej się wymknął. Nie udało jej się ani doprowadzić do konfrontacji, ani przebić się przez jego obronę. Nie zasypała go pytaniami, za to on uzyskał od niej odpowiedzi. Zrozumiała, że Holloway dostał to, czego chciał, a potem po prostu wyszedł, stwierdziwszy, że Louise nie jest dla niego zagrożeniem.

Jej ostatnią nadzieją była Lucinda. Ta umierająca dziewczyna jako jedyna osoba na świecie mogła pomóc Louise przybliżyć się do prawdy o tym, co w rzeczywistości spotkało Henryka.

Gdy nastał wieczór, Louise znów usłyszała dźwięki timbili. Tym razem muzyka dochodziła z miejsca bliżej morza. Louise podążyła za melodią, ostrożnie stawiając kroki w ciemności. Księżyc był w nowiu, niebo powlekała cieniutka mgiełka.

Gdy muzyka ucichła, Louise zatrzymała się i wyteżyła słuch, starając się wychwycić w ciemności oddech Lucindy. Przez ułamek sekundy pomyślała, że dała się wciągnąć w pułapkę. Że w mroku nie czekała na nią dziewczyna, lecz wrogie cienie, te same, które pewnej nocy zaczały się na Umbiego, na Arona, a wcześniej na Henryka.

W końcu usłyszała ciche wołanie Lucindy. Dziewczyna leżała tuż obok. Zapaliła zapałkę, a po chwili małą latarnię. Louise usiadła naprzeciw niej na piasku. Dotknęła czoła chorej i stwierdziła, że Lucinda ma wysoką gorączkę.

– Nie powinna była pani przychodzić. Żle z panią.

– Wiem – odparła szeptem dziewczyna. – Niedługo umrę, do tego jednak każde miejsce jest dobre. Poza tym wiem, że nie umrę w samotności, nie będę też samotnie leżała pod ziemią. W świecie umarłych jest więcej ludzi niż w świecie żywych.

– Christian Holloway złożył mi dziś niezapowiedzianą wizytę.

– Podejrzewałam, że to zrobi. Czy po drodze oglądała się pani za siebie? Nikt pani nie śledził?

– Nie widziałam nikogo.

– Nie pytam o to, co pani widziała, ale o to, czy ktoś panią śledził.

– Nie.

Louise spostrzegła, że Lucinda się od niej odsunęła.

– Muszę mieć więcej przestrzeni – wyjaśniła dziewczyna. – Gorączka wypala cały tlen wokół mnie.

– Co chce mi pani opowiedzieć?

– Ciąg dalszy. I zakończenie. O ile takie istnieje.

Lucinda nie zdążyła powiedzieć nic więcej. Strzał rozerwał ciszę na strzępy. Dziewczyna zadrżała, zesztyniała i za moment bezwładnie opadła.

Louise stanęły nagle przed oczami materiały z teczek Henryka. Kula trafiła Lucindę dokładnie tak samo, jak swego czasu uśmierciła prezydenta Kennedy'ego. Nikt jednak nie interesował się mózgiem tej martwej dziewczyny.

Z piersi Louise wyrwał się rozdierający krzyk. Jej podróż dobiegła końca, lecz nic nie zakończyło się tak, jak zaplanowała. Prawda ukazała się przed nią w całej okazałości, dobrze wiedziała, kto strzelił. Zabójcą był mężczyzna wycinający profile z papieru, stale wymykający się cień, wmawiający całemu światu, że kierują

nim wyłącznie dobre intencje. Któż uwierzyłby Louise? Śmierć Lucindy ostatecznie zakończyła jej poszukiwania.

Resztę nocy spędziła bezsennie w swoim pokoju. Nie miała siły myśleć. Otaczała ją wielka lodowata pustka.

Nad ranem usłyszała ciężarówkę Warrena zbliżającą się do hotelu. Zeszła na dół, uregulowała rachunek. Kiedy wyszła na zewnątrz, Warren stał przy aucie i palił papierosa. Na miejscu, w którym wczoraj zginęła Lucinda, nie było żadnych śladów. Żadnych świadków, żadnego ciała, zupełnie nic. Zobaczywszy Louise, Warren rzucił niedopałek i zmarszczył czoło.

– Ktoś tu strzelał w nocy – powiedział. – W tym kraju jest zbyt wiele nielegalnej broni. Co chwila do siebie strzelamy.

Otworzył drzwi przed Louise.

– Dokąd dzisiaj jedziemy? – zapytał. – Zapowiada się piękny dzień. Mogę pani pokazać lagunę, której woda przelewa się przez dłonie jak perły. Pracowałem kiedyś w kopalniach na południu Afryki. Tutaj cenniejsze od diamentów są jednak krople bezcennej wody.

– Innym razem – odparła Louise. – Muszę wracać do Maputo.

– Naprawdę pojedziemy tak daleko?

– Naprawdę. Zapłacę ile trzeba.

Warren nie podał ceny. Usiadł za kierownicą i wrzucił bieg. Kiedy odjeżdżali, Louise spojrzała przez ramię na plażę, na której przeżyła najgorsze chwile w życiu i której już nigdy miała nie ujrzeć.

Jechali, unosząc za sobą chmury czerwonego pyłu. Wkrótce słońce stało wysoko na niebie, pograżając wszystko w duszącym upale.

Louise nie odezwała się przez całą drogę ani słowem. Kiedy dotarli do Maputo, zapłaciła w milczeniu Warrenowi, który nie zadawał pytań, po prostu grzecznie się pożegnał. Louise poszła prosto do hotelu o nazwie Terminus, a kiedy znalazła się w pokoju, zamknęła drzwi od środka, położyła się na łóżku i zapadła w otchłań.

Spędziła w hotelu dwie doby. Ledwie tykała jedzenie, nie odzywała się do nikogo, zamieniła jedynie parę słów z obsługą, która przynosiła do pokoju zamówione posiłki. Nie zadzwoniła nawet po pomoc do Artura.

Trzeciego dnia zmusiła się, by wstać z łóżka. Zapłaciła za hotel, udała się prosto na lotnisko i opuściła Mozambik. Poleciała do Madrytu przez Johannesburg, gdzie wylądowała popołudniem 23 grudnia. Nie udało jej się kupić biletu na samolot do Barcelony, wszystkie miejsca były wyprzedane z powodu zbliżających się świąt. Wahala się, czy nie kupić biletu na pociąg, ale w końcu udało jej się zrobić rezerwację na następny dzień.

W Madrycie padał deszcz. Nad ulicami wisały migoczące ozdoby świąteczne. Louise poprosiła taksówkarza, żeby zawiózł ją do najdroższego hotelu w mieście, i wkrótce dostała pokój w Ritzu.

Przypomniała sobie, że kiedyś mijali go z Aronem, idąc do Muzeum Prado. Żartowali wówczas, że wydadzą wszystkie pieniądze na jedną noc w luksusowym apartamencie. Teraz Aron zapłacił za nocleg Louise, ale nawet o tym nie wiedział. Nie było go przy niej. Tęsknota za nim sprawiała Louise nieustający ból. Dopiero teraz do niej dotarło, że kiedy odnalazła go w domu z czerwonymi papugami, ożyła w niej dawna miłość.

Przeszła na drugą stronę ulicy i weszła do muzeum. Wciąż pamiętała, którądy iść, żeby dotrzeć do obrazów i akwafort Goi.

Aron i ja długo staliśmy przed portretem starej kobiety. Wziął mnie za rękę, a potem wyznaliśmy sobie, że w tej samej chwili oboje myśleliśmy o nieuchronnej starości.

Louise spędziła w muzeum całe popołudnie, próbując zapomnieć o wydarzeniach ostatnich miesięcy.

Padło również nazajutrz, kiedy leciała do Barcelony. Wsiadła z samolotu i poczuła nagłe zawroty głowy. Musiała się oprzeć o ścianę rękawa wiodącego do budynku lotniska. Stewardesa zapytała, czy Louise potrzebuje pomocy. Ona jednak pokręciła głową i po chwili ruszyła dalej. Zdawało jej się, że od dnia, w którym przyleciała z Aten do Sztokholmu, znajduje się w nieustającej podróży. Chcąc powstrzymać nawracające mdłości, zaczęła liczyć starty i lądowania samolotów, którymi w tym czasie leciała: Ateny – Frankfurt – Sztokholm – Visby — Sztokholm – Östersund – Sztokholm – Frankfurt – Singapur – Melbourne – Bangkok – Frankfurt – Barcelona – Madryt – Johannesburg – Maputo – Johannesburg – Frankfurt – Ateny – Frankfurt – Sztokholm – Östersund – Sztokholm – Frankfurt – Johannesburg – Maputo – Johannesburg – Madryt – Barcelona.

Myślała o tych miastach jako przystankach koszmarnej podróży. Wokół niej wciąż pojawiali się nowi ludzie, a potem znikali. Niektórzy z nich umierali. Louise wiedziała, że nigdy nie uwolni się od widoku martwych Umbiego i Lucindy, choć miała nadzieję, że z czasem ich twarze zaczną przypominać wyblakłe fotografie, a kiedyś, w końcu, stracą kontury. Nie zapomni też Christiana Hollowaya oraz papierowego profilu tego okrutnego człowieka, który okazał się niezwyciężony. Za tymi twarzami będą majaczyły jakieś inne, rozmyte, podobne do cieni.

Kiedy dotarła już do miasta, od razu skierowała się do mieszkania Henryka. Kiedy weszła do kamienicy, Blanka właśnie szorowała schody.

Usiadły w mieszkanku dziewczyny, żeby chwilę porozmawiać. Potem Louise nie pamiętała prawie nic z tego, co powiedziała dziewczyna, sama natomiast zapytała ją o to, kto odwiedził mieszkanie Henryka tuż po jego śmierci. Dziewczyna spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Wyczułam, że za pierwszym razem nie powiedziała mi pani prawdy – oznajmiła Louise.

– Dlaczego miałabym kłamać?

– Nie wiem. Dlatego pytam raz jeszcze.

– Musiała mnie pani źle zrozumieć. Nikogo tu nie było. Niczego nie zataiłam przed panią i panem Aronem.

– Więc się myliłam.

– Czy pan Aron w końcu się znalazł?

– Nie.

– Nie rozumiem, co mogło się stać.

– Być może uznał, że to go przerasta. Mężczyźni bywają słabi psychicznie. Pewnie wrócił do Apollo Bay.

– Szukała go tam pani?

– Miałam na myśli jakieś inne Apollo Bay, którego nie umiem namierzyć. Przyjechałam tylko po to, żeby po raz ostatni zajrzeć do mieszkania Henryka. Chciałabym pobyć w nim sama.

Weszła na górę i stanęła pośrodku pokoju. Stwierdziła, że musi w końcu zdecydować, jak ma wyglądać jej przyszłość. Było Boże Narodzenie, na zewnątrz padał deszcz, a ona wciąż nie wiedziała, co ze sobą począć.

Kiedy schodziła po schodach, znowu spotkała Blanę.

– Zapomniałam pani coś dać – powiedziała dziewczyna, wręczając jej list. – Przyszedł parę dni temu.

Na kopercie nie było nadawcy, pieczętka wskazywała na to, że list nadano w Hiszpanii. Obok imienia i nazwiska Louise widniał adres hotelu.

– Jak ten list znalazł się u pani? – zapytała, zdziwiona.

– Przyniósł go ktoś z hotelu. Najwyraźniej podała tam pani adres Henryka.

– Być może, nie pamiętam – odparła Louise, wsuwając kopertę do kieszeni. – Jest pani pewna, że nie było więcej listów?

– Nie było.

– Nawet takich, o których wysłanie Henryk osobiście panią poprosił? Za rok, za dziesięć lat?

Blanka zrozumiała. Pokręciła głową. Najwyraźniej nie miała nic więcej do wysłania poza listem do Nazrin.

Tymczasem przestało padać. Louise zdecydowała się wybrać na długi spacer. Postanowiła, że kiedy zmęczy się chodzeniem, zje kolację w hotelu. Przed snem zadzwoni jeszcze do Artura i złoży mu świąteczne życzenia. Może powinna wrócić już drugiego dnia świąt? Najbezpieczniej będzie, jeśli obiecuję mu, że będę w Nowy Rok.

O liście przypomniała sobie dopiero późnym wieczorem. Odpieczętowała kopertę i zaczęła czytać słowo po słowie, stwierdzając z przerażeniem, że to wszystko nie koniec, że jej cierpienie nie sięgnęło jeszcze zenitu.

List był napisany po angielsku, wszystkie dane, takie jak nazwiska, nazwy krajów i miast, były pogrubione czarnym tuszem.

Potwierdzono dane denata z paska identyfikacyjnego przytwierdzonego do zwłok. Kolor skóry bladoszary, plamy opadowe na plecach. Stężenie pośmiertne obecne. Widoczne wybroczyny w okolicach spojówek i wokół oczu. W kanale słuchowym, nosowym, w ustach i gardle nie stwierdzono żadnych ciał obcych. Błony śluzowe blade i bez śladów krwawienia. Na całym ciele nie widać uszkodzeń. Zewnętrzne organy płciowe nieuszkodzone.

Louise wciąż nie rozumiała, co ma znaczyć ten list. Czuła narastający w niej lęk. Czytała dalej.

Skóra na głowie nieuszkodzona, podobnie czaszka, kości czaszki mają jasny kolor. Opony mózgowo-rdzeniowe bez śladów krwawienia zarówno z zewnątrz, jak i wewnątrz. Opona twarda również nieuszkodzona. Powierzchnia mózgu nienaruszona, namiot mózdzku i otwór wielki bez uszkodzeń. Linia pośrodkowa tylna nieprzetrącona. Powłoki miękkie błyszczące i gładkie. Między powłokami nie ma śladów krwawień ani zmian chorobowych. Komory mózgu normalnej wielkości. Granica między substancją szarą a białą ostra. Substancja szara w normalnym kolorze. Mózgowie o normalnej konsystencji. Brak naruszenia ciągłości tkanki (otworów) w tętnicy podstawnej i tętnicach mózgu.

Dalej w tekście był opis poszczególnych układów i organów ciała. Raport był obszerny, kończył się opisem szkieletu oraz podsumowaniem.

Zwłoki znaleziono na ulicy. Wybroczyny wokół oczu świadczą o tym, że śmierć nastąpiła przez uduszenie. W świetle dotychczasowych ustaleń można założyć, że śmierć nastąpiła w wyniku działań osób trzecich.

Louise miała w ręce raport z sekcji zwłok, sporządzonej w nieznanym miejscu, przez nieznanego lekarza. Dopiero gdy jeszcze raz przeczytała dane dotyczące wzrostu i wagi ciała zmarłego, stwierdziła ze zgrozą, że na stole prosektoryjnym leżał Aron.

Śmierć nastąpiła w wyniku działania osób trzecich.

Po tym, jak Aron wyszedł z kościoła, ktoś go napadł, udusił i zostawił leżącego na ulicy. Ale kto go znalazł? Louise analizowała gorączkowo. Dlaczego hiszpańska policja jej nie zawiadomiła? Kto przeprowadził sekcję?

Nagle poczuła desperacką potrzebę rozmowy z Arturem. Zadzwoiła do niego i powiedziała mu jednak tylko, że Aron nie żyje i że nie może teraz o tym rozmawiać. Nie wspomniała ani o śmierci Lucindy, ani o raporcie z sekcji. Artur był zbyt mądry, by zadawać niepotrzebne pytania. Chciał jedynie wiedzieć, kiedy Louise wróci do domu.

– Wkrótce – odpowiedziała.

Potem opróżniła barek, zastanawiając się, czy będzie w stanie udźwignąć cały żal, jaki spłynął na nią w ciągu ostatnich miesięcy. Czuła, że resztki filarów podtrzymujących sklepienie jej wnętrza lada chwila runą. Louise spędziła noc w hotelu w Barcelonie, leżąc na podłodze z raportem z sekcji w dłoni. Była pewna, że więcej już nie zniesie.

Nazajutrz wróciła do mieszkania Henryka. Zastanawiała się, co zrobić z jego rzeczami, i nagle zrozumiała, co musi uczynić, by móc dalej żyć.

Miała przed sobą jedyną drogę, której początek był tu, w mieszkaniu Henryka w Barcelonie. Postanowiła, że dokończy

opowieść, której nie zdołał zakończyć jej syn. Będzie kopać dalej i dopasowywać do siebie kolejne elementy układanki jak skorupy starożytnego naczynia.

W jej głowie pobrzmiwały słowa Lucindy: Nie jest dobrze umrzeć, zanim się dokończyło swoją opowieść. Louise postanowiła dokończyć opowieść Henryka, opowieść Arona i swoją własną. Trzy historie, które połączyły się w jedną.

Wiedziała, że nikt poza nią nie jest w stanie tego uczynić.

Wiedziała też, że powinna się spieszyć. Czas zaciskał wokół niej niewidzialną pętlę.

Najpierw jednak pojedzie do domu, do Artura. Razem odwiedzą grób Henryka i zapalą świeczkę dla Arona.

27 grudnia Louise wyprowadziła się z hotelu i pojechała na lotnisko. Było deszczowo i mgliście. Wsiadła z taksówki i poszła prosto do okienka odprawy linii lotniczych Iberia, a potem do samolotu, który miał zabrać ją do Sztokholmu.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy czuła się silna. Igła jej wewnętrznego kompasu przestała kręcić się w kółko.

Nie zauważyła stojącego nieopodal mężczyzny, który odprowadził ją wzrokiem. Nieznajomy wyszedł z lotniska dopiero wówczas, kiedy Louise zniknęła za bramką kontroli bezpieczeństwa.

Posłowie

Dwadzieścia lat temu na zachodniej granicy Zambii i Angoli widziałem młodego Afrykańczyka umierającego na AIDS.

Zobaczyłem coś podobnego po raz pierwszy, niestety nie ostatni.

Planując, a potem pisząc tę książkę, cały czas miałem przed oczami jego twarz.

Książka ta jest powieścią, od początku do końca fikcją. Jednak granica między tym, co naprawdę się stało, a tym, co mogłoby się stać, jest niezwykle cienka. Szukając materiałów na powieść, postępuję inaczej niż dziennikarz. Mimo to, podobnie jak on, oświetlam najciemniejsze zakamarki ludzkiego wnętrza, społeczeństwa, współczesnego świata. Nierzadko osiągamy te same rezultaty.

Pisząc tę powieść, korzystałem w pełni z wolności, jaką daje tworzenie fikcji. Za przykład może posłużyć fakt, że ani w ambasadzie Szwecji w Maputo, ani w tamtejszej placówce Sidy nigdy nie pracował mężczyzna nazwiskiem Lars Håkansson. Jeśli kiedykolwiek się okaże, że to nieprawda, jestem gotów uderzyć się w pierś i zapewnić, że nie jego miałem na myśli!

Rzadko spotykamy ludzi o zestawie cech, jakie przypisałem tej postaci. Bardzo bym chciał powiedzieć „nigdy”, ale to niestety niemożliwe.

Wiele osób pomogło mi przy pisaniu tej książki. W trakcie jej powstawania często miałem wrażenie, że zanurzam się w ciemną otchłań. Dwie z tych osób pragnę wymienić z imienia i nazwiska. W pierwszej kolejności dziękuję Robertowi Johnssonowi z Göteborga, który zgromadził dla mnie wszystkie informacje,

o jakie go poprosiłem, wzbogacając je przy tym o własne cenne uwagi. Dziękuję również dr Anastazji Lazaridou z Muzeum Bizantyńskiego w Atenach za wprowadzenie mnie w meandry archeologii.

Poza tym dziękuję wszystkim innym, którzy mi pomogli.

Jeszcze jedna uwaga na zakończenie: powieść może się skończyć na stronie 212 lub na przykład 384, równie dobrze może też nie kończyć się wcale. To, co napisałem w tej książce, to rzecz jasna rezultat wyłącznie moich wyborów i decyzji. Mój jest także gniew, który czułem i czuję do dziś. Ten gniew mnie napędzał.

Fårö, maj 2005
Henning Mankell

-
- ¹ *Vrede* – szw. „gniew”, „wściekłość” (przyp. tłum.).
 - ² „Dagens Nyheter” – jeden z czołowych dzienników w Szwecji (przyp. tłum.).
 - ³ Jacob Hägg (1839–1931) – pochodzący z Gotlandii szwedzki oficer i malarz (przyp. tłum.).
 - ⁴ Olof Skötkonung – pierwszy chrześcijański król Szwecji, rządził w latach 995–1021. Syn Eryka Zwycięskiego i Sygrydy Świętosławy, córki Mieszka I (przyp. tłum.).
 - ⁵ Dag Hammarskjöld (ur. w 1905) – szwedzki polityk, dyplomata, ekonomista i prawnik. W latach 1953–1961 sekretarz generalny ONZ. Zginął w katastrofie lotniczej w Rodezji Północnej (dzisiejszej Zambii) 18 września 1961 r. (przyp. tłum.).
 - ⁶ *Capulana* – tak w Mozambiku nazywa się chusta, którą kobiety wiążą wokół bioder, podobna do tahitańskiego pareo (przyp. tłum.).
 - ⁷ William Szekspir, *Tragedia Macbetha*, przeł. Maciej Słomczyński, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1980.
 - ⁸ Porcja – jedna z głównych postaci dramatu *Kupiec Wenecki* Williama Szekspira (przyp. tłum.).
 - ⁹ Sida – Swedish International Development Cooperation Agency, agenda szwedzkiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych,

zajmująca się współpracą z krajami rozwijającymi się (przyp. tłum.).

Przekład: Ewa Wojciechowska

Redaktor serii: Filip Modrzejewski

Redakcja: Agata Krzemkowska
Korekta: Ilona Kuczmarz, Małgorzata Denys
Redakcja techniczna: Izabela Gołaszewska

Projekt okładki: Elżbieta Chojna
Fotografia wykorzystana na I stronie okładki:
© CURAphotography / shutterstock.com
Zdjęcie autora: © Bernard Osser

Skład i łamanie: Tekst – Małgorzata Krzywicka
Piaseczno, ul. Żółkiewskiego 7a

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-372 Warszawa, ul. Foksal 17
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54
biuro@gwfoksal.pl
www.wab.com.pl

ISBN 978-83-7881-026-1

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Wydawnictwo W.A.B.](#)
i Magdalena Wojtas / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow



Henning Mankell (ur. 1948) – jeden z najpopularniejszych pisarzy szwedzkich, dziennikarz i człowiek teatru. Stał się sławny dzięki kryminałom z komisarzem Kurtem Wallanderem. Cykl ten miał wiele ekranizacji telewizyjnych.

Książki Mankella są publikowane w czterdziestu dwu krajach i rozeszły się w milionach egzemplarzy. Nakładem W.A.B. ukazało się czternaście jego tytułów dla dorosłych, w tym powieści spoza serii o Wallanderze – *Comédia infantil* (2008), *Chińczyk* (2009), *Powrót nauczyciela tańca* (2011). W przygotowaniu są kolejne książki autora, m.in. powieść *Włoskie buty*.

Pisarz otrzymał wiele wyróżnień literackich, m.in. Europejską Nagrodę Literatury Kryminalnej „Ripper Award” (2008). Mankell odnosi sukcesy również jako twórca literatury dziecięcej i młodzieżowej, za którą został uhonorowany Nagrodą Astrid Lindgren (1996). Wydawnictwo W.A.B. opublikowało jego cykl książek o nastoletnim Joelu.